LAMUS

* * * *

REDAKTOR: MICHAŁ PAWLIKOWSKI

MCMXII/XIII

WE LWOWIE: NAKŁAD KSIĘGARNI H. ALTENBERGA, SP. Z OGR. ODPOW. WARSZAWA: E. WENDE I SP. (T. HIŻ I A. TURKUŁ) * * * * * * *

(CENA K 12 — R 5)

TREŚĆ ROCZNIKA CZWARTEGO.

Część pierwsza — dzisiaj:

Część druga — wczoraj:

*

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH POD ZARZĄDEM K. JASIŃSKIEGO

Klisze wykonane w zakładach: Brzezińskiego we Lwowie, Huśnik & Häusler w Pradze.

Część pierwsza — Dzisiaj.

Trygław.

(Baśń.)

Był bóg Trygław, który miał trzy głowy.

Które głowy były takie:

Była jedna głowa dziada bardzo starego, o kudłach srebrnych, zwichrzonych, o wargach uschniętych, fioletowych, wiecznie mamlących, o oczach co wbite do ziemi zdały się wciąż szukać, czego nie zgubiły.

Tą głową widział bóg to, co było, a nie jest.

Była druga głowa męża dojrzałego, obrosła kędziorem ciemnym, jak wrzątek stopionego brązu, patrząca prosto przed siebie.

Tą głową widział bóg to, co jest.

Była trzecia głowa młodzianka, złota jak jutrznia wschodząca. Ta prężyła się na szyi niby ptak dziki zlatujący z gałęzi. Nozdrza łapały wiatr a oczy słońce. Nad niemi brew rozpięta jako skrzydła kani szybującej nisko nad rżyskiem.

Ta głowa widziała to, co nie jest, a będzie.

I.

Na zboczu słonecznem regla wyniosłego, na rąbanisku zarosłem, w jaferze gęstym, maliniaku i kipszynach różowych, przyległ Trygław niby wykrot ogromnego buka. Patrzał na

rówień rozległą, ścielącą się w słońcu, a wraz z brzękiem pszczół złotych, siadających na kłosach kipszyny, oblatywał go szmer głosów. Bóg rozmawiał z sobą.

Rzekła głowa brązowa: Niech będzie pochwalony Jesse, że dał piękną pogodę.

Rzekła głowa srebrna: Pomnę, bywały i takie i piękniejsze.

Rzekła głowa brązowa, a w głosie jej drgała niechęć: Mamże chwalić popieliska wygasłe, a nie ogień żywy co grzeje, świeci i weseli?

Rzekła głowa srebrna: Mnie ogień nie grzeje, zima mię wieczna trzęsie. Mnie światło nie świeci; — myśli moje, przywykłe do mroków otchłani, wypłoszone na światło tłuką się i krwawią, jak ślepe nietoperze o ściany bytu. Mnie ziemia nie weseli, choć się w pogodę ubiera, bo kiedy ucha nakłonię, słyszę w jej głębi szum wieczny, jak w muszli nieżywej, a w szumie tym odpoznaję głosy rzeczy minionych. I cóż mi chwila obecna? Dzień za dniem, chwila za chwilą, zapadają przedemną w przepaście czasu, a myśl głucha je liczy, jedna za drugą, jak ziarna różańca przesuwane w bezsennych palcach stróży umarłych.

Głowy umilkły. Upłynęła długa chwila. Aż odezwała się głowa złota: O czem mówicie?

Koso patrząc i przygryzając wargi rzekła głowa brązowa: Chwalę oto Boga Najwyższego za piękną pogodę. Alboż nie słuszna?

Upłynęła długa chwila... aż odezwała się znowu głowa złota: Pogoda?... Kiedy? Jaka?

Teraz głowa brązowa rzuciła się gniewnie i splunęła przez zęby: Kiedy? — jaka? — A może ta, tu i teraz! Wiecznie to samo, niebyłku przeklęty! Alboż tobie to samo słońce tego samego brzucha, co mnie, nie grzeje? Alboż ci to ślepie na świat wyszklone mraka zasłania? Nie widziszże jako się hań pod nami rówień słoneczna śmieje?; — śmieje się jako w szerz dojrzysz, jako w dal okiem sięgniesz; ucieka, opar

ją dalekości przysiada, a śmieje się jeszcze. Modli się świat słońcu radością. Pierś mu wezbrała, zatliły się oczy, zatchnął się, zda się podnosi ramiona, jak dziewczyna mająca upaść na szyję kochanka. Zda się zaraz krzyknie z radości... Słyszysz dalekie wyzkanie pasterki? — słyszysz osełkę dzwoniącą na kosie? — pianie koguta? — To bije miłośnie serce ciszy. A tu, patrz, jako na okół rąbaniska stojące smreki rozłożyły błogosławiące ramiona i patrzą cicho w niebo... Na łapciu moim skamieniała zielona jaszczurka; w górę podniosła głowę i tak trwa. To ziemia dziwuje się słońcu... Patrz jako ziele błękitnej goryczki pochyla się kornie ku światłu, rozkładając dłonie swych liści;... w pogotowiu trzyma po parze szafirowych dzwonków, zda się aby uderzyć w nie, kiedy wzniesie ręce słońce-ofiarnik... A pszczoły podnoszą się i przyklękają na kwiatach, brzęcząc ciche modlitwy. Spełnia się tajemnica ofiary. Modli się ziemia i niebo, — zachwytem drży samo nawet rozgrzane żarem słonecznym powietrze.

Nie obracając oczu, cicho i zwolna, jęła mówić głowa złota: Czas leci — czas bieży. Mkną lata, wieki, tysiąclecia. Bezkres — bezdech — gwizd skrzydeł... Myśl lecąca na skrzydłach czasu niezna trwania. Dla samowiedzy, co w jednem mgnieniu oka lata przebywa, byt rozbija się w kurzawę, — jeśli przebywa wieki, rozpyla się w opar, — jeśli tysiąclecia — w nic. Świadczy o nim tylko opór pędu, wiatr gwiżdżący w pierzu..... Oko śmiertelne widzi po dniu postacie bytu; twory pod bytem będące, mary i widma, widzi tylko na tle nocy, lub zgoła we śnie przez zamkniętą powiekę. Wzmocnione światłem dnia przeziera je na wskroś; istnieć dlań przestają. Oko nieśmiertelne przeziera na wskroś wszystkie postacie bytu; bogowie są ślepi. Byt istnieje dla nich tylko o tyle, o ile ograniczają dobrowolnie swoją świadomość. Byt jest majakiem świadomości ograniczonej. Czas leci — czas bieży... Mkną lata, wieki, tysiąclecia... Wieczność „będzie“

przelewa się we wieczność „było“... Czemże jest chwila obecna? Ziarnkiem piasku przesuwającem się w klepsydrze czasów z jednej wieczności w drugą, przez przesmyk, który zowią „gardłem śmierci“. Przejściem swojem jednej wieczności nie bogaci, drugiej nie uboży. Czemże więc jest? Niczem.

Zaśmiała się głowa brązowa złym śmiechem: — Teraz pouczon jestem — rzekła. Co jest — to nie istnieje, a istnieje to tylko, czego niemasz. Zaiste trzeba być bogiem, aby spłodzić takie głupstwo! Teraz wiem dlaczego ludzie oddają cześć boską szalonym i poetom. Na Peruna! cześć boską!... Słuchajcie!: Wczoraj szedłem przez las niosąc was niebylce na ramionach, ostrożnie jak niańka, abyście sobie oczu na gałęziach nie wykłuli. Patrzę, siedzi chochlik na osice, trzyma srokę na pięści. Powiada do sroki: „Lezie tutaj Było-Niebyło, trzeba się pięknie pokłonić“. Zesunął się z osiki, pokłonił się nizko, — sroka też dziób położyła na ziemi i rozczepieżyła skrzydła. Ale za sobą słyszałem jak chochlik szeptał do sroki: „Uważaj Było-Niebyło! — ździebło leży przez chodnik, cobyś się nie potknął a świętych nosów nie utłukł“. Czułem jak położył dłoń na ustach, aby śmiechem nie parsknąć; sroka śmiała się głośno; osika aż się trzęsła od śmiechu... I jam się w sobie roześmiał i zebrała mnie chęć wrócić i poigrać razem ze sroką i chochlikiem... A wtedy spojrzałem na was... Mróz mię przeszedł i zadrżały podemną kolana. Oto na tym łbie starym wróble darły kudły srebrne na gniazdo, jak wełnę na zdechłej owcy. Pojrzę w drugą stronę, — temu mrówka chodzi po wargach, szerszenie obsiadły łzawniki oczu. Poczułem dreszcz we włosach i począłem biedz przez gęstwę leśną aby co rychlej spojrzeć w słońce. — O straszliwi! Twarze wasze są bardziej niesamowite niż twarz księżyca, oświecona łuną ogni zaświatnych, których nie widać. Gorzej! Znam mary dwie okropne, na których widok człowiek popada w szaleństwo albo umiera. Oto Martwiec... trup zielony, wyschnięty, jak próżna łupa poczwarki. Oczy

nieruchome wyszklił, osęki suchych rąk wyciąga przed siebie. Idzie nie krocząc, wiatr niewidzialny lasem go niesie — sam i tam, — obija głucho o drzewa... Oto druga mara jeszcze straszniejsza, Strzyga. Spotkasz ją zmrokiem późnym na drodze — niewiasta niby, w chuście szarej na głowie. Ale strzeż się ją pozdrówkać, by nie obróciła twarzy ku tobie. Bo nie ujrzysz wtedy twarzy pod chustą, jeno jamę ciemną, z której wieje chłód stęchłych studzien, wąż wstaje sycząc, a gwiazdy widać na wylot...

Takie wy mary jesteście niebylce! A ja między wami jak krzew uczepiony do drżącej krawędzi opoki, na skraju dwóch przepaści, w które leją się hucząc rzeki wieczności. Słońce świeci nademną, niebo wyiskrza pogoda, — raduje się słońcu świat, stwór każdy, — złoci blizkość, srebrzy dalekość... A podemną drżą wnętrzności ziemi... Światło wszędzie i radość — a serce niezna radości...

— A serce niezna radości...

— A serce niezna radości — powtórzyły głowy jak echo.

— Dlaczego, — rzekła głowa brązowa, zatliwszy oczy — dlaczego wiedza wasza jest klątwą dla mnie i dla was? Trzebaż być przeklętym, aby być bogiem? Dlaczego człowiek kocha przeszłość i w kwiaty stroi swoje groby? Dlaczego kocha przyszłość, spodziewa się, tęskni i rad mrze dla niej z uśmiechem na ustach. Trzebaż być bogiem aby nie znać słodyczy łez i nadziei?

— Człowiek kocha w przeszłości siebie samego, — groby ojców, własne źródło i własną kolebkę. Cóż ukocham ja, bóg, bez ojców i bez ojczyzny? — Tak rzekła głowa srebrna.

— Człowiek kocha w przyszłości siebie samego, — rzekła głowa złota, — kolebkę własnych celów i nadziei. Bogowie nie znają celów, jeno końce. A każda kolebka jest trumną. Nie masz bowiem nic, coby trwało.

— A nieśmiertelni bogowie!? — rzuciła niecierpliwie głowa brązowa.

A kiedy głowa złota milczała, podniosła się głowa srebrna i powtórzyła pytanie: A nieśmiertelni bogowie?

Głowa złota milczała... Obie głowy obróciły na nią niespokojne oczy. Ona wychyliła się naprzód, prężąc szyję, jak łódź rwana odpływem pręży linę kotwiczną. Zdały się rwać ją za sobą oczy, napiętemi skrzydłami brwi lecące w nieskończoność.

— Co widzisz?

— Co widzisz?

— Widzę śmierć bogów, — szepnęła głowa złota — a krążące w promieniu jej oddechu pszczoły, padły nieżywe.

— Śmierć bogów?

— Śmierć bogów?

— Kiedy?

— Kiedy?

— Kiedy zwątpią o sobie.

— Kiedy zwątpią o sobie?

— Kiedy zwątpią o sobie?

— Tak. Kiedy zwątpią o sobie.

....Głowy umilkły. Wtuliły się głęboko w ramiona i przylgnęły twarzami do siebie, jak pisklęta jastrzębie, nagie i bezlotne, gdy na gniazdo wysokie nie wróci matka ustrzelona przez łowca, a drzewo kołysze się coraz mocniej, a noc idzie i mgła zimna siompi.....

Właśnie zaś stało słońce na wysokiem południu. Skwar prażył. Na dołach głosy umilkły, — równień stała w pyle słonecznym cicho jak mara senna. Tu blizko krzaki maliniaku i skoruszy drzemały zwiesiwszy liście, niby żeńcy odpoczywający na połedeń. Tylko w podszewce traw, nieśmiało, by nie zbudzić śpiących, ćwierknął ówdzie konik polny, próbując gęśli na wieczorną muzykę.

Trygław począł biadać:

— Biadaż mnie bogu trygławemu!

— Biadaż mnie bogu!

— Biada!

— Rosnę na krawędzi dwóch przepaści. Wiater głębin mną trzęsie.

— Podemną wieczne mroki głodnej otchłani. Bezdeń... bezdeń...

— Przedemną wieczne skwary pustyń bez końca. Bezkres... bezkres...

— Wokół mnie radość — a niemogę się radować.

— Wieczność mi kark ugina. W groby patrzę — a niemogę płakać.

— Wieczność mię bezlitosna wlecze u swej osi nieścigłej. Niemasz wytchnienia... Wiem czego nikt nie wie — a niemasz dla mnie nadziei.

— Biadaż mnie bogu!

— Biada!

— Biada!

— Jakże szczęśliwym jest człowiek!

— Jakże szczęśliwym!

— Jak szczęśliwym!

— Twór jednodniowy kręci się w słońcu, — złuda mu bajki prawi, — nadzieja kołysze do snu. Śmiech nie wie o swym końcu, — płacz ma swój kres. Bo kiedy zejmie go żmuda, chroni się pod skrzydła śmierci.

— Bo kiedy zejmie go żmuda, chroni się pod skrzydła śmierci...

— O! skrzydła śmierci...

. . . .

— O ciche, ciche skrzydła śmierci...

. . . .

Tak biadał Trygław, a w mowę wpadały mu cicho, zrzadka — głośniej, coraz natrętniej — głosy jakieś i szmery. Zbudziła się gąszcz maliniaku i poczęła łyskać srebrną podszewką liści. Ożyła ściana lasu nad rąbaniskiem; zaniepokoiły

się smreki; — nachylając się w prawo i w lewo, kładły na sobie dłonie zielone: „coś będzie, coś będzie“.

To gdzieś o mil sto, o dwieście, kłótnię wszczęły wiatry, Chwist i Pochwist, bracia nienawistni, choć z jednej matki rodzeni. Pochwist po stepie chodził, a dogadywał, a pośmiewał się. Chwist siedział plecami odwrócon, — nie słuchał niby, niecierpliw przecie ziemię stopą trącał, w palce gwizdał. Aż począł łajać jąkała sobie na biedę. Zaniósł się Pochwist od śmiechu, step obiegał, skakał przez jary. Wstał Chwist gniewny, ryczeć począł, ziemię grześć...

Przetwarły się wrota niebios; ojciec Perun pokazał twarz złotą. Wiatry na chwilę ucichły. Z wrót niedomkniętych wymknął się Siompiec, bożę dżdżu drobnego, chłopię w koszuli długiej, mokrej od pasa, o włosach jak len obmokły. W ręku trzymał pajdę chleba czarnego, pozłoconego miodem. Szedł se rad, chleb zagryzał, ziemi się przyglądał. Obaczyła się matka Słota. Zabiadkała: „ludzie na świecie!“ — wybiegła z wrót niebieskich. Za nią biegł w ślad plugawy pies, Pluta. Obejrzał się Siompiec, począł uciekać w trząski. Potknął się, upadł, rozbeczał, chleb upuścił z ręki. Rozeszła się woń razowiny i miodu. Poczerniały role, zapachły łąki... Słota dopadła chłopię za koszulę, na kolano podniosła, splasła po zadku — raz — dwa — i wziąwszy na ręce zawróciła do wrót niebieskich. Tu wepchnęła je do wnętrza i założyła zaszczepkę. Teraz zawołała na Plutę. Ale pies podgiąwszy ogon umykał co tchu chyłkiem przez żleby i jary. Aż zbiegł na rówień i począł psocić. Chłeptał błoto po drogach, lał męt w strumienie, oszczekiwał wozy jadące, spędzał z pola trzody i pasterzy...

Matka dżdżów i wiatrów stała chwilę niepewna, nasłuchując. Swar synów podniósł się na nowo. Rozłożywszy ręce zarzuciła na głowę chustę szarą, opasała się zawiązawszy końce na plecach, i biedz poczęła zasnuwając jak pająk tło lasów ciemnych oponą promienistych tkanin. Świat zczerniał.

To Chwist schylił się po tarczę, podniósł, pół nieba zasłonił, siekierą po niej tłukł, skry krzesał. I następywały na siebie bohatery, gniotąc lasy pod stopą, wiry strwożonych liści pędząc, świat mrocząc...

Trygław słuchał..... Głowy jego podniosły się na długich szyjach, jak węże wstające na głos piszczałki. W źrenicach sześciorga oczu zwróconych ku sobie, to migały to gasły, jak żar na wietrze, nagłe iskry myśli niespodzianych... Ty? — Co?! — Ty? — Ja...... Zwarły się wargi w pocałunku.

Dźwignął się bóg...

A już też Pochwist wstępował na rąbanisko, cofając się. Skłębił się maliniak, zczerniał, zasrebrzał, jak fala morska. Smreki rzuciły się do ucieczki, rwąc stopy wrosłe w ziemię, rzucając na powietrze beznadziejne ramiona. Bór jęczał. W rozwartych na ścieżaj wierzejach niebios stał Perun, od stóp do głów zakuty w zbroję złotą i ryczał: „Sam tu psiewiary! Sam tu psiewiary!“ Ale głos nieba głuszyły głosy ziemi, — łkanie i rety boru, śmiech Pochwista, jak rżenie tabunów koni gnanych pożarem stepu... A w tę wściekłą muzykę wpadały z dołu wtórem basu łom lasów, miarowy krok i sapanie Chwista, jak sapanie miechów dmących w kuźnie piekielne... Straszliwy drwal następował coraz bliżej, kładąc las przed sobą. Już, już miał wyjść. Pochwist uskoczył, odwinął się i śmignął siekierą. Świecące ostrze przeleciało świszcząc nad rąbaniskiem. Żygnął snop krwi. Głowa złota zaświeciła na kirach chmur i poleciała przez strop niebieski wlokąc włos długi za sobą, jak gwiazda obłędna...

Zatrzasły się wrota niebios. Zcichło. Las skamieniał... Wichry przerażone zapadły w czeluście podziemne i uciekały skomląc. Dygotało tylko serce ziemi.

A już też, śmigając białemi stopami, nadbiegła matka Słota; obejrzała się, załamała ręce nad głową i lamenty swoje rozwiodła.

II.

W uboczy upłazu Trygław przystanął i pojrzał ku dołom.

Pod krawędzią chmur widać było dziedziny drzemiące, nad któremi wisiało niebo niskie i ciężkie. Pojrzał w górę i począł iść znowu, kierując się ku grani, na której leżał ciemny obłok.

Mówiła głowa do głowy:

— Dokąd mię wiedziesz — kierując się w stronę gdzie leży ciemny obłok?

— Wiodęć na śmierć, wiesz o tem.

— Głowę złotą wichry urwały a żyje.

— Milcz. Głowa złota umarła. Lata po nocach gwiazdą obłędną, wiejąc za sobą włos płowy, — skrzepła jak kamienie meteorów. Co noc na łuku swych dróg schodzi niżej nad widnokręgiem; jutro zapadnie w przepaść niewidzialnych przestrzeni.

— Na łuku swych dróg, w przepaści niewidzialnych przestrzeni myśleć będzie nieskończoność i beznadzieję wieczności.

— Skąd wiesz że w urwanej głowie nie zgasła myśl?

— Skąd wiesz że jest przeciwnie?

— Skąd wiesz że nie zgasł ból?

— Skąd wiesz że jest przeciwnie?

— Wiem że nie siedzi tu już na tem ramieniu, kruk złowieszczy i nie będzie sączyć w serce trucizny.

— Głowę złotą wichry urwały, w sercu został jad trucizny.

— Głowę złotą wichry urwały, w sercu została pamięć. Tyś jest źródło pamięci. Dlatego też musisz umrzeć.

Trygław ponaglił kroku.

W powietrzu mrzyła, drżąc wilgotna mraka. Ociekały nią igły kosówki, obmokła darń upłazu chrzęściła śrenią. Mgły rude włóczyły się po zboczach, wisiały nad doliną, spadały

na lasy drąc się na drzewach, leżały pijąc wodę na stawach. Pod ich nizką powałą ziemia przyległa ślepa i głucha. Zrzadka tylko tu i ówdzie, z rozkurzonego obłoku spojrzała czuba wierchu przymżonego śniegiem. Woń mraki i mokrych śniegów dyszała w powietrzu.

Trygław wszedł w chmurę. Tuż nad jego głową zakrążył ćwierkając wróbel halny i zapadł w mgłę.

Grań zasuta złomami skał pięła się zwolna w górę ku niewidzialnym szczytom. Zbocza jej osuwały się w głębie niewiadome, ginąc w sinej ćmie mgieł jak pod wodą. Przed wędrowcem wynurzały się ze ćmy nagle, niespodzianie, skały samotne, posępne, niby olbrzymy idące naprzeciw. Trygław szedł i szedł.

I pytała znowu głowa srebrna: Dokąd mię wiedziesz?

— Wiodęć na śmierć, wiesz o tem.

— Ale gdzie, ale gdzie?

— Patrzę miejsca straconego, któreby ukryło wstyd śmierci.

I szedł dalej — aż stanął. A było to siodło grani, z którego rzucał się żleb dziki i ciemny w przepaść.

Głowa brązowa włożyła w usta zgięty palec i gwizdnęła po trzykroć... Nie odezwało się nic... Nie zacupkał cap wartujący, nie posypał się piarg z pod spłoszonego kierdela. Orzeł nie zaszumiał, świstak nie świsnął... Było tak cicho, że zdało się słyszeć szmer mgły ciągnącej...

— To miejsce jest puste, rzekła głowa brązowa.

Odrzekła głowa srebrna: Co mówisz? Czyli nie widzisz, że miejsce to roi się od stworzeń żywych?... Oto pod nami toń morza. Na jego falach kołyszą się płazy olbrzymie, wyciągając szyje wężowe o głowach podobnych strusim... Spójrz pod nogi. Oto tę rafę koralową, wyłonioną nad poziom wód, obległy ptaki-jaszczury. Suszą na wietrze szare błony swych skrzydeł; zielone łby jaszczurze pokładły na sobie, drzemiąc... Okryły rafę jak pleśń szara. A oto lecą

chmurą drugie, szukając miejsca spoczynku. Śpiące ptaki-jaszczury unoszą głowy, kłapią zębami, szczekają jak psy...

— To gra mgieł wywołuje ci przed oczy widma rzeczy niebyłych.

— Alboż nie wiesz, że niema widm, któreby nie były? Gry mgieł, majaki wód, omam pustyń, zwidy ponocne, sny, przestrachy dzieci, szaleństwa szaleńców, wszystko to są cienie, które z dalekości czasów rzucają rzeczy co minęły. A co dla ciebie jest widmem, to w mojej boskiej pamięci jest żywem i obecnem.

— Upuściłeś ołowiankę pamięci twojej zbyt głęboko i zaryła się w iły prabytu.

— Prabytu? To było wczoraj. Nie!, dzisiaj rano. Nie pamiętam abym spał od tej pory. Oto pod stopą naszą chrzęszczą muszle morskie. Słońce zaledwo miało czas skamienić namuł, w którym zaschły. Oto na tej skale odpoznasz ramiona koralowych krzewów. A tu, patrz, ślad ten wyżłobiły wargi morza, a dziś rosa mgły przywróciła mu świeżość pierwszego pocałunku.

— Wskrzesiłeś życie tajemne tej okolicy samotnej. Miejsce to ożyło. Chodźmy dalej.

Przez granie wyniosłe, przełęcze upadłe, stoki strome i uwieziste, szedł Trygław, nie zniżając się zbyt ku dolinom, by się nie natknąć na stwór żywy. Ale i tu, na tej wyżynie, ścigało go teraz natrętne życie omamem swoim. Zdało mu się że podpatruje go ze skały, podsłuchuje ze mgły. Głowa srebrna milczała; ale myśl jej ryła się wciąż w głębię ziemi, wierciła skałę jak skałotocz, sączyła w serce niepewność. Nieraz potknął się Trygław na zwidzie płazu pełznącego mu przez ścieżkę, nieraz noga omylona uskoczyła w bok, aby nie ukroczyć z kamienia w marę wód przepastnych, pod których mamiącą powierzchnią wiły się plącze korali i czaiły dyszące macki potwornych głowonogów. Wtedy wstrząsał gniewnie barkami, aby obudzić głowę srebrną ze śnisk przed

wieczy i dobyć ją na powierzchnię bytu. Wszakoż zrozumiał, że nie znajdzie już samotni w tej krainie oszołomnej omylnych wapieni i zatęsknił ku pustkom tych wiernych skał, które na zaczyn globu międlił sam stwórca w dłoni swej świętej w pierwszym dniu stworzenia. Wiedział, że nieopodal już poczynał się granitowy trzon Wielkiego Wierchu; poznał go, gdy z rozgonu mgły wychylił się na chwilę czarny łuk grani. Aby tam dojść, trzeba było przekroczyć dolinę, na której rozsiadła się hala, głośna latem głosami trzód i pasterzy. Dziś było cicho; jesień wyżęła trzody do dziedziny, a mokwa trzymała strzelców doma. Trygław uniżał się ostrożnie, rozgarniając mokre gałęzie kosówki. Było cicho; mgły czaiły się zwolna, jak zwierzęta trwożliwe idące o zmroku do wodopoju. Dyszała w ciszy dolin tajemnica. Trygław stąpił niżej. Głowa srebrna rozwarła niespokojnie błędne oczy, spięła się na szyi i nadęła policzki, jak ten, co ma zanurzyć się pod wodę. Spojrzała głowa brązowa i wykrzywiła twarz złym śmiechem. Przez swawolę, nie bacząc już, skoczył Trygław w dół z kamienia na kamień, uwiózł się po piargu i zeszedł na goły upłaz.

A w tem stanął jak wryty...

Wielkie głazy, które widział z góry pod mgłą na hali, ożyły, i poznał w nich stado pasących się wołów. Jedne krocząc w górę skubały trawę, inne mierędzały spokojnie, stojąc lub leżąc. Chciał uciekać. Ale woły już go spostrzegły i zaczęły prychać niespokojnie. Najstarszy z nich pochylił czoła i zbliżał się, nastawiając ogromne rogi. Inne szły za nim zbite w gromadę, ciekawe a niepewne.

— Dobrze tak, myślał Trygław, — niech uderzy. Położę go kopnięciem w brzuch, a potem pobiję i inne; kiedy zaś nadbiegną pasterze z krzykiem i dzwonieniem zbyrkadeł, stępię i ich także i uczynię z tego miejsca pustkę...

Lecz stary wół, zbliżywszy się, podniósł głowę i patrzał pełen dziwu. A odwróciwszy się, oznajmił coś przeciągłym

rykiem swojemu stadu. Woły zaczuły boga i poczęły porykiwać cicho a tkliwie, jak porykuje krowa do cielęcia. A podszedłszy blizko, poklękły.

On stał oblany rumieńcem, pełen wstydu...

Oto stoi przed temi bydlętami ubogiemi, jak koń zgoniony, bokami robiący... Stoi poczwara dwugłowa — ni bóg, ni strach — niepodobny do stworzeń ziemskich... Potężny a niemocny;... bóg-żebrak, — szczwana zwierzyna, — stary niedźwiedź bezzębny, cap okulały, szukający miejsca straconego na umarcie... oto pokłoniły mu się te zwierzęta jako bogu... a głowa złota lata po nocach gwiazdą obłędną, — a głowę srebrną niesie na zatracenie, aby zabić w sobie boga. Zali przystoi mu hołd bogu należny?... Czuł jak gdyby dźwigał na sobie purpurę majestatu podartą na strzępy, a palce jego drżące zgarniały resztki łachmanów, by zakryć niemi wstyd żebraczej nagości.

I stał tak ze spuszczonemi oczyma, nieruchomy jak posągi świątyń, w oparach znoju jak w dymie kadzideł, widny zdala niby słup dymu na watrze zgaszonej, — a woły klęczały modląc się do niego.

Tedy rzekł do nich: Czego żądacie, o woły?

A one rzekły: Żądamy być pobłogosławionemi z ręki twojej, z ręki boga.

— Na cóż was przeżegnam? Toć nie na radość rui i licznego potomstwa, biedne trzebieńce?...

— Nie dla nas radość rui i potomstwa.

— Paszę macie dostatnią i człowiek dba o was.

— Trawa jest dobra.

— Czyżbyście chciały przeciwić się przeznaczeniu? Nie wiecież, że kiedy wygładzą się boki wasze, pójdziecie na rzeź?

— Wiemy o tem.

— Czegoż się więc spodziewacie?

— Niczego się nie spodziewamy. Chcemy być pobłogosławionemi z ręki boga.

— Czyli mniemacie, że po śmierci czeka was żywot drugi?

— Nic nie mniemamy. Chcemy być pobłogosławionemi z ręki boga.

W Trygławie ścisnęło się serce. Skłonił łby smutne na piersi i wyszeptał cicho: Z czyjejże ręki pobłogosławionym będzie bóg? — A podniósłszy dłoń, pobłogosławił woły. One zaś wyciągnąwszy szyje, patrzały za odchodzącym miłośnie, aż zniknął we mgle.

Wtedy dopiero, kiedy stracił je z oczu, porwał się Trygław i biedz począł co sił, póki nie poczuł pod stopą skały macierzystej, skały wiernej, twardej jak stal i jak stal jałowej. Tu odetchnął. A potem jął wstępować po ciemnych krzesanicach Wielkiego Wierchu.....

. . . .

Godziny mijały, a on szedł wciąż, pnąc się w górę, pod mrokiem mgieł smutnych i ciężkich, leżących na turniach i przepaściach. Raz tylko, na chwilę, odemknęły się mgły i ukazały zjawę cudowną: na płacie bladego błękitu śmigły szczyt Wielkiego Wierchu, grot srebrny strzelony w niebo, śnieżny, wyniosły, samotny, jak myśl wysoka, wspięta w wiecznej, obojętnej, mroźnej pogodzie nad pomrok, troskę i zamęt... A potem znów mgły ślepe i smutne, świat w śnisku ciężkiem, dech zdławiony dyszących przepaści, skał widma, ścieg nikły perci straconej...

Już też dojmować zaczęło zimno stref wysokich. Mgła dymiąca z dołu krzepła w śnieg, a śnieg oblatywał ciemne czoła turni jak rój myśli niespokojnych, bezsennych... Podnosić się jęły wiatry wyżynne. Zrazu ględziły tylko cicho u stóp wędrowca, niby sumienie skał, — potem biedz zaczęły pogwizdy po zębach i wyrwach grani... Wreszcie w nagłych, niespodzianych porywach, wezbrana fala wichru wbiegała z lamentem płaczek, rwących włosy, szarpiących piersi, i zapadała z jękiem w przepaście. Albo znów darła się w wyrwy i za-

łomy z psów skowytem i świstem biczów, smagając śnieg do tańca.

Tedy ozwała się głowa srebrna, wołając, aby przekrzyczeć wiatr: — Dokąd mię wiedziesz?!

— Mów głośniej — wołała głowa brązowa, — nie słyszę cię w szturmie wichrów.

— Dosyć, dosyć! — wołała głowa srebrna głosem trąby, jaką opowiadają się we mgłach zgubione okręty; — śnieg mię ślepi, wiatr dławi, — chcę spocząć!, chcę spocząć! — A w ciasnych żlebach i stromych kominach wiatr łopotał głucho, jak w czeluściach starych, opuszczonych dzwonnic ślepe sowy wypłoszone blaskiem łuczywa.

— Ha! ha! zbudziło cię niebyłku! — chichotała głowa brązowa; — Wicher uczy cię śpiewać. Masz piękny głos, — rycz dalej!

Ale już wnet, owinąwszy grań, Trygław uniżył się kęs po zboczu i zeszedł w ciszynę.

Była dolina jako podół góry, ogromny lej skalny zasuty złomami głazów. Po zboczach siedziały turnie posępne. Mąciła kurniawa. Poprzez mątwę majaczył na dnie staw ciemny, jak łacha skrzepłej krwi.

Rzekła głowa brązowa: Zapuść na tem miejscu sondę pamięci twojej na sto tysięcy lat w głąb... Co widzisz?

Rzekła głowa srebrna: Widzę lej skalny zasuty złomami głazów. Zbocza obsiadły posępne turnie... na dnie majaczy staw ciemny, jak łacha zakrzepłej krwi...

Rzekła głowa brązowa: Zejdź jeszcze głębiej drugie lat sto tysięcy... Co widzisz?

Rzekła głowa srebrna:... Lej skalny... skały posępne... staw... czarny jak krew...

Rzekła głowa brązowa: Tu jest ojczyzna twoja. Tu kres.

Rzekła głowa srebrna: Pozwól że zstąpię jeszcze głębiej.

Ale głowa brązowa rzekła: Nie. Nie kuś duchów czasu. Dwieście tysięcy lat milczenia — to dosyć. Jest dość cicho. —

Tu podstąpiwszy pod jedną z turni, począł Trygław obmacywać jej boki.

— Dlaczego macasz tę turnię? — spytała głowa srebrna.

— Próbuję czy wytrzyma twój cios.

— Mój cios?

— Tak. Jest mocna. Spodki jej legły na fundamentach globu... Teraz odstąpim na kroków dwadzieścia i udepczem ścieżkę na piargu... Dobrze... A teraz pochyl szyję jak czyni trykający się baran; nastaw czoło — a ja poniosę cię pędem nóg na śmierć.

Zachrzęściał szybkiemi krokami piarg; — bóg runął o skałę; — szczeknęło krótkie echo... — „Kto tam?“ — ozwał się głos z pod ziemi. To zbudził się Dziadoń, duch skalnych pustaci. — Trygław podniósł się i nasłuchiwał. Ucichło. „Jeszcze raz“, szepnął. Zachrzęściły szybkie kroki po piargu. Durkło. Zatrzęsła się turnia. „Kto tam?“ — ozwał się znów głos podziemny.

— Milcz psie ścierwo, kiprze piekielny! Jam jest Trygław, bóg, — robię co chcę, a tobie zasię!

Opodal na stoku wypełzły z piargu dwie gały oczu i obracały źrenicami, jak oczy olbrzymiego kraba zarytego w piasku nadmorskim.

— Tuś mi?! — krzyknął Trygław, — nie widziałeś mię? — przypatrz mi się! — i wypiął zad na niego; — a odwinąwszy się cisnął kamieniem. Oczy wsiąkły w piarg.

Teraz głowa srebrna obróciła bladą twarz ku towarzyszce. Czoło jej opasywała wstążka krwi: — Nie mogę już, — szepnęła... Głowa brązowa zgrzytnęła zębami. Dłoń potężna chwyciła za srebrne kudły. Grzmotła o turnię raz, drugi, — druga przywarła z góry ostrym kamieniem. Szczękał pogłos straszliwego kowadła. Rozdarł się krzyk urwany, przeraźliwy, jak kwik źrebca troczonego przez wilki. Głowa rozbita runęła tocząc się po zboczy... Ruszył się piarg. Grad kamieni hucząc i skacząc pogrzmiał dołu i chlusnął w staw.

Rozszedł się zapach rozbitych głazów. Ścichło. Na ramieniu boga prężyła się i wiła szyja bezgłowa, jak glista przecięta łopatą ogrodnika...

W leju skalnym mąciła kurniawa,... górą przez grań gwizdała fujawica. Boga zdjął strach. Pierwszy raz uczuł się sam... Pustka, — ni skąd — ni dokąd... Zgięły się pod nim kolana, ukląkł, sparł się na łokciu, a ująwszy dłonią, miotający się kikut, okrwawiony koniec wraził w śnieg...

A zamieć dęła coraz mocniej, osypując śniegiem dyszące ciało boga.

III.

Trygław wybiegł na urwisko nadmorskie. Pojrzał przed siebie w oddal migotliwej zieleni, — pojrzał pod siebie w kocioł skalny, gdzie w cieniu i chłodzie drzemały boginki fal czekając na przypływ wieczorny i przeciąg wiatrów zachodu.

Po obeschłym brzegu chodził Klituś-Bajduś, chłopię sietniawe, bęś boginki Luli, którą śpiącą kiedyś pod skrzelą skały oskoczył Powicher. Klituś-Bajduś taplał się na krzywych nogach po wodzie przybrzeżnej, mamrotał coś do siebie, kreślił patykiem bruzdy na mokrym piasku, przesypywał żwir i drobne muszle, lub straszył małe pająki morskie, które uciekały przed nim biegnąc to przodem, to tyłem, to bokiem. Na wodzie drzemała matka Lula, kołysząc pierś miarowym oddechem a senną dłonią popychając ku brzegowi fałki drobne, dla zabawy synka...

Trygław patrzał, nachyliwszy się cicho, by nie płoszyć chłopięcia. Ale już w kotle zaczęły się jedna po drugiej budzić i przeciągać boginki. Lula ocknęła się i zakołysała powierzchnią wód; Kotula pchnęła falę ku brzegowi. Klituś-Bajduś chciał uskoczyć, potknął się, siadł w mokry piasek i zaczął płakać. Woda wparła się pod zwisające ocapy skał: za-

bełkotały Cmokwa i Łykwa. Wtedy boginki wyzierać poczęły przez bramę skalną ku morzu, gdzie poczynał się przypływ. Wspięły się w górę Biała i Czarna, spojrzały — i zawróciły w kocioł oznajmiając nadejście Pani... A ona biegła morzem, podnosząc się i zniżając, coraz bliżej, grożąc czarnem łonem, jeżąc spienioną grzywę... Przed nią biegła Wytoczna, wbiegła w kocioł, kinęła w prawo i lewo. Rozstąpiły się boginki. Obieżna i Smyźna zatoczyły krąg czepiając się skał białemi dłońmi. Pani stanęła u bramy; spięła się, wparła;... ryknęły Krzykwa i Szczekwa; — a ona runęła w kocioł zalewając go topielą. Boginki rozbiegły się; skoczna i Wyskoczna rzuciły piany swoje ponad wierzchołki skał... a topiel jak wezbrała tak opadła. Pani cofnęła się; zakołysał się dół czarny po niej;... wpadły weń Kręćwa i Pienna. Wrotna i Uwrotna zachrzęściły żwirem, — a potem zbiegły się wszystkie razem i jęły pląsać, wygładzając powierzchnię wód.

Teraz Trygław nachylił się nad kotłem i zawołał w złożone dłonie: Hej fale, słuchajcie!

— Ktoś jest? Ktoś jest? — zapytały fale.

— Jam jest Trygław bóg.

Fale odpowiedziały: Łżesz! łżesz! — Tyś Trygław bóg? Trygław bóg?!... ha, ha! och, och! — ha, ha! och.

— Na Peruna — jam Trygław bóg!

— Łżesz! łżesz! — maszli głów trzy? — głów trzy? — głów trzy?!

— Po trzykroć — jam Trygław bóg!

— Łżesz! łżesz!

Trygław rozpiął koszulę i opuścił ją z ramion. Hej fale! — zawołał, — spójrzcie na mnie! Czyliż nie jestem jako jabłoń obłamana pod ciężarem owocu? Oto na mem ramieniu lewem widno jeszcze trzpień odpadłej gałęzi; — oto na mem ramieniu prawem złamana rosocha sączy jeszcze sok czerwony... Tu rosły moje jabłka. Jabłka złote i srebrne... Jam Trygław bóg — jam Trygław bóg...

— Gdzieś zbył głów? — gdzieś zbył głów?

— Gdziem zbył głów?... Gdziem zbył głów?... Wiele gadać... wiele gadać... Powieść cała... cała powieść;... nie pora... nie pora... Z dalekiej idę drogi... z dalekiej drogi... haj!... Urobione me ręce — uchodzone me nogi... haj! — Jak było? A jak być miało?! — Hej! co się działo — nie działo...

— Mów — mów! — zkąd idziesz — zkąd? — coś widział — co? — jak było? — jak? Mów — mów!

— Zkąd idę? — zkąd?... z daleka... siódma ztąd góra — dziewiąta rzeka... haj!... Zkąd idę? co? nie wiecie? — hyr idzie — bajda się plecie... nie wierzcie głupim powieściom... Zkąd idę? mówiłżem już? nie? — Z wojny wracam, — wracam z wojny... haj! ...Złych olbrzymów ród — zagroził bogom;... jako żywię! — Czernobog sam!... Starli się — zwarli się — grzmot — łom!... Szaleje bór... dygocą trzewia gór... Haj! — Rosła jabłoń — wichry jabłoń otrząsły... liść suchy wieje... o ziem stukają jabłka... Cóż jeszcze... Trzebaż gadać?... grad dudni... mąci kurniawa... dygocą trzewia gór... Z wojny wracam! Nie wierzy kto?! — O! — a te kikuty szyj?!... Wietrze dmij!... falo grzmij!... omyjcie, otrzyjcie, rany moje, oczy moje — kikuty moich szyj! — Wracam z wojny... haj!... Gdzie?... Ze skalnych gór — gdzie w wiecznej ciszy staw dyszy... martwy staw;... patrzy blachmanem ócz... Zkąd? — z krainy tucz... z krainy mgieł i chmur... Och! — Z dalekich wracam dróg... Z mgły woła głos... gwiazd błędnych wieje włos... O gwiazdy obłędne! — O martwe stawów źrenice! Z wojny wracam — z dalekich dróg... Ja — bóg! Jam Trygław bóg!

Mówił a fale słuchały wspięte, podniósłszy głowy. Gdy skończył jęły między sobą szeptać a radzić. Aż rzekły tak: Jest Słowo — jest Słowo — które zna — jeno bóg... Jeśliś bóg — mów! — Jeśliś bóg — mów!... Zali wiesz? — — Jak jest zwan — On, — który był — nim był Byt? —

który był — nim był Byt?... On! — Mów — jeśliś bóg — mów — zali wiesz?...

— Wiem, rzekł Trygław. Fale szumiały: Rzecz, co wiesz...

Lecz on milczał. Na otwartych jego ustach zakrzepł głos. Stał pochylony nad czeluścią, grzbiet mu drżał, twarz płonęła. Zdało się że trzęsie nim dźwięk straszliwego imienia, nim z warg upadnie...

— I cóż? I cóż? — pytały fale.

A on czuł jak owo imię podnosi mu się ku gardłu, jak jego rytm znajomy rozpiera mu pierś, niby głos gromu rozpierający się na echach skał, niby rytm spadku rzek ogromnych lejących się w przepaście... Ale daremnie siliła się myśl odnaleźć brzmienia dźwięków. Daremnie napięła słuch, jakby czekając podszeptu z przestrzeni. Na błony uszu doleciało tylko dzwonienie cisz zaświatnych...

Bóg podniósł rękę do czoła a myśl jego szepnęła: Wiem już gdzie cię szukać, o Imię!... Jest muszla srebrna na dnie martwych stawów... tam, pod Wielkim Wierchem... Tam szumisz w niej... Przepadło!... nie przypomnę... Zagasło we mnie hasło bogów;... nie poznają mię, nie przyznają;... ostałem sam...

— I cóż? i cóż? nagliły fale.

Trygław rzekł: Zali nie wiecie o fale, że Imię święte powierzone jest bogom pod siedmiokrotną pieczęcią tajemnicy?... przeto niepewne jest serce moje, czyli mam prawo podać je uszom wód...

— My boginie! — my boginie! — krzyknęły fale; — my pierwszy byt! — pierwszy głos!, — pierwszy ruch! — Z nas wyszedł byt, — wyszedł bytu bóg — Jesse — widzialny bóg... A wprzód co? — Nic. — A wprzód kto? — Nikt... Jedno On — a huk mórz! — On — a huk mórz! — Przeto mów — przeto mów! — Jeśliś bóg — mów!

— Powiem... rzekł Trygław. Tu legł na skale i zwiesił

łeb nad czeluścią... Wybiegły Skoczna i Wyskoczna — okręciły się, rozgoniły, odbiły;... skoczyły, wyskoczyły — na skałę, nad skałę — i chwyciły w skoku Słowo z ust boga.

— Co?! — co?! — zawołały i opadły.

— Powtórz! Powtórz! — zadudniła toń. Wody rozkołysały się i wyrzuciły znów w górę; — zarzuciły ramiona na szyję boga, by odebrać odeń Słowo; — ale nie wytrwały i lunęły w dół. — Co? co? — zaszemrało po skale.

Teraz zawrzały i zmąciły się gniewne wody. Jeszcze raz! — jeszcze raz! — zasyczały.

Toń wzdęła się, zachybotała, podniosła. Na niej, jak na tarczy, wspięły się Zwyrtna i Smyżna; przylgnęły do skał, wybiegły, — przywarły... a potem odpadły od ust boga... A!... a!

Toń opadła. Fale zapieniły się, zaszeptały, podając sobie Słowo tajemne... Jestli to? — Jestli nie to? — Któraż wie? — Nie wie nikt. — Długo chwiała się toń zaszeptana... Szmerna i Obieżna krążyły kołem pytając: Która wie? — Nie wie nikt. — Wreszcie rada ustała. Boginki rozstąpiły się kręgiem, czekając na coś, co będzie. Ciekwa i Mokwa uwisły ciekawe na błyszczących ścianach skał... Na pośród kręgu wyszły Klękwa i Jękwa i wybiły kolanami wielki czarny wądół. W ziejącą czeluść weszły, trzymając się za ręce, Głębna i Mroczna... Kocioł zaległa cisza. — W tem zamigotało w czeluści... Głębna i Mroczna wyszły zwolna, prowadząc pod ramiona najstarszą z boginek morza, Cichą. Szła, a za nią wlokły się pasma srebrnych włosów. Odstąpiły Głębna i Mroczna; wądół zamknął się pod niemi; a Cicha stała na powierzchni nieruchomych wód, obróciwszy białka oślepłych oczu na wschodzący księżyc... Przybiegły ku niej na cichych stopach Zwyrtna i Smyżna i szepnęły jej w uszy Słowo tajemne. Ona położyła białe, drżące palce na obrusie wodnym, i milczała, patrząc w księżyc... Raz jeszcze nachyliły się boginki do jej uszu. Mocniej zadrżały jej palce, — skinęła głową przecząco.

Boginki nastawały jeszcze i pochyliły się ku jej bladym ustom by usłyszeć odpowiedź. Było tak cicho że słychać było krople spadające ze skał obmokłych. Cicha otwarła wreszcie usta i szepnęła: — Nie pomnę. — Otwarł się ciemny wądoł, zbliżyły się Głębna i Mroczna, i wszystkie trzy zapadły pod wodę...

Ruszyły się fale i jęły szemrać a szeptać: Nie wie nikt — nie wie nikt; — wstyd! — Rzekł Słowo — rzekł Słowo — któż wie? — Onoż to, albo nie? Tak — nie, tak — nie... Wstyd. — Łże — nie łże, — łże — nie łże?... Spytajmy czego chce...

Podniósłszy w górę białe ramiona rzekły fale: My, fale — córki mórz, — pytamy cię, czego chcesz?; — mów! — Czego chcesz? — mów!

Rzekł Trygław: Hej fale! słuchajcie... Z wojny wracam... wracam z wojny... Ręce moje ukrwawione — giezło moje uznojone... Upierzcie mi giezło!

Daj sam tu — daj sam tu! — zadudniły fale.

Trygław podniósł ramiona, zoblókł z siebie giezło i rzucił w dół. Spłynęło po ścianie skały jak płachta mgły... Skoczyły Skoczna i Wyskoczna, — chwyciły w lot — cisły w wodę. Zakotłowało. Na białe giezło rzuciły się Kręćwa i Pienna, przypadły Żmiąca i Wrąca; jęły rząć, prać, rwać. Pozazdrościły inne, — zbiegły się — skłóciły — stłoczyły. Stał się ścisk, war, mąt. Podkradły się Zwyrtna i Smyżna, chwyciły za giezło i jęły uciekać. Rozpłakała się Płaczka, zachichotała Śmieszka, — łajać jęły Kłótwa i Brzechwa. Inne pomknęły w pogoń. Skoczyły Skoczna i Wyskoczna, — skinęły na wiatry... Przypadł Powicher, spadł w środek kotła, rozbił, zakłębił, i odrzucił fale na skały... Krzyknęły Krzykwa i Szczekwa. Odrzucone fale runęły w wądół wybrany przez wiatr. Przysiadły Powichra, lały mu wodę w gardło, gniotły, topiły... On się rwał, wierzgał, ryczał, śmiał się;... łajały i śmiały się fale. Nad zgiełk i war skomlał kędyś płacz

dziecka. To płakał ze strachu Klituś-Bajduś. Huśtała go i tuliła matka Lula: no — no,... no — no!... Na dalekość mórz i lądów głosiły się, powstawszy, dmąc w surmy, Wyja i Psia-Szyja.

Trygław stał na skale nagi i drżący, czerniąc się a srebrząc w księżycu, jak cień buka odartego przez wichry z gałęzi i liści. W kotle cichło. Powicher uciekł. Skoczna i Wyskoczna chwyciły wyrzęte giezło, wiały nim chwilę na wietrze i wyrzuciły na skałę. Zachodzący księżyc nie dosięgał już dna ciemnej czeluści; rozbłyskały tylko w jego srebrze tu i ówdzie piany skaczących fal. Wreszcie opadały piany coraz niżej na obrus wód, gasły, mierzchły... Na toni zataczały kręgi Mątwa i Kręćwa; tam i sam chodziła Porżycha.

W tem znowu ozwały się fale:

— My fale, córki mórz, pytamy cię czego chcesz?; — mów!; — czego chcesz? — mów!

Trygław rzekł: Hej fale, słuchajcie! Z wojny wracam — wracam z wojny... Ręce moje ukrwawione — nogi moje uchodzone,... umyjcie mi ręce, nogi.

— Chodź sam tu — chodź sam tu! — zadudniły fale.

Trygław dzierżąc się ścian oślizłych, spuścił się stromą rozłupą turni kęs dołu i usiadł w krześle skalnem bliżej powierzchni wód... Przybieżały Płukwa i Chlupwa i myły mu ręce, nogi... W kotle było już ciemno. Szeptały tylko jeszcze Sykwa i Szmerna; pod ocapem skał załopotały ówdzie Cmokwa i Łykwa. Z podwodnej jamy wyszła cicho wstydliwa Lizawa, bojąca się śmiechu sióstr, — i jęła lizać zielone glony skał...

Raz jeszcze ozwały się fale sennie i cicho: My fale, córki mórz, pytamy cię, czego chcesz — mów!, czego chcesz — mów!

Głosem cichym i sennym szeptał Trygław: Hej fale, słuchajcie! Z wojny wracam — wracam z wojny... Dusza moja zasmucona — głowa moja utrapiona... Utulcie mię do snu...

Wtedy Lula poczęła lekko kołysać ciemną tonią i nucić cichą kołysankę wód: lu-lu, lu-lu...

Trygław usnął. Od świtania poczęło szarzeć niebo...

IV.

Idąc lasem bukowym wyszedł Trygław na leśną polankę. Tu stał domek schludny a na bieli ścian czerwieniły się w opłotkach wysokie malwy i gorzały słoneczniki. — Na polance pasła się koza uwiązana u kołka. Zaczuwszy boga zbliżyła się w kornej postawie.

— Wszak tu mieszka pustelnik Bożywój?

— Tak, panie, — tak beczą nań ludzie.

— Jestże on tak mądry jak hyr idzie?

— Tego niewiem, panie. Dla mnie jest głupi bo nie je trawy.

— A miarkujesz li po nim że znalazł szczęście? — bo tak głoszą.

— Tak myślę, panie. Ma ciepłą stajnię i mnie kozę; czegóż może potrzebować trzeciego?

— Ja tego niewiem, rzekł Trygław, i właśnie przyszedłem go o to zapytać.

Koza zamyśliła się: — Myślę że to będą słodkie ziarna słonecznika, których mnie wzbrania.

— Może to być. Ale idź i powiedz mu, że przyszedłem i chcę z nim mówić. Boję się bowiem, że gdyby mię ujrzał niespodzianie, ucieknie. Tak bowiem zwykli czynić ludzie.

— Czyliż zapomniałeś panie, że człowiek jest nietylko trwożliwy, bo się boi bogów, czego nie czynią zwierzęta, ale też i głupi, bo nie rozumie mowy zwierząt? Ale spuść mię z kołka a ja ci go tu nagonię. Nie pokazuj mu się tylko odrazu.

Trygław skrył się za krzaki a koza, przeskoczywszy opłotki, wspięła się do kwiatu słonecznika.

— Pójdziesz dyable! — a kysz! a kysz! — odezwał się głos z chaty, i we drzwiach ukazał się Bożywój, z księgą pod pachą, i jął odpędzać kozę. Ona jednak, drocząc się z nim, biegła w podskokach, wiodąc go ku miejscu gdzie ukryty stał bóg.

Teraz odezwał się Trygław szeptem cichym i słodkim, jak szelest liści: Poniechaj kozy a zbliż się tu, dobry człowieku! Nie bój się; jam jest bóg łaskawy któryć nie uczynię nic złego.

— Kto mię woła? — zapytał zdziwiony Bożywój; — czyliż w istocie bóg jaki przyszedł nawiedzić chatę mędrca?

Trygław ukazał twarz z krzaków. Ale pod mędrcem zadrżały łydki i podkasawszy długą suknię jął uciekać. Zabiegła mu drogę koza. Ośmielona obecnością boga nastawiła rogi i szturkła go w brzuch, raz i drugi. Rad nierad musiał zawrócić. Już też i Trygław wyszedł z gąszczu, a trzymając na przychylonej dłoni wielki szafir, podchodził zwolna, jak pasterz wabiący garścią soli płochliwe cielę.

— Kto jesteś, straszna poczwaro? — zapytał Bożywój głosem drżącym, zasłaniając się z tyłu dłonią od uderzeń kozy, a niepewne oczy obracając to na twarz boga, to na błyszczący kamień czarnoksiężki.

— Jam jest bóg Bezhław, któryć nie uczynię nic złego.

— Z którego rzędu i z której gromady bogów pochodzisz? — zapytał już ośmielony Bożywój — a chwyciwszy nagłym ruchem za szafir, schował go w zanadrze.

— Nie wiem o co pytasz, rzekł Trygław. Bożywój uraził się.

— Alboż nie czytałeś ksiąg dziewięcioro Bożywoja: „o naturze bogów i o tem, czego nikt nie wie“?

Trygław uśmiechnął się. Nie wiesz li, że bogowie są niepiśmienni? — rzekł. Bożywój rozwarł szeroko usta i oczy. Nie myślałem o tem, — wyjąkał; — będzie to przedmiotem dziesiątej księgi. Ale teraz rozumiem; pewnieś nawiedził, pa-

nie, dom mędrca, aby zapisał prawdę twoją dla ludzi. Mów przeto, a ja będę pisał; ty położysz tylko na piśmie znak twojej ręki, na świadectwo. Tu Bożywój usiadł na ziemi, położył na kolanach rozwartą księgę i ujął pióro tkwiące w małej tykwie, wiszącej mu u pasa.

Ale bóg sprzeciwił się. Znak ręki mojej położę na czemkolwiek zechcesz, jeślić to miło, — tu położył palec na księdze i przedziurawił ją na wylot; z kart poszedł dym, jak pod dotknięciem żaru, — ale nie przyszedłem uczyć, jeno uczyć się od ciebie. Powiadają, żeś posiadł mądrość ludzką. Chcę poznać tajemnicę szczęścia ludzkiego.

Bożywój zerwał się; księga i pióro upadły na ziemię. Jak mógł szybko wygramolił się na wielki kamień, leżący obok, a stanąwszy na nim rozpostarł ręce i zaczął wołać, jak kogut piejący na wschód słońca: Świecie, świecie! słuchaj świecie! Oto bóg przyszedł do chaty mędrca, aby podziwić się mądrości jego. Świecie, świecie! Przyszedł bóg, jako jeleń przychodzi do krynicy aby napić się wody. Świecie, świecie! słuchaj świecie! — Tu, skiełznąwszy się po kamieniu na trawnik, począł Bożywój chodzić tam i sam, mrucząc coś do siebie, chwiejąc głową, aż urytmiły mu się samochcąc ruch i mowa; wziął się w pas, przechylił głowę, jął podskakiwać na jednej nodze a przytupywać drugą, jak cietrzew w tańcu, — a pohutnywał sobie: „aśta drum — aśta drum!"

Aż tu, kiedy podniósł głowę, patrzy, a tu bóg wpatrzony w niego trzyma się pod boki, przydeptuje jak cietrzew w tańcu a pohutnywa sobie pocichu: „aśta drum — aśta drum!"

— Co czynisz, panie? — zawołał Bożywój łapiąc się za brzuch od śmiechu.

— Mniemałem, że uczysz mię gestu szczęścia, i starałem się czynić, co ty czynisz.

— Może to być, może to być, rzekł Bożywój. Jest bowiem radość, która zstępuje z serca do nóg, i jest taka,

która wstępuje z nóg do serca. Ale teraz usiądźmy, abym cię mógł nauczyć, o co pytasz.

Usiadł tedy Trygław na trawie, a Bożywój usadził się naprzeciw na wysokim kamieniu, aby być bliżej twarzy boga, i jęli tak uradzać:

— Wszak powiedziałeś panie, że chcesz poznać istotę szczęścia?

— Powiedziałem, że chcę poznać szczęście ludzkie. Cóż ty bowiem możesz wiedzieć o szczęściu bogów? Jest ono tak wielkie, że człowiek ani go pojąć, ani nawet nazwać nie zdoła. Ucz więc, czego uczyć możesz.

— Jakby do tego przyszło, możebym wydołał czemuś więcej. Na dowód napiszę o tem księgę jedenastą. Ale teraz ograniczę się, jakeś rozkazał. — Imprimis distinguendum est: chcesz li poznać to, co ludzie mienią być szczęściem, albo li to, co szczęściem jest naprawdę?

— Miałożby miano nie odpowiadać rzeczy? Możeż to być, aby ludzie nadając czemuś miano, nie nazwali tego właśnie — ale coś, co tem nie jest?

— Ludzie nadają miano pozorom rzeczy, bo istota zamkniętą jest dla głupich.

— Skoro nadają miano temu co nazywasz pozorem, to pozór musi być dla nich istotą. Alboż głupi nie mogą być szczęśliwymi?

— Szczęście głupich jest omamem, a zatem niczem.

— Nie oszukuj mię oszustwem metafizyki. Mów do mnie uczciwie, jak do swojej kozy. Tak bowiem mówi się do bogów.

— Mirabile est. Napiszę o tem księgę dwunastą. Ale skoro ciekawi cię szczęście głupców, przeto słuchaj: primo: dobrem najcenniejszem, za którem gonią ludzie bez pamięci i oddają zań wszystko inne, jest potęga i sława. Wieszli co o tem?

— Powiedziano mi, że ludzie najszczęśliwsi na świecie

są króle. Postanowiłem spróbować tego szczęścia; zostałem królem.

— Jakże to było?

— Oto tak... Sto mil stąd było ongi państwo króla Popiela. Władca to był potężny, sławny, dufny, — wynosił się że szczęściu jego nikt nie sprosta. Ziemie wszystkie na okół poddanemi sobie uczynił, krom ziemi króla Ziemowita. To jedno go bodło. Wysłał przeto posły z wyzwaniem: ty, albo ja, — dwóch nas na świecie za dużo. Ale by się krew ludu próżno nie lała, niech staną do walki sami wodzowie; dwunastu przeciw dwunastu. Kto w trzechkrotnem spotkaniu ulegnie, ten postrada królestwo, a sam, z powrozem na szyi, odda się w ręce zwycięzcy. Ziemowit, pewny ramienia swych rycerzy przyjął wyzwanie. Ale nie wiedział niebaczny, że przyłbice Popielowych wojów kryły nie ludzi, lecz czartów. Niegdyś, w ostępie dzikim, nalazł był Popiel pomiot czarci ostawiony przez maciorę, gdy przed wschodem słońca znagła kur zapiał, którego Popiel zwykł był wozić z sobą na łowy. Czarcięta chowano w puszczy pod strażą czarownika, w klatce żelaznej, na której węgłach położono znak niespodziany boga trygławego, który czarty odpędza. Darmo dyablica chodziła co noc po swe młode, wyjąc w puszczy i wykrocąc drzewa. Na wilczem mleku chowane czarcięta w lat parę urosły i zaprawione były w rycerskie rzemiosło. Takich to wojów dwunastu posłał Popiel na turniej. Raz się starli, a legli wszyscy Ziemowitowi rycerze. Nazajutrz nikt się stanąć przeciw zwycięzcom nie ważył. Wyszli na harc i na śmierć sami królewicze... Lament poszedł po kraju. Starce padali na miecze własne, mężowie zabijali kobiety i dzieci, by nie szły w niewolę. Młodzieńce tylko kupili się, grożąc że nie dotrzymają królewskiego zakładu. Ale lud bezwodzy niezdolen był stawić oporu. Ziemowit chciał słowa dotrzymać, mniemając że tem ułagodzi dla ludu zwycięzcę. Bosy, z powrozem na szyi, czekał trzeciego ranka — ślepy; by nie widzieć własnej hańby

trzonem sztyletu wyłupił sobie oczy z głowy... błysnął świt. Ozwały się surmy bojowe czartów dwunastu. Dwakroć już otrąbiły wyzwanie. Lud struchlał w ciszy śmiertelnej... A w tem, z pod ściany boru, ozwała się surma straszniejsza: zaryczała pierś boga. Jam to stanął za lud Ziemowitowy. Upadł na twarz, martwy, czarci pomiot. Jodłą wyrwaną z korzeniem wymiotłem boisko rycerskie, jako gospodarz wymiata izbę wiechą choiny. Popiel uciekł w popłochu z orszakiem; ale umowy nie dotrzymał i wrócił z wojskiem, by ujarzmić lud bezwodzy. Jam odwrócił koryta rzek, a zawaliwszy skałami wąwozy, wytopiłem stutysięczne wojsko Popielowe. Potem udeptałem na tłok jałowy ziemię zbójeckiego królestwa i posiałem solą... — Pamiętam... te hymny radosne... dzwonów gwałt... pokłony sztandarów. Lud całował stopy moje, gdym stanął, zbawca, na rynku królewskiego grodu, opowiedziawszy się jako olbrzym Wyrwidąb. Ziemowit, błogosławiąc mi, skonał, oddając mi królestwo. — Sławne na świecie były czasy króla Wyrwidęba. Ludym okoliczne shołdował, a gdziem dziś wkroczył jako straszliwy zwycięzca, wychodziłem nazajutrz żegnany łzami i błogosławieństwem, jako ojciec i opiekun. Królestwo kwitło i rosło; o dwa morza się rozparło, zwycięzkie, możne, szczęśliwe, praworządne. Imię moje było na ustach wszystkich; stawiano mi świątynie, wznoszono posągi... A serce moje milczało.... Aż przyszła noc, w której, po obiegu lat, powraca na niebo gwiazda obłędna, zwana u ludu „głową złotą“. Wiesz, że noce takie są najciemniejsze ze wszystkich; wichry w nich wyją, ziemia się trzęsie... Pogasiwszy ognie w domach swoich, ludzie leżą na łożach bezsennych, spotniali, słuchając trzeszczenia wiązań dachów... Takiej to nocy burzliwej uciekłem z mojego królestwa.....

— I nigdyż nie uczułeś panie, nic, gdy ludy mnogie oddawały ci cześć i miłość, gdy świat cały brzmiał twoją sławą?

— Mniej, niżbyś uczuł ty, gdyby ci się wszy twoje, powstawszy, w pas kłaniały.

— Toć panie, skoro tak, nie trza ci mówić i o drugiej złudzie ludzkiego szczęścia, boś ją sam poznał — o bogactwie.

— Ceną bogactwa jest niedostatek u drzwi stojący. Obfitość, która niezna ubytku, nie gromadzi zasobów. Skrzynie bogów są puste; trzeba im czego, wiedzą gdzie, idą i biorą.

— A jednak figi suszone we wiankach, które przywożą kupcy ze stron dalekich na targi, są słodkie i pomagają trawieniu — jeśli je kupić można... Bogactwo przecież przynosi szczęście nietylko przez użycie, ale i przez to, że możemy dobrze czynić innym. Czyliż panie, dobrodziejstwa twoje nie przyniosły ci nigdy radości?

— Dobrodziejstwo raduje przez to, że dający odbiera sobie wielokrotnie cenę daru w uczuciu własnej wartości; ale o wartości tej stanowi ofiara, a ofiara jest tam tylko, gdzie jest ubytek. Bogowie nie znają ubytku ni ofiary, czy dają garść złota, czy garść piasku.

— Skoro tak mówisz panie, musi tak być. Wszakże jest to tylko jedna strona sprawy. Radość dobroczyńcy idzie nietylko z ręki dającej, ale jest odbiciem radości obdarowanego.

— Możeszli zbudować szczęście twoje na radości, którą czynisz mrówkom? Zatem chodź i wtykaj w mrowiska zdechłe krety. Jeśli to odniesiesz do dobrodziejstw bogów, powiedziałem i tak za wiele.

— Widzę panie, że wielkość twoja i możność jest przeszkodą, abyś mógł zaznać szczęścia przykrojonego na małą miarę ludzką. Ale zda mi się że jest jedno źródło, z którego mogą pić i bogowie. Mówię o miłości. Wieszli panie co o tem?

— I jam tak wierzył, i niebyło nic, czegobym bardziej zawidził człowiekowi. A przecież...

— Dlaczego panie umilkłeś?

— Naszły mię wspomnienia rzeczy minionych... Chciałem rzec, że i w tem oszukany jestem przez to, iżem nad miarę człowieczą urobiony.

— Rozumiem; impedimentum magnitudinis. Wierzę że dla urody twojej lepiejby się przygodziła boginka jaka, niż nikła ziemianka.

— I cóż ty wiedzieć możesz o boginkach? Mówiłem ci, żem cię nie przyszedł pytać o szczęście bogów, które jest niezmierzone i niepojęte, ale o szczęście ludzi.

— Powiadają, że u Hyperborejów najduje się ród olbrzymów; tamby się znaleźć miała dziewka dla ciebie.

— Byłem i u Hyperborejów...

— Jakże to było, — opowiedz.

— Było tak. Zładziwszy tramy ogromne związałem tratwę i stanąłem na niej sam za maszt, trzymając w rękach płótno żagla, uwiązane końcem u pasa. Przez dni czterdzieści niósł mię prędki wiatr pod północ; rankiem dnia czterdziestego i pierwszego ujrzałem ląd lesisty i wydmy piasku. Na wybrzeżu stała dziewka, piorąca chusty. Nie zwijając żagla wparłem, tratwę rozgonioną na brzeg, i wraz wyskoczywszy podbiegłem ku Hyperborejce nim opamiętać się mogła, a uchwyciwszy ją za warkocz, rzekłem: „Rzuć chusty a chodź poigrać ze mną na mchach leśnych". Odepchnęła mię, ale poczuwszy pod dłonią żelazne obręcze moich żeber, pobladła. — „Przybyszu nieznany — rzekła, pokrywając trwogę uśmiechem — nie jest obyczajem w tym kraju zalecać się w ten sposób". Jam się zawstydził. „Przebacz — rzekłem; — widząc urodę twoją rozumiałem cię być boginką, która niezna nad sobą prawa i obyczaju nad wolę i ochotę". „My żyjem tu społecznie — rzekła, — a gdzie społeczność, tam prawo i obyczaj. Ale skądżeś ty, iż nie wiesz co się godzi?" „Jam nieznał nigdy ni ojca ni matki, a znajdę wychowały boginki łaskawe w puszczy głuchej"... Teraz obróciła na mnie oczy łani i rzekła: „Zdrożony być musisz, boś przybył z za morza, a za pamięci ludzkiej nikt tu z za morza ogromnego nie przybył. Chodź ze mną, będzie ci rad ojciec mój stary". — Zebrawszy chusty szła przodem. A przybywszy do zagrody pociągnęła za łań-

cuch, na którym uwiązany był niedźwiedź, stróż wrót. Wszelako niedźwiedź nie posłuchał swej pani, a rzuciwszy się ku mnie lizał mi rękę. Także i gołębie, siedzące na częstokole i na dachu, zleciały się, krążąc nad nami; a kiedy podniosłem ramię przypadły, obsiadając mi barki i głowę... Widziałem, jak stanąwszy nagle, zadrżała, — a potem milcząc wprowadziła mię do chaty. — Kiedym zaś już wstał od misy i położyłem łyżkę, zapytał mię stary gospodarz kto jestem, skąd przybywam i za czem. „Jestem znajda — rzekłem; — bez ojca, bez matki i bez imienia, — przybywam skąd nie wiesz; ani ty, ani nikt w tym kraju; a przywiodło mię to; iż chcę tu pojąć żonę. Dziewka twoja mi się udała, przeto przyszedłem za nią tu — i jestem“. Stary rozdarł gębę i rzekł: „A gdzież jest gazdostwo, gdzie ją wprowadzisz, i jaki za nią dasz wykup?“ — „Gazdostwa niemam, tu ostanę, a niedam nic“. Stary ozdarł gębę jeszcze bardziej. „Śmiałyś — rzekł, — chciałbyś się przyżenić a nie wysłużyłeś u mnie by dnia jednego“. — „Przyszedłem nie po towar a po szczęście“. — Stary patrzał na mnie z pod oka i kiwał głową, a potem wstał i począł obmacywać mi boki, nogi i ramiona. „Bih me! — rzekł, — dyabli ci w rzyci grali!; boki masz jak z blach żelaznych, a takiej garści jeszczem u chłopa nie widział. Byłby robotnik i obrońca... A kieby się przygodziło wołu ukraść, wziąłbyś go snadno pod pachę... Jam już stary, — niechby tam;... byleś mię uszanował i łyżki strawy a kąta pod piecem, przez te lat parę nie bronił. Niech się dziewka sama opowie“. Jam spojrzał ku niej, która siedziała przy kądzieli. „Jutro“ — rzekła z cicha. Mnie dławił zaduch ludzkiej izby; wyszedłem na wolne powietrze i usiadłem na przyźbie; wszelaki statek i gadzina zbiegły się ku mnie......

Kiedy się już miało pod wieczór, ona zgoniła krowy do zagrody i wróciła ze stągwią mleka, którą nachyliła mi do ust. A potem, odstawiwszy stągiew, oparła twarz na dłoni i zadumała się, patrząc na mierzchnące lasy. „Chodź — rzekła, —

pójdziemy na miejsce poświęcone bogom, pomodlić się". — Szliśmy obok siebie, a jam kroczył jak we śnie; uczucia dziwne, nieznane, tkliwe, wstawały w mem sercu. Wyszliśmy na polankę leśną, na której cicho śpiewały świerszcze. Tu jam się osunął na kolana i opasałem rękami jej biodra. „Jam sierota — rzekłem, — nie znałem bioder matki ni szyi siostry. A teraz omam mię ima — i niewiem czym mąż — czy dziecię, co chce kwilić. Jako rozbitek jestem porwany szałem wód, który się chwycił słupa mocnego a powódź miece nań swoje piany. Ratuj mię". — „Ratować? ciebie? mężu mocarny, — zapytała; — przed czem?" — „Przed losem moim" — odrzekłem. A ona położywszy mi rękę na głowie mówiła cicho i zwolna: „Widziałam jak cię powitały nasze zwierzęta i zrozumiałam że wchodzisz nie pod dach obcy, ale do własnego domu. I biodra moje zadrżały, poczuwszy męża... Wiedziałam żeś mi znaczony na złe i dobre. Tak chcą bogowie. Opierać się nie mogę... Ani chcę..." szepnęła jeszcze ciszej — i łza jej upadła na moje czoło, jak pada rosa na kwiat więdnący. „A jednak, — mówiła dalej — kiedy popatrzę w twoje oczy, ima mię trwoga. Oczy twoje są jako dwie przepaście, które ciągną a straszą; na dnie ich czycha Nieznane... Przeto powiedz mi że mię nie zdradzisz i nie opuścisz". — „Ja! — opuścić ciebie? Gdzież pójdę!" Ona ukazała mi na wzgórku, porosłym wrzosem czerwonym, trzy wielkie głazy i rzekła: „Oto kamienie święte boga Trygława, wszystkowidza, wszystkowiedza... W ich obliczu przysiąż mi, przysiąż — na wieczność!" — Jam się zerwał, jak ktoś zmorą straszliwą zbudzony ze snu. „Wieczność?! — krzyknąłem, — Kto tu wyrzekł to słowo okropne? Ty? — Wieczność? — Wieszli co to jest wieczność?!" — „Wieczność, to znaczy, do śmierci" — rzekła — a jam się chwycił za włosy. — „Śmierć?! Chceszże dziś jeszcze umierać? — Dziś jeszcze?!" — A ona, zdjęta strachem, szeptała: „Co ty mówisz? Nie dziś — nie jutro..." — „Żywoty ludzkie krótsze są niźli godziny bogów — rzekłem

głucho, — a ja wwiódłszy cię wieczór do łożnicy, rano pojrzę w twarz trupa... Przekleństwo! — krzyczałem, — niech będzie przeklęta wieczność, przeklęci niech będą bogowie!" — I w szaleństwie mojem, dźwignąwszy głazy święte, jeden po drugim strzaskałem o ziem na odruzgi, a potem, zasłoniwszy twarz dłońmi biegłem w stronę morza. Tu zepchnąwszy tratwę moją na wodę, stanąłem na niej jak krzyż, rozpiąwszy płótno żagla na ramionach, jak na rejach masztu. Wiatr posłuszny wzdął żagiel i pędził statek na bezbrzeże wód, pod ciemny nieboskłon.....

Na wybrzeżu widziałem na tle zorzy postać jej, stojącą na wzgórzu, jak cień samotnej sosny. Żal ogromny ścisnął mi serce. „Jam jest bóg nieśmiertelny — krzyknąłem, — któryć błogosławię — na mnogie potomstwo, na przychowek statku i gadziny, na plon bogaty, na miodów obfitość — w imię wiatru — i ziemi — i ognia — i wody! — Niech się stanie!" I podniósłszy rękę zakreśliłem w powietrzu święty znak czterech żywiołów. Niebo przyjęło wielkie zaklęcie i runęło grzmotem dalekim... Wiem że dosłyszała mię, bo cień jej wysoki zniknął, — znać w przerażeniu uciekła.

. . . .

— Zamyśliłeś się panie, i umilkłeś, — rzekł Bożywój.

— Zdało mi się, że słyszę jeszcze plusk fali, pieniącej się o burt mego statku, i łopot żagla lecącego po mrocznej wodzie pod ciemny nieboskłon... Zda mi się że widzę jeszcze na wstędze czerwonej gasnącej zorzy, czarny obłąk pustego pagóra...

— Wyznaję, panie, że z tej historyi nie wiele rozumiem.

— Zapamiętałem się, a mówiąc rzekomo do ciebie, rozmawiałem sam z sobą.

— Tyle przecież rozumiem, że w rzeczach ludzkich mało masz panie doświadczenia. Jeślibyś tak mocen był a chciał, uczyń mię młodym a pokażęć wszystkie arkana miłości.

— Nie każ mi żałować żem przyszedł po mądrość do ciebie a nie do twojej kozy.

— Nie pytałeś, panie, o mądrość moją, ale o głupstwo ludzkie.

— Głupstwem mienisz to, na coś sam łasy?

— Albożeś, się panie, jeszcze nie przekonał, że pogoń ludzka za szczęściem jest głupstwem a szczęście złudą?

— Przekonałem się, nie że złudą jest szczęście, ale że szczęściem jest złuda.

— I chceszże gonić dalej za tą marą?

— Dalej, dalej! Oto warowne mury zaczarowanego zamku... Wewnątrz gwar, śmiech, okrzyki radości; o niebo bije łuna wesołych świateł... A za opoką murów ja, bóg, w noc ciemną, na dżdżu i wietrze, jako wilk głodny z pyskiem ciekącym i krwawemi oczyma, obiegam węsząc i szukając wyłomu... Daremnie obiegłem mur na około, daremnie otarłem bok o twardy kamień, — żądza mię w wir porwała, pierś moja dyszy, wicher gna, deszcz siecze.

— Próbowałeś, panie, wszystkich wejść, i nie było żadnego na wzrost twój.

— Pokaż mi bodaj jamę, przez którą mógłbym się wśliznąć ległszy na brzuchu.

— Rzeczywistość jest tylko jedna, ale postacie złudy są niezliczone. Którąż ci mam, panie, ukazać?

— Rzekłeś prawdę. Każden ma swoje własne szczęście. Widziałem trędowatych, którzy cieszyli się iż mają jeszcze zdrowy płat skóry, szeroki na dłoń dziecka; — widziałem ślepych, radujących się swojej lasce, — widziałem więźniów w lochach ciemnych których oczy pałały ze szczęścia, gdy na źdźbło słomy wyciągnięte przez kratę, upadł promień słońca... Nie znam nędzy, w którejby na dnie nie błyszczał bodaj okruch szczęścia, — jeśli już nic, to choćby nadzieja śmierci wyzwalającej, szczęścia po śmierci, lub niechby tylko zapomnienia i snu wiecznego.

— I widząc to, nie poniechałeś panie myśli parania się z tą nędzą śmiertelnych?

— Nie; zapragnąłem tem bardziej poznać naturę mocy, która zda się być wyższą nad moc bogów. Rzuciwszy mój pałac królewski, uciekłszy z ziemi Hyperborejów, spróbowałem w życiu nędzarza szukać tajemnicy szczęścia.

— Jakże to było? — opowiedz.

— Było to tak... Szedłem raz po pustym, spiekłym gościńcu, ukryty w niewidzialność i tuman kurzu. Nad płaskiemi, spłowiałemi polami wisiał skwar i nuda. Ale na przekór ospałej martwocie okolicy, z zakurzonego gościńca leciał śpiew wesoły. To śpiewał jakiś człowiek w ubogiej siermiędze, idący boso z siekierą na ramieniu. Szedłem to za nim, to przed nim w tumanie kurzu, zaglądałem w jego twarz pogodną, słuchałem piosnki beztroskiej. I zapragnąłem zrozumieć, dlaczego ten człowiek się weseli. Wzburzyłem wir pyłu koło siebie, a uwidzialniwszy się w nim wyszedłem z tumanu, zastępując drogę człowiekowi. Zląkł się, ale gdym go grzecznie pozdrówkał i objawiłem mu się jako dobry olbrzym Krzysztof, poweselał jeszcze bardziej. Opowiadał mi że chodzi z siekierą między ludzi i zarabia jak może; je co Bóg da, sypia gdzie go noc zajdzie. Troski nie-zna żadnej, chwali Boga, śpiewa i pracuje. Odtąd szedłem z nim, by się uczyć jego sztuki. By chwalić boga całowałem własną rękę, naśladowałem też jego piosnki, a on śmiał się do rozpuku. Ale gdy raz od mego ryku spłoszone konie wywaliły wóz z sianem na gościńcu, prosił mię abym śpiewu zaniechał. Próbowałem też najmować się razem z nim ludziom do różnych posług; bali mnie się jednak, lub czynili po wsiach zbiegowiska. Dlatego poradził mi mój towarzysz, abyśmy się jęli innej pracy. Wiedział on o pewnym młynie, opuszczonym od dawna przez ludzi, gdyż wysechł potok, który obracał jego koło. Odnaleźliśmy młyn samotny, towarzysz mój zładził go napowrót, a ja zasiadłem przy kole, kręcąc wał.

— I cóż było dalej? — spytał Bożywój.

— Kamień furczał, terkotał pytel, sypała się mąka, coraz liczniejsi zjeżdżali się ludzie ze zbożem, młynarz się weselił a ja kręciłem koło... W końcu pomyślałem, że ażeby się weselić, trzeba snadź być młynarzem. Sprowadziłem tedy potok na koło, wypędziłem młynarza i sam odbierałem pieniądze za mlewo. Jednej nocy zakradł się złodziej do młyna. Widziałem w księżycu przez szparę mojej szopy, jak naprzeciw niosącego wór mąki wybiegły żona i dzieci i jak wszyscy poczęli weselić się, tańcząc wokoło wora. Nazajutrz odszukałem młynarza i oddałem mu młyn — a następnej nocy okradłem go. Ale kiedy, obładowany worami mąki, uszedłem kawał drogi, nie wiedziałem co począć dalej i odniosłem mąkę do młyna. Młynarz weselił się odtąd coraz bardziej, a ja zakradałem się nocami pod młyn drżący od klekotu, jarzący w oknach światłem i rozśpiewany weselem człowieka. Aż wreszcie sprzykrzyło mi się to, i odszedłem w inne strony, aby mię nie zebrała chętka obalić tę budę kopnięciem nogi.

Tak mówił Trygław, a Bożywój śmiał się aż poczerwieniał.

— Czego się śmiejesz? — spytał bóg.

— Daruj mi panie, ale rzecz to nielada widzieć jak mądrość boska, schodząc na świat, który stoi pod prawem głupstwa, staje się wobec głupstwa — głupstwem, a głupstwo wobec niej — mądrością. Raduję się zresztą iżem i ja porównan był z bogami, bowiem jak długo żyłem w ludzkim świecie przewyższał się nademnie każdy błazen, a mądrość moja odnalazła siebie samą dopiero w tej puszczy.

— Gdybyś mi jednak zechciał powiedzieć, gdziem chybił, możebym wreszcie poznał to, czego szukam.

— Zda mi się panie, że wszystko byłoby daremnem. Bowiem oko twoje widzi pojaw zewnętrzny, będąc jednej z nim cielesnej natury, ale inszość twej natury wewnętrznej nie dozwala ci zrozumieć wewnętrznej treści pojawu. Naśladując

gest szczęścia, pozostajesz obcy jego źródłu, jego przyczynie.

— Przyczynie? Jakiej? — Alboż jest przyczyną szczęścia to, co ludzie za przyczynę podają? Alboż może wynikać ten sam pojaw z przyczyn sobie przeciwnych? Sława i życie pustelnicze, władza i posłuszeństwo, bogactwo i ubóstwo, rozwiązłość i wstrzemięźliwość, nieróbstwo i praca — możeż to wszystko być przyczyną tego samego pojawu: szczęścia?...

— Szczęście jest złudą, panie — a przeto —

— Nie! Nie mów o złudzie. Widziałem je, — istnieje! Ale złudą jest to, co się jego przyczyną być mieni; przyczyna prawdziwa tkwi poza tem wszystkiem — gdzieś — gdzie niewiem. Zarodek szczęścia zdaje się być złożonym w samem nasieniu bytu śmiertelnego. Alboż nie są dowodem tego ci, którzy mędrsi lub rzetelniejsi od innych, przyznają się do szczęścia bez przyczyny, — poprostu radują się bytem?

— Przyczyną ich szczęścia jest piękność świata...

— Ah tak, — świat jest piękny... rzekł bóg — i ziewnął.

— Świat jest piękny — potwierdził Bożywój, — ale naprawdę dla tych tylko, którzy poznali istotę rzeczy. Owi ludzie zaś kontentują się pozorem, i dlatego i ich szczęście jest kruche i złudne.

— Co rozumiesz przez istotę rzeczy? — spytał bóg — a Bożywój się zatchnął. Po chwili dopiero rzekł:

— Zdziwiłem się, panie, twemu pytaniu, — ale przyszło mi na myśl że dla umu boskiego niemasz dwoistości pozoru i prawdy. Istotą rzeczy jest zatem właśnie to, co ty widzisz. I w tem to obcowaniu z nagością prawdy leży szczęście bogów, wyższe ponad wszystko co sobie ludzie mogą uroić.

— Szczęście bogów?

— Tak, szczęście bogów. Oczom śmiertelnych zakrywa rzeczy istotę złuda pozorów; żyją oni jak ci, którzy pod

czerniawą mgieł nie widzą nigdy słońca. Tylko wiedza mędrca przenika niekiedy tę oponę i staje się, choć zdaleka, uczestniczką szczęścia nieśmiertelnych.

— A cóż ty wiesz? — zawołał bóg. — Oto na ustach twoich może słowo tajemnicy, którego łaknę. Mów, a żywo!

Tedy Bożywój podniósł głowę i zapatrzony w bezdal począł mówić... Mówił o prawzorach wszechrzeczy w świecie idej, — o rzeczywistości świata idej a nierzeczywistości świata widzialnego, — mówił o powstaniu świata z myśli Bożej, — mówił o naturze Tego, który jest i nie jest, — o naturze duszy ludzkiej, iskry pryśniętej z Praogniska, — o istocie Zła i Dobra, — o celach stworzenia i o drabinie stworzeń wstępującej ku Światłu..... Mówił i mówił, nie bacząc że słońce poczęło się już chylić ku zachodowi; — czoło jego oblał pot kroplisty, oczy pałały, wzniesiona broda trzęsła się na wietrze, usta spieniła piana proroków... Teraz miał przejść do Rzeczy Ostatecznych. Miał wypowiedzieć słowo Wielkiej Tajemnicy, zamknięte siedmiokrotną pieczęcią milczenia... Ważył je długo, obtarł pianę ust rękawem, a uciszywszy głos począł szeptać, pochylając się z głazu na którym siedział, ku ziemi.

A wtem oniemiał.

Boga nie było na miejscu na którem był siedział. Obejrzał się Bożywój i ujrzał go, jako wziąwszy się pod boki przytupywał nogą o ziemię, krzesał piętą o piętę, jako cietrzew tokujący okrążał głaz Bożywoja, pohutnując sobie: aśta drum! aśta drum!

Kozie pasącej się opodal wypadła trawa z pyska, kropla znoju uwisła na nosie mędrca zapomniała upaść na ziemię... Koniki polne i żaby odległych stawów, przekrzykujące przed chwilą Bożywoja, umilkły, a bóg cupkał przysiadanego, podskakiwał, bił się o łydy, czupryna trzęsła mu się od radości na łbie, a pohutnywał sobie: aśta drum! aśta drum! Aż wreszcie wyprostował się, hipnął na stajanie, i biegł łąką jak

rozigrane koźlę, aż zapadł w las, — ale zdala jeszcze słychać było śmiech jego, niosący się lasem w tysiącznych pogłosach; rzekłbyś, zbudziło się w puszczy plemię całe puszczyków... Od tego śmiechu buki chwiać się poczęły, — leciał liść obeschły na polanę... Wystraszone stado dzikich gołębi wypadło z lasu i wpadło chmurą na Bożywoja, głusząc go jęczącym chichotem ciężkich skrzydeł... Aż zwolna wszystko ucichło; szemrały tylko ostatnie wiry suchych liści po polanie..... Kropla spadła na ziemię — koza na nowo mierędzać poczęła.

Chwilę stał Bożywój niepewny, z ręką u czoła... Aż rozjaśniło mu się oblicze, ukasawszy suknię wybiegł na kant wielkiego głazu, i tu stanąwszy rozpostarł ramiona i wołać począł na cztery strony świata, jak kogut piejący na wschód słońca: Świecie! słuchaj świecie!... Oto bóg przyszedł do chaty mędrca, jako przychodzi jeleń spragniony do krynicy — i odszedł napojony i rozradowany w sercu swojem! — Świecie! słuchaj świecie! — A teraz, dla pamięci dalekich i potomnych, wpiszę to w karty mej księgi.

Ale kiedy mędrzec zeszedłszy z głazu pochylił się ku księdze, spostrzegł że karty jej, przepalone palcem boga, zetlały na popiół.

V.

O blade wydmy piasków nadmorskich!... O traw roztopionych w księżycu ciemne, niespokojne cienie!... O piaski rzężące cicho w podmuchach wiatru!...

O morze ołowiane, łyskające martwemi połyski, jak lśnienia trwogi na powierzchni snów ciężkich!...

O miejsce, na którem dusza czuje pęd globu przez pustą przestrzeń, gdy śród długich godzin gwiazdy jak słupy przydrożne mijają, zapalając się i gasnąc, — wieją traw włosy, a o brzeg pluszcze morze...

O strachu tajemny nocy miesięcznej, który trupią bladością powlekasz piaski, — którym przydławione rzęży cicho serce ziemi, a morze głośniej płakać nie śmie...

O! strachu!... Nie strachu katastrof nieznanych, niespodzianych, czających się jak bestye drapieżne na drogach planet, ale ty płazie jadowity, stokroć okropniejszy strachu, którym drży wzięty na kawecan koń stepowy, ogłupiały, gnany w krąg nieustanny aż do omdlenia, — który błyszczy w oczach schwytanego tygrysa, kroczącego wiecznie daremne sam-i-tam wzdłuż prętów klatki, — którym oszalałe niegdyś Sybille pisały znaki tajemne — kołowroty swastyk, pierścienie wężów połykających swój ogon — wyzierające dziś z pod mchu na głazach błędnych, na złomach murów dawno w gruz upadłych, niby pieczęć grozy położona na ustach czasów minionych...

O strachu Wiecznego Koliska!...

O dróg nieodmiennych żmudo!...

. . . .

Trygław leżał w wądole wydmy, założywszy ręce pod głowę. A jak jeździec, ranny i znużony, puszcza wodze koniowi i myśl senną uwiąże u kopyt, żłopiących tętnem nieustannem czas i przestrzeń, tak i on zgasił myśl, zdawszy ją na wiatr, plusk fali uwrotnej i księżyc. Wszelako nie był sam. Z pod piasku, z gęstwy traw, zewsząd, wychodziły chwiejąc się na krzywych nogach ludki pokraczne, na piędź wysokie — duchy-pytacze. Głowy miały ogromne — jak płód niedonoszony, w głowach oczy otwarte wiecznie, bezsenne, obrzeżone krwawą obwódką obciętej powieki. Lazły, gramoliły się na ciało boga, spadały, zaczynały znowu, niby żuki obłażące ścierwo. Wydrapawszy się przykładały ucho do serca, słuchały rytmu oddechu, oglądały modzele uchodzonych stóp, namulenia rąk; wkładały palce w kąty ust boleśnie skrzywionych, obejmowały ramionami kikuty szyj uciętych, a poglą-

dały wciąż na siebie niemym, wiecznie zadziwionym wzrokiem. Wreszcie, zbliżywszy się do oczu, nachylały się nad niemi ostrożnie, jak nad zwierciadłami topieli drzemiących na oparzelisku, a podniósłszy z kąta łez, kroplę ciężką patrzały na nią pod księżyc...

Ocknął się bóg i mówił sennym głosem:

— Czego szukacie, niemrawce? Czyli boga Trygława? Jam jest, ale niecały. Jestem ten, którym jest. Gdziem jest ten, którym był?... Spójrzcie w górę, na gwiazdy, skąd wieje smętek wieczności: tam jestem... Spójrzcie w przepaście wód, zapatrzonych w niebo: stamtąd patrzy mój ból... Rozbieżcie się na okół: widzicie oto ślady stóp moich na piasku, w które teraz księżyc cień swój kładzie? Spójrzcie tam i sam; wszędzie znajdziecie ich ścieg; odrutowany nim glob cały, jak stary garnek. Wgrzebcie się w ziemię, — odbijcie wierzchnie skorupy zeskalonych namulisk; tam, obok odcisków prajaszczurów, znajdziecie ślady mej wiecznie tułaczej stopy... To przeszłość moja... A przyszłość?... Mówiła głowa złota: „Widzę śmierć bogów". Kiedy? „Kiedy zwątpią o sobie"... Od tej chwili straciłem pamięć rzeczy przeszłych i przyszłych; straciłem bóstwo moje. Miałożby zwątpić o sobie tylko moje bóstwo? Jam został żyw... Ileż razy rzucałem się ze szczytu wierchów — a wiatry opiekuńcze znosiły mię, wziąwszy pod ramiona — jak skrzydlate nasienie jesionu... Ileż razy wpadałem w środek burzy, między trzaskawice gromów, — a burza rwała mię w wir swój, jak tanecznica szalona, i wypuszczała zdyszanego, nie osmaliwszy włosów błyskawicą... Gdzież kres?... Gdzie koniec?

Oto widziałem kiedyś na piasku nadmorskim trupy ogromnych jesiotrów, wyplutych przez morze, które wzdęte zgnilizną pękały z hukiem pod żarem słońca. Poszedłem szukać litości mórz i słońca. Wszedłem w toń morską tak głęboko, aż zasłoniła mi oczy czerwona ciemność a uszy zalało głuche

podzwonne. Straciłem samowiedzę; wrzkomo umarłem. Ale w tej śmierci słyszałem długo jeszcze dzwony wód i czułem się sam jakby rozkołysanem sercem dzwonu. Potem wszystko ucichło. — Leżałem długo, cicho, mniemając się trupem. Aż odważyłem się otworzyć jedno oko, potem drugie, by ujrzeć krainę śmierci. Słońce prażyło podemną biały piasek i łyskało na drzemiących wodach. Czułem znany zapach alg morskich, które upowiły mój zewłok. Na twarz upadł mi cień skrzydeł mewy, srebrzącej się na błękicie; zleciała nisko i wyciągnęła już nogi aby usiąść, gdy wtem, spojrzawszy w me otwarte oczy, cofnęła się z krzykiem... Czkawka wstrząsała mój wzdęty brzuch. Usiadłem, rozglądając się błędnie, jak pijak po przepitej nocy — i począłem żygać strumienie słonej wody...

Trygław śmiał się. Śmiech wstrząsał całem jego ciałem i zrzucał zeń ludki niemrawe, które przerażone kładły się nań czepiając rękami, niby żeglarze na łodzi rzucanej dziką falą.

— Precz, wszy mierławe! — rzekł bóg, i zgarnąwszy je z siebie wiechciem trawy, wstał i kroczył nad morze... Patrzał długo na oddal wód i łyskanie fali — a potem kołysać się począł, jak wśród nudy nocy bezsennej czyni niańka w takt kołysanej kolebki i zawiódł głosem psów, wyjących na księżyc:

— Był bóg — był bóg! — głów troje miał, — głów troje miał! — Głowę złotą wichry urwały, — głowa srebrna leży na dnie stawu;... trzecia — chodzi po świecie — duby smolone plecie... Nikt im nie wierzy, nikt nie słucha — chyba ta fala głucha — chyba ta fala głucha... Chyba w noc zawierucha, — gdy wicher wstaje i wyje, gdy puszcza drży strachem tajemnym, — prężą się szyje, — szyje ucięte,... krew pluszczą na księżyc blady,... kłębią się szyje-gady...

O! liści zwiędłych zawiejo... — o koni tabunnych rżenie — dzikie tententy... Burza je żenie... Słyszycie lasu lamenty?... Smreki rzucają na powietrze ramiona oszalałe, — rwą z ziemi stopy-korzenie!... Idzie już drwal straszliwy... siekiera błyska nad rąbaniskiem... głowa skrwawiona się toczy.

We mgłach coś woła... łopoczą wylękłe puszczyki, — oczy biegają jak pająki... Z mgieł woła głos: czy już? niemogę dalej! Odsłoń twój srebrny włos, — skąd masz tę wstążkę czerwoną?

Nastawia czoła tryk, — w leju skalnym mąci kurniawa... Szczęka kowadło: raz — dwa... Słyszycie? Ha! Co to za straszny krzyk? — To konia troczą wilki, — nie widzi nikt w zawiei, — oczy biegają jak pająki, — w leju skalnym mąci kurniawa. — Sypią się głazy po zboczy, obmokłe lepką posoką,..... plączą się w srebrne włosy..... runęły w czarny staw.

O gwiazdy obłędne! — o oczy wód tajemnicze!

Dokąd lecicie, o gwiazdy? — O czem zamyśliłyście się, o wody? — Któż to wie? — Niewie nikt.

Mówiła najcichsza z fal: „nie pomnę“, — fala głębinna prabytu. Mówiła, oczy wyszkliwszy na księżyc, a palce jej białe drżały na wodnym obrusie. Jam podsłuchał i zbladł... Kto On, co rzucił w przestrzeń glob? Dokąd go pędzi? gdzie? — Jak się zwie? — On, który był, nim był Byt... Któż to wie? Niewie nikt. — W przestrzeni ciemnej glob leci — w przyszłość nieznaną, — pluszcze fala o brzeg mojej tratwy — płynę pod ciemny nieboskłon, sam sobie żagiel i maszt... O! ciemny obłąku samotnego pagóra, na tłach zorzy wieczornej... O czarny cieniu sosny nadmorskiej, — bądźcie zdrowe, bądźcie zdrowe!... Po szczęście wybrał się bóg, — po ciemnym lesie straszy, — zagląda w okna jarzące domów szczęśliwych.

O któż mi nogi obmyje? któż ukołysze do snu? Zaby-

łem hasła bogów, — wygnaniec jestem od bogów i ludzi... Gdzie spocznie moje serce, gdzie choćby jeno pamięć?... Z ciemności świecą duże, łagodne oczy... Poznaję was! — o woły siwe! — o bydlęta dobre, litujące się nieznanemu nieszczęściu... Wam łza ostatnia, wam łza jedyna!

Tak biadał Trygław, a biadając wszedł w morze. Nie bacząc szedł coraz głębiej; już woda łopotała mu pod pachami potężnych ramion, jak pod ocapem skał. Było ciemno, bo księżyc już był zaszedł. Wtem, ponad czarną tonią, zabłysły jak srebrne iskry, białe mewy. Szybując nad wodą, przypadły ku twarzy boga, i cofnęły się z krzykiem. Ocknął się bóg z zadumy i spłonął wstydem. Mewy krążyły mu nad głową, chichocząc. On zaczerpnął w dłoń wody i obmył twarz i ramiona, jak człowiek, który zażywa kąpieli; a potem wyszedł zwolna na brzeg.

Pierwsze, zimne brzaski świtu zaczęły padać na fale. Bóg skierował się ku ścianie lasu, czerniejącej opodal w niepewnem świetle budzącego się dnia, jak ustępujący hufiec nocy. Szedł zwolna, ciężko, a strugi wody znaczyły ślad jego na piasku. Już miał wejść w gąszcz, gdy stanął, i obrócił się raz jeszcze. Niebo wschodnie gorzało świtem różowym, obrzeżającym białe obłoki złotą obwódką. Wiał rzeźwy wiatr poranny. Nad rozjaśnionem morzem krążyły niespokojne stada mew, z głośnym skwirem. Mewy unosiły się w górę i stawały chwilę na skrzydłach w powietrzu, patrząc ku wschodowi, — a potem spadały z krzykiem nisko nad fale, i krążąc kołem oznajmiały im nadejście słońca. A fale wspinały się w górę, łyskając srebrnemi grzywy...

Bóg stał i patrzał, cofając się w gąszcz. Tak cofa się osaczony przez wilki żubr, ociekły młaką, o kudłach podartych przez haszcze w długiej, śmiertelnej ucieczce, grożąc jeszcze czołem potężnem, pod którem pałają czerwone, zmęczone oczy...

A stawało się coraz jaśniej i coraz głośniej weselił się świat. Fale, las, ptaki, klaskały, szumiały, śpiewały: chwała! chwała! chwała!

Bóg podniósł pięść w stronę świtu — i zapadł w gąszcz.

Z morza buchnęło słońce.

J. B. K.

O wojnie Greków z Trojami.

(Fragmenta. II.).

W I-ym tomie Lamusa ogłosiłem gwarowej tej parafrazy większe fragmenta z ksiąg: pierwszej i ostatniej. W przedmowie tam dołączonej podałem motywy, które mną kierowały, gdy powziąłem myśl przekładu Iliady na gwarę góralską, oraz pewne ogólne objaśnienia. Nie powtarzam ich tutaj, gdyż w ustępie tym niema tak szczególnie niezrozumiałych miejsc, a czytelnik bardziej zainteresowany poszuka początków w tomie pierwszym.

DYJOMED.

Z KSIĘGI PIĄTEJ.

(Początek).

I.

Teraz zaś Dyjomeda pasyją skrzepiła
Atena namocniejsza. A temu z kłobuka
Żelaznego i z tarczy kolistej świeciła
Kieby gwiazda, co w morzu się mokrem opłuka!
Taki blask mu na barkach żelaznych i siła
Legła, co nad nim tak gorzała z wnuka,
Że wśród greckiego ludu wielgiego mrowiska
Jako tucza po chmurze mroczy się i błyska!

II.

A był wte taki Dares, Troj, ksiądz Hefajstowy.
Miał synów dwóch: obydwa cięte zabijacze:
Fegej był i Idajaś, a każden gotowy
Iść zaraz na Dyomeda. Tamten na wóz skacze,
A ten na nogach przed nim idzie jak na łowy
Na syna Tydowego. A skoro już — baczę —
Byli blizko, Troj drzewce wyrzucił świszczące
Przez powietrze, a dołem pognał cień po łące. —

III.

Ale się Dyomed wartko uniżył i właśnie
Kie mu przy prawem uchu śmigła żerdź kończysta,
Spodem śpiżową włócznię we Fegeja praśnie!
Dyjomed po próżnicy żelazem nie śwista.
Kie bechło w pierś, krew chlusła po koszuli straśnie!
Toż Idajaś, kie zbaczy, od strachu do czysta
Zgłupiał i z wozu hipnął. Byłoby ś nim cosi,
Ale go Hefajst z tela pod chmurą wynosi. —

IV.

Dobrze, boby się stary zagryzł był do znaku. —
Strach poszedł po Trojanach. Grek zaś konie ciska
I towarzysiom odwieźć każe, gdzie na haku
Stały rzędem okręty. Zaś Aresa ściska
Za dłoń Palas z Meduzą straszną na szyszaku
I tak prawi od krwie go odwodząc igrzyska:
Ares, Ares, zbójniku! siumny ździerco włości,
Odejdź! niech się ta biją sami, — Zeus się złości!

V.

Rzekła i nad Skamandru brzyzkiem go sadowi.
Teraz zaś bieda przyszła znów na trojską stronę,
I król każdy po jednym ubił se Trojowi. —
Pierwszy Jaga Odjosa pchnął w bary przestrone,
Aże koniec do pola wyjrzał harnasiowi
Przez pierś. Tak się zawalił, aż durkły stalone
Blachy na wielgim chłopie, kiedy leciał z koni.
Ten już lógł! Niedaleko go śmierteczka goni!

VI.

Idomek upolował Borowego syna
Fajsta tego, co z Tarny zdaleka się wiedzie.
Sławny oszczep w łopatkę prawą mu zapina
Kie sie brał na wóz. Tenci już nie precz ujedzie!
Wnet go obdzierać czeladź Idomka poczyna...
Tam zaś ze Strofijosa synem cosi bedzie:
E, psia kręć! dyć Menelaj sam do niego goni!
Stanął — i żerdź warczącą puścił z pewnej dłoni.

VII.

Furkła i Skamandryja na drzewce nawlekła! —
Tego chłopa za zwierzem chadzać nauczała
Sama boska strzelaczka na jelenia wściekła.
Ale mu na nic śtuka polowacka cała!
Fyrknął z wozu, a dusza zeń zaraz uciekła, —
I ćma go ino wieczna za głowę złapała
Kie w nim Menelaj oszczep kończysty zaorze...
Tak dzwonią zbroje o ziem nad trojańskie morze. —

VIII.

Meryon zabił Ferekla, syna Harmonidy,
Okrętów Parysiowych sprawnego budarza,
Onych statków, co Trojom napytały biedy,
A i jemu, co nie znał jak się co nadarza
W niebieskich ustanowach. — Kie go Merya łydy
Dopadły, Grek żelazo do zadu mu wraża
Aż mu wylazło brzuchem. Ale się oździera
Nieborak! i przed śmierzcią w piargu poniewiera!

IX.

Megies zatłukł Pedaja Antenorowego,
Tego, co chocia bękart był, przecie Teano
Chowała go na radość staremu jak swego.
Filisa syn śpiż z bliska w kark mu wraził. Ano
Gębą mu wylazł! Wściekle ten umierał! Kie go
Prasło o piarg, gryzł jeszcze kukłę w pysk weżganą!
Tam zaś znowu Ejrypił porubał Hipsena,
Którego za tamtymi śmierzć czerwona wziena. —

X.

Tak sie tam oni tłukli. Dyjomeda ino
Nie zmiarkujesz z kim tańczy. Tak leci po rżysku,
Jak potok sie na wiesne z gór puści doliną:
Jazy twardo plecione drze wereda z brzyzku,
Tamy rwie, zagajniki z pól rowami płyną,
A wanty ino bębnią o wanty w łożysku!
Tak ten narobił mątu pomiędzy Trojami!
Nie zdzierżył nikt, choć było wojowników stami.

XI.

Zbaczy syn Likaona jak ten równią goni
I kielo mątu rzuca w popłoszoną Troję, —
Tak nie myślęcy wiele obłąk łuku w dłoni
Naciąga: Świsła strzała i przebiła zbroję
Na wylot, a krewecka już sie lała po niej. —
Wrzasnął Pandar: Hej, już się o niego nie boję,
Dostał dobrze! Radujcie się siumne Trojany
Mocarny Grek nie długo będzie żył z tej rany!

XII.

A ten stał! ino wrócił sie przed wóz Stenela
Co jechał za nim, i tak do koniądza pada:
Słaź z wozu Kapanowy synu, byś mi z tela
Wyjął wartko haw tego siurpatego gada!
Hipnął Stenel i wyrwał grot, a ś nim wystrzela
Siklawa krew i z bluzgiem po kolczudze spada.
Splunął Dyomed, — ramienia, co chrupło próguje.
I tak cosi do sobie w wąsy uchwaluje:

XIII.

E, Palas Jowisianko! Nieraześ tatowi
W tej robocie pomogła, spomóżże dziś syna!
Nagnaj mi tę psią nogę, a wnet ją uzdrowi
Mój štych. Sobaka jedna! Zawczas śmierzć wspomina
Dyjomedowi! Patrzcie, taki mi tu powie
Że bem zdychał! A tobie ostatnia godzina!
Jak zawołał, tak przyszła Jowisianka dziwa
I tak doń cieszącemi słowy się obzywa:

XIV.

Bier sie w garzść Dyjomedu, a z Trojcami dalej
Bij się, bo ojcowego w pierś ci leję ducha,
Ten sam się w tobie ogień Tydowy zapali. —
A oćmę z tobie wiater człowieczą ozducha,
Że nieumierca zaraz ozeznasz, choć z dali. —
Niechże cię weń, jak w człeka nie gna zawierzucha!
Chybabyś ka uwidział Miłośnicę łątkę:
Możesz ją ta gdzie dzióbnąć trochę na pamiątkę...

MICHAŁ PAWLIKOWSKI.

Historya prawdziwa Michała Jarca.

Pan rządca stał za stołem w kancelaryi folwarcznej i zatrudniony był — jako że Nowy Rok za pasem — przyjmowaniem czeladzi do służby.

Naprzeciw stołu przy drzwiach za któremi tłoczyło się mnóstwo sukman, kożuchów i ogromnych butów, stało rzędem sześciu polowych a wszyscy mieli nadzwyczaj uroczyste miny. Pan rządca ma mnóstwo roboty. Tyle roboty, że już po trzecim czy czwartym parobku zdawało mu się, że to już koniec a słysząc za drzwiami szepty i stukania, zawołał:

— „Któryż tam jeszcze!?“

Jeden z polowych podszedł do stołu.

— „Teraz z kolei Michał Jarzec może...

— „No no, niech wejdzie“.

Polowy podszedł do drzwi, otworzył je i zawołał ogromnym głosem:

— „Jarzec Michał!“ — Poczem cofnął się i zajął swoje miejsce w rzędzie sześciu dygnitarzy. W sieni rozległ się tupot usuwanych nóg. Do kancelaryi wszedł wywołany i zamknął za sobą drzwi. Był to chłop wysoki i rosły, ale wymizerowany okropnie. Na wielkiej głowie miał rzadkie, jasne włosy zmierzwione mocno i w tył z szerokiego czoła odgarnięte. Wybałuszył oczy wypukłe i duże i przerażony wzrok utkwił w rządcy. Mimo rozczochranych włosów zdaje

się na dzisiejszą uroczystość szczególnie się oporządził. Twarz miał starannie wygoloną a pozostawione tylko krótkie, w dół spadające wąsiki. Wisiał na nim stary, nieokreślonego koloru surdut z pod którego spuszczała się czysta, gruba koszula zasłaniająca spodnie wpuszczone w ogromne, ciężkie buciska.

Rządca patrzał na niego i milczał. Przerzucił parę kartek w rejestrze służbowym, począł dłubać scyzorykiem w zębach i cmoknąwszy parę razy, wreszcie powiedział:

— „Słuchajże ty Michał! Co ja z tobą zrobię? Na twoje miejsce jest już do stajni przyjęta psiakrew, dziewka, a więcej tam ludzi nie potrzeba...“

Polowi stąpnęli z nogi na nogę, popatrzyli pytającym wzrokiem na Michała jakby chcieli powiedzieć: „Słuchaj Michał, co my z tobą zrobimy?“

A Michał wciągnął nosem powietrze, spuścił oczy ku podłodze i za przykładem polowych przestąpił z nogi na nogę.

— „No cóż z tobą będzie?“ — pyta rządca. „Chciałbyś służyć?“

Michał przestąpił znów na drugą nogę, oglądnął z uwagą kapelusz trzymany w obu rękach, poczem z nagłą decyzyą spojrzał na rządcę.

— „No — chciałbym...“ wyjąkał nieśmiało, popatrzał na sufit, na ściany i okno a wkońcu znów na swój sterany kapelusz o niebieskiej, wąziutkiej wstążeczce.

— „Chciałbyś. Powiedz ty mi, człowieku, co ja zrobię z tobą?“

— „No... przecież...“

— „Cóżbyś ty robił...“

— „A za fornala bym mógł...“ śmielej wypowiedział Jarzec.

Chóralny śmiech polowych rozbrzmiał w małym pokoiku.

Rządca stał za stołem jedno kolano oparłszy na krześle i ironicznie przygryzał wąsy.

Michał ruszył ramionami i poświęcił całą uwagę spluwaczce stojącej w kącie.

— „Słuchajże ty, na fornala trzeba chłopa zdrowego — a nie takiego flaka jakoś ty jest“ — począł tłumaczyć karbowy — „bo choć tobie siły nie brak to przecież nie masz żadnego rozumu, a i tak szkoda takiego chłopa dla takiej głowy jak twoja!“

— „Ja już wiem — wiem...“ mruknął rozpaczliwie Michał.

— „Jarzec!“

— „?“

— „Umiesz ty — et, a umiesz... et, kiedy ty nic nie potrafisz psiakrew bo i to coś w stajni robił to po djable było psiakrew... Nic nie umiesz. Co ja z tobą zrobię... No co? No co?“

Polowi potakiwali milcząco głowami, patrząc w ziemię. Michał gorzko się uśmiechnął, rozłożył ręce, kapeluszem wywinął w powietrzu — uczucie strasznej bezsilności zalało mu gardło.

Gdyby umiał, z pewnością by zapłakał z tej bezsilnej złości i żalu rozsadzającego serce i ściskającego krtań. Ale płakać nie umiał. Oczy tylko błysły raz i zgasły. A był to błysk nieubłaganej nienawiści do tych ludzi, dla których żyć musi i z ich łaski — aby módz żyć samemu...

— „Hm hm... Na, dobrze!“ wycedził pan rządca po długim, długim namyśle. „Ja cię przyjmę Michał. Będziemy widzieli co z ciebie będzie. Koni nie dostaniesz ale pójdziesz do stajni. Będziesz brał wszystko tosamo co tego roku. Potem będę widział czy mogę więcej dać. No co?“

— „No, jak tam pan rządca powiedzą...“

Onby się miał nie zgodzić?

Rządca wpisał do księgi wszystkie szczegóły, potem wyjął z szuflady biurka dwie korony.

— „Masz tu kolendę — a pamiętaj sobie że jak mi się psiakrew kiedy jeszcze raz powtórzą jakie bójki to jak amen w pacierzu wylecisz ze służby.“

Michał nagłym ruchem podniósł głowę jakby chciał stanowczo czemuś kłam zadać. Ale spotkał się ze wzrokiem rządcy, ironicznym, zimnym. — Wziął swoją kolendę i milcząc zawinął w brudną szmatkę. Poczem zwrócił się ku drzwiom.

— „Od nowego roku pójdziesz do koni. Teraz jeszcze w oborze musisz tam robić co możesz. A żeby mi się nie spóźniać do roboty psiakrew, bo...!"

— „Niech będzie pochwalony".

Michał wyszedł.

— „Nie wiem czy ten jeszcze co potrafi... Leń jak niewiem co... psiakrew".

— „A i tak pan rządca dla niego bardzo dobry" — zaczął karbowy.

— „Dobry dobry... Ja tam dla nikogo psiakrew nie jestem zły.

— „Szkoda chłopa. Bo silny jak cholera. Tylko taki mlamla... nic nie zrobi sam a wszystko mu trza nakładać do głowy. — Głupia bestya".

— „No, jak tam każdy warjat..." wtrącił któryś.

Rządca zamyślił się, popatrzał w księgi, cmoknął i krzyknął znowu:

— „Któryż tam jeszcze!?"

*

Michał Jarzec wyszedł do sieni i przepchał się przez ciżbę czeladzi stojącej za drzwiami. Leciały za nim przyciszone śmiechy i kpiny, ktoś go nawet kułakiem poczęstował. Nic nie odpowiadał ani się nie odwracał — i odetchnął z ulgą gdy się znalazł na dworze.

Zimowy, ciemny wieczór. Śnieg skrzypiał i zgrzytał pod nogami, mróz był tęgi. Po granatowem niebie waliły ogromne chmurzyska o jaskrawych, złotych konturach z poza których

rozlewało się księżycowe światło. Gwiazdy błyskały miejscami pośród chmur ale gasły często tylko czasem jaśniej się zrobiło od odsłoniętego księżyca. W powietrzu był spokój. Nagie, czarne drzewa stały nieruchomo na tle nieba, a żaden wiatr niemi nie poruszał.

Michał szedł po ubitym, zgrzytającym śniegu, stawiał duże kroki zginając kolana i kiwając się na boki. Ręce huśtały mu się w chodzie a i wielka głowa niepewnie siedziała na karku. Szeroko rozwarte oczy patrzały w śnieg przed siebie, nic nie widząc.

Czy Michał myślał o czem? Czy wogóle umiał o czem myśleć? Gdyby go był teraz kto z folwarku zobaczył, gdyby był spojrzał na jego oczy, zda się w jeden punkt utkwione i zastygłe, byłby mu pewnie krzyknął:

„Michał, głuptaku jeden, co się tak dziwujesz temu śniegowi?!“

A onby na tego popatrzał bezmyślnie, uśmiechnąłby się z zakłopotaniem i taksamo dalej poszedł. Już tam na ludzi to nie zważał...

Nie myślał Michał ani o tej kolendzie, którą dostał, ani o zjadliwych słowach ludzi, ani o groźbie rządcy. Jedno tylko co usłyszał w kancelaryi utkwiło mu w biednej głowie i rozbudziło w niej dalekie, zamglone wspomnienia...

Wspomnienia rzeczy minionych, przeszłych na zawsze a jednak tak silnie niegdyś stojących, tak zdało się trwałych że można było na nich życie budować...

I.

Historyę życia Michała Jarca słyszałem z ust różnych ludzi i od niego samego.

Dawne to czasy, dwadzieścia lat blizko minęło, jak za poprzedniego dziedzica był parobkiem we dworze.

Młody, zdrów, pełen siły i chęci do pracy, wesół i sprytny

miał u wszystkich we wsi życzliwość. Inny był od swoich rówieśników. Nie lubował się w nieokiełzanych zabawach, nie miewał szalonych wybuchów wesołości objawiających się w pijatykach, dzikich śpiewach i bójkach. Za dziewczętami nie gonił a chociaż niejednej się podobał dawały mu spokój bo jeśli mu która kpinami dojadła, odciął się zawsze w taki sposób że tylko ona źle na tem wyszła.

Biedny był i sierota, nie miał nic prócz tego czego mu niezbędnie było trzeba. Ze zbytków posiadał tylko prócz skórzanych portek, kożucha i pary „nowych" butów kilkadziesiąt koron z oszczędności i trochę pieniędzy u dziedzica.

Miał Michał siostrę która była za kowalem. Kowal źle się obchodził z żoną. Często wybuchały gwałtowne spory między szwagrami; kończyło się jednak tylko na słowach bo Kaśka potrafiła ich zawsze pogodzić.

Miewał Michał dziwne chwile. Chwile w których zamykał się w sobie i nie obchodziło go nic, co się działo wkoło niego. Pracował milcząc, nie chodził na żadne zebrania, nie odpowiadał nigdy gdy go się pytano o czem tak myśli. Bo i sam nie wiedział co ma odpowiedzieć. Nie był smutny, a chodził taki zasępiony jakgdyby dopiero co pogrzebał ojca.

Cieszyła go ziemia, zapach sianokosów, ryczenie bydła na pastwisku, dziękował Bogu że żyje a serce wzbierało mu wielką radością. Radby był cały świat ściskać z wielkiego ukochania. A chodził zasępiony i przemyśliwał nad tem coby to mogło być takiego...

Zawsze kończyło się na jednej odpowiedzi:

Czy świat byłby dla niego tem czem jest, gdyby nie Hanka...?

Długi czas te chwile milczenia były powodem do podejrzeń.

Nazywano go dziwakiem, bo jakżeż nazwać człowieka który na drażniące zaczepki odpowiada bezmyślnym uśmiechem tak jakby nie rozumiał dwuznacznych żartów?

Lecz jakoś powoli zmieniło się i Michał przestał miewać napady ponurego milczenia. Jakoś nie miał na to czasu. Podczas pracy wspólnej stał się rozmownym aż do przesytu, gdy pracował samotnie, świstał i śpiewał bez opamiętania.

Wieczorami widywano go jak stał przy płocie sadu, czekając na kogoś co mu tu kazał przyjść.

Gdy Hanka wybiegła wreszcie ze dworu witał się z nią nieśmiało i stali oboje długo, bardzo długo, ona w sadzie pod ciężkiemi gałęźmi drzew a on za płotem przy drodze. Stali, cicho rozmawiając, póki mrok nie spowił ziemi.

I Hanka była sierotą. Wychowała ją jakaś krewna, a we dworze dokąd od dziecka już chodziła pomagać służbie, nauczono ją czytać i pisać; była przyjaciółką dzieci i ulubienicą samej pani. Gdy krewna umarła nie pozostawiwszy nic sierocie, Hanka zamieszkała na stałe we dworze.

On miał lat dziewiętnaście a ona o dwa lata młodszą była od niego.

Nie tajno było państwu że Michał i Hanka mają się ku sobie. Michała lubiał dziedzic bo był pracowity, uczciwy i trzeźwy, za nią przepadała dziedziczka, postanowiono zaopiekować się obojgiem. Dziedzic obiecał dać im mieszkanie w domu czeladnym i na początek trochę pieniędzy gdy się pobiorą.

Niejedna para oczu z pod kwiecistej chustki zazdrośnie patrzała na Hankę, niejednego też młodzika zazdrość ogarniała na myśl o szczęściu Michałowem. Ho ho, jaka to była z nich para!

Chłop był z niego jak się patrzy. Wielkiego wzrostu, zdrów i silny o twarzy nieco zbyt rozlanej lecz pięknej. Na bujnej czuprynie nosił z zawadyacka filcowy kapelusz obramowany zieloną wstążeczką z pod którego wymykały się ciemne kosmyki i spadały na brązowe, opalone czoło. Ta czupryna była często powodem wielkiej uciechy Hanki. Gdy

zdjął kapelusz brała go obiema rękami za włosy i kiwała jego dużą głową śmiejąc się przytem jak dziecko.

Równa mu była wzrostem i urodą. Wdzięczna to była uroda, jakby samego zdrowia i kształtności.

— „Od Nowego Roku pójdziesz do koni!“ — powiedział dziedzic i Michał został fornalem. Uśmiechało mu się szczęście pełną twarzą, uśmiechali się doń ludzie życzliwi a już najbardziej to lubiał patrzeć w pogodne, ufne, uśmiechnięte oczy Hanczyne.

*

— „Hanka!“

— „Hę?“

— „To grzych jakem ja się dziś w kościele nic nie modlił!“

— „No?“

— „A no. Modlić tom się już całkiem nie mógł.“

— „Skróś czegoż to tak? Czyś se książki nie wziął?“

— „Eee — mam ją tu. Furtem ino miałem otworzoną na tym świętym ze smokiem.“

— „Przecie wiesz jak mu? A nie przeczytasz jeszcze nic? Okrutnie ci pomału idzie to czytanie“.

— „Dy mi przecie niedawno pokazujesz pismo. — Ale z tem modleniem dziś...“

— „Gadajże skróś czego?“

— „Takeś tam stała przy ławce...“

— „Ee... idźże!“ — odwróciła się.

— „Nie gniwaj się Hanka! Przeciem już furt ino mówił: a nie wódź nas na pokuszenie...“ Nie skończył i patrzał z uśmiechem na nią, ciekawy, jakie wrażenie wywrze jego żart.

— „Ot, głuptaku jeden, lepiejbyś poszedł do chłopców; widzisz jak stoją na drodze a patrzą ku nam!“ — zagadywała.

— „Co mi tam oni...“

Od kościoła, drogą wiodącą przez wieś płynie rzeka pstrych chustek, sukman i surdutów. Rozchodzą się ludziska po mszy do domów a za każdym krokiem ciężkiego buta podnosi się z drogi pył biały osiadający po rowach na trawie zżółkłej już od spiekoty. Rozrywa się rzeka wracających, wątleje, ginie. A pod kościołem stoi wciąż młoda para i ani myśli o powrocie.

Michał patrzy teraz z uwagą w książkę do nabożeństwa Hanki na której mu ona pokazuje litery. Ciężko mu idzie, poczerwieniał i spocił się cały — ale jakoś idzie.

Wyjęła z książeczki kawałek czystego papieru i wielkiem pismem skreśliła: M i c h a ł.

— „Przeczytaj!“

— „Mmm...“ począł „mi... mi...“

— „Chał!“ dokończyła z uśmiechem. „Jeszcze niewiesz jak: ch.“

— „Chał...“ — powtórzył za nią i patrzał uważnie na to „chał.“

— „Michał“ rzekł wreszcie z wielką ulgą.

— „Dobrze. A teraz to.“ Napisała swoje imię i nazwisko.

Po ciężkiem stękaniu wysylabizował.

— „An-na...“

Nagłym ruchem podniósł głowę i utopił w jej oczach gorący wzrok.

— „Nie tak...“

— „A jak?“

— „Wiesz...“ szepnął pieszczotliwie.

Zrozumiała. I oto Michał dostąpił tego szczęścia że mógł po długiem stękaniu przeczytać: A n n a J a r z e c.

Zamknęła książkę.

— „Hanka!“

— „Co Michałku?“

Patrzyli sobie w oczy długo, milcząc. Co sobie mówili, ile słów niemych, ile obietnic szczęścia czytali z oczu...

We wsi była cisza. Z kominów nizkich chałup szły dymy prosto w górę ku słońcu stojącemu na szczycie nieba. Kędyś w oborze zaryczało cielę, ze strzechy jakiejś klekotał bocian.

Byli sami. Ramię jego opasało ją a ręka dotknęła kwiecistego gorsetu.

— „Hanka...“

— „Co Michałku?“

Bóg raczy wiedzieć co chciał mówić bo nie powiedział nic. Po chwili dopiero odezwał się znów cicho:

— „Pogoda taka...“

— „Ba!“

Oczy ich poszły po niebie słonecznem, po widocznych z pagórka, wyciągniętych za wsią łanach wyzłoconych pszenicą, po słomianych strzechach chat — i wróciły do siebie.

— „Taka pogoda, Hanka, tak fajnie, tak dobrze, tak dobrze...“ szeptał tuląc ją do siebie.

A w piersi grała mu pieśń miłosna dla całego świata do której słów znaleźć nie umiał.

*

Ale o ślubie jeszcze czas było myśleć. Kończył Michał lat dwadzieścia i musiał odsłużyć wojsko... I poszedł do miasta dalekiego, gdzieś aż na Węgry, i wiedział o tem, że nie zobaczy „jej“ długo, bardzo długo.

Wsadzili go w granatowy mundur i kazali maszerować. Michał słuchać umiał. Umiał być cierpliwym i miał mocne zdrowie.

Rok cały wytrzymał i ani myślał o tem, żeby nie módz wytrzymać dłużej. Tylko że tęsknota wielka i żal ściskały mu serce na myśl o tem, co tam teraz Hanka porabia. Wierzył jej święcie i był pewien że żaden Franek ani Józek miejsca jego nie zajmie. Ale mu jakoś strasznie było smutno.

I oto pewnego dnia przyszedł list od Hanki. Czytali mu w nim koledzy tęsknotę ogromną i oczekiwanie, czytali mu

że to wszystko co jego dusza przechodzi to wszystko gnębi duszę jego Hanki. List kończył się prośbą aby wrócił choć na dni parę, choć na jeden dzień.

Michał otarł łzy niebieskim rękawem, wciągnął nosem powietrze i postanowił prosić o urlop. Malował sobie już w myśli powrót do domu, radość wielką Hanki i Kaśki, zazdrosne spojrzenia towarzyszy którzy mimo jego nieobecności niczego nie dopięli.

Na drugi dzień dowiedział się Michał Jarzec, frajter x-go pułku piechoty, że urlopu nie dostanie. Ściskał pięści i w gardle go dławiło, kułakiem poczęstował kilku towarzyszy którzy z niego się naśmiewali, omal że języka nie pokazał samemu kapralowi.

Kiedy przyszła 5-ta godzina popołudniu zawinął Michał swoje stare ubranie w węzełek i wymknął się za miasto. Granatowy mundur o jednej białej gwiazdce zniknął niewiadomo gdzie a wązkiemi drożynami wśród pól i lasów szedł dawny Michał Jarzec w szarym kabacie i kapeluszu o zielonej wstążeczce.

*

Wilgotne, stęchłe powietrze. Przez małe, w grubym murze wysoko osadzone okno przegląda niebo szare, deszczowe. Na podłodze siedzi dezerter. Prawę rękę przykutą ma żelazną klamrą do lewej nogi i zgarbione, strasznie zbolałe plecy. Właśnie przed chwilą wyszedł był kapral pożegnawszy Michała uderzeniem pięści w twarz.

Ale to nic. Nie czuł już żadnego bólu. Jeszcze zanim tu przyszedł, zbili go strasznie. Nie pamiętał ile razy spadł kij na jego głowę, plecy i ramiona. Nie mógł nawet o niczem myśleć. Nie wiedział jak go tu przynieśli czy przyprowadzili, nie zdawał sobie sprawy z tego, jaka go jeszcze kara czeka.

Bóg raczy wiedzieć jakie tajemnice procedury karnej względem takich jak Michał kryje i kryło przed laty osiemnastu

prawo czy bezprawie militarne. Dzisiaj sam Michał nie opowie nam co się z nim przez czas kary działo. Wie tylko że go bili strasznie, że „siedział“ długo, że leżał potem w szpitalu a po wyjściu musiał jeszcze czwarty rok odsługiwać.

*

Tak tedy po pięciu blizko latach nieobecności wracał Michał w przepełnionym wagonie trzeciej klasy do swego kraju. Strasznie się zmienił od tego czasu kiedy wyjeżdżał ze wsi; schudł do niepoznania, pod oczyma wypukłemi wisiały mu fałdy obrzękłej skóry. Ruchy jego stały się ociężałe, mdłe, podobnie jak wzrok.

Siedział na ławce wagonu w ścisku i hałasie, z głową opuszczoną na piersi a nieszczęśliwe oczy utkwione w jeden punkt na bucie siedzącego naprzeciw, wyzierały z pod filcowego kapelusza. Otwarta gęba ukazywała brak kilku zębów w zdrowej szczęce. Ręce zwisały bezwładnie z ławki tylko od czasu do czasu któraś z nich podniosła się aby złapać pchłę za koszulą. Gdy koszulę rozchylił, widno było piersi czarne, kosmate, zapadłe, dyszące ciężko.

Jechał Michał do domu a w głowie kotłowały mu się poplątane myśli. Słyszał sapanie lokomotywy, widział zabłocone nogi swego sąsiada, a za oknami szczere pole pokrajane pstremi zagonami.

Pamiętał tylko o tem, że jedzie do domu, na ustach wisiało mu słowo przez te cztery lata tak często powtarzane: Hanka.

Czuł Michał nieszczęśliwy że się coś zmieniło w nim, że się coś bardzo zmieniło...

*

Jesienny, chłodny wieczór.

Na folwarku ustała wszelka robota, tylko jeszcze z kuźni dworskiej dolatywał huk młota.

I we wsi spokój. Czasem pies zaszczeka lub zaryczy gdzieś krowa. Od okien kilku chat żydowskich bije światło na białą drogę. Sobota.

Idzie Michał Jarzec tą znaną dobrze drogą przez wieś a w oczach mu mokro.

II.

Dworski kowal bił z zaciekłością młotem w kowadło. Spieszył się z robotą ku końcowi i co chwila krzyczał na swego terminatora porządkującego na noc w kuźni. A powodem złego usposobienia był znów jak przed laty kilku: Michał.

Przy drzwiach, na nizkim stołku siedziała zgarbiona postać.

— „Majster...“

Kowal przerwał na chwilę robotę i niecierpliwie zapytał:

— „Czego znowu chcesz?“

Michał podniósł na niego oczy, kiwnął głową i cicho zapytał:

— „Czy to prawda?“

Kowal ruszył ramionami, podniósł w górę obiema rękami wielki młot i grzmotnął z całej siły w kowadło.

— „Przeciem ci mówił“! wyrzekł gwałtownie.

— „Umarła?“

— „Umarła człowiecze no!“ — Rzucił młot na ziemię i przyskoczył do Michała. „Ile ci razy — psiakrew, nalepo jedna, będę gadał tosamo!!!“

Jarzec nie przestraszył się. Spuścił znów oczy ku ziemi i siedział cicho. Kowal uspokoił się, wyszedł przed kuźnię i począł chować narzędzia aby pójść do domu.

Więc Kaśka umarła. Michał nie mógł o tem wiedzieć bo od czasu swojej ucieczki, jednej wiadomości nie dał o sobie ani wzamian nie otrzymywał. Żalu nie czuł. Zdziwiony tylko był bardzo że to się tak mogło stać. Jego biednej

głowie zdawało się że wszystko tutaj tak zastanie jak zostawił. Poprostu pamiętał to teraz tylko tak, jak się pamięta obraz raz widziany.

Po chwili zwrócił się do chłopaka okrywającego na noc żar na ognisku.

— „Ty!“

— „Hę?“

— „Umarła Kaśka?“

— „Dy wam majster dopierusieńko mówili...“. — „Rozmaicie tam ludzie o tem mówią“ dodał cicho.

Gdyby Michał umiał zebrać myśli dorozumiałby się teraz co się stało z jego siostrą.

— „A Hanka...?“ szepnął nieśmiało.

— „Jaka? Ze dwora? A jest tam...“

Wzruszenie dziwne, nie odczuwane dotąd ścisnęło mu krtań. Odetchnął głęboko i rzekł z nagłem zdecydowaniem:

— „Wróciłem.“

W jednej z izb baraku chrapał rozciągnięty pod wielką czerwoną pierzyną kowal. Czy go sumienie ruszyło ludzkie, czy też uczuł że jakieś względy dla szwagra powinien mieć, dość że pozwolił Michałowi przenocować u siebie. Najpewniej jednak myślał o tem że ludzie i tak dość już gadają o nim i robią rozmaite domysły na temat Kasinej choroby i... śmierci...

Wisząca na framudze drzwi lampa rzucała przyćmione światło na pokój a w tem świetle rozpoznawał siedzący na ławie Michał stare Kasine skarby: obrazy święte któremi pozawieszana była ściana nad łóżkiem, malowaną skrzynię na przyodziewek; poznał też stojąca w kącie swoją skrzynkę którą oddał siostrze w przechowanie odchodząc w świat.

Nie chciało mu się spać. Czuł się dziwnie trzeźwy, jakby cudem nagle rozjaśniło mu się w głowie i korzystał z tej chwili aby myśleć. Opanowała go wielka, dziecinna radość z której sobie nawet sprawy nie zdawał. Oczy błądzące po

izbie błyszczały mu jakby dawnym szczęśliwym ogniem, na twarzy osiadł dobry, poczciwy uśmiech który widywali u niego towarzysze młodości.

Tyle czasy, tyle czasy...

Nikt tu nie wie co się z nim działo, nikt nie będzie pytał, a jak będzie, to i co? Abo to wstyd? Abo to on tak pierwszy?

A stary pan co powie?

Abo to on jeszcze we wojsku? Abo on se da co gadać? A Hanka?

Ona czeka, ona może myślała że on nie wróci a on przecie wrócił. Ale ona czeka...

Nie przeszło mu nawet przez głowę żeby ona mogła się zmienić dla niego.

Myślał o jutrze.

Zapomniał w tej chwili o kilku latach niedoli, było mu tak, jakby po uciążliwym dniu chodzenia za pługiem odpoczywał, aby nazajutrz w odświętnem odzieniu pokazać się swojej dziewczynie. Ktoś, kto go widział jeszcze wczoraj, nie uwierzyłby tej cudownej zmianie.

Wstał Michał z ławki, otworzył swoją skrzynię i zaczął przegląd dobytku. Odłożył na bok to co uznał za potrzebne, resztę schował z powrotem, zagasił lampę i wyszedł boso na dwór aby się umyć przy studni.

Pilno mu było.

Noc była jasna i pogodna. Gdy powrócił orzeźwiony do izby nie zapalał już światła; dość mu jasno miesiąc przyświecał.

Brudne, wychodzone odzienie poszło do skrzyni a nazajutrz rano, kowal zbudziwszy się, ujrzał Michała który w długim, żółtym kożuchu, czystej koszuli związanej na szyi czerwoną wstążeczką, w skórzanych portkach i błyszczących butach, drzemał rozparty na ławie z rękoma w kieszeniach jak za dawnych, dobrych czasów.

Gdy fornale i parobcy mieszkający w baraku dowiedzieli się o powrocie Michała, gwarno zrobiło się u kowala. Każdy wchodził do izby przez niskie drzwi, schylając się u proga niby onieśmielony, a ciekawy po tak długiem niewidzeniu ujrzeć sławnego Michała Jarca. Niejeden tam był taki co jeszcze dzieckiem był prawie, gdy Michał w świat poszedł, a słysząc jako dorastający młodzian wiele o nieobecnym, pałał żądzą poznania go teraz bliżej.

„Niech będzie pochwalony...“

„Niech będzie“ odpowiadał kowal za dwóch, obrabiając twarz Michała brzytwą. Był w doskonałym humorze i z wielkiej łaski ofiarował się ogolić szwagra któremu ręce tak drżały, że ani mu było myśleć o braniu się do brzytwy.

Siedział Michał naprzeciw okna nieruchomo, utkwiwszy oczy w suficie i milcząco przyjmował powitania znajomych.

„Jesteście Michale!? Co się z wami tyle czasy działo?

„Jak się masz Michałku! Ooo psiakrew ale ci chudo na gębie! Jakoż ci tam było gwer nosić, hę?“

Michał kontent był, że nie musiał odpowiadać. Gdy majster przerywał chwilami aby otrzeć brzytwę, witał się z nimi śmiejąc się szeroko, patrzał na nich, przypominając sobie zaledwo kim był niegdyś dla niego ten lub ów.

Wychudzone jego ciało przebiegały dreszcze radości. Śmiał się na każde zapytanie, na każde zdanie o sobie, na każdą odpowiedź kowala, który go czasem w złośliwy sposób wyręczał. Szczęściem mniej teraz pytano jego a zato tłoczono się nieledwie ku niemu z rozmaitemi nowinami, plotkami i opowieściami o nieobecnych, o dworze, o dziewczętach. Śmiali się towarzysze patrząc na nieśmiałość i niezaradność Michała a tłumaczyli ją sobie wielką radością, która go ogarnąć musiała za powrotem po tak długiej nieobecności.

Kilku złośliwych przycinków na temat Hanki i długiej jego nieobecnośc i nawet Michał nie dosłyszał a może tylko nie zrozumiał.

Na drżących wargach wisiało mu zapytanie którego nie śmiał wypowiedzieć: Gdzie Hanka?...“

Nie mówił nic. Kiwał tylko bezmyślnie dużą głową i śmiał się.

Gdy gromada chłopców dochodziła do kościoła, zdecydował się wreszcie Michał wyrzec to pytanie. Obrócił się ku jednemu z najmłodszych i spytał się nieśmiało: „Gdzie Hanka?“

Wyrostek popatrzał mu w oczy zazdrośnym wzrokiem.

„Musi już w kościele. Dziwki zawdy pierwsze“.

„Ona będzie?“

„Juźci będzie“.

Ciepłe, jesienne rano. Cała darń cmentarza popstrzona zżółkłemi liśćmi, drzewa stoją czerwone i zżółkłe ukazując miejscami nagie gałęzie. Naokoło kościoła mnóstwo ludu oczekuje Mszy świętej sam kościół zapchany szczelnie, tylko przez środek jego od drzwi ku ołtarzowi wolne przejście.

Ministrant zadzwonił.

Michał stanął w progu i górując wzrostem nad tłumem płonącemi oczyma szukał Hanki. Wreszcie zatrzymał wzrok na jednej postaci. Nie widział jej twarzy, a jednak pewny był że to nie kto inny. Stała opodal ołtarza na końcu przejścia i odwrócona od niego pochyliła głowę nad książką. Pochłaniał wzrokiem urodę całej jej postaci, której mu rozstąpiony tłum nie zasłaniał. W głowie i sercu głośno bijącem tętniło mu jak młotem jej imię.

Czy to było tosamo młodzieńcze przywiązanie, czy to była tasama serdeczna, dziecinna miłość która przed laty ciągnęła go ku niej?

Trudno powiedzieć jak sobie Michał tłumaczył to uczucie. Teraz mógł to być także jakiś pociąg nad którym on sam już się nie zastanawiał, coś jakby wiara w zbawienie którem dla niego jedynie mogła być ona. Nie dziwota. Wszakci zawsze tylko w niej jednej miał prawdziwą przyjaźń i opiekę, wszakże

i teraz wierzył jej jak Bogu i nigdy nie powstała w nim nawet myśl, żeby ona mogła być inną niż była.

Drżał tak że aż szepty poczęły chodzić między ludźmi; ściśnięta w progu młodzież półgłośno złośliwe żarty robić sobie poczęła. Wreszcie już wszyscy oglądali się na niego.

Nie wiedział o tem. Jak oczarowany patrzał na nią i czekał jej wzroku. A gdy wielkie zdziwione oczy Hanki spotkały jego wzrok, kolana zatrzęsły się pod nim, ręką chwycił za włosy.

„Hanka...“

Od ołtarza rozległ się dzwonek. Ukląkł oprzytomniawszy i nie powstał już do końca mszy.

Wylewał się barwny tłum z kościoła, a każdy wychodzący ciekawem okiem rzucał na grupkę młodzieży stojącą przy bramie. Jak też wygląda ten Jarzec przy najładniejszej dziewczynie z całej wsi co tak długo nań czekała.

A jej było strasznie nieswojo i wstydno.

„Tyle czasy, tyle czasy...“

Jakże tu gadać kiedy taki huk luda patrzy. Jakże gadać kiedy ten Michał taki niemowa... Stoi, ręce w kieszenie wtłoczył, patrzy jeno na nią gorącym wzrokiem i uśmiecha się...

Za nich gadali inni. Słuchali innych, nie słysząc co mówią, stali zamieniwszy z początku tylko kilka słów przywitania.

Serce w niej biło młotem a on trząsł się jak ta brzoza. Życzliwi im byli wszyscy chociaż czasem niewinne, złośliwe żarty padały. Jakaś dziewczyna szepnęła Hance na ucho:

„O jej, ale ci ten Michałek okrutnie zbrzydł...“

Wybuchnęły obie dziecinnym śmiechem. Zawtórowała im cała gromada, a najgłośniej śmiał się Michał rozdziawiwszy gębę szeroko, nie znając nawet przyczyny radości. Czuł biedak instynktownie że jest powodem drwin, ale złości nie miał nijakiej. Obojętne mu to było, wierzył Hance i to mu wystarczało.

Stara kucharka ze dworu odwołała ją. Spytała na odchodnem:

„Będziecie u dziedzica?“

„Ba...“

„Dziś?“

„Dziś“. Potem przypomniawszy sobie dorzucił jeszcze: „Przyńdę ku tobie.“

Mocny uścisk ręki, zaszeleściały liczne spódnice i znikła mu z oczu.

„Oj Michałku, stara nalepo, co jest to jest, fajną masz freirkę...“

„Co jest to jest, a mam.“

„A no.“

„Ba.“

*

Niecierpliwe dzwonienie przerwało starej kucharce ciekawą lekturę. Westchnęła głęboko, zdjęła okulary, pokręciła głową rozmyślając nad tem jak smutny jest los kucharki, wstała i odpasawszy fartuch weszła do pokoju. Dziedziczka siedziała przy śniadaniu. Kucharcia założywszy czerwone ręce na pokaźnym brzuszku stanęła przed stołem.

„Całuję rączki jaśnie pani! Jaśnie pani dzwoniła?“

„Co się dzieje z Hanką? Nie mogę jej się dzisiaj doczekać. Dzwoniłam na nią nie na was.“

„Albo ja wiem? Musi tam gdzieś być. Bo ja wiem?“

„A cóż to jest żebyście wy nie wiedzieli co się dzieje ze służbą!? Któż ma wiedzieć?“

Kucharcia westchnęła.

„Ta ja wiem gdzie ona. Tylo że to teraz tak ciężko z tą służbą że joj. Hanka w izbie.“

„No i cóż to jest że nie przychodzi? Może jest ak słaba?“

„Ta gdzie słaba! Ja tam była u niej to ona leży a nie chce nic gadać...“

„Z pewnością chora."

Musiała kucharka coś więcej wiedzieć, ale uważała, że nie licuje z jej godnością wtrącać się w sprawy niższych sfer.

„W kościele ze mną rano była, a teraz ino leży a furtem płacze."

„Muszę ja sama zobaczyć co to jest."

Dziedziczka wstała aby pójść do izby Hanczynej. W przedpokoju spotkała się z mężem który wracał właśnie z konnej przejażdżki.

„Jest nowina we wsi. Powiadam ci wszyscy o tem tylko mówią".

„Cóż to takiego?"

„Wrócił Michał Jarzec".

Michał Jarzec? Czy to nie tutaj powód dziwnego zachowania się Hanki?

Po krótkiej rozmowie uznali oboje że lepiej może dziś dać spokój Hance.

*

Zeszedł Michałowi cały dzień na witaniu i oglądaniu starych znajomych ludzi i zwierząt, sprzętów i miejsc.

Szara była godzina gdy go lokaj zameldował dziedzicowi. Pan nie dał długo na siebie czekać. Przyszedł niebawem do przedpokoju. Ogromna postać parobka pochyliła mu się do kolan.

„Niech będzie pochwalony!..."

„Na wieki! Zmiłuj się chłopie co z tobą tyle czasu się działo? Już wszyscy myśleli żeś przynajmniej do Ameryki pojechał..." powitał go dziedzic z uśmiechem. Michał wyprostował się i począł wstydliwie kręcić kapeluszem w rękach. Wtedy dopiero ujrzał dziedzic wielką zmianę w jego twarzy, wymizerowanie okrutne i przybladły, zmatowiały blask oczu. Żal mu się zrobiło dawnego ulubieńca. Począł go wypytywać o życie i zajęcie w mieście, o zamiary na przyszłość. Michał próbował spokojnie odpowiadać; czuł, że nie zatai niczego

przed tym dobrym opiekunem, chciał tylko winę swoją jakoś zmniejszyć, chciał siebie samego w jaknajlepszem świetle przedstawić. Dziedzic domyślał się już teraz losów Michała.

Cała powierzchowność byłego parobka mówiła o ciężkich kolejach, które przechodził.

Michał urywanemi słowy wypowiedział wreszcie: że uciekał, że musiał odsiadywać karę, że służył długo, że zaraz po ukończeniu służby powrócił.

„No widzisz, widzisz Michale! Z wojskiem to tak jak ze złym psem. Poczekasz cierpliwie, minie cię. Będziesz chciał się bronić, pokąsa. Któż ci winien? Kto ci kazał uciekać?“

„Ta nie kazał...“ Czuł Michał że powodu ucieczki nie ma poco wyłuszczać bo go nikt nie zrozumie. Żal wielki go zalewał, którego nie chciał okazać. Więc oczy szeroko rozwarł i zmusił się do uśmiechu.

„No widzisz — byłoby teraz już inaczej...“

Dziedzic skręcał rozmowę na inny temat.

„Czekali tu na ciebie wszyscy. I chłopy i służba i my także. Myślałem że cię będę miał do koni jeszcze w tamtym roku. No jakże teraz? Masz ochotę służyć?“

Michał pochylił mu się do kolan. Od dobroci pana jęło go coś ściskać za krtań a oczy łzami zachodziły.

„No no, dobrze już! Cóż ty myślisz począć teraz ze sobą?“

Zebrał Michał na odwagę i rzekł:

„Ja proszę łaski pana dziedzica jużbym chciał jak tam pan dziedzic każą — po staremu...“

„Czekali tu na ciebie długo...“

„Przecie!“ rzekł z przekonaniem Jarzec.

„Nie odemnie teraz zależy, ale od ciebie samego i od pana Boga jak się pokierujesz. Ja cię do służby przyjmę. No a jak będziemy z siebie zadowoleni to myślę że ci będzie dobrze...“

Michał schylił się panu do rękawa.

„Proszę łaski pana dziedzica — jąkał się — ja przecie wiem co jest i jak ma być...“

„Będziesz pewnie chciał się żenić?“

„Ano!“

„Kiedy?“

„Chojby ta i zaraz.“

„Pilno ci. A z kim że to?“

Jarzec zakłopotał się. Patrząc w ziemię kręcił kapeluszem.

„Z Hanką?“

„Ano a z kim?“

„A cóż ona?“

„He he!“ Zaśmiał się tryumfalnie.

Jeszcze chwilę trwała rozmowa. Gdy wreszcie Michał wyszedł ze dworu, serce miał radosne i głębokie przekonanie że z takim opiekunem jak dziedzic nic mu się złego stać nie może.

*

Hankę trapiły okrutne myśli. Nie wiedziała nic co się działo z Michałem tyle czasu, jakże mogła być spokojną o to czy go przypadkiem w dalekim świecie co nie przytrzymało, nie zabrało go jej na zawsze? A teraz gdy powrócił, czy powrócił także do niej? Widziała go w kościele. Rozmawiała z nim chwilę — w jego gorących oczach mogła wyczytać wszystko. Tęsknotę tyloletnią, radość, miłość serdeczną. A przecie, przecie coś w nim było tak dziwnego. — Prawda że i ona tam tak głupio stała nic nie zagadawszy mądrego, ale jakże? Tyle było luda przy nich... Całą niedzielę płakała. Czemu? Czy z radości, czy z niepokoju, czy ze smutku? Dźwięczały jej w uszach ostatnie jego słowa dzisiejsze: „Przyńdę ku tobie...“ i czekała.

Gdy dziedziczka zniecierpliwiona całodzienną jej nieobecnością kazała jej wreszcie przyjść do siebie, poszła otarłszy łzy fartuszkiem wstydząc się bardzo. Lecz na pierwsze pytanie pani: „cóż tobie jest Hanka?“ runęła jej do kolan a wielkie

szlochanie nanowo z piersi się jej wydarło. Pani była zakłopotana. Poczęła łagodnie głaskać ją po głowie i przemawiać:

„No no, cóż to takiego? Uspokój się.“

Hanka ocierając łzy płakała wciąż.

„No przestań że już! Przecie ci nikt krzywdy nie zrobił!“

Juści prawda! Nikt jej krzywdy nie robi...

Uspokoiła się Hanka wreszcie i całując rękę dziedziczki wyszeptała:

„Mnie nic — ino że to tak samo...“

„Posłuchaj mnie i zaprzestań tych głupich beków! Podobno wrócił Michał Jarzec dzisiaj?“

Dziewczynie ścisnęło coś okrutnie gardło. Nie stało jej siły na słowa, skinęła tylko głową.

„No i cóż tam? Powiedział ci co przykrego?“

Przeczący ruch.

„No to i czemuż płaczesz?

Hanka uśmiechnęła się i ruszyła ramionami kręcąc w rękach fartuszek. Dziedziczka nie chciała więcej mówić o tem, nie wiedząc co tam jej mąż z parobkiem uradzi.

„No więc, skoro i tak dziś do niczego nie możesz się zabrać w tem wielkiem nieszczęściu, to już nic dziś nie rób. Uspokój się tylko, żebyś była chociaż jutro całkiem zdrowa“.

W tejsamej chwili Michał wychodził od dziedzica. Słyszała Hanka ciężki stuk jego butów w przedpokoju, w głowie zaszumiało jej znowu: przyńdę ku tobie...

Dziedziczka spostrzegła zmianę w jej twarzy. Uśmiechnęła się gdy Hanka przerażony wzrok utkwiła w twarzy wchodzącego dziedzica: Dziedzic powiedział parę słów po francuzku do żony, a potem zwracając się do dziewczyny zapytał z uśmiechem:

„Czy i tobie tak pilno do ślubu jak Michałowi?“

Michał wyszedłszy z pałacu, postał chwilę za progiem, włożył kapelusz, obciągnął kożuch, poczem skręcił koło kur-

ników na łąkę. Skrajem łąki ciągnął się łozowy parkan odgraniczający ogród i sady od pola. Dalej, poza łąką czerniały zorane smugi hen aż na horyzont, nad którym czerwieniło się zachodnie, pogodne niebo. Słońca nie było już widać.

Michał stanął przy płocie, pod gałęźmi drzew zwisającemi przez ogrodzenie i patrzał w cichy, w wieczornym mroku zasypiający sad. To było tosamo miejsce, w które dawniej zawsze po skończeniu robót wieczorami przychodził i czekał na nią. A dziś? Dziś nie mówił jej nic gdzie będzie czekał i kiedy... Ale ona przyjdzie, przyjdzie z pewnością. Przecie to tak samo jak było dawniej, tasama godzina, tosamo miejsce, i on taki samy...

Nagle niepokój jakiś go ogarnął. A czy i Hanka taka sama? Wszakci ona nie musi, nic nie musi... Wszakci nie musiała czekać tyle czasy na niego...

Otrząsnął się. To nie może być. Nie pytałaż go dziś przed kościołem czy przyjdzie?

Szeroko otwarte oczy utkwił w ciemnym parku a rosłemi jego barkami wstrząsał mocny dreszcz.

Stał tak może z dziesięć minut, kiedy nagle między drzewami coś mignęło. Hanka szła powoli lipową aleją ku skraowi ogrodu. Nie dowidział Michał jej spuszczonych oczu, ani ona nie widziała jak on począł gwałtownie kręcić papierosa aby ukryć okrutne wzruszenie. Nie patrzała, wiedziała napewno że jeżeli Michał gdzie na nią czeka to tylko tutaj.

Stanęła wreszcie przy nim, po drugiej stronie łozowego płota. Popatrzyli na siebie, lecz ona zaraz spuściła oczy ku ziemi. On patrzał na nią gorącym wzrokiem, zawzięcie kręcąc papierosa.

„Dobry wieczór...“ zaczął Michał.

„Dobry wieczór...“

Michałowi rozdarła się jedna bibułka, wyjął drugą. Skręcił wreszcie papierosa i zapalił. Przy świetle zapałki ujrzała Hanka wyraźnie jego twarz ciemną, gładko wygoloną, o ostrych

rysach. Kilka zmarszczek koło ust zdradzało zakłopotany uśmiech.

Rzucił zapałkę i wydmuchując dym rzekł:

„U was nie dostanie węgierski tabak!“

U was — powiedział. Hanka podniosła głowę.

„Przódy to tu było i u was...“ rzekła cicho.

„U nas“ poprawił się z naciskiem.

Cisza. Na łąkach kędyś rozlegało się skromne granie żab, czasami komar zadzwonił cieniutko koło ucha.

„Komary bzykajom...“ zauważył Michał.

„A od dymu lecą“ dodała Hanka.

„Dusi ich...“

„Przecie.“

„A ciebie nie dusi?“ zapytał nieśmiało.

„Nie! Palcie ino.“

Palił więc i palił.

„Fajnie jest dziś.“

„U nas zawdy fajnie“ szepnęła.

„Zawdy?“

„A dziś nafajniej.“

„Czemu tak?“

Rozumiał dobrze czemu dziś nafajniej, ale chciał to od niej usłyszeć.

„Dlaczego dziś? Co? Dlaczego?“

„Nie pytajcie.“

„Hanka...“

„Co?“

„Ty se myślałaś że ja nie wrócę?“

„Ja nie wiedziała nic“ odpowiedziała, a nieświadome łzy z oczu jej spłynęły.

Michałowi ścisnęła się krtań. Rzucił papierosa, ręka jego zwisająca poza płot spotkała rękę Hanki.

„Michał...“

„Ja taki samy...“ szepnął.

„Wróciłeś?“

„Ku tobie...“

Podniósł obie jej ręce i oparł na nich głowę — poczuła łzy jego na rękach.

„Michał, Michałku... Michałku...“

„Ja taki samy — mówił cicho — taki samy... Nie wierz Hanka, ja nie bywał nigdzie, ja cztery roki gwer nosił, ja rok siedział, ja chciał ku tobie, ja taki samy chocia mię w mordę bili, chocia na mnie pyskowali! Ja taki samy...“

Wraz ze łzami płynęły jego słowa które Hanka chciwie chwytała, których słuchała z wielkiem wzruszeniem.

Mówił jej wszystko, wszystko co przeżywał, wszystko co wycierpiał, jak go bili, jak on się ku niej rwał...

Głaskała jego głowę przytulając do swojej, niezmierne kochanie rozsadzało jej serce, czuła wraz z nim, nienawidziła wraz z nim...

Uspokoił się wreszcie i podniósłszy głowę uśmiechnął się do niej.

„Terazem wrócił teraz inaczej będzie...“

„Inaczej będzie“ powtórzyła patrząc na niego z zachwytem.

„Mojaś ty Hanka!“ mocno wyrzekł odstępując krok wstecz.

„Twoja!“

Oparł się jedną ręką o słupek i jednym ruchem przesadziwszy płot znalazł się przy niej w sadzie.

Noc była pogodna, od czystego księżyca kładły się po zroszonej trawie, po ścieżkach, pod gałęźmi drzew plamy najrozmaitsze...

III.

Wyszły zapowiedzi, minęło Boże Narodzenie, Michał i Hanka wzięli ślub.

Zdarzyło się właśnie że jakiś gospodarz świeżo owdowiały i bezdzietny wybierając się do Ameryki sprzedawał chałupę

i kawałek gruntu przy niej. Za radą i z pomocą dziedzica nabył Michał gospodarstwo, aby przecież być obywatelem swojej wsi. I zaczęło się to inne życie o którem mówił Hance... Czy właśnie o takiem mówił i czy wogóle myślał o przyszłości i wyobrażał ją sobie tak lub inaczej? Trudno o tem mówić. Trudno odgadnąć dzieje myśli człowieka, który teraz tak niewiele umie powiedzieć o swojej przeszłości... To jednak pewne, że Michał mimo ciężkich przejść instynktowo czuł, że ta twarda dola nie wyczerpała jeszcze całej treści jego życia i że to co będzie, jakiekolwiek będzie, nie będzie takie, jakie było.

Będzie lepiej. Wszakże właściwie dawne jego plany ziściły się — Hanka była przy nim.

Swoi są, któż może przeszkodzić temu, żeby życie ich poszło takim torem, jaki mu wyznaczały młodzieńcze uczucia Michała i Hanki jeszcze dawniej, za początków ich miłości?

Czy Michał wiedział co może temu przeszkodzić? Czy zdawał sobie sprawę z tego że kłamie, mówiąc Hance że on taki samy? Wszakci musiał czuć że on już nie ten Michał z dawnych czasów co to był młody i zdrów, wesół i sprytny. A nazwę tej choroby co go tak zmieniła, usłyszał po raz pierwszy jeszcze wtedy, gdy po wyjściu ze szpitala poszedł na musztrę ze swoją kompanią. Już wtedy poczęli go koledzy powszechnie zwać głuptakiem. Już wtedy bać się począł ludzi i unikać ich, a ta obawa powoli zamieniała się w cichą i głęboką nienawiść do świata.

*

Od Nowego Roku miał Michał zapewnione stałe miejsce w stajni jako pomocnik stangreta Stefana. Stajnia stała niedaleko dworu, przechodzili koło niej wszyscy co szli do wsi lub na folwark. Widywał więc często i dziedzica i służbę dworską i parobków i Hankę. Dobrze mu było. Z początku

dziwiło to ludzi, że Jarzec mimo tak dobrego losu jakoś niewiele okazywał zadowolenia. Mało mówił, prawie nie zagadał nigdy pierwszy, na pytania odpowiadał krótko, ot aby zbyć, nie patrzał nigdy w mówiącego a był zawsze zamyślony jakiś jakby nie uważając na to co mówi.

Hanka była nad wyraz szczęśliwa. Patrząc w jej oczy widział to jak pies, co w twarzy pana widzi zadowolenie. „Taki on teraz fajny jej Michał, tak mu dobrze. Swoi są, zapewnione mają życie i życzliwość ludzi, jakże nie mają być szczęśliwi?“

Nie wiedziała jeszcze że o tem co ludzie z początku nazywali nieśmiałością i zakłopotaniem, o tem zaczęto już inaczej mówić...

Życzliwość ludzi, zmienna to rzecz...

*

Pewnego dnia Stefan zawlókł do kuźni popsuty wózek. Podczas gdy kowal opatrywał złamaną wagę Stefan wdał się w rozmowę z gumiennym który właśnie przybył, aby wezwać kowala do uszkodzonego kieratu. Gumienny wcale nie od tego, żeby spędzić na pogawędce parę przyjemnych chwil. I kowal był rad że ma kogoś, z kim może pogadać podczas roboty.

„Wam ta nie pilno na gumno“ powiada ironicznie Stefan do gumiennego.

„Dobrze wam gadać! Mało to ja mam roboty przez cały dzień? A wam to może pilno?“

Kowal przypatrując się pod światło żelaznej sztabie rzekł zgryźliwie:

„He he nasz furman to król! Coby mu było pilno? Takiego ci fajnego dostał szambelana! Niema to nad naszego Michałka!“ Poczem spuścił sztabę ku ziemi i mrugnął jednem okiem figlarnie ku gumiennemu. Gumienny roześmiał się krótko i bardzo głupio. Stefan westchnął i zapalił fajkę.

„Co tam, to tam, ale ten Michał to się wam nie bardzo udał. Mogliście se innego ministra do koni u starego pana wyprosić“ powiedział gumienny.

Stefan wyjął z ust fajkę i splunął.

„Dziwak jest ale chłop dobry...“ mruknął.

„Wszyscy widzimy jaki to chłop. Jak mu łopatą nałożycie do głowy to i zrobi. A miasto dziękować panu Bogu że mu się trafiła i służba taka i taki pan dobry i taki los, on se myśli, że to on taki na wszystkich łaskawy. Po ludzku nie zagada, a chodzi jakby jaki marszałek“ prawił kowal.

„Djasi wiedzą co on tam takiego po świecie nazbierał i kto mu łeb zawracał. A przecie jak się parobcy zejdą to on: dalej! zaryje się gdzie między swoje konie i nie wyjdzie nawet pogadać, chyba tylko ze starym panem albo z Hanką. Głuptak taki...“ dodał gumienny.

„Dziwak bo jest, ale chłop dobry“ powtórzył Stefan gładząc siwe faworyty.

„Wam ta dobry, bo wszystko robi co mu ino każecie. Zawsze on to wie że jak on u starego pana za kataną, toście wy przecie za kamizolą. A w stajni toście wy jego jenerał! On ta dobrze wie co to jenerał! Hoho! już on przy jenerale nie będzie pokazywał swojej woli!“ dowodził kowal dłubiąc coś na kowadle.

Gadając nie spostrzegli że właśnie zdążał do kuźni Michał. Dopiero gdy wszedł, zamilkli.

„Stary pan jadą do miasta. Był Józek wołać was“ rzekł Michał do Stefana powoli i cicho jakby onieśmielony. Taki już był sposób jego mówienia.

Stefan zerwał się i rzucił Michałowi:

„Chybaj zaprzęgać!“

Wyszli razem. Wtedy kowal skinął na gumiennego, siedli obaj na ławce i gumienny dowiedział się ciekawych rzeczy.

Nie jemu to, majstrowi mydlić oczy udawaniem. On wie-

dział wszystko. Nie wiadomo skąd, ale wiedział. Nie darmo wyszedł był z wojska jako cugsfirer od ułanów.

*

Dwojakie miał dziedzic sprawozdania o Michale.

Tu mu go stary Stefan chwalił, tu mu gumienny niby wielką tajemnicę opowiadał że Michał wcale nie taki jak o nim mówili zanim z wojska wrócił, przyczem napomknął coś o tem wkładaniu łopatą do głowy. Przypatrywać się począł częściej robocie Michała. Michał pracował. Pracował jak koń. Nie było roboty do której by się nie wziął z gorliwością, gdy mu kazano. Dziedzic widział że Michał robi co może, ale widział też że nie może tego co dawniej. Zobaczył że prawdę mu powiedział gumienny, mówiąc o tej łopacie którąby należało Michałowi do głowy nakładać.

Rozmawiał z nim a skutkiem tego było, że pewnego dnia rzekł do żony:

„Ten Michał Jarzec c'est un pauvre garçon! On l'a affreusement traité au militaire...“

*

Nie trzeba było wiele czasu na to, ażeby cała wieś dowiedziała się o losach Michała we wojsku. To czego się dotychczas tylko domyślano, stało się pewnem.

Jak wiele jest rozmaitych natur ludzkich i skłonności do wymyślania i przekręcania faktów tak wiele powstało najrozmaitszych dodatków i upiększeń do dziejów Michałowych. I Hanka która jedna tylko prócz dziedzica słyszała od samego Michała o jego przeszłości, dowiadywać się poczęła teraz o niej od ludzi. Bezgraniczne przywiązanie do męża nie pozwalało jej zastanawiać się krytycznie nad jego naturą, ani szukać w nim strasznych skutków owych ciężkich przejść. Lecz potrzeba było tylko kilku szyderstw, kilku złośliwych

słów aby wzbudzić w niej cień podejrzenia, czy to co we wsi mówią, nie jest czasem prawdą...

A we wsi poczęto Michała coraz głośniej nazywać głuptakiem...

On wiedział o tem i wcale nie był zdziwiony, czuł różnicę między sobą a innymi ludźmi i mimo że wcale nie zastanawiał się nad tem czy to on jest gorszy od innych, czy inni gorsi od niego, mimo to miał tę świadomość że inaczej nie może być. Obojętne mu to było na pozór. Nikt go jeszcze nie śmiał jawnie zaczepiać ni przezywać, a na jakieś przycinki odpowiadał tylko ruszeniem ramion. Ale we wnętrzu jego rosła i wzmagała się nienawiść do ludzi, nie ta co niszczy i zabija, lecz ta co pogardza i zaspakaja duszę jedynie poczuciem własnej krzywdy.

I Hanka czuła tę krzywdę. I Hanka która zaczęła teraz widzieć że Michał nie taki sam jak dawniej, nie bolała nad tem, lecz tylko nad niesprawiedliwością ludzi. Nie rozmawiali nigdy o tem ze sobą. Ona go rozumiała bez słów a on wiedział że ona nie taka jak inni. Tylko czasami, gdy ona mówiła o kimś kogo widziała podczas dnia, lub opowiadała o czemś co ją spotkało, rozjaśniał Michał oczy niedobrym blaskiem i szeptał:

„Nie wierz Hanka, nikomu nie wierz!“

I Hanka nie wierzyła.

*

Mijał rok. We wsi właściwie nic się nie zmieniło.

*

Ów pamiętny wieczór o którym jeszcze teraz sam Michał umie coś powiedzieć, i który pamiętają ludzie, a z pewnością najlepiej niemowa Franek ze straszną blizną na twarzy, zdarzył się z nadejściem nowej zimy.

W stajni fornalskiej gumienny jak zwykle wieczorem wydawał obrok dla koni. Przywlókł się też i Michał ze swą skrzynką w której nosił paszę do cugowej stajni.

„Cóż wy Michale?“ zapytał ironicznie gumienny: „Będziecie teraz gospodarowali na swojem. Ponoś was stary pan nie chce dłużej mieć w służbie“.

Powszechnie spodziewano się, że Michał Jarzec straci miejsce od Nowego Roku.

Słowom gumiennego zawtórował śmiech parobków. Rzucono Michałowi kilka przydomków na które jak zwykle ruszył ramionami.

„Cichalibyście...“ powiedział tylko.

Gumienny, który sam możeby nie śmiał zaczynać z Michałem sprzeczki ze względu na dziedzica, czując teraz za sobą wszystkich parobków, uważał za stosowne wpaść w pasyę. „Co ty tu chamie jeden będziesz mi mówił: cichajcie! Abo ja to kolega twój jaki!?“

„Dajcie spokój głuptakowi!“ wtrącił któryś z fornali.

Znowu śmiech.

Michał spokojny zawsze, odwrócił głowę ku niemu i rzekł z głębokiem politowaniem:

„Ty psiakrew ty...“

„Stul pysk. Nie gadałbyś tak, żebyś sam nie był...“

Tu uraczył Michała dosadnym komplimentem a wraz z nim całą jego rodzinę do trzeciego pokolenia wstecz.

Michał choć ciągle spokojny znalazł i na to odpowiedź, zupełnie podobną do zaczepki.

Franek wpadł w złość. Zamierzył się i nieprzygotowanego na to Michała uderzeniem pięści w pierś rzucił w gnój między zady końskie.

„Komu będziesz paskudził matkę i ojca, psi synu!!!? Stul psiakrew cholera jedna mordę bo ją ci sam stulę tak że potem nie pozbierasz tych zębów coś je jeszcze całe przyniósł ze swojej podróży po świecie!“

Michał podniósł się powoli, ocierając rękawem gnojówkę z twarzy i mamrocząc tylko coś pod nosem. Ale już ścisk się zrobił wkoło niego. Począł się gwałtem pchać ku wyjściu, pomagając sobie rękami i nogami. Niejeden tam dostał kułakiem w twarz, w oko, w bok i w brzuch. Rozzłoszczeni parobcy poczęli krzyczeć, rzucać się, wymyślać.

Hanka była właśnie we dworze gdy nagle chłopak kredensowy przyleciał krzycząc i śmiejąc się że się czeladź w stajni tłucze. Natychmiast pobiegła pędem do stajen. Gdy ją chłopi ujrzeli, uciszyli się trochę i rozstąpili. Hanka zobaczyła Michała, który zataczając się jak pijany i zasłaniając rękoma twarz stał pod ścianą a nad nim latały niemiłosierne ręce Frankowe.

„Jezu najświętszy!“ krzyknęła. „Co wam człowiek zrobił! Czego od niego chcecie!?“

Roztrącając parobków chciała się dopchać ku mężowi.

„Michał! Michał!...“

Michał zwrócił na nią wyłupiaste oczy, czuprynę miał zwichrzoną, z nosa lała mu się krew. Podniósł głowę i z rozmachem plunął Frankowi w twarz.

„Widzicie jak się to bronić umie cholera!?“

Hanka kipiała gniewem.

„Wy łajdaki jedne, chamy!!!“

Zagrzmiał znowu śmiech.

„Hanka, powiedzcie no czy u niego wszędy taksamo jak w głowie!?“

Na to Franek który w obecności Hanki nie śmiał z Michałem na nowo zaczynać krzyknął basowym głosem:

„Już wy się jej tam nie pytajcie! Taka ona jak i on! Dobryś ty dla niej Michał! Obojeście siebie warci! Boś i ty głupia jak nie widzisz co on za jeden!“

Hankę krew zalała. Nikt do niej nigdy się tak nie odzywał, czuła się wyższą ponad to chłopstwo, ona wychowana we dworze, ulubienica dziedziczki. I wtedy w jednej chwili

stanął jej przed oczyma obraz owego Michała z przed lat, co silny i rosły jak dąb górował nad młodzieżą, któremuby się nikt nie odważył zelżywego słówka powiedzieć.

„Michał!!!“ krzyknęła.

Lecz Michał już się zabrał sam do roboty. Stanął przed Frankiem wyprostowawszy ogromne ciało, w oczach gorzała mu złość straszna. Zacisnął pięści i ryknął: „Cichaj psiawiaro! Powiadam ci cichaj!“

A gdy Franek nie przestawał się śmiać, chwycił go dłońmi za ramiona i począł trząść jak młodem drzewem.

I wtedy ujrzeli parobcy znowu po latach ową sławną siłę w wybiedzonem ciele Michałowem.

Michał przyparł Franka jedną ręką za gardło do ściany a drugą począł go bić po twarzy nie zważając na krzyki i szamotanie. Bił i bił, a inni stali poglądając jeno po sobie boć przecie Franek uchodził za siłacza. Nikt się nie wtrącał: Michał i Franek mieli ze sobą sprawę.

I niestety było Frankowi sądzone od tego dnia pożegnać się ze swoją młodzieńczą siłą i zdrowiem. Bo gdy jeszcze jedno zuchwałe słowo powiedział, Michał rozwścieczony i nieprzytomny ze złości chwycił go nagle jedną ręką za spodnie a drugą za kołnierz i rzucił z całej siły o żelazne okucia bramy. Poczem krzycząc wciąż jak furjat, kopnął go jeszcze kilka razy, podniósł swój pomięty kapelusz i roztrąciwszy parobków, nie zważając na Hankę wyszedł. Szedł prędko ku domowi a za nim biegła Hanka dysząc ciężko tak jak i on, z rozwianym włosem i chustką w ręku.

A Franek leżał bez ruchu, z głową w kałuży krwi. Dopiero gdy go obrócono twarzą do góry ujrzeli straszne skutki Michałowego gniewu. Twarz Franka rozcięta była wpół od góry nosa przez policzek aż do szyi. Krew lała się i lała dopóki jej jakiś domorodny medyk chłopski nie opatrzył, stwierdziwszy przytem u nieprzytomnego pacjenta pęknięcie czaszki.

*

Gdy zatrzasły się za Jarcami drzwi ich chaty, kilku ciekawskich stojąc przy ogrodzeniu słyszało do późna w nocy podniesiony głos Michała wygrażający wszystkim ludziom na świecie i miotający okropne przekleństwa. Co do postępku biednego „głuptaka“ rozmaite zdania krążyły.

„Michał zwarjował. Do reszty zwarjował. Biedny Franek!“

„Dobrze tak Frankowi. Jak wiedział że ma z warjatem sprawę nie trza mu było się stawiać!“

„Czekajcie ino! Będziemy widzieli jako Michał zaśpiewa kiedy jego zaczną obrabiać! Przypomną mu się znowu węgierskie czasy!“

„Dajcie spokój. Nic warjatowi nie zrobią a tem bardziej że go się tamten pierwszy czepiał!“

„O cóż im poszło?“

„Nic by się złego nie było stało żeby się byli tylko o siebie pożarli. Ale ponoś i Hance coś się dostało...“

„Cicho! Słuchajcie no...“

Z izby dolatywały urywane słowa. Głos Michała przechodził chwilami w charczący szept przerywany zawodzeniem i jękami Hanki.

„O Jezu najświętszy! Ludzie na świecie! Michał! Michał!“

„Ino czekać jak i ona przy nim zwarjuje!“

Nagle otwarły się drzwi chałupy, w progu stanął Michał. Za nim na tle oświetlonej słabo izby widać było Hankę która jęcząc ciągnęła męża za rękaw. Była na wpół rozebrana, z włosami w nieporządku, wyglądali oboje jak pijani.

Stał Michał w drzwiach wygrażając pięściami ludziom:

„Czekajcie psiekrwie, czekajcie żebym wam wszystkim stulił pyski tak jak i tamtemu! Chciało wam się warjata, będziecie widzieli takiego coby wam wszystkim do kupy dał radę! Srom na was cholery jedne!“

„O Jezu najsłodszy! Michałku! Michałku!“

Udało się wreszcie Hance wciągnąć Michała do izby i zamknąć drzwi. Ludzie wzburzeni i przerażeni poczęli się

powoli rozchodzić, gdy wreszcie ustały głośne krzyki w chałupie Jarców.

Niebawem wyszło od pisarza gminnego doniesienie do żandarmeryi o całej sprawie.

*

Nieznośny, dżdżysty poranek zimowy. Po błotnistej drodze przypruszonej mokrym śniegiem idzie do dworu Hanka. Michał leży chory w chałupie, idzie Hanka do dworu po radę i pomoc. Gorączka świeci w jej oczach, twarz ma czerwoną, ruchy nieprzytomne.

Czeka długo w kuchni gdzie nikt do niej słowa nie zagada, wreszcie dowiaduje się że dziś nie może zobaczyć ani dziedzica ani dziedziczki. Czeka jeszcze, może przecie wyjdzie ktoś, może przecie kogoś chwyci. Południe zbliżało się, gdy wróciła do domu. I tutaj łkanie straszne wydarło jej się, z gardła, rzuciła się na ławkę i spazmy poczęły wstrząsać jej ciałem.

Michała nie było. Wyszedł, uciekł gdzieś i nie wracał, wcale nie wrócił tego dnia.

Dopiero na drugi dzień zobaczyła go Hanka jak szedł z gołą głową w otoczeniu lśniących żandarmskich bagnetów. Za nim biegła cała wieś. Jeden z żandarmów który już u naczelnika gminy zebrał był potrzebne wiadomości wstąpił do domu Michała aby Hance oznajmić że jej męża zaaresztowano. Słuchała go nieprzytomnie, siedząc na ławce, wlepiwszy w niego przerażone, duże oczy. Nie powiedziała nic.

Dopiero gdy wychodził rzuciła się za nim z krzykiem i ukąsiła w rękę.

Tego samego dnia kiedy Michała żandarmi zabrali, przyjechali z polecenia dziedzica jacyś panowie z miasta i zabrali Hankę.

IV

Trzynaście to lat temu gdy Michał wróciwszy znowu do wsi nie zastał już ani Hanki ani dziedzica.

Majątek nabył po śmierci starego pana ktoś inny, ktoś komu dziedziczka przekazała opiekę nad nieszczęśliwą szaloną, umieściwszy ją w zakładzie dla obłąkanych.

Trzynaście lat mija jak Michał nie widział swojej żony, a coś nie wiele mniej, jak go nowy dziedzic z litości przyjął do służby w oborze. I oto dziś przy rozdawaniu kolendy w kancelaryi u rządcy usłyszał znowu te słowa któremi go niegdyś przyjął dawny dziedzic za fornala.

„Od nowego Roku pójdziesz do koni...“

Całe życie, cała przeszłość przesunęła się przed oczyma Michała Jarca, ale było to takie zamglone, takie niejasne, że już żadnego wzruszenia ani nawet żalu w sercu jego nie budziło. Rezygnacya zupełna owładnęła jego duszą, duszą matołka. I tylko czasem zajaśniały mu oczy blaskiem nieubłaganej nienawiści i pogardy do tych ludzi z których łaski musi żyć.

*

Wyszedłszy z kancelaryi poszedł Michał do domu. Mieszkał w tejsamej chałupie którą niegdyś nabył z pomocą starego pana a z nim razem mieszkało troje sierot które był przyjął na wychowanie, mimo całej swojej nędzy. Gdym mu jednego dnia ofiarował kilkanaście centów doradzając aby kupił dzieciom i sobie coś lepszego do jedzenia, dostrzegłem na drugi dzień, coś jakby cień wdzięczności w jego uśmiechu z którym opowiadał że miał wczoraj kolacyę z ciepłej kiszki. To, żem potrafił czasem jakieś słówko dotyczące przeszłości z ust jego wyciągnąć zawdzięczałem tylko okazywaniu mu ile się dało życzliwości, unikaniu najmniejszego cienia politowania, bo tego Michał nie znosił.

*

„Ujku! Pieter ozbił nos Pawłowi!“ Temi słowy przyjęła go malutka dziewczynka o płowych włosach i czerwonych nóżkach wystających z pod długiej również czerwonej spódniczki.

„Chłopaki, nie bijcie się ino...“ poradził im Michał takim tonem jakby przemawiał do swoich rówieśników.

„Ujku! Dajcie jeść!“ krzyczała dziewczynka stając na palcach i usiłując rączkami dostać rąk Michała.

Michał podniósł ją z ziemi i trzymając na ręku począł się krzątać aby przygotować coś do jedzenia dla siebie i dzieci. Poczem siadłszy na ławie, postawił sobie miskę z kartoflami na kolanach, posadził koło siebie dziewczynkę i karmił ją, jedząc przytem sam. A naprzeciw niego, na ziemi klęczeli Pieter i Paweł nurzając w misce łyżki któremi się także od czasu do czasu nawzajem szturkali.

*

„Michał! Nalepo jedna! Możebyś się zabrał nareszcie do mycia ogonów!?“ krzyknął pastuch do chłopa który skończywszy przed chwilą wynoszenie gnoju z pod bydła siadł na chwilę aby odpocząć.

„Zaraz zaraz...“ odpowiedział podnosząc bezmyślne oczy. Wstał, wziął putnię z wodą i chodząc od jednej krowy do drugiej wycierał im zady z wielką starannością.

„Tak ci szlifuje te tyłki jakby swój własny!“

„Abo to on ma lepszy od nich?“ dowcipkuje jedna z dojarek i myśląc, że coś arcymądrego powiedziała zanosi się od śmiechu, a inne jej wtórują.

Przykro było trafić w stajni na taką chwilę gdy się wszyscy czyto słownie czy czynnie znęcali nad Michałem. A to im się od tylu lat nie znudziło nigdy. Michał był zawsze spokojny, bezmyślnie uśmiechając się razem z tymi co sobie z niego kpili. Ale i cierpliwość jego, choć była wielka, miała swoje granice. Wszystko zniósł, jednej tylko rzeczy nie pozwo-

lił nikomu powiedzieć. Gdy ktoś ośmielił się ubliżyć pamięci Hanki, Michał wpadał w gniew. I wtedy widziano nieraz jego wielką siłę, która dotąd jeszcze nie wygasła. Jedyne, najświętsze wspomnienia odżywały w nim, a tych nie pozwalał znieważać. A skutki gniewu Michałowego nie były przyjemne dla tych co go wywołali. To kopnąwszy stołek pod dojarką, rzucał ją twarzą w gnój, to podbił komuś pięścią oko, to urządzał sobie z kogoś ścierkę do wycierania krowich ogonów.

I podobnie zdarzyło się raz karbowemu.

Michał mył w mleczarni skopce do dojenia. Było południe. Cała czeladź spoczywała. Nadszedł karbowy. Widząc że Michał jeszcze przy robocie, huknął mu nad uchem:

„Południe chłopie!!!“

„Cichajcie... ja wiem.“

„Szuruj do domu! Nie udawaj że coś robisz, bo ta z twojej roboty i tak nikomu nic nie przyjdzie, dziadu jeden!“

„Ja nie żaden dziad...“

„Dziad jesteś durniu a i twoja baba, żeby nie pańska łaska latałaby goło tak i jak ta krowa!“

Michał przysunął się do niego i rzekł spokojnie:

„Cichajcie mówię wam...“

„A bo i nie prawda?“

Michał miał dość. Chwycił karbowego za głowę i stukając nią w mur syczał:

„Stulisz pysk? stulisz pysk? stulisz pysk?“

Karbowy rozwrzeszczał się strasznie.

„Na kogo ty świnio rękę podnosisz?!!! Do kogo gadasz!?“

„Na ciebie drabie jeden karbowniku! Na ciebie! Na ciebie! Poczekajno ty napcham ci gębę to ją zamkniesz!“

To mówiąc wziął go za kark a wywróciwszy na ziemię wepchał mu głowę w mierzwę.

Potem spokojnie poszedł do domu.

Karbownik czerwony z wściekłości jak ćwikła wykrzykiwał za nim odgrażając się.

Tylko łasce pana zawdzięczał Michał że nie wyleciał ze służby tym razem.

Od czasu do czasu otrzymywał Michał od rządcy lub dziedzica wiadomości z miasta o żonie. Oczywiście nie mówiono mu prawdy, a tylko ciągle że chora ma się lepiej. Michał wierzył w to, wierzył że Hanka wyzdrowieje. Przez trzynaście lat miał nadzieję i czekał. Przez trzynaście lat żarła go tasama tęsknota i oto teraz po trzynastu latach postanowił dnia pewnego wybrać się sam do miasta i odszukać żonę.

Odgrzebawszy jakieś oszczędności skonstatował że chociaż mu na podróż koleją nie wystarczy, jednak na życie na kilka dni ma dość pieniędzy. Dość mu było łaski ludzkiej i nie myślał nawet u nikogo prosić o pieniądze.

„Na piechtę pójdę ino się wiosna na polu zrobi...“

*

Niedaleko było do południa gdy Michał Jarzec wyszedł ze swojej wsi. Od paru dni wiosnę czuć było w powietrzu, pola czerniały i zieleniły się, tylko jeszcze w jarach zaciemnionych i na stokach pagórków bielały brudne pasy śniegu zwianego w zimie w miejsca czekające teraz na słoneczne ciepło aby się pozbyć niemiłego ciężaru. A słońce robiło co mogło. Czyste, południowe niebo skrzyło się nad rozbudzoną ziemią, gdyby nie widok nagich drzew i zimowego chłodu, rzekłbyś że to już wiosna w całej pełni.

Michał Jarzec szedł, ominąwszy drogę na przełaj, czarnem, zoranem jesienią polem. Ciężkie buciska czepiały się rozmokłego gruntu, zabierały ogromne wióry błota, cmokały przy każdym kroku.

Na najwyższym punkcie górującego nad polami pastwiska zatrzymał się Michał, strzepnął błoto z wprawą dla tej niezliczoną ilość razy powtarzanej czynności, wyprostował się i rozglądnął dokoła po rozległej słonecznej okolicy.

Bardzo daleko, na tle prawie białego nieba rysowały się kontury gór śniegiem jeszcze pokrytych. Łagodna linia odgraniczająca biel śniegu od bieli nieba urywała się miejscami, a dalej widniały czarne plamy lasów. Od gór szły falisto coraz bliższe i niższe pasma wzgórz, dalsze szare i czarne, bliższe zieleniejące, a wszystkie popstrzone kępami lasów.

Tam gdzie wzgórza urywały się, widno było schowane za niemi rozległe pola, łąki, równiny, gdzieniegdzie gromadę drzew i zbiegowiska białych domków.

Wzgórze na którem stał Michał spadało ku dołowi łagodnym stokiem. Na tym stoku podnosił niemowlęce główki młodziutki lasek przecięty przez środek szeroką linią. Równy brzeg sadzonki graniczył z rozlanem szeroko bagniskiem. Błyszczące bajury ciągnęły się daleko, robiąc wrażenie rzeki obrosłej zielskiem. Od brzegów tej rzeki zaczynały się łany żółte, czarne, zielone, które zdając się rozszerzać ku górze, biegły na pagórek i u stóp się Michałowi urywały.

Czarna, zorana ziemia parowała w słońcu a lekkie obłoczki przy podmuchach wietrzyku kłębiły się nad zagonami niby resztki rozrzuconego ogniska.

W powietrzu pachniała ziemia i wiosna.

Michał stał oparty na kiju i wielkiemi, wypukłemi oczyma patrzał na to wszystko. Stary, wytarty kożuch i gruba koszula rozchyliły mu się na piersi. Czuł na swojem chudem, kosmatem ciele chłód jakiś rozkoszny i chłonął pełnym oddechem tę wiosnę z powietrza. W głowie myśli się plątały dziwne, tak dawno nie przychodzące a znajome z przed tylu, tylu lat...

„Młodość moja, młodość...!“

Przecież przez tyle lat wracała wiosna i znikała znów, a on jej nie czuł, nie czuł nic... nic...

Dawniej, dawniej, będzie temu może z piętnaście roków, może i więcej, dawniej bywała inna wiosna i inni byli ludzie...

Od tego czasu zmieniło się wszystko a właściwie wszystko przestało się zmieniać...

Oj dolo dolo...

Pamiętał o tej jednej swojej, pamiętał że była dobra dla niego i że jej był jak pies oddany, że ją, ją jedną kochał...

Od tego czasu jak mu ją zabrali, od czasu gdy po długiej nieobecności wrócił do swojej wsi, jedną tylko miał myśl stałą: odzyskać Hankę, a wtedy śmiać się z ludzi i ze wszystkiego...

I oto dziś, idzie do niej, ujrzy ją znów niebawem... Śmieje się do niego słońce i ziemia, śmieje się jego serce do słońca i do ziemi.

„Fajnie dziś, ino ziem mokra strasznie" pomyślał. „Bieda będzie iść."

I szedł dalej. Polami, lasami, wsiami, drogami, zaszedł wreszcie po kilku godzinach do toru kolejowego i szedł teraz wzdłuż niego, póki nie natrafił na domek stacyjny.

„Pochwalony Jezus Chrystus" odezwał się do robotników pracujących przy torze. „Daj Boże szczęście!"

„Na wieki wieków! Daj Boże! Biegajcie chybko bo koleja zaraziczek przyńdzie!"

„Kany mam biegać!?" wyjąkał Michał.

„Dy na stacyę."

„Ja nie na stacyę."

Robotnik poznał po sposobie mówienia Michała że ma do czynienia albo z pijakiem albo z jakimś nie całkiem zdrowym na umyśle. Mimo to wdał się z nim w pogadankę.

„Dokądże tak?"

„A do miasta."

„Na piechotkę?"

„Ba."

Baraba zaśmiał się.

„Cóż was tam tak wiedzie?"

Michał ruszył ramionami uważając za stosowne nie odpowiadać wcale na to. Tamten zadał mu jeszcze z ciekawości

kilka pytań, poczem wziął się do swojej roboty poinformowawszy Michała o kierunku jego drogi. I szedł Michał wzdłuż toru kolejowego do owego miasta. Przy każdej stacyi, przy każdej grupie domów zdawało mu się że to już koniec jego podróży. A dowiedziawszy się od ludzi że jeszcze daleko do końca szedł dalej, wcale nie zniechęcony.

Nocami zachodził do chłopów lub budników, sypiał po stodołach a czasem i pod gołem niebem, oszczędności które miał ze sobą topniały po karczmach, gdzie się przygodnie trafiwszy pożywiał.

Tydzień później zobaczył mury wielkiego miasta. Ludzie wskazali mu zdala cel jego wyprawy: wielkie, białe domy o czerwonych dachach. Był to ów zakład dla obłąkanych.

*

„Niech będzie pochwalony!"

„Na wieki."

Stróż stojący przy żelaznej furtce w ogrodzeniu, popatrzał obojętnym wzrokiem na Jarca.

„A co wy człowieku powiecie?"

„Gdzie tu jest Anna Jarzec?... wykrztusił powoli Michał.

„Jak? Anna Jarzec? A co to za jedna?"

„Moja żona..."

„Wasza żona? A cóż ja mogę wiedzieć o waszej żonie?"

„Ja tu do niej... Którędy trza iść?"

„Czy ona w zakładzie?"

„No. Którędy trza iść?"

„Ja wam nie powiem. Nie wiem. Idźcie do tego domu tam naprost. Tam wam powiedzą."

Przepuścił go za ogrodzenie i wskazał mu kierunek.

Michał uchylił kapelusza i poszedł dalej. Stróż patrzał za nim zaciekawiony, obejmując wzrokiem dziwaczną, wielką postać chłopa kiwającą się przy każdym kroku. Jarzec wszedł

do wskazanego domu i spytał spotkanego w kurytarzu człowieka w szarem, płóciennem ubraniu:

„Gdzie tu trza do Anny Jarzec?“

Człowiek ruszył ramionami.

„Co to za jedna?“

„Żona.“

„Chcecie zobaczyć chorą?“

„Ba jak?“

Człowiek wskazał mu jedne drzwi w kurytarzu.

„Tam wam powiedzą. Musicie wziąć pozwolenie.“

Michał wszedł do pokoju. Nikogo tu nie było. Tylko w drugim pokoju za uchylonemi drzwiami zobaczył jakiegoś pana siedzącego przy biurku. Pan ten spojrzał ku niemu.

„Co tam?“

Michał z kapeluszem w ręku skłonił się.

„Ja o pozwolenie.“

„Czekać.“

Po jakiejś dłuższej chwili pan zagadał:

„Do kogo to?“

„Do żony...“

Pan zniecierpliwił się.

„Ale do kogo? Jak się nazywa? Skąd ja mogę wiedzieć kto jest wasza żona.“

„Anna Jarzec...“ wyjąkał Michał.

„Anna Jarzec?“ skrzywił się pan. „Anna Jarzec?“

„No.“

„W którym oddziale? Jaki rodzaj szaleństwa?“ pytał prędko pan. Michał zakłopotany miął kapelusz w rękach.

„Nie wiecie? To wy myślicie że ja mam wszystko wiedzieć gdzie się jakieś żony obracają?“

Michał milczał.

„Czegoż wy od niej chcecie?“

„To żona.“

„Słyszałem już, ale czego chcecie?“

Michał trząsł się już z wielkiego zakłopotania. Oglądał swój kapelusz i przygryzał wąsy.

„Ta nic...“

„Nic nie chcecie. To i pocóż wam do niej?“

„Ona już zdrowa.“

„Aha. No to co innego.“ Pan zamyślił się, poczem rzekł: „Czekajcież tam w drugim pokoju...“

Wkrótce przyszedł człowiek podobny do tego którego Michał spotkał w kurytarzu. Pan porozmawiał z nim chwilę podczas czego zwrócił się do Michała:

„Jak się to nazywa wasza żona? Anna Jarzec? Aha.“

Człowiek w szarem ubraniu popatrzał na urzędnika, potem na Michała siedzącego na ławce. Zdziwienie malowało się w jego oczach.

„To ta z x-tego oddziału panie doktorze.“

„Furjatka?“

Człowiek skinął głową. Doktór przypomniał sobie teraz dokładnie.

„Ahaaa...“ rzekł „już wiem.“

„Człowieku“

Michał zbliżył się.

„Toście wy mąż? A wy wiecie na co wasza żona jest chora?“

„Wiem.“

„Aha... No a wiecie co to jest obłąkanie?“

Michał przy całej swojej nieśmiałości zaczynał się niecierpliwić.

„Wiem wiem...“

„Wiecie? I chcecie koniecznie do niej.“

„Chcę.“

„Taż zlitujcie się człowieku. Wasza żona dwanaście lat jest w zakładzie chora i oto nagle zachciewa wam się ją widzieć. Cóż wam z tego?“

„Ona już tu nie będzie!“

„Dlaczego nie będzie?“

„Pan rządca mówili...“

„A czy to wy ją tu dali? Czy to wy się o nią staracie?“

Michał westchnął.

„Ona wcale nie jest zdrowa i wy jej widzieć nie możecie. Skąd ja wreszcie mogę wiedzieć co wy za jeden?“

„Michał Jarzec, mąż...“ wyjąkał cicho strwożony Michał.

„A cóż mnie do tego? Teraz nie możecie widzieć chorej.“

„A kiedy?“

„Ja niewiem. No, idźcie już, idźcie ja nie mam czasu na was samych tylko.“

Cały gmach budowany przez nadzieje Jarca, zawalił się.

Ale on, on był spokojny, jego nauczył świat i dola obojętności dla wszystkich rozczarowań...

„No a jakże będzie?“ wyjąkał jeszcze.

„Wiadomości o waszej żonie idą tam gdzie potrzeba, tam się o niej dowiecie.“

„Gdzie?“

Doktór powiedział mu znany adres jego własnego dziedzica.

„A tera nic...?“

„No przecieżem wam już sto razy powiedział!“ rzekł pan podniesionym głosem. „My nie możemy kogobądź puszczać do chorych!“

*

W kilka dni potem, w pogodny czas, o zachodzie słońca dochodził Michał Jarzec do swej wsi.

Szedł na tosamo, wiecznie tosamo życie, na nędzę w domu, na samotność, na kpiny ludzkie, na ciężką, jednostajną pracę bez nadziei żadnej, najmniejszej odmiany.

Dwanaście lat mył krowie ogony, dwanaście lat od świtu do nocy oddechając ostrem powietrzem przesyconem wonią mierzwy.

Nic, nic się nie zmieniło...

Jeno to się zmienia czego najbardziej żal... Zdechnie czasem która krowa lub ją sprzedadzą... A bydlęta mu teraz lepsze od ludzi.

Noc się robiła, mroki wisiały nad wsią czerniejącą w dole. Po drugiej stronie wzgórza słońce czerwieniło jeszcze horyzont. Od zabudowań folwarcznych skrzypiała zdala żelazna korba a z obory dolatywał urywany, bolesny ryk. Michał przysłuchał się uważniej.

„Łaciata ryczy... Musi cielę, bo była cielna...“

PIOTR SZARZYŃSKI.

Kasydy maurytańskie.

Franz Toussaint w tomie zatytułowanym: „Le Jardin des Caresses" (Traduit de l'Arabe) podaje przekłady stu kilkudziesięciu kasyd maurytańskich, które jak zaznacza w przedmowie, odkrył podczas pobytu swego w Timbuktu. Powstać miały w X-ym wieku w Hiszpanii. Wszelki ślad imienia ich autora zaginął. Ktokolwiek nim był, są to arcydzieła niezwykłe. Wybór ich oto podajemy.

I. CHORĄGIEW.

W chorągwi jest zbawienie. Otoczcie drzewce jej i niech szable wasze szczękające będą jak las roziskrzony!

W chorągwi jest zbawienie. Od Ijatreba czasów ojcowie wasi kołysali jedwab jej zielony na piersiach ziemi.

Czyżbyście się mogli wyrzec słodyczy tej dziedziny? Zostawiliżbyście sztandar w cieniu meczetu? Wiedzcie, że Bóg jest z tym, który się go lęka.

Nie mówcie: „Za mało nas i ręce nasze zmęczone". Pan nie opuszcza nigdy swoich dzieci. Pomnijcie na zniesienie wojsk króla Abrahy, które jak ogromne morze oblegały Mekkę.

W chorągwi jest zbawienie.

II. ŚPIEW WOJOWNIKÓW.

Idziemy od wielkich piasków, kędy się lęgnie Samum.

Konie nasze brodziły po kolana w złocie, a gwiazdy, ogromnym owocom podobne pokazywały nam drogę po nocy.

Idziemy od wielkich piasków, kędy się lęgną lwy.

Po dniu tarcze nasze były słońcami w pochodzie, nocą na włóczniach naszych opierały się gwiazdy.

Poległych towarzyszy pogrzebaliśmy stojąco, z twarzami obróconemi na Zachód.

Idziemy od wielkich piasków skąd rodem Faraonowie, a na ich grobowiska nie obróciliśmy oczu.

Idziemy od wielkich piasków, kędy zielenią się oazy, cudniejsze od rajskich ogrodów, a słodycze ich nie zatrzymały nas.

Idziemy od wielkich piasków gdzie słychać, jak mówi Bóg.

III. ZWYCIĘSTWO.

Rzekła mi: „Co uczyniłeś, abyś na mnie zasłużył?"

Włosy jej rozsypały się po ramionach, a ręce jej precz mnie odsuwały.

Rzekła mi jeszcze: „Niewiesz-li, że miłość jest walką? O ty, najwaleczniejszy z ludzi, pozwoliłżebyś sobie na tryumf przed bitwą?"

Uśmiechnęła się ze wzgardą i cofnęła w cień. Wzrok jej trącił o mój, a serce moje uczuło dreszcz przeciągły.

Mówiła dalej: „Coś uczynił aby zasłużyć na to, bym przepadła w twoich ramionach? Niewiesz-li, że noszący sztandary zasługiwali się męstwem? O ty, któryś więcej odniósł ran niż jednorożec Dhal zaczarowany, czyżbyś się lękał cierpienia miłości?"

Ująłem łagodnie jej ręce i szepnąłem: „Może i być".

Zmierzch się poczynał. Czy dlatego słońce zazdrosne zaszło, że przystała abym ją ujrzał nagą?

Nie cofając swych rąk z moich dłoni, powtórzyła: „Co uczyniłeś, abyś na mnie zasłużył?"

Cóżem miał odrzec? Czyż nie wiedziała, że mojem będzie zwycięstwo?

Daleko na równiach już ogarniętych nocą, spóźniony pasterz śpiewał radosną pieśń.

Ozwałem się do niej: „Słuchaj!“

IV. POŻEGNANIE WOJOWNIKÓW.

Pokój pasterzom, którzy zostają, zadumani pośród trzód na górskich wydmuchach! Pokój oraczom, którzy zostają, pochyleni nad pługami! Pokój dziewczętom, które zostają u krynic, pokój małżonkom naszym, niech dalej przędą kądziele! Błogosławieństwo Pańskie spłynie na nasze sioła.

Jeżeli ruszymy o południu to na to, by módz z wyżyny pagórków przeciągłem spojrzeniem objąć dziedzinę, z której idziemy precz. Rozkrwawi się serce niejedno, wojownik niejeden się zapóźni, zapatrzony na któreś domostwo, ale dech Boży osuszy mu lica z łez.

Pan nam towarzyszy. Przed was, o pasterze na wysokich wydmuchach, zawłóczy wonie krainy dalekiej, gdzie pognamy jak trzody plemiona zwyciężonych. Wam oracze, spuści na pola deszcz dobroczynny, bo pola niewiernych zaleje nasza krew. Dziewczęta! kiedy wam granie źródeł o kochaniu zagada, kochankowie wasi, nad innym zdrojem pochyleni, imiona wasze wymówią. Małżonki miłe, strażniczki chat! Gdy rychło, a nie zostanie z nas nic tylko poświata, niech się wam oczy rozjarzą, jak niebo w łunie zachodu!

V. REZYGNACYA.

Kiedym do ciebie gadał, cień kwiatu magnoliowego drzewa położył się na twoich kolanach. A był tak ciężki, żeś niesłyszała więcej co mówiłem. Kołysałaś go tak samo, jak byłabyś kołysała dziecko z naszej miłości urodzone, gdybyśmy się mogli miłować.

I patrzyłem jak kołysałaś cień tego świetlistego kwiatu.

VI. ODA.

Jak kowal kuje szable w czerwonych blaskach paleniska, tak kowam słowa tego śpiewu w łunie słonecznej, którą zaniecił Bóg.

Nie godzi się, aby słowa przeznaczone dla wojowników, rodziły się w domu wonnym od niewieścich szat.

Piszę też dla was tę pieśń w światłości jutrzni na wzgórzu, gdzie żaden kwiat uroku na mnie nie rzuca.

Oto drżę jeszcze, którym widział na widnokręgu ogniste godło tarczy słonecznej.

Tej godziny pochyleni nad pierwszą modlitwą, duszom dajecie iść do wodopoju Selsebil.

Patrzcie! w stronie gdzie jest święte miasto, na niebie roztrzęsły się jedwabie pyszne jak zasłony Grobowca!

Dłoń Boga, która ćwieki gwiazd wbiła w strop niebieski, glob gorejący dźwiga do zenitu.

Patrzcie jak się podnosi ciągle, aż promienie jego zwyciężą wszystek cień.

Wojownicy, niech oręż wasz będzie prędki i nieubłagany! O zwycięstwo walczcie, a nie o nagrodę!

Poległych na ścieżce Pańskiej przebudzi Pan w ciennikach Ośmiu Ogrodów. Dobroć jego jest nieskończona i wieczna.

Powierzył wam swój miecz, a wyście odeszli ze śpiewem. Gdy już umilkną dla nas wasze hymny, pamięć ich rytmu pomoże nam iść w trop za wami, w łunę słoneczną, którą zaniecił Bóg.

VII. POKONANY.

Nic nie chcę, jeno cię zamęczyć pieszczotą, który nie pożądam żadnej.

Nic nie chcę, jeno słuchać jak szumi morze w twoich drążonych dłoniach, potem je sobie położyć na oczy, jak noc.

Nic nie chcę, jeno się tęsknotą upić, wytrzymując twoje spojrzenie.

Nic nie chcę, jeno głosu twojego słuchać, który mi przypomni głosy niewiast mojego kraju.

Nic nie chcę, jeno w urodzie twojej pieścić wspomnienia i żałości.

A kiedy ucałuję twe wargi, nader gorżkim będzie dla mnie ich miód.

I oto ucałowałem twe wargi, i miód ich mnie zamroczył. Urodę twą pieściłem, a ręka moja drżała. Usłyszałem twój głos, i głos niewiast mojego kraju stał mi się jako muzyka dzikich plemion. Zachwyciłem twego spojrzenia, i spuściłem oczy ku ziemi. Słyszałem jak szumi morze w twoich drążonych dłoniach i przepadłem w tym odmęcie.

VIII. MĄDROŚĆ.

Cień jej sunął jedwabiem fiołkowym po piasku.

Kiedy, chcąc jedwab ów ucałować, prosiłem ją by stanęła, odpowiedziała mi:

— „Wszak-ci to tylko cień niewiasty“.

Ja na to znowuż:

— „Cień to niewiasty, którą miłuję a której ust całować nie mogę. Pozwól niech ucałuję cień ich na piasku, tak ciepłym jak one“.

A ona znowuż do mnie:

— „Piasek ten mniej jest gorący od moich ust i ucałowałbyś tylko piasek. Masz usta moje, umiłowany!“

Odszedłem nietknąwszy jej ust, bo bym ich niebył pragnął więcej.

IX. MÓJ KOŃ.

Sypałem ci obrok przebierany białemi palcami niewiast.

Poiłem cię wodą, która miała przejrzystość powietrza. Ze szczerego srebra miałeś wędzidła i w najwznioślejsze wersety księgi wyszyty był czaprak twojego siodła.

Szyja twa była pieściwa, jak podgardle młodej dziewczyny, grzywę miałeś jedwabną, jak warkocze.

O druhu mój waleczny, dałeś mi wszystkich bitew zwycięstwa — a kiedyś mnie niósł na miłosne spotkanie, bieg twój prześcigał jaskółki.

Oto giniesz. Opada ci głowa, oczy zachodzą ćmą.

I już cię więcej nie ujrzę, jak wspinasz się płomieniem na rudym cokole pustyni.

X. SAMOTNOŚĆ.

Czekam na nią, jak co dnia. Czy wróci?

Wspominam wieczór rozstania, skrzyp drzwi, które zawarła bez gniewu i tę ciszę, która była w mej duszy.

Czekam na nią, jak co dnia. Czy wróci?

Przyjdzie i ozwie się aby rzec: „Szłam mimo twych wrót, i przychodzę zajrzeć czy dobrze przezimowały róże?“

Potem uśmiechnie się do moich grządek i do cichego nieba, i wiem że już nie odejdzie.

XI. NOC.

Ty, któryś ją widział ostatni, ty, który chodziłeś prosić ją by mi darowała i wróciła jeszcze, mój druhu, mój druhu serdeczny, powiedz, co czyniła?

— Siedziała na stopniach cembrowiny i patrzyła na pojenie trzód.

— Mój druhu, mój druhu serdeczny, mów, co jej powiedziałeś?

— Wskazałem na twoją zagrodę i rzekłem: „Czeka na ciebie“. Ale ona pochyliła głowę i coś mi mówiła o trzodach.

— Mój druhu, mój druhu serdeczny, a czy nie zadrżał jej głos?

— Mówiła tak cicho, pasterze czynili taki zgiełk, że ledwie słyszałem jej głos.

— Mój druhu, mój druhu serdeczny, powiedz, czy nie patrzyła w stronę mego domu?

— Noc zaszła i już niewidać było twego domu.

XII. GRÓB ANTARA.

Nie wie nikt gdzie leży Antar poślubiony Zwycięstwu. Nie wie nikt gdzie złożony dzisiaj jego sprzęt wojenny.

Czyli na najwyższym garbie piasków Badiet Es Cham w mogile jego otoczonej błękitem orły się gnieżdżą, czyli w El Djezireh, krainie źródeł świętych, kwiatami zasypany jego grobowiec.

Rapsody głoszący swoje rycerskie sprawy, którzy śladami karawan się włóczą, szukają może jego grobu.

Jednej nocy, we śnie, widziałem go. Widziałem go na równi Oneissa, niedaleko od zagrody Abla.

Podobna chorągwi znaczyła go palma samotna.

Według F. Toussaint. Przekładał Michał Pawlikowski.

Konkurent.

Dziewczęta uchodzą...

Pierwsza Witka brodzi długiemi nogami w dzikich marchwiach i chrzanach, niosąc pod pachą starą skórzaną poduszkę „Aldonę“, za nią, jak zwykle, tamte. Dzidzia z pochwytaną na prędce wiwendą w kobiałce i Lutusia z „Małym Lordem“ w objęciu. Za niemi miękkim truchtem podąża Dunder. Zespół zwykły zresztą i zestrojony świetnie.

Nie jest to jednak bynajmniej zwykłe „ujście“ w krajobraz, praktykowane niemal codzień z chwilą skończenia obiadu. Wręcz przeciwnie.

Bo ostatecznie wszystko ma swoje granice.

Nie pojechały do kościoła — mniejsza! Nie zawołano ich do salonu gdy byli Ocieccy (ona jest przecie taka strasznie milusieńka!) — nie pisnęły słowa; ale kazać im pić podwieczorek osobno, dziś, kiedy ma przyjechać konkurent cioci Walerki — to już nieludzkie!

Pójdą w ogród i przepadną — przynajmniej do kolacyi. Osiedlą się na całe popołudnie w kukurudzy i słych o nich zaginie.

Nie mogły się przecie napraszać, to trudno... Najłatwiej jeszcze było Witce, ale gdzieżby znów Witka prosiła...

Wymknęły się chyłkiem przez biały ganek i uchodzą...

Ogród zaraz po obiedzie nie jest jeszcze wcale smutny. Ogromne czuby jesionów, puszyste i zbite, jak zielone obłoki, stoją w cichem słońcu wyraźne, znajome niby swojskie twarze jakichś kochanych osób. Przy altanie całej zapatulonej w czerwony winograd, kwitną jeszcze zawzięcie pąsowe i białe georginie, różowią się jak od malin trzmieliny, jaskrawią dołem astry, a już najcudniejsze ze wszystkiego, to rajskie jabłuszka na tem małem drzewku koło modrzewi... Zupełnie jakby owoce dla lalek i taką mają osobną czerwoność, co to nie podobna ani do korali, ani do berberysu, tylko jakiś taki niebywały matowy pąs... Cudne... Brzozy tylko już się przerzedziły i z tej wielkolistnej lipy na gazonie opadają duże, żółte, okrągłe płaty, podobne do przypalonych naleśników. Gdyby nie ogród to niewiadomo coby człowiek począł w taki omierzły dzień... Co prawda to mogliby nie napuszczać kur do parku... Pełno tego wodzi się po trawie i siada na ławkach jak państwo... Choć swoją drogą ten indor jest wspaniały! Czy też taka bestya wie o tem...

Witka brnie na przełaj w zielsku — bo i któżby okrążał ścieżkami — rwie przez agresty i chmiele, torując sobie drogę „Aldoną", a za nią młodsze. Dundrowi widać tylko łeb z burzanów i pysk roześmiany szeroko białemi kłami.

— Śliczna psia poczwara! poczciwe ogoniaste szkaradzieństwo!

— Zacna psia para!

Dziewczęta przepadają za Dundrem i nie znoszą jeśli kto twierdzi, że jest zwykłą psią włóczęgą, haniebnie brzydką, obleśną i nieposłuszną. Tylko im samym wolno powiedzieć mu subjekcyę i to w formie najczulszej. Mają zresztą wrażenie, że z całego domu jeden Dunder im dziś pozostał... Jedyna przyjazna dusza...

Istotnie krzywda, której doznały, przechodziła zwykłą dopuszczalną miarę. Cieszyły się na widok tego nieznanego konkurenta, którego na domiar swawoli pisały zawsze w my-

ślach przez „ą“ i „ę“ — cieszyły się radością zapamiętałą, niemal okrutną, chciwe śmiechu, gotowe nim wybuchnąć choćby w samą chwilę prezentacyi... Coś z tego pogotowia musiało się „przecedzić“ do starszych i oto padł druzgocący ukaz. Dorośli ludzie bywają czasem fatalnie domyślni...

Ale niechże tu kto powie, czy można się nie śmiać!?

Ciocia Walerka jest przecie dużo starsza od Witczynej macochy (wujenki małych), czesze się we włoski orzech na czubku głowy, nosi wielką ametystową broszkę przy kołnierzyku, który bywa czasem batystowy, a czasem koronkowy, umie milion pasyansów — i nie może być nigdy niczem innem, tylko ciocią, do której się leci po drugie śniadanie, po angielski plasterek, po szpagat, po nożyczki, po drut... Poza tem może smażyć dalej konfitury i robić w domu to wszystko, do czego wujence niechce się wstawać tak wcześnie... I raptem strzela coś do głowy pani Ocieckiej, żeby ciocię Walerkę wyswatać!

Dziewczęta czują, że ona robi to trochę na złość wujence, która jest niebardzo „tego“, a trochę z życzliwości dla ciotki, bo ten „kąkuręt“ ma być dość zamożny jakiś i podobno wcale możliwy, choć łysy, a pewno głównie dlatego, żeby się śmiać bez przerwy przez parę tygodni. (Ona jest okropnie miła!) Właśnie dziś w południe zapowiedziała tego pana.

Boże, jak one się cieszyły na ten przyjazd, na to trącanie łokciami przy podwieczorku, na te wszystkie miny! I oto już po całej radości!

Jeszcze nie wydyszały nawet części oburzenia. Tymczasem zapadają w pierzastą zieleń szparagarni. Zaraz będzie sad a za sadem kukurudza.

— Dzidka, co masz za jedzenie?

— Morg piernika, słoik musztardy, zapałki, gruszki, prawie całe kurczę z obiadu, dwie tabliczki czekolady... Mnóstwo... — sapie Dzidzia.

— Bardzo dobrze, ale poco wleczesz musztardę i zapałki? Niemamy przecie zamiaru się truć...

— No tak, myślałam tylko... A zapałki, bo może będzie trzeba robić ognisko.

— Trzeba? — Skądże...

— A jeżelibyśmy nie miały wrócić na noc? Przecie zasługują na to! Może nie?

— Pewno, ale dziś na kolacyę paszteciki z mózgiem. Nie daruję.

— A jabym darowała! Niech nas szukają do północy... Niech łażą po rosie z latarniami, niech nas wołają po dwanaście razy conajmniej, każdą! Będę liczyła. To co uczynili, jest straszne a niepomszczone. Pamiętajcie!

Dziewczęta są u mety. Niesłychanie tu jest. Szumiąca dżungla kukurudzy, pełna tajemniczych szeptów, chrzęstów, jakby miętego jedwabiu, wilgotnego oddechu zieleniny, dusznych, nagrzanych zapachów, na której dnie przepaść można istotnie bez wieści.

Małe porą się też zajadle przez las twardych wysokich łodyg, przez gładkie, rozchwiane szarfy liścia, obojętne chwilowo na widok fioletem zaszłych, ścigłych kolb o buńczukach złotawych włókien. Drogę w gąszczu znają widać dobrze, bo wtargnęły już oto na sporą wyrwę wśród zielonych ścian i „Aldona", ciśnięta o ziem, westchnęła donośnie. Stara safianowa poduszka jest mianowicie naddarta z boku i pod każdym naciskiem wydaje głęboki, tęskny wydech. Witka siedzi już na niej, dbała o komfort, jak zawsze.

— Już pewno przyjechał! — podejmuje Dzidzia na nowo.

— A może i nie... Ale pewno nakrywają już w jadalni i Paweł układa zimotrwałe ciastka na etażerkach. Wystąpią pewno saskie talerzyki z „płotkiem". Jak bal, to bal!

— Wujenka przedostatni raz patrzy się do lustra...

— Ciotka zgubiła wszystkie klucze naraz i nie może się dostać do fioletowej kokardy...

— Pachną świeże kruche gwiazdki... Piotruś przyniósł bukiet z goździków i rezedy, cały mokrusieńki, z długimi ogonami... Pachnie melon... Samowar w kredensie kipi...

— A nas niema! — wybucha nową falą rozpaczy Witka.

Chwila ciszy, potem nagle Lutusia:

— Jak myślisz, czy on się zaraz oświadczy?

— Naturalnie że zaraz. Albo to jest jaka sprawiedliwość na świecie? Nie użyjemy niczego! Bo tylko pomyślcie, ta pierwsza chwila! Te miny! Boże, ciotka może już jest narzeczoną! O, co nas ominęło, co nas ominęło! — zawodzi Dzidzia.

— Cóżeś ty myślała makolągwo, że będziesz przy oświadczynach? Po to trzeba iść do teatru, moje dziecię... Prawdziwi ludzie chowają się z tem zawsze jak koty... poucza Witka z goryczą.

— Nie myślałam, ale dużo się przecie może wymiarkować i tak...

— Właśnie za to miarkowanie zdaje się, zostałyśmy wyświecone poza obręb familii. Pamiętacie chyba co się działo na szarym końcu, kiedy pani Ociecka, licząc na to, że nie uważamy, mówiła o tem z tatkiem pierwszy raz?

Naturalnie że pamiętały. Ciotki nie było wówczas przy kolacyi, coś tam miała do czynienia z powidłami, rozmowa toczyła się, ze względu na Pawła, po francusku, a wujenka ruszała ciągle lewym policzkiem, jak zawsze kiedy jest zła. One natomiast traciły niemal przytomność z uciechy, łowiąc równocześnie zachłannemi uszyma każde słowo i usiłując nie pęknąć na miejscu z dławionego, szalonego śmiechu. Zapuściły się potem odrazu w dziedzinę wyobraźni i zaczęły mieć widzenia przyszłości, równie ucieszne, jak zuchwałe. Ani chybi wujenka namotała wtedy na wąsie...

— Strasznie się wówczas szalało, o siostry!

— Tak, — przyznaje Lutusia — aż się Maryńcia Ociecka gorszyła do swojej Fräulein!

— Skoro się ktoś nazywa Maryńcią, nie można się po nim spodziewać niczego. Spamiętaj to sobie na całe życie.

— Tak, ale tamte czyny nas zgubiły! — wzdycha Witka.

— Skręciły kark radości naszej i wytraciły doszczętnie rodzaj nasz!

— Przynajmniej do kolacyi!

W tej to chwili wyszła na jaw gorżka prawda, że z „prawie całego“ kurczęcia spożył Dunder ostatnią kostkę i ochlastywał właśnie sprośnym ozorem piernik. Apetyt jedynej przyjaznej duszy nie przetrwał próby zaufania.

Wszełkie wyzwiska były już obecnie zabiegiem najzupełniej spóźnionym.

— Nigdy już nie trzeba brać kondla na wyprawę!

— Wynoś się zakało jedna!

— Ruszaj szkaradzieństwo!

Dunder jednakże wyzutym był zgoła z ambicyi i zachował po zbrodni pogodę umysłu niezmąconą. Co gorsza, okazywał wciąż jeszcze ogromnie żywy interes dla reszty zapasów.

Wypadek nie przyczynił się bynajmniej do podniesienia serc.

— Wiecie wy, że tu jest dziś czegoś niemrawo! oświadcza nagle Witka.

— Racya! Czułam odrazu alem niewiedziała co... Zabierzmy się gdzie.

— Chodźmy!

— Ba, ale dokąd?

— Do sadu na naszą jabłoń!

— Pycha!

— Że też nam to pierwej do głowy nie przyszło!

— Nie do pojęcia!

— Chodziło przedewszystkiem żeby przepaść...

— I tak będziemy przepadnięte!

— Kwestya zresztą czy się kto obejrzy wogóle?

Krótkotrwały, gwałtowny szum kukurudzianej dżungli, potem tentent pędzących trzech par nóg, zbiorowe skrobanie trzewikami o pień, kilka genialnych podrzutów i chwytów, — trzask dartej falbany i są już na drzewie wszystkie, nawet „Aldona“ i „Mały Lord“ w karmazynowej okładce.

Tylko Dunder stracił się gdzieś w okolicy. Nikczemny, zdradliwy kondel!

— Wiwat! Całkiem inne życie! I ładniej i wygodniej... Co nas opętało z tą kukurudzą? Odmłodniałam o czternaście lat!

— To ja w takim razie o dwanaście i pół... ogłasza Lutusia.

— Konia kują, żaba nogę nastawia!

— A ja, wstyd powiedzieć, prawie o szesnaście! — wzdycha Witka.

— Bywają cięższe wypadki... Naprzykład ciotka Walerka...

— O, jejby już nic nie pomogło, co najwyżej zaczęłaby szukać niańki dla nas... Wyobraźcie sobie trzy noworodki na jabłoni!

— Pod jabłonią! Pospadałybyśmy przecie jak kluski!

Naraz Dzidzia:

— A wiecie wy, że właściwie strasznaby była szkoda ciotki!

— Tak, bez niej się tu zrobi całkiem nieznośnie, — przyznaje Witka.

— W domu głównie, bo z ogrodem to niema związku.

— Poniekąd ma. Ciotka przecie wysiaduje — jak mówi tatko — wszystkie nasiona kwiatowe, flance niby.

— I niby niewiem czego ciotka wogóle nie robi?

— Czuję, że nienawidzę już z góry tego „kąkuręta“! — sroży się Dzidzia. — Wielka mi racya, że stary kawaler! W ciotce się chyba nie zakochał... Miał przecie czas, bo

podobno jakiś dawny znajomy. A jeżeli się boi sam mieszkać, to dlaczego chce właśnie z ciotką?

— Swoją drogą pierwsza kulałabyś się ze śmiechu na ich widok, gdyby ci nie był wzbroniony, a teraz się raptem rozczulasz!

— Kulałabym się, tak jest, ale mi żal. Pomyśl, nie będzie ciotczynego pokoju, ani komody, ani sobotniej lampki, ani włoskiego orzecha na czubku, ani ametystowego bratka, ani konfitur — no, ani wogóle niczego całkiem!

— A jak go ciotka nie przyjmie?

— To zrobimy z radości dziki taniec naokoło stołu i ciotka będzie musiała z nami na jabłoń!

— A jeżeli on przyjechał, oświadczył się już i został przyjęty? Samaś przecie powiedziała, że się zaraz oświadczy.

— E, może tego nie zrobi! Tak się chyba znowu nie boi. Jakżeby wyżył ze strachu tyle lat!

Wtem Witka urywa i twarz jej staje się na moment nieruchoma, jak maska.

— A to co? — szepcze bez tchu. — Patrzcie! Tylko na miłość boską i ludzką, cicho!

Agrestową uliczką, od strony wielkiego świerka, idzie ku sadowi dwoje ludzi. Z daleka widać jej liliową kokardę pod szyją i jego śnieżnie białą kamizelkę. Niski jest i krępy jak ul.

Konkurent! Mają go! Wyszedł na sztych sam, dobrowol nie! Jest sprawiedliwość na świecie, jest pomsta nad grzesznemi!

Trzy pary okrutnych, świecących oczu godzi ostro w biedaka, jak w poduszkę na igły.

Idą wolno, ona z lornetką w ręce, on niesie szkocki szal ciotczyn. Rozmawiają, ale słów nie słychać.

— Już jej powiedział? Co? Jak ci się zdaje?

— Mowy niema. Przecie widzisz, że się nie całują...

— To będą się całować? Koniecznie?!! — szepcze Lutusia.

— Spodziewam się!

— Pospadamy! Jak cię kocham, już lecę...

— Cicho bądźcie! Chwalić Pana Boga i patrzeć! — gromi Witka jak najciszej umie.

Tamtych przesłoniła tymczasem zwęźlona gęstwa nizkich, owocowych drzew, tak, że tracą się na chwilę z przed śledzących źrenic.

— Wrócili! Matko Boska, przepadło!

— Jeszcze niewiedzieć...

— Ależ tak!

— Przedewszystkiem cicho!

— Nie zawrócili??

— Panuj nad namiętnościami, mówię tobie, siło nieczysta!

— Kiedy powiadam ci...

Zgłuszony pisk — i znów martwa cisza na jabłoni.

Po wykoszonej, wydeptanej trawie sadu idzie ciocia Walerka, obok niej ten jakiś pan. Można już pochwytać niektóre słowa, dojrzeć twarze. Ciotczyna wygląda jak przy opłatku wigilijnym. Ani smutna, ani wesoła, tylko taka całkiem jak wtedy. On ma szpakowate wąsy i gruby głos, taki, co zwykle miewa racyę. Idą bardzo, bardzo wolno.

Pierwej mówiła ciotka, a teraz od chwili brzmiał on. Dolatywały dotąd tylko same strzępki zdań. Obecnie zato słychać już całkiem wyraźnie:

...To miałoby znaczyć, że człowiek znowu darmo sięgał tej poręczy i napróżno budował nadzieje takiego, po latach, spełnienia?

— Tak, panie Sewerynie. Ja przecież nie taję, że wtedy — że całą duszą sprzyjałam, roiłam nawet... Ale potem zgryzło się to w sobie i przemogło. Była przyczyna co przeważyła... Nie taję, ciężkie były godziny. Co tam wskrzeszać dzisiaj! Tyle lat... Pan chyba rozumie, że to już nie to, że my dzi-

siaj inni, życie się przeżyło osobno, osobne troski, osobne radości...

— Radości! — gruby głos zachwiał się szczególnie — już eśmy tam na tem nie użyli, panno Waleryo! Co do mnie przynajmniej... Więc chciałem spróbować czy bodaj starość. — Kiedym się dowiedział, że pani za mąż nie wyszła, znów się zaczęło motać, przypominać... Człowiek się czepił na nowo tej myśli, że jednak jest może jakieś przeznaczenie.

— Dla mnie przeznaczenie dopełniło się tego dnia kiedy moja pierwsza bratowa umarła. Zły to był dzień dla tego domu. Dziecko zostało w kołysce, na sługach... Jakże tak było pozwolić? Pan wie, mój brat nigdy nie był domator. Bałam się... A potem, niedługo ożenił się drugi raz. No nic! Mówić wiele nie trzeba... Witka potrzebowała mnie jeszcze bardziej. Przywiązałam się zresztą do dziecka i — już zostałam. Pan wie kiedy to było. Nie miałam sumienia wybrać dla siebie. Napłakało się dość, nie taję, nic nie taję, panie Sewerynie... Tyle, że teraz już niepodobna myśleć nawet...

Ciotka umilkła na chwilę i cicho się zrobiło w sadzie jak makiem siał.

— Ale ja jestem wdzięczna drogiemu panu, z całego serca... zachowam głęboko... taki dowód...

— ...Gorżko, panno Waleryo!...

Słowa zacierały się już i gubiły w przestrzeni.

Wracają krótszą drogą przez pasiekę. Są już przy gruszy dziekance, teraz skręcą na prawo... Poszli.

. . . .

— Witka?!! A ty czego pociągasz nosem? Przecie ciotka zostaje! Słyszałaś... Na amen zostaje... Zrobimy dziki taniec... Przestańże, bo zgroza!

— Ty sama „zgroza“!

— Właśnie! Szesnaście lat i siompi! I żeby choć było czego... Kosza dostał, nie ciotkę...

— Idźże z ciotką!

— Co takiego??

— A bo mi go żal!!

MARYLA WOLSKA.

Niecierpliwość tłumu.

Wielka miejska brama Sparty, tej Sparty, której spiżowe wierzeje podobne były paiży wojownika, otwierała się ku Tajgetowi. Opylony stromy pagór stał w surowym blasku słońca, zachodzącego po świeżym zimowym dniu. Na tę spadzistą zbocz, kędy w przedwieczerz dzisiejszą spalono właśnie hekatombę, poglądała z okopów miejskich ćma luda, stojącego na wałach. Brzeszczoty ich mieczów, napierśniki i kończyste ostrza włóczni błyskały w zapadającem słońcu. Naród wszelako zdawał się poważny czegoś i posępny. Wszystkie spojrzenia trwały zawieszone u wierzchołka góry, skąd widno spodziewano się wieści czekanej.

Przed dwoma dniami ruszyło pod wodzą króla owych trzystu. Poszli strojni jak na święto, uwieńczeni kwieciem w bój za ojczyznę. Mężowie, których w Hadesie już mógł zastać wieczór, rankiem trefili włos w świątyni Dyany i maili się kwiatami. Z pierwszym promieniem zorzy, uderzywszy mieczami o tarcze, grzmiący pieśnią radosną, wśród krzepiących otuchą okrzyków kobiet, wyszli młodzi bohaterowie ze Sparty. Miękko muskały zioła i krzewiny termopilskiego jaru ich nagie golenie, zupełnie, jakby ta ziemia rodzona dla której życie swoje święcili, chciała raz jeszcze obdarzyć piesz-

czotą swych walecznych synów, nim się jej łono macierzyste na wieki nad nimi zawrze.

Rankiem słyszano dziś pono w Sparcie jakoby dolatujące we wietrze dalekie szczękania broni i echa wojennego śpiewu. Później dopiero przybyli z wieściami pasterze. Persowie dwukrotnie zostali odparci, wreszcie, po straszliwym pogromie zmuszeni ujść, zostawili bez pogrzebu dziesięć tysięcy poległych na pobojowisku. Lokris patrzyła na te zwycięstwa. Cała Tessalia powstała. Ateny pod wodzą Milcyadesa wysłały swoje zastępy. Siedem tysięcy żołnierza przyszło pono wojownikom spartańskim na odsiecz.

Naraz wszakże zmącił się dźwięk pieśni zwycięskich i modłów, któremi rozbrzmiewała świątynia Dyany. Nowi posłowie zwierzyli Eforom rzeczy jakoweś, po których ci z osłupieniem spojrzeli sobie w twarze. Duchem zwołano radę, od której wyszedł rozkaz podjęcia natychmiastowej obrony grodu. Zaraz jęto też kopać fosy — całe bowiem bezpieczeństwo dumnej Sparty spoczywało dziś jedynie w rękach obywateli miasta.

Zmierzch jakowyś zmroczył wszystką radość. Nie dawano już wiary najpierwszym słowom pasterzy, wszystkie dobre wieści poszły odrazu w niepamięć. Kapłani i wieszczkowie wróżący z trzewi zwierząt ofiarnych, drżeli sprawując swój obrzęd, poczem w podniesionych wysoko rękach, nad ogniem bijącym z trójnogów, składali ofiary bóstwom podziemnym, wzywając żarliwie ich łaski.

Podawano sobie cichaczem coraz to nowe wieści. Następnie wyszedł nagły rozkaz aby dziewice opuściły świątynię, padło już bowiem skądciś w głos wymówione imię zdrajcy. Gdy szły obojętne mimo, długie ich szaty musnęły pijanych, śpiących helotów, zalegających tu i ówdzie stopnie świątynnych schodów.

Przyszła nakoniec już pewna, rozpaczliwa wieść. Przez tajny, niebroniony wąwóz w górach, przedarł się do kraju

nieprzyjaciel. Pastuch z Essenii zdradził Helladę. Efialtes wydał Kserksesowi świętą ziemię ojczystą. Za przewodem kapiącego od złota satrapy, runęła tędy perska konnica i kopyta jej rumaków tratowały uświęconą dziedzinę. Już po was, o świątnice i miejsca czczone, kędy bytowali praojce! I oniż-to, żółci, zniewieściali Persowie mają brać w pęta Lacedemonów, wybierać niewolnice z pośród córek Sparty?!!

Obywatele grodu weszli tedy na mury i wały obronne, a w miarę jak patrzyli ku górom przygnębienie ich rosło. Wicher dął wyjąc po skalistych zboczach, aż pnie sosen gięły się, łamiąc z trzaskiem nagie, rude gałęzie. Gorgona szalała w powietrzu, ponure obłoki zdawały się kryć jej oblicze niby zasłoną ciężką. Naród garnął się ku otworom strzelnic i pozierał z lękiem w groźne niebiosa. Niemniej — pomny obecności dziewic — nikt z ciżby nie poważył się na jedno choćby głośne słowo. Tych niewolno było niepokoić żadną miarą, cokolwiekby chwila niosła, ani tem mniej budzić w nich najlżejszego podejrzenia przeciw któremu z mężów helleńskich. Pamiętano wszakże o ich przyszłem macierzyństwie.

Zniecierpliwienie, zawód po wytężonem czekaniu, niepewność tego co najbliższe godziny przynieść mogą, legły ciężarem ołowiu na sercach ludzi. Każdy w najczarniejszych barwach malował sobie niebezpieczeństwo grożące; zupełna zagłada Sparty zdała się wszystkim niechybną.

Lada chwila, rzecz prosta, pojawić się mogły przednie oddziały perskiego wojska. Niektórzy zdawali się spostrzegać już konnicę na dalekim widnokręgu i ciągnące Kserksesowe wozy. Wedle mniemania czuwających kapłanów można też było zasłyszeć od północy wyraźny szczęk broni, jakkolwiek właśnie wschodni wiatr rozwiewał ich opończe.

Przywleczono i zładzono do rzutów głazonośne katapulty, gromadzono zapasy pocisków. Młode dziewczęta wyniosły na wały tygle z rozżarzonemi węglami by topić na nich smołę, nawet sędziwe wiarusy uzbroiły się i krzyżując na piersiach

ramiona, wyzywały zda się w bój tych wszystkich, których wypadnie wysłać do Hadesu, wpierw nim się samym za nimi zdąży! Zatarasowano każdy, najwęższy przesmyk w miejskich murach, każdą bramę, każde drzwiczki, — Sparta bowiem sama nie podda się nigdy. Obliczono na jak długo starczą zapasy żywności i — w razie, gdyby wszystko już było stracone — kobiety miały ponieść z własnej ręki śmierć dobrowolną.

W obawie aby wróg znienacka nie zaskoczył miasta, postanowili wszyscy spędzić noc na wałach. Tu zatem kazał Rogakles, kuchmistrz miejski, sporządzić wspólną wieczerzę. Stojąc nad potężnym kotłem nurzał w nim ciężki kamienny trzon, rozgniatając z mozołem krupy w osolonem mleku. Ale i on zdawał się roztargniony i z trwogą poglądał ku górom.

Oczekiwano. Podawane sobie poufnie z ust do ust, szerzyły się o tessalskich walkach mnogie domysły i pogłoski. Rozpacz narodu budzić zwykła zawsze skłonność do plotki i oszczerstwa, a bratni szczep ludu, który skazać miał później na wygnanie takich mężów jak Arystydes, Temistokles, Milcyades — niełatwo dźwigał ciężące brzemię niepokoju. Jedynie leciwe matrony, pewne swoich synów, potrząsały głowami ze spokojem wilczycy, która sama karmiła swe młode.

Nagle niebo pociemniało. Niebyła to wszakże ciemność nocy; gnane wschodnim wiatrem, ze straszliwem krakaniem, przeciągały nad Spartą niezmierne stada kruków i one to zamroczyły powietrze. Spadły na las obrastający zbocza Tajgetu, obsiadając gęsto gałęzie drzew, do których przywarły bez ruchu — obrócone dziobami na północ z oczami świecącemi niesamowicie.

Podniosła się fala przekleństw, próbowano ptactwo płoszyć. Jęto ciskać z proc żwir krzemienny w stronę drzew, gdzie się rozpryskał z chrobotem. Usiłowano wreszcie odegnać złowróżbne ptaki klaskaniem w dłonie i umyślną wrzawą. Napróżno. Jakgdyby wiedziały że rychło, a niejeden bohater

tu padnie, im na łup, siedziały niby urzeczone na gnących się pod ich mnogością, czarnych gałęziach.

Skoro to ujrzały matki, westchnęły głęboko.

Wówczas dziewice poczęły się niepokoić. Podano każdej broń, święte miecze, które od paru stuleci wisiały nietykane w świątyni.

— „Co znaczą te miecze?“ — pytały, a ich przejrzysty wzrok niósł się z nad błyszczącej klingi ku temu, który ją podawał. Odpowiadał im przyjazny i czci pełny uśmiech, zostawiono je wszakże w nieświadomości; w ostatniej chwili dopiero miały usłyszeć, że miecze te przeznaczone są dla nich samych.

Nagle ozwało się kilka dziecinnych okrzyków. Bystre oczy dziatwy dostrzegły coś w oddali. Od wierzchołka góry, niknącego już w siności zmierzchu, pędził człowiek. Gnał w dół i jakby w obłędnym lęku ucieczki, zbliżał się ku miastu.

Wszystkie spojrzenia ugodziły w przybysza.

Biegł z pochyloną głową, wspierając się na sękatym kiju, który gdzieś po drodze wyłamał. Że zaś ostatnie promienie słońca padały właśnie na ową zbocz, rozeznać można było dokładnie szeroki płaszcz który go okrywał. Ten człowiek musiał upaść w biegu — płaszcz jego i kij oszargane były całe w błocie... Żołnierzem przecie nie jest — niema wszakże tarczy!

W posępnem milczeniu poglądano ku pędzącemu.

Skąd może gonić ten zbieg? Zły to znak, nie inaczej...

Niegodnem męża jest to co czyni. I czego chce? Czyżby schronu? Któż go tedy ściga? Ani chybi wróg! A zatem jest już blisko... Już!

Teraz, gdy pełny blask zapadającego słońca oświecał od stóp do głów postać zbiega, dojrzano nagle kształt jego obuwia.

Szał wściekłości i strachu zakipiał we krwi tłumu. Zapomniano o przytomności dziewic, które stały białe jak lilie.

Zagrzmiał okrzyk gniewu. To spartańczyk! Jeden z owych

trzystu. Poznano go! Żołnierz spartański, który stchórzywszy, porzucił swoją tarczę! Uciekł!! A tamci? Czyżby i oni podali tył wrogowi?! — Wzburzenie i trwoga skurczyły wszystkie oblicza. Zjawienie się tego człowieka to pewność pogromu. Pocóż dłużej ukrywać przed sobą klęskę?! Uciekli więc wszyscy! Tylko patrzeć jak nadciągną za pierwszym, a za nimi perska konnica!

Wtem zakrzyknął kuchmistrz że już coś dostrzega w oddali...

Nagle straszny, przejmujący krzyk rozdarł powietrze. To pewien starszy mężczyzna i jakaś duża kobieta krzyknęli tak okropnie — i, zawoławszy: „To nasz syn!“ ukryli twarze w fałdy szat.

Istna ulewa przekleństw lunęła w dół od murów. Zwinięte groźnie pięści wyciągnęły się ku zbiegowi.

— „Nie tędy droga! Nie tu pole bitwy!“

— „Czemu tak gonisz? Wolniej! Drogo ci pewno zapłaciły Persy za twój mieczyk i tarczę?“

— „Efialtes przecie bogacz!“

— „Spojrzyj ino na prawo! Pelops, Herakles i Polluks złożyli tu swe kości. Wywołaj cienie naddziadów! Będą z ciebie dumni!“

Żołnierz jednak zdawał się niepojmować niczego i niezrażony gnał dalej. Że zaś nie odpowiadał ani ustawał w biegu, wzburzenie ogólne zajątrzało się jeszcze. Młode dziewczęta, stropione, wodziły po sobie oczyma.

— „Nędzniku“ — wołali kapłani — „ociekasz cały błotem! Hej, nie całował taki świętej ziemi, ugryzł ją raczej!“

— „Już jest u bramy! Ale, na bogi podziemne! Nie wejdzie chyba do miasta!“

Tysiączne głosy buchnęły: — „Precz! bo cię na sztuki rozedrzem! Nie pilno nam splugawić się twoją krwią! Precz! Zawracaj w bój!“

— „Drżyj przed cieniami bohaterów, które nad tobą krążą!“

— „Dostaniesz wieniec od Persów i lutnię! Idź, idź, zabawiaj ich przy uczcie, niewolniku nędzny!“

Na te słowa dziewice Sparty przycisnęły mocno miecze do piersi i pochyliły czoła. Łzy dziewczęce spadły na żelazo, którem zwyciężali ongiś wolni spartańscy króle. Już były gotowe na śmierć dobrowolną dla ojczyzny.

Nagle jedna z nich, wątła, jasnowłosa młódka, przypadła do samej krawędzi murów. Tłum, robiąc jej miejsce, cofnął się ze czcią.

To narzeczona zbiega, przyszła jego małżonka...

— „Odwróć oczy Sinais, nie patrz w tę stronę!“ — wołały na nią towarzyszki.

Poważny jej wzrok spoczął jednak badawczo na męskiej postaci tam w dole, poczem schyliła się, podniosła kamień i cisnęła nim z zamachem na tchórza.

Rzut był celny. Nieszczęśnik ugodzony spojrzał w górę i stanął. Począł drżeć gwałtownie, poczem opuścił wzniesioną przez chwilę głowę i zadumał się. Nad czem?

Dzieci gapiły się na niego, matki wytykały go palcami. Kuchmistrz, rosły o żołnierskiej minie chłop, rzucił swoje stanowisko przy kotle i przecisnął się do jednej ze strzelnic. Wytknąwszy twarz przez szczelinę plunął ze wzgardą na zbiega, a wiatr doniósł wyraz tej wzgardy na skroń biedaka.

Tłum zahuczał oklaskiem. Wszystkim dogodził ten mocny znak oburzenia.

Pomsta się dokonała.

Oparty na kosturze, w zadumie i znużeniu, patrzył żołnierz osłupiałemi oczyma w otwartą bramę miasta.

Wtem — na znak dany przez dowódzcę — ciężkie spiżowe wrota nagle się zawarły.

U tych zapartych wrót, od których Sparta odtrącała go wygnańcem, padł wreszcie bez czucia.

W tejże chwili słońce zaszło i szybko poczęła zapadać noc. Wówczas kruki rzuciły się na nieszczęśliwego. Oklaski

na wałach wybuchły nowem uznaniem, wszelako czarne skrzydła drapieżnego ptactwa, zgłuszyły rychło zelżywy pohuk ludzki nad skazańcem.

Potem upadła rosa i zwilżyła ziemię naokół.

A nazajutrz — już tylko parę rozrzuconych kości zostało z człowieka.

Tak umarł.

Pełen poczucia chwały i cześci, której zadość się stało, waleczności, której mu bogowie mogli pozazdrościć, oczy przymknąwszy, by rzeczywistość zbyt sroga nie zmąciła mu w sercu wspomnienia umiłowanej Sparty, padł młody wojownik bez słowa, nie próbując nawet się bronić, krwią brocząc ziemię rodzoną, on, który niósł wieść o wygranej, jak palmę sławy u piersi, jeden z najwaleczniejszych w zastępie owych trzystu, którzy śmiercią okupili zwycięstwo. Rozkazowi wodza posłuszny, okryty ranami, rzuciwszy w wąwozie tarczę swoją i miecz, pognał ostatkiem sił obwieścić Sparcie wiekopomną chwałę jej synów.

Taką oto śmiercią zginął poseł Leonidasa.

VILLIERS DE L'ISLE ADAM.

Przełożyła Maryla Wolska.



1909

Wiersze.

I. WIERNA.

W marzeniach swych cię widzę samotną wieczyście,
W milczeniu domu tego bezludnem i smutnem
Zamkniętą dobrowolnie, choć wkrąg w kwiecia kiście
Sad stroi drzewa z wiosny bogactwem rozrzutnem.

Tam w komnatach, gdzie gwarom dnia wzbronione wniście
I kędy się w zwierciadłach, zasłoniętych płótnem
Nie odbijają starych obić złote liście
Żyjesz blada w dziewictwie cudnem i okrutnem.

Wspomnieniu serca swego wierna, jak cień drzewu,
Stajesz w oknie dopiero wśród zmierzchów zalewu
I patrzysz w zachód, kędy kona słońca bryła.

I z ust niecałowanych śląc tchnienie tęsknoty,
Przez pierścień, któryś ongi dla mnie przeznaczyła
Smukłemi palcy pukiel swój przewlekasz złoty.

II.

Nie oskarżałem nigdy wichrów października,
Że warzą późne pola siwymi przymrozki.
Po słodkich różach maja i pieśniach słowika
W zwiędłych liściach dar pory powitałem boski.

Po pszczołach, które złoty miód i wonne woski
Znosiły w ul wiosennych sadów pasiecznika,
Goszczę w swem sercu smutek, żałobę i troski,
Owoc mych win i losu, co ich krąg zamyka.

Wraz ze mną siałaś ziarna w łan miłości żywy.
Jak żądać zbóż od nasion ostu i pokrzywy...
Więc czemu dziś się głosisz żalem mej zadumie?

Cóż mi po twej słodyczy teraz o wieczorze,
Gdy jeszcze jeno gorycz upoić mnie może
I kiedy tylko smutek nasycić mnie umie?

III.

Utopionym tęsknotą w sen o życia cudzie,
Ślącym w nieme niebiosy modły serc najcichsze,
Upływa nam dzień za dniem w mgle, słocie i wichrze,
Na twardej ducha pracy i serdecznym trudzie.

Cierpliwie na jałowej schylamy się grudzie,
By podnieść ziarno wichrem przywiane, najlichsze
I zasobem napełnić lat głodowych śpichrze
Na złoty wiek mądrości po błędzie i złudzie.

I oto, kiedy wreszcie po znojach żywota
Gotowe czeka dzieło dni, jak pełnia złota,
Gdy zacząćby się winno piękne święto plonu:

Nadciąga zmierzch, chłód duszę owiewa i zastrach
I padamy pod twardem przeznaczeniem zgonu,
Złote pszczoły pobite na skończonych plastrach.

LEOPOLD STAFF.

Z tajników piękna[1].

PIĘKNO.

Ujemne definicye piękna. Piękno wynikiem ewolucyi. Homunculus a człowiek.

...Znamienną jest rzeczą, że wszystkie niemal, które posiadamy, definicye piękna, są definicyami ujemnemi. Weźmy n. p. Kanta. Określa on piękno jako to, „co podoba się bez wszelkiego interesu“, „co podoba się powszechnie bez pojęcia“, co jest „celowem bez wyobrażenia celu“, co jest zupełnie „niezależnem od pojęcia doskonałości“, „niezależnem od podrażnienia i wzruszenia“; każe on odróżniać między pięknem i „przyjemnem“, „wdzięcznem“, „wzniosłem“[2]. Zapewne, odgraniczenia podobne, mają znaczną wartość rozpoznawczą i krytyczną, formułują bowiem jasno to, co było

---

[1]) Podajemy tu dalsze wyjątki dzieła, które niebawem ukazać się ma na półkach księgarskich. Znany już czytelnikom „Lamusa“ autor stawia tu między innemi ciekawą tezę „historycznego uwarstwowienia duszy ludzkiej“, zaś w zastosowaniu do sztuki dowodzi, że wrodzone nam upodobania estetyczne są przeżytkiem dawnych, praktycznych niegdyś oryentacyi, które przechowały się mimo wszelkie zmiany zewnętrznych warunków dziedzicznie w budowie naszego umysłu. Dawna oryentacyjna ich wartość przekształciła się na porozumiewawczą. (*P. R.*)

[2]) „Sztuka dla sztuki“, czyli innemi słowy: sztuka nie mająca żadnego praktycznego celu jest najmłodszą formą ujemnej definicyi piękna.

wprawdzie dawno już ustalone obiegiem, ale ustalone w poczuciu raczej, niż w świadomości, intuicyjnie raczej, niż dyskursywnie. Ale to są determinacye tylko, nie definicye, ustalają one zakres, ale nie treść zjawiska. Pojęcie wychodzi z nich jak owa rzeźba Michała Anioła „przez odrzucenie wszystkich zbędnych części marmuru". Pięknem jest to, co pozostaje po odrzuceniu wszystkiego, co pięknem nie jest.

Podobne tłómaczenia nie mogą, rozumie się, zadowolić nikogo, kto wierzy w pozytywną treść świata i w solidną robotę przyczynowego łańcucha. Nie o to przedewszystkiem nam idzie, czem nie są, ale czem są i skąd się biorą nasze sądy estetyczne. Tak odwieczne, rozpowszechnione i co do zakresu swego wyraźne pojęcie jak „piękno" mogło powstać jedynie jako odbicie rzeczywistego jakiegoś ugrupowania zjawisk. Te zaś nie mogły ugrupować się przypadkowo tak, iżby pomiędzy innemi zjawiskami o pozytywnej treści utworzyła się niby jakaś kawerna, jakieś miejsce puste, czy też, co na jedno wyjdzie, wypełnione czemś, co nie posiada własnej substancyi. Jeżeli więc piękno przedstawia się nam dziś jako sam tylko zakres bez swoistej, jednolitej, pojęciowej treści, jako abstrakcya obejmująca najróżnorodniejsze upodobania ludzkiej duszy, blizkie sobie jedynie tem, że nie posiadające bezpośrednio ani poznawczej, ani etycznej, ani praktycznej wartości — tedy właściwa racya zjawisk tych musi leżeć poza dzisiejszą ich racyą, względnie — brakiem tejże.

Tak też jest w istocie. Piękno nie jest logiczną, ale historyczną jedynie koniecznością. Odczuwamy je, bo mamy historycznie urobioną duszę; aby zrozumieć piękno, musimy sięgnąć myślą poza logiczny pokład duszy tej, w zamierzchłe dzieje jej rozwoju.

*

Poeta niemiecki, Hammerling bohaterem najgłębszego ze swych utworów uczynił Homunculusa, niby-człowieka.

w gruncie jednak istotę sztuczną, wytworzoną przez mędrca w Faustowskiej retorcie. Dorósłszy, osięga Munkel — tak bowiem ochrzcił uczony tajemnicze swe dzieło — dzięki absolutnej precyzyi swego umysłu niebywałe, niesłychane wprost powodzenia, ale wewnętrznie upada pod tragedyą tej właśnie mechanicznej swej doskonałości. Brak wszelkich potrzeb, pożądań i słabości ludzkich jest nieszczęściem jego nadludzkiego żywota i każe mu wreszcie zazdrościć najmarniejszemu z ludzi — snu, głodu i miłości.

Człowiek nie jest Homunculusem. Wiedzie on swój ród nie z retorty, ale z przedwiecznego laboratoryum przyrody, które pracuje sobie jedynie właściwą, bo na miliony lat rozłożoną metodą ewolucyi. To też dusza ludzka nie jest precyzyjnym, do jednego tylko celu dostosowanym mechanizmem, nie da się ująć w ścisłą formułkę, ani złożyć syntetycznie z intellektu, woli i tych kilku innych jeszcze zasadniczych ingrediencyi, które wsypałby mędrzec do swej retorty. Kto wie, może w tym właśnie braku precyzyi i celowości ścisłej uwidacznia się czy tai wyższa jakaś mądrość, jakiś dalszy cel, ogólniejsza synteza, obejmująca oprócz naszej chwili przeszłość całą i przyszłość. Może idzie tu o szerszy prąd życia, o głębszy oddech i dalszą perspektywę. Być może. To wszakże pewna, że nie można zrozumieć należycie istoty estetycznych zjawisk ze współczesnego wyłącznie stanowiska. Stąd niezliczone manowce i nieporozumienia, stąd ciągły konflikt między rozumową a estetyczną oryentacyą. Stąd też niedostateczność wszystkich teoryi, których chwyta się raz po raz, a od tylu już wieków, myśl ludzka, aby znaleźć racyonalne jakieś wytłómaczenie dla zagadkowych zjawisk piękna. Jedynie bowiem właściwy klucz estetycznych naszych upodobań leży mojem zdaniem w historyi naszego rozwoju. Istnienie upodobań tych, uważam za jeden z pozytywnych dowodów rozwojowej genezy człowieka. Człowiek bez przeszłości ewolucyjnej byłby na

wskróś jednolity, celowy, racyonalny, precyzyjny, nie posiadałby żadnych „bezinteresownych“, „bezpojęciowych“, „nie uświadomionych celowo“ upodobań; nie stworzyłby on i nie potrzebowałby też sztuki.

„A PRIORI“.

Historyczne uwarstwienie duszy. Przeżytki. (Upodobanie ognia. Zatulność. Łowy. Gościnność. Koniarstwo i rycerskie sporty. Hazard. Głód ziemi. Zmylone instynkty). Piękno „a priori“: (Szczątkowe podstawy smaku. Upodobanie własnego gatunku. Wrodzone sympatye i odrazy. Wrażliwość na przyrodę. Zabytki dawnych oryentacyi. Intuicya estetyczna).

Na nizkich poziomach bytu, gdzie życie od milionów lat płynie bez zmian żadnych ni przewrotów, typy wyhodowane tą monotonią mogą też być na wskróś jednolite. Inaczej u istot, których warunki życiowe zmieniają się szybciej, niżby przyroda przystosowaniem nadążyć mogła. Ustrój takiego typu nie może być jednolitym; możnaby porównać go z geologicznym przekrojem, gdzie na skamieniałych złożach dawnego życia, na najstarszej formacyi instynktu, narasta, niby potężne torfowisko, żywy jeszcze u góry, kamieniejący już spodem pokład tradycyi — kultura. Na nim dopiero pleni się, jako początek nowej formacyi, bujne, indywidualne życie. Zwraca się ono liściem ku każdemu nowemu słońcu, ale korzeniami sięga daleko w głąb i czerpie swe soki ze wszystkich naraz warstw przeszłości.

Takim typem jest człowiek dzisiejszy. Stąd różnorodność jego, bogactwo i głębia, stąd zawikłania wewnętrzne i sprzeczności. Dusza nasza, jako wytwór forsownej, pospiesznej hodowli, przedstawia się niby karta palimpsestu, gdzie pod najświeższem, wilgotnem jeszcze pismem krzyżują się wzdłuż i w poprzek dawne, zblakłe już, miejscami wprost nieczytelne zapiski przeżytych, zamierzchłych dziejów człowieka-gatunku. Okres nasz historyczny, najbogatszy treścią i naj-

świetniejszy w barwach — to zaledwie ostatnich kilkanaście wierszy genezyjskiego eposu[1]).

*

W wytwornym salonie, którego atmosfera cała przesycona jest najsubtelniejszem tchnieniem kultury, zasiadło w półkole, przed wesoło płonącym kominkiem, wykwintne towarzystwo ożywione rozmową o ostatnich przejawach ludzkiego ducha.

Nigdzie tak miło się nie siedzi i tak łatwo nie gwarzy jak przy kominku. Pobliże łopocącego płomienia wytwarza całkiem osobny nastrój towarzyski, będący zapewne ukrytym jakimś przeżytkiem owej zamierzchłej doby, kiedy to życie rodzin i szczepów dosłownie „ogniskowało“ się dokoła takiej huczącej watry. Przestarzała technicznie, niepraktyczna, niezdrowa i kosztowna instytucya kominków byłaby niewątpliwie już dawno znikła z powierzchni ziemi, gdyby nie głębokie jej uzasadnienie psychologiczne. Ta sama wewnętrzna potrzeba, która każe pastuchom i wycieczkowcom palić, nawet bez żadnej istotnej racyi, ogniska po łąkach i lasach, przechowała też w erze udoskonalonych centralnych ogrzewań szczątkową formę kominka jako symbol domowego „ogniska“, jako jeden z głównych uroków własnego, zatulnego kąta.

Na czem wogóle polega taka „zatulność“? Co rozumiemy — rozumiemy bowiem wszyscy — pod określeniem: „zatulne“ mieszkanie, pokój, kącik? Wątpię, abym mylił się

---

[1]) Jakkolwiek przyrodnicy oceniający wiek człowieka, różnią się bardzo co do absolutnej wysokości cyfr, to jednak wszystkie te oceny uwydatniają dobitnie znikomość historycznego okresu wobec poprzednich. Jeżeli n. p. przyjmując obliczenie prof. Dybowskiego, wyrazimy graficznie tysiąc lat grubością jednego milimetra, tedy wiek całego organicznego życia na ziemi będzie się przedstawiał jak potężna, półtorakilometrowa formacya, w której wiek człowieka zajmie nie więcej, jak kilkanaście metrów grubości, a cały okres historyczny przedstawi się jako warstewka o grubości jednego zaledwie centymetra!

twierdząc, iż przychodzi tu do głosu również szczątkowe poczucie bezpieczeństwa, które kazało jaskiniowemu człowiekowi usadawiać się zawsze tak, aby mieć kryte plecy za sobą, a uwagę przed siebie tylko zwróconą. Poczucie to, niegdyś żywotne, przechowało się w instynkcie aż do czasów obecnych, gdy ani żadne zwierzę dzikie, ani wróg podstępny za nami się nie skrada. Od dzieciarni, której najulubieńszą zabawą jest „namiot“ z szalów albo „buda“ ze stołków i koca, do kawiarni i restauracyi, gdzie zajętemi najpierw są zawsze stoliki stojące w kącie, we framudze, a przynajmniej pod ścianą[1]) wszędzie przejawia się bezwiednie dążenie do sytuacyi „krytych pleców“. Niedarmo słowa „heimlich“, „Heim“, „home“, wywodzą się od źródłosłowów, oznaczających równocześnie „zatulność“ i „ukrycie“.

Pan domu, którego rasowy profil, obkreślony linią czerwonego blasku, rysuje się ostro na tle ciemnej tapety, przez częsty pobyt na zachodzie wykształcił w sobie, obok innych subtelnych zamiłowań, silne poczucie tego angielskiego „home'u“ i starał się nastroić dom własny według ściśle określonych jego prawideł. Każdy zakąt mieszkania jest też konsekwentnym ich wyrazem. Boazerye, dywany, kąty zaciszne, framugi, nigdzie amfilady, nigdzie za wiele drzwi. Do narożnego gabinetu pana jedne jedyne. Jest to najulubieńszy jego kąt, streszczający w obrębie czterech ścian wszystkie dawne i obecne upodobania jego duszy. Obok portretów rodzinnych fotografie jakichś niezapomnianych twarzy kobiecych, akwarelowe wizerunki ukochanych koni i psów, a wszystko ujęte w bogatą dekoracyę rosochów jelenich, łbów dziczych i rzadkich mylników sarnich. Łowy bowiem — to jedno z najgorętszych, najszczerszych jego zamiłowań.

Łowy? Czyż miałby to być także taki pradawny, szcząt-

---

[1]) W nowomodnych lokalach postarano się nawet o stworzenie sztucznej zatulności za pomocą odpowiednich przegródek czy parawanów ustawianych naokoło każdego stolika.

kowy instynkt, niegdyś podstawowy dla życia, a dziś straszący niepotrzebnie po pałacach pańskich i lepiankach kłusowniczych i po duszach strzelczyków niedzielnych z sądu czy magistratu? Któż dziś dowiedzie? Tyle pewnego, że pan Adam — jakoś bowiem nazwać musimy pana domu o rasowym profilu — uchodził zgodnie za pierwszego na kilka powiatów miłośnika i znawcę sztuki myśliwskiej. Do dziś wspominają sobie sąsiedzi słynne obławy, które urządzał w swoim czasie dla sąsiadów i mnogich — zbyt mnogich — przyjaciół.

Wogóle dwór w Nigdziewie słynął ongiś z przelewnej w całem słowa znaczeniu gościnności ugruntowanej głęboko w duszy młodego dziedzica. Scheda jego bowiem obejmowała oprócz ziemi także tradycyę, co więcej: instynkt gościnności — datujący zapewne również z owej jeszcze epoki bez dróg i zajazdów, gdy wymiana gościny była — jak i dziś jeszcze u ludów pierwotnych — społeczną wprost instytucyą.

Obecnie niejedno zmieniło się w Nigdziewie, zwłaszcza od czasu, gdy nieszczęsna mania koniarska pozbawiła pana Adama połowy magnackiego prawie majątku. W koniach bowiem kochał się od dziecka. Odwieczny głos krwi rycerskiej, ten sam, który każdego u nas sześcioletniego już „panicza“ ciągnie nieprzeparcie ku stajniom i pastwiskom, a potem wichrzy mu w głowie poprzez Horacego, fizykę i logarytmy, ten głos wspomnień rasowych ozwał się był z wyjątkową siłą w bujnej duszy pana Adama młodzieńczem zamiłowaniem do wszelkich junaczych zawodów i sportów; gdy zaś przedwczesna, niestety, śmierć ojca uczyniła go niezależnym, dał folgę swej pasyi do koni z tak szerokim rozmachem, iż do lat kilkunastu połowa, jak się rzekło, fortuny padła ofiarą rycerskiej pasyi.

Twierdzą złośliwi — przyjaciele zwłaszcza — że druga połowa stoczyła się po zielonem suknie i do pięknych stóp

niewieścich. Jeżeli prawda, tedy istotnie pojąć trudno, jak u człowieka o tak wybitnej bezsprzecznie inteligencyi, nad głosem rozsądku, jaki, malgré tout, posiadał pan Adam, zapanować mogła do tego stopnia żywiołowa moc instynktów, sięgających aż gdzieś w jaskiniowe, czy dawniejsze jeszcze czasy. Boć przecie i skłonność do hazardu, rys tak zgubny w dzisiejszych warunkach życia, a tak ogólno-ludzki, musi być, właśnie dlatego, że tak ogólny, zabytkiem jakiejś cechy charakteru, która popłacała ongiś w walce o byt osobistej czy zbiorowej. Był niewątpliwie czas, kiedy awanturniczość, fantazya, zuchwała wiara w szczęśliwą gwiazdę, połączona z niesytą nigdy żądzą zdobyczy, stanowiły główną sprężynę przedsięwzięć ludzkich i przynosiły, jako warunek przedsiębiorczości wszelkiej, więcej — w przecięciu, rozumie się — życiowych korzyści, niż spokojna praca i ostrożne wyrachowanie. Niepokój wewnętrzny, głód silnych wrażeń, gotowość stawiania wszystkiego na jedną kartę, były tłem psychicznem przedhistorycznych ludów, zwłaszcza tych, które byt swój oparły o wojnę, lub, co na jedno wychodzi, o rozbój. Owe to moce dęły w żagle dziobatym łodziom Normanów, one to zbierały się na przełęczach alpejskich, nad zieloną lombardzką doliną, one burzyły siłą impetu swego niezliczone gniazda pracy i cywilizacyi, aby na ściętych pniach zaszczepiać wraz z rasą swą awanturnicze jej instynkty.

Być może, że także i naszą cywilizacyę czeka niejeden jeszcze zalew barbarzyńców białych, czy żółtych. Na razie jednak ujęła ona w żelazne krypy społecznego współbytu historyczną, wichrowatą duszę ludzką, pozostawiając jej jako jedyne pole wysiłku i współzawodnictwa — ekonomiczną pracę i walkę we wszystkich produktywnych i rabunkowych jej przejawach. Nie dziw, że odwieczne a zmylone dziś instynkty, nie znajdując dawnego dla siebie pola, tłuką się po duszach ludzkich, jak zwierz dziki po żelaznej klatce, marnując użyteczne niegdyś siły na bolesną a jałową szarpa-

ninę. Nie dziw, że pan Adam, będąc dziedzicem aż tylu naraz duchowych anachronizmów, ujrzał się nagle, jak tylu innych przed nim i po nim, nad brzegiem ostatecznej ruiny. Miał on przed sobą, co prawda, jedną, ale też i jedyną drogę ratunku. Oto mógł sprzedać korzystnie — nadarzał się właśnie kupiec — obciążone nad miarę folwarki i wydzierżawić na szereg lat Nigdziewo za czynszem, któryby wraz z dochodem z lasu starczył do całkowitej spłaty długów. Rozumiał to i widział jasno pan Adam — ale nie miał siły. Wszakże niedawno dopiero dokupił drogo i za pożyczane pieniądze wielki szmat łąk, wchodzący mu — nieszkodliwie zresztą — między pola. Wszelkim planom sanacyjnym stawała na przeszkodzie żądza ziemi, głód ziemi, tejże samej, na której pracować się nie nauczył, której nigdy za warsztat zarobkowy nie uważał, ale której trzymał się dziedzicznie, instynktowo, żywiołowo, tak, jak chłop trzyma się jej pazurami, jak roślina korzeniem.

Pozostawmyż go zasłużonemu losowi — podmiotowo rzecz biorąc, może i nie całkiem zasłużonemu. Pan Adam, jakkolwiek nie ze wszystkiem nam obojętny, interesuje nas w tem miejscu jedynie jako figura ludzka, na której można było zademonstrować klinicznie, ile dziejowych i przeddziejowych przeżytków tai się nieświadomie w duszach naszych, pod cieńszą lub grubszą warstwą najmłodszej użytkowej formacyi. Cała wogóle głąb istoty naszej, całe podświadome, żywiołowe jej podłoże, które określano niegdyś jako „anima abdominalis“, jest poprostu genetycznym zabytkiem dawnych form życiowych. Historyczne uwarstwowienie duszy jest właściwą podstawą psychologii. Ktokolwiek by chciał na jednej tylko, najgórniejszej, logicznej, racyonalnej warstwie duszy ludzkiej oprzeć swą budowę, ten wnet się załamie; ten nie będzie nigdy rozumiał mężczyzny, a tem mniej kobiety; ten nie zrozumie też nigdy historyi.

*

Ale zapomniałem jeszcze o jednem. Oto p. Adam z urodzenia zarówno, jak i wychowania był także gorącym wielbicielem sztuki, a w cichości duszy, przy zamkniętych starannie drzwiach, potroszę i artystą.

Jakto? Czyżby i artystyczne upodobania nasze, czyżby i sztuka...?

Nie. Sztuka jest, jak widzimy, nietylko żywą, ale nad wyraz bujną, potężnie narastającą formacyą. Szczątkowemi natomiast nazwać należy estetyczne upodobania duszy ludzkiej, które dały ongiś początek sztuce i do dziś dnia stanowią główną — choć, jak sądzę, nie jedyną — jej podstawę.

„Smak — powiada Kant — jest daną nam a priori zdolnością". A priori? Pojęcie to nie wystarcza już umysłom po-darwinistycznej doby, jak nie byłoby z pewnością wystarczyło królewieckiemu filozofowi, gdyby współczesna mu nauka była już posiadała te punkty oparcia, z których korzysta myśl nasza. Umysł, który szukał genezy światów planetarnych, nie byłby zatrzymał się tam, gdzie stoją do dziś niewolnicy myśli mistrza.

„A priori" w rozumieniu ludzi spółczesnych to znaczy: ewolucyjnie, historycznie. Smak nasz jest, jak powiedziałem już powyżej, wytworem dziejowym. Złożyły się nań: z jednej strony ideowy dorobek ludzkości, z drugiej dziedzictwo krwi. Ten ostatni czynnik stanowi najstarsze, najgłębsze podłoże estetycznego naszego smaku, podobnie jak instynkty — osobiste, rodzinne, zbiorowe — są najgłębszą, przyrodzoną podstawą etyki.

Między instynktem a wrodzonem upodobaniem estetycznem zachodzi jedno tylko kryteryum graniczne, mianowicie istnienie lub brak widocznej celowości. Do pojęcia instynktu należy niezbędnie, aby był celowym, aby przynajmniej tłómaczył się jasno pod względem genezy swej jako racyonalne, użyteczne przystosowanie ustroju nerwowego do sprawy życia; przeciwnie, cechą estetycznych naszych upodobań jest brak wszelkiej celowej czy użytecznościowej oryentacyi.

Różnica wydaje się zasadniczą. A jednak nie sądzę, aby sięgała ona zbyt głęboko w istotę rzeczy, aby w szczególności wykluczała wspólny początek obu rodzajów upodobania. Zdaniem mojem cała ta różnica tłómaczy się poprostu zmiennością zewnętrznych warunków życia z jednej strony, a uporczywą trwałością cech dziedzicznych z drugiej. Jeżeli warunki, które wyhodowały pewną użyteczną skłonność, trwają do dziś dnia niezmiennie i ważnie, tedy skłonność taka wyda nam się i dziś jeszcze celową, racyonalną, użyteczną. Zowiemy ją wtedy instynktem. Jeżeli przeciwnie warunki życiowe zmieniły się tak dalece, że upodobanie dane przestało być użytecznem, że straciliśmy nawet z oczu pierwotną, użytecznościową jego genezę, tedy stajemy przed zagadkowem zjawiskiem „bezinteresownych", „nie uświadomionych celowo" upodobań, które obejmujemy zbiorową nazwą estetycznych.

Wrodzone nam upodobania estetyczne są tedy niczem innem, jak przedawnionemi wskutek zmiany warunków życiowych instynktami. Sen, głód, miłość byłyby estetycznym już tylko motywem dla przyszłego jakiegoś pokolenia homunkulusów.

Niewątpliwie najznamienniejszym z pośród bezużytecznych rzekomo, estetycznych skłonności człowieka jest upodobanie ludzkiego typu.

Podoba nam się „piękna" twarz, „piękne" ciało ludzkie. Lubimy przyglądać się bezinteresownie kobietom pięknym, zarówno jak mężczyznom i dzieciom. Przeciwnie, przeglądając atlas antropologiczny, doznajemy co chwila niemiłego wrażenia brzydoty. A jednak nie umielibyśmy, poza upodobaniem własnem, podać żadnej racyonalnej przyczyny, dla której n. p. nasz nos grecki, orli, czy garbaty piękniejszym miałby być od malajskiego, usta od murzyńskich, a oczy prosto rozcięte, od skośnych oczu mongoła. Na innem już miejscu wyraziłem przekonanie, że „to, co nam w boskich

rysach Afrodyty wydaje się objawieniem przedwiecznej jakiejś harmonii, czy nawet, jak twierdzi Kant, „wyrazem obyczajności [1]) jest w gruncie tylko głosem rasy naszej zgoła odmiennym od wrodzonych upodobań mongoła lub murzyna“. Botokudowi Botokudka stokroć piękniejszą się wyda od Liny Cavalieri. „Blada twarz“ jest przezwiskiem u czerwonoskórych. Niepodobna przyjąć tłómaczenia, jakoby takie upodobanie własnego typu było wyłącznie lub przeważnie wynikiem opatrzeń, przyzwyczajeń, zbiorowej suggestyi, czy estetycznego wykształcenia. Widzimy bowiem bardzo wyraźne odczucie „pięknego typu“ u dzieci i ludzi prostych, niepodległych jeszcze żadnej życiowej ani artystycznej suggestyi. Są to niewątpliwie oryentacye wrodzone, nieskończenie starsze pochodzeniem od sztuki wszelkiej i samego nawet człowieczeństwa. Ujawnia się tu poprostu dążność przyrody do tem szybszego ustalania, a zarazem przystosowywania typów zapomocą nerwowych skłonności i wstrętów występujących najjaskrawiej w zjawiskach t. zw. doboru płciowego. U człowieka, zwłaszcza człowieka kultury, instynkt przyoblókł się, jak wszystkie wogóle jego instynkty, w ideową szatę i stracił wiele ze swej pierwotnej, żywiołowej siły. Upodobanie, które powstało ongiś wyłącznie w celach hodowlanych, a które i dziś przy doborze stadeł pierwszorzędną odgrywa rolę, może jednak uniezależniać się niemal zupełnie od pierwotnego celu, z którą to chwilą przechodzi ono do kategoryi upodobań „bezinteresownych“, estetycznych.

Ale i poza typem własnego rodu, którego znamiona z natury rzeczy najgłębiej w naszym ustroju nerwowym ustalić się musiały, niepodobna przypuścić, aby całe otoczenie, wśród którego wyrastał przez tysiące wieków przyszły pan ziemi,

---

[1]) „Von der Normalidee des Schönen ist noch das Ideal desselben unterschieden, welches man lediglich an der menschlichen Gestalt erwarten darf. In dieser nun besteht das Ideal in dem Ausdrucke des Sittlichen, ohne welches etc.“ Kant. Kritik der Urtheilskraft.

nie zaznaczyło się celowo w jego usposobieniu pewnemi „a priori“ sympatyami i antypatyami. Tak samo jak kształt i ruch węża albo pająka przejmować nas zwykł nie rozumowaną wcale, ale poprostu żywiołową odrazą, tak uważam za rzecz możliwą, że n. p. typy psa albo konia, odwiecznych towarzyszy człowieka, mogły zapisać się emocyonalnie w jego systemie nerwowym, jako symbiotyczna jakaś sympatya, jako wrodzone, a pozbawione dziś już praktycznej doniosłości upodobanie pewnych kształtów i proporcyi. Również przyjemnemi lub przykremi mogą być „a priori“ pewne głosy, ruchy, zapachy.

Jeżeli wogóle natura cała, a więc także świat roślinny i żywiołowy budzi w nas dziś, jakkolwiek nie zależymy już od jego uśmiechów, żywy, uczuciowy rezonans, to źródła wrażliwości tej sięgają niewątpliwie w owe zamierzchłe czasy, gdy ród nasz, żyjąc jeszcze u łona przemożnej przyrody, odczuwać musiał i oceniać emocyonalnie, przyjemnie lub przykro, każde jej poruszenie; kiedy bezpośredni interes, poprostu konieczność życiowa, kazała człowiekowi wczuwać się w jej zamiary, dostrajać do jej nastrojów. Dzisiejszy mieszkaniec miasta, cieszący się wiosną, a melancholizujący jesienią, wychodzący za rogatki latu naprzeciw, a poprzestający na codzień na ogrodzie i skwerze, a choćby tylko na oleandrze kawiarnianym i kwiatku na oknie — czyni to wszystko dla „piękna“, to znaczy w imię odwiecznych, żywotnych niegdyś, a dziś estetycznych już tylko upodobań.

Uważam wreszcie za bardzo prawdopodobną rzecz, że estetyczne nasze poczucie kształtu i proporcyi zrodziło się z użytecznościowego pierwotnie momentu; że n. p. upodobanie symetryi powstało z poczucia równowagi, że wrażliwość na t. zw. harmonię kształtu była niegdyś celowem czysto poczuciem mechanicznem, potrzebnem do opanowania statyki i ruchu; wrażliwość rytmiczna służyła pierwotnie, jak powiedzieliśmy już, za regulator lokomocyi i pracy, wrażli-

wość na ton, barwę głosu i interwały miała niegdyś na celu akustyczną diagnozę zjawisk; odczucie min, gestów i intonacyi ludzkiego głosu było koniecznem do społecznego kontaktu z bliźniemi jednostkami.

Wogóle powiedzieć można, że cała niemal praktyczna oryentacya wśród zjawisk zewnętrznego świata, którą dzisiejszy człowiek czerpie z własnego i cudzych doświadczeń i z logicznej materyału tego przeróbki — a więc z praktyki, nauki, rozumowania, obliczenia — pierwotnie opierała się na intuicyjnem czysto odczuciu zjawisk i praw przyrody. W miarę, jak rozrastająca się władza intellektu dawała jednostce i ogółowi coraz pewniejszą ostoję, coraz dalsze rozpoznanie — owo bezpośrednie, intuicyjne odczucie świata, tracąc na praktycznem znaczeniu, nie zanikało wprawdzie — ile, że nic raz już wyrobionego w organizmie nie ginie — ale zmieniało powoli biologiczną swą rolę. Tak samo jak wrażenia powonienia i smaku, posiadające niegdyś pierwszorzędną poznawczą wartość, dla dzisiejszego człowieka — poza podręczną próbą sanitarną — estetycznej już tylko oceny są przedmiotem, tak też i inne, wrodzone nam estetyczne odczucia, upodobania i odrazy, są szczątkami praktycznych niegdyś oryentacyi przechowanemi dziedzicznie w nerwowym naszym systemie. Zmiana stosunków i umysłowych podstaw naszego życia uczyniła je w znacznej mierze już bezprzedmiotowemi, bezinteresownemi. Nie chcę przez to powiedzieć, aby nie posiadały one i dziś jeszcze, w subtelniejszych zwłaszcza odcieniach, pewnej poznawczej wartości. Owo „intuicyjne poznanie“, o którem powiada Bergson, że daje artystom głębszy od naukowego wgląd w istotę rzeczy, jest właśnie niczem innem, jak silniej w artystycznem typie niż w innych rozwiniętym zabytkiem takiego pierwotnego poznania.

SĄDY ETYCZNE A ESTETYCZNE.

Przedawnione sądy etyczne, podstawą estetycznych. (Imperatyw gospodarczy. Rycerskie oryentacye. Honor. Pojedynek. Odwaga. Romantyczne motywy. Wojna). Etyka bohaterska. (Plazma społeczna. Jednostka jądrem społeczeństwa. Kult bohaterów. Postulat wielkiej miary). Etyka społeczna. (Dobro. Przesunięcie pojęć. Zmiany w pojęciu bóstwa. Chrześcijaństwo). Wielka miara motywem estetycznym. (Bohaterowie sceny. Estetyczna wartość cnoty. Imperatyw życiowy a estetyczny. Kult Napoleona. Nietscheanizm. Byronizm. Dekadentyzm).

A teraz przejdźmy do innej dziedziny.

Zarówno życie jak sztuka — zwłaszcza poezya — dostarczają nam silnych wzruszeń, wynikających nie z bezpośredniego jakiegoś interesu, ale z czysto ludzkiej oceny stosunku ludzi do ludzi. Analizując emocye te, musimy przyznać, że każde niemal wrażenie literackie, a nawet często i życiowe bywa w duszy naszej równocześnie przedmiotem dwojakiej oceny: etycznej i estetycznej. Wynik obu bywa niekiedy wręcz sprzeczny. Jeden i ten sam czyn spotyka się równocześnie z etycznem naszem potępieniem i podoba nam się z estetycznego punktu widzenia; nieraz postać moralnie bardzo wysoko stojąca, pozostawia nas obojętnymi na korzyść tego albo owego estetycznego nicponia. Zwłaszcza kobiety są, jak wiadomo, wprost nieobliczalnemi w sympatyach swych dla rozmaitych Bohunów, czy Don Juanów.

Zjawisko to, sięgające z dziedziny literackich urojeń głęboko w tok praktycznego życia tłómaczy się mojem zdaniem również historycznie. Sprzeczność dwóch równoczesnych sądów w łonie jednej i tej samej duszy pochodzi poprostu stąd, że płyną one — aby posłużyć się raz jeszcze geologicznym obrazem, — z dwóch odmiennych pokładów duszy. Każdy z tych sądów odpowiada tym normom życiowym, które obowiązywały w czasach tworzenia się odpowiedniej formacyi umysłowej. Przedawniające się wskutek

zmiany warunków zewnętrznych upodobania etyczne stają się estetycznemi.

Weźmy chwilę obecną. Ktokolwiek śledzi bieżący kierunek życia, stwierdzić musi, że na czoło wszystkich usiłowań ludzkich wybił się moment gospodarczy, jako naczelny dziś argument osobistej, zarówno jak zbiorowej walki o byt. Wytwórczość ekonomiczna i obrót wartości — oto dwa główne hasła współczesnego życia, którym podporządkowują się powoli wszystkie inne, nawet polityczne punkty widzenia. Produktywność jest dogmatem nowoczesnego człowieka, praca, umiejętność, przedsiębiorczość, oszczędność — oto zalety wysuwające się dziś na czoło cnót obywatelskich. Wiemy to i uznajemy chcąc nie chcąc jako konieczność życiową; ale niewielu chyba znalazłoby się takich, u których ekonomiczne te cnoty obok należnego im uznania, budziłyby także estetyczne jakieś wzruszenie. Przeciwnie: pojęcie „filistra", „episjera", „groszoroba", albo nawet, jak u Krasińskiego, wogóle „kupca" zawierają sporą przymieszkę estetycznej odrazy. Wyrachowanie jest obowiązkiem życiowym — ale człowiek wyrachowany nie jest poetycznym. Rozrzutność musi być bezwarunkowo uważaną za szkodliwszą od skąpstwa, ale estetycznie stoi sknera niżej od utracyusza. Guerre aux pédants! „Szeroka natura" bywa często przedmiotem upodobań i ambicyi. Chęć zysku została uznaną przez ekonomię za główną sprężynę użytecznego wysiłku; ale w kodeksie towarzyskim hańbią przedewszystkiem przewinienia „z chęci zysku popełnione". Przed użyteczną pracą chylimy czoła, ale awanturniczość nam się podoba. Nieosiadły, niedostępny społecznej kulturze indyanin, poetyczniejszym jest od farmera. Uprawiająca i przerabiająca buraki cukrowe Ukraina, wydaje się wprost trywialną w porównaniu z owem nieprzejrzanem morzem koralowych burzanów,

„Gdzie skrzypią maże, pył ćmi, słońce pała"

i tylko od kurhanu do kurhanu

„Czasami kracząc wrona i cień jej przeleci".

Próżniacze, rozwłóczone i zdemoralizowane plemię cyganów uchodzi, właśnie dzięki tej nieużyteczności swojej, za zjawisko wyjątkowo estetyczne, niewyczerpane źródło tematu dla poetów i librecistów.

Jednem słowem: wszechpotęga ekonomicznej strony dzisiejszego życia jest historycznie zbyt świeżej daty, aby mogła nie wywoływać przeciw sobie buntu wielu innych, dawniejszych dziejowo strun duszy ludzkiej, przytłumionych dziś przemożną konjunkturą chwili. Protest taki przybiera firmę estetycznego sądu.

Wraz z upadkiem feudalnego ustroju t. zw. rycerskie cnoty, konieczne niegdyś dla ludzi wojennego zawodu i dawnej techniki wojennej stały się, rzec można, bezprzedmiotowemi. Odwaga osobista nie rozstrzyga już bitew, szlachetność uczuć nie notuje na giełdzie, honor rycerski nie znajduje w ustawie osobnego uwzględnienia. A jednak mimo tak gruntowną przemianę stosunków, dążeń i zapatrywań, zawód wojenny — wojskowy raczej — nie stracił w oczach niejednego i niejednej nic z dawnego swego uroku, rycerskie pojęcie honoru w stosunkach towarzyskich do dziś dnia obowiązuje, a pojedynek, mimo całą niedorzeczność swą, niemoralność i bezprawie, uchodzi za estetyczniejsze rozwiązanie osobistego zatargu od wszelkich prawnych dochodzeń.

Odwaga, gotowość do narażenia w razie potrzeby, a wbrew instynktowi samozachowawczemu, choćby życia, była niewątpliwie jednym z pierwszych i głównych przymiotów osobistych człowieka pierwotnego. Stąd tak głęboko w naturze ludzkiej zakorzenione upodobanie tej właśnie cechy, a tak odruchowa pogarda tchórzowstwa, że podziw dla odważnego czynu zdolnym jest niekiedy rozgrzeszyć samą sprawę. W oczach górali tatrzańskich „zbójnictwo“ jest „honornym“ zawodem. Bandytyzm i kleftyzm, zemsta krwi i zabójstwo z miłości nie wyzbyły się do dziś pewnego romantycznego

uroku. A już zgoła wojna, która, jeśli dzielnie prowadzona „uświęca każdą sprawę“. Tak przynajmniej rzekł Zarathustra...

*

Zastanawiając się nad kolejami przesunięć i przewrotów, jakim ulegał w okresie dziejowym ideał etyczny, musimy przyjść do przekonania, że przemiany te wytyczają w wielkich zarysach jeden główny kierunek ewolucyi, a mianowicie stopniowe przeobrażenie bohaterskiego ideału na społeczny.

Każda wogóle etyka, czy to ujawnia się ona w obyczaju czy religii czy prawodawstwie, ma za ostateczny cel: organizacyę społeczną t. j. unormowanie stosunku jednostki do ogółu. Różnica wszakże w tem, gdzie umieszczono punkt ciężkości, czy przeważa jednostka czy ogół.

Postawiono w socyologii dogmat społecznego początku człowieczeństwa. Na początku była gromada. Wszystkie objawy życia pierwotnego, a więc: religijna, polityczna, gospodarcza jego strona, były zbiorowemi, kolektywną była etyka i sztuka pierwotna. Tezę powyższą możemy niewątpliwie uznać, jednak nie dalej jak w zastosowaniu do owego całkiem pierwotnego stanu „plazmy społecznej“, gdy wszelka indywidualna wyższość czucia, woli, intelektu, w braku dostatecznych środków transmisyi duchowej nie mogąc należycie się udzielać, nie posiadała też zbyt doniosłego praktycznego znaczenia. W miarę jednak, jak rozwój mowy i sztuki zaczyna dostarczać sposobów, aby każda myśl indywidualna, każde uczucie, nadewszystko zaś wola, ujawnione w zewnętrznym wyrazie, mogły wnet udzielić się tysiącom innych umysłów, rośnie też tysiąckrotnie doniosłość takich indywidualnych przewag, rośnie jednostka sama. Ona staje się, niby jądro w komórce, podstawą prawdziwie organicznego rozwoju już nie plazmy bezkształtnej, ale jednostki wyższego rzędu — spo-

łeczeństwa. Znamienną jest rzeczą, że wszystkie ustroje polityczne starożytności wywodziły mityczny swój rodowód od jakiegoś Menesa, Pelopsa, Tezeusza, Romulusa, jednem słowem od osobistego „założyciela". Uporczywe powtarzanie się mitu jest już poniekąd dokumentem dziejowym, który znajduje zresztą potwierdzenie swe w historycznym już okresie czasu, gdzie, jak widzimy, wielkość państw, a nawet i państwa same zaczynają się z reguły od wielkich jakichś postaci. To samo na każdem innem polu. Religie i ustawodawstwa biorą początek swój od wielkich jednostek.

Temu wybitnemu znaczeniu indywidualnej woli i myśli odpowiada też moralne stanowisko jednostki w pierwotnem społeczeństwie. Podziw i posłuch dla wszystkiego, co wybija się ponad poziom ogółu — oto pierwotna forma organizacyi społecznej. *Kult bohaterów — oto treść pierwotnej etyki.*

Pojęcie *bohatera*, tak, jak świat barbarzyński je rozumiał, nie przesądza bynajmniej moralnej wartości jego czynów. *Cechą bohatera jest jedynie i wyłącznie miara tych czynów, przerastająca przeciętną miarę ludzką.* Już samo słowo jest tu charakterystycznem; według wschodniego źródłosłowu (i dziś jeszcze w języku ludowym) „bohater" znaczy poprostu: wielki, możny człowiek. Takimi też przedewszystkiem są bohaterowie barbarzyńskich i wogóle młodzieńczych narodów. Największy z greckich herojów, książę pól elizejskich, Achilles, jest postacią równie nieszczególną pod względem moralnej wartości jak Günther i Hagen i Valtarius manu fortis i inne zabijaki północy, którzy tłuką się otwarcie i mordują podstępnie poprostu z zamiłowania do bitki albo z zemsty, albo z łakomstwa o skarby zdobyczne.

W rozumieniu ludów pierwotnych bohaterskiej miary jednostka stoi „jenseits von gut und böse", nie podlega żadnym prawom społecznego współżycia, albowiem sama siłą swą to-

ruje drogi sobie i światu. Co najwyżej uznaje ona kilka bardzo pierwotnych przepisów barbarzyńskiego współżycia, n. p. wierność dla przyjaciela, gościnność. Poza tem tylko wola poparta siłą staje się prawem. Etyka barbarzyńska nie dzieli ludzi na dobrych i złych, ale jedynie na małych i wielkich, słabych i silnych, ludzi i nadludzi. Być wielkim, być ponad miarę — oto ideał etyczny pierwotnego człowieka, będący poprostu ideowem streszczeniem ówczesnej struktury społecznej.

Ale etyka bohaterska, pierwotna organizatorka gromad, nie wystarczała snać dalszym fazom społecznego rozwoju. Rozrost liczebny i (dzięki udoskonalającym się środkom duchowej transmisyi) coraz ściślejszy zespół ogółu musiał z natury rzeczy potęgować znaczenie zbiorowej jednostki w porównaniu z osobistą. Cywilizacya (dosłownie „uobywatelenie“, uspołecznienie), organiczny podział funkcyi i pracy, uwydatniał coraz bardziej zależność wzajemną i potęgę gromady. Nadludzkiej sile bohaterów przeciwstawiać się zaczyna: suma drobnych, ale licznych sił ludzkich; osobistej woli: wola zbiorowa; myśli indywidualnej: społeczna baterya myśli. Ten sam wielki prąd ewolucyi, który uwydatnia się w politycznym rozwoju narodów stopniową przemianą władztwa jednostki na rządy coraz szerszego ogółu, przekształca też praktykę życiową, a wraz z nią i ideał etyczny. Przeciw kultowi półbogów-bohaterów podrasta nowa etyka, stawiająca jako ideał już nie wyjątkową miarę ale równoległość dążeń ludzkich. Sumować się bowiem mogą tylko równoległe siły. „Dobro“ jest właśnie ową wspólną oryentacyą, która zwracając niezliczone drobne dążenia ku jednemu celowi — ogólnej korzyści — czyni z nich nieprzepartą siłę.

Celem nowej etyki było: uczynić z człowieka dobry budulec społeczny. Wartość łomu mierzy się wielkością bryły; wartość cegły leży właśnie w równej mierze i gładkości ścian ułatwiającej spojenia.

To powolne uspołecznianie ideałów etycznych uwydatnia

się w bardzo znamienny sposób w stopniowem przesuwaniu się znaczenia słów. „Arete“ jeszcze u Homera niema nic wspólnego z cnotą, a określa jedynie wyjątkową zdatność, dzielność, siłę, wspaniałość zjawiska; u prozaików attyckich słowo to używanem już jest w znaczeniu cnót obywatelskich, a wreszcie ustala się jako określenie „cnoty“ w dzisiejszem społeczno-religijnem znaczeniu. Podobnie „agathos“ obejmuje u Homera cielesne tylko przymioty, „aristos“ oznacza najsilniejszego, podczas gdy w późniejszej prozie słowa te służą już do określenia moralnego dobra [1]). To samo odnosi się do słowa „virtus“, które niegdyś było tylko męstwem. „Tugend“ pochodzi od „taugen“, oznaczało zatem pierwotnie tylko „zdatność“. „Brav“ nazywał się niegdyś waleczny człowiek, dziś „braver Mann“, „braves Kind“, jest porządnym człowiekiem, grzecznem dzieckiem. U nas pojęcie „dzielności“ (od „działania“) zawiera obecnie już notę moralną. „Grzeczność“ jest dziś cnotą społeczną; ale słowo wywodzące się od „k'rzeczy“ oznaczało pierwotnie tylko celowość, zdatność. To samo można powiedzieć o „zacnej broni“, „poczciwej odzieży“. Wogóle znaczenie słów przesuwa się wraz z poglądem etycznym coraz bardziej w kierunku społeczno-moralnym [2]). Tej samej przemianie uległo też pojęcie „bohatera“, wymagające już dziś moralnej także wartości.

Są to wszystko objawy wielkiej ewolucyi społecznej, która dokonuje się od wieków t. j. od początków cywilizacyi — i to na ziemi zarówno jak na niebie. Greckie słowo „Dajmon“ nie zawierało pierwotnie żadnej kwalifikacyi etycznej. Bóg w rozumieniu pierwotnem mógł być zły i dobry, sprawiedliwy i stronniczy, mógł być okrutny, złośliwy, chytry, występny. Boskość jego leżała wyłącznie w potędze przerasta-

[1]) Ob. słownik K. Schenkla i inne.

[2]) Co prawda, jesteśmy dziś świadkami dalszej jeszcze ewolucyi słów i pojęć. „Na Pańskie dobro“, „dobry na swe zobowiązania“, „gut für zweihundert tausend Kronen“ — oto zapowiedź dalszego przesunięcia wartości etycznych, „Aristos“ nowoczesne tłómaczy się: „prima“...

jącej nieskończenie możność ludzką; pojęcie tem bardziej zrozumiałe jako uosobienie sił przyrody, które nie są w istocie swej ani złe ani dobre, ale przedewszystkiem potężne.

Takie pojęcie bóstwa nie mogło z natury rzeczy wystarczyć uspołecznionemu człowiekowi, nie mogło ostać się wobec świtającego już na ziemi nowego ideału. Człowiek społeczny musiał prędzej czy później uznać d o b r o za konieczny atrybut swego Boga. Temu przesunięciu treści odpowiada zmiana słów: „hieros“ na „hagios“, a „sacer“ na „sanctus“. Wyśniony już przed wiekami w prastarych kolebkach cywilizacyi, wyrozumowany przez filozofów, wytęskniony przez serca ludzkie ideał etyki społecznej, zabłysnął wreszcie światu w gwieździe betleemskiej.

Etyka chrześcijańska była skrajnem przeciwieństwem etyki bohaterskiej, jako dążąca wprost do roztopienia się jednostki w społeczeństwie. „Miłuj bliźniego jak siebie samego“: to przykazanie obala naturalną antytezę między mojem „ja“ a wszystkiemi innemi. Zaparcie samego siebie — to podporządkowanie jednostkowego interesu pod ogólny. Pokora chrześcijańska — to przeciwieństwo samowiedzy, zatarcie przewag indywidualnych, obowiązkowe osłabienie współzawodnictwa. Błogosławieństwo dla maluczkich, cichych i pokornego serca — to już wprost apoteoza nizkiej a przynajmniej przeciętnej miary, to poniżenie wszystkiego, co ponad nią indywidualnie się wywyższa.

Taka to „dobra nowina“, taki społeczny imperatyw nastał światu, co więcej zapanował nad nim — przynajmniej nominalnie, teoretycznie. O ile praktyka życiowa i serca ludzkie nie dorosły doń jeszcze, uznaliśmy go jednak i wytknęli sobie jako naczelny ideał życiowy, niedościgniony wprawdzie, ale zbliżający, o ile zbliżymy się doń, królestwo boże na ziemi. Jakkolwiek woda chrztu nie przeobraziła jeszcze ze wszystkiem Chlodwigów na Ludwików, jakkolwiek instynkt, interes, racya stanu aż nadto częstych domagają się kompromisów

z jasną i prostą nauką ewangelii, choć nie zawsze rozsądkiem umielibyśmy ją uzasadnić, to jednak ukochaliśmy ją i ufamy jej z tradycyi i przekonania, przylgnęliśmy do niej całą siłą społecznych naszych instynktów, wierzymy w nadziemskie jej objawienie.

Credimus. A jednak...

A jednak mimo całą lepszą wiedzę i wolę, mimo światło nauki i potężny wpływ wychowania, nie przestały wichrzyć w nas, obok sił i słabości ciała, dawne, pogańskie ideały życiowe. Wygnany z etyki kult nad-człowieka władnie dziś jeszcze po staremu głębią duszy naszej. Ujawnia się to kierunkiem estetycznych naszych upodobań. Klękamy w tłumie i korzymy się „przed kościoła progiem", ale lubimy „huczny lot ogromnych ptaków". Błogosławimy maluczkim i pokornego serca, ale podoba nam się każdy czyn potężny, ale mamy mimowolny podziw dla człowieka wielkiej miary.

Sąd estetyczny w razie konfliktu między bohaterską etyką a społeczną, oświadczał się zawsze za bohaterską — t. j. dawniejszą. Takie wyraźne a powszechne upodobanie w nadludzkiej mierze wyda nam się tem bardziej zrozumiałem jeśli zważymy, że przeddziejowy, barbarzyński okres, który wyhodował te upodobania, jakkolwiek w perspektywie oddalenia i z braku znajomej treści krótkim stosunkowo wydawać się nam może, trwał w istocie nieskończenie dłużej od całej ery dziejowej a przeto tem głębiej w budowie duszy naszej zapisać się musiał.

To też i konflikt między estetycznym a etycznym sądem sięga już odległej starożytności. On to był jednym z punktów oskarżenia, jakie wytoczyła w imię cnoty filozofia grecka sztuce. I w samej rzeczy nie można powiedzieć, iżby kierunek sztuki tej, a zwłaszcza poezyi ówczesnej, był budującym w znaczeniu społeczno-moralnym, który to punkt widzenia obowiązywał już w znacznej mierze w ówczesnej praktyce życiowej, a uświadamiał się jasno wielkim umysłom ówczesnych

myślicieli. O bohaterach eposu była już powyżej mowa. Dramat, jako późniejszy objaw rozwoju, przedstawia nam bohaterów nieskończenie wyższych duchowo, ale bynajmniej nie doskonałych etycznie. Są to ludzie zazwyczaj niezrównoważeni wewnętrznie, ludzie gwałtownych a nieokiełzanych namiętności, pełni buntu, obciążeni „winą tragiczną" a nierzadko i zbrodnią — ale okupujący te wszystkie braki tą właśnie potęgą uczuć swych, dążeń i czynów. Postulat nadludzkiej miary, znajdujący niezrównany wprost symbol w obowiązkowym koturnie, był właściwą etyką dramaturga. „Strach tragiczny" współczucie, podziw, cały wogóle kompleks uczuć warunkujących w dramacie wzruszenie estetyczne i użycie — zależał psychologicznie od nad-ludzkiej miary bohaterów.

Człowiek cnotliwy, t. j. zasymilowany społecznie, zasługuje na miłość, uznanie, uwielbienie, ale nie wzbudzi — o ile nie uwydatni przytem cech bohaterskich [1]) — estetycznego wzruszenia. „Pius Aeneas", będący tylko posłusznem narzędziem w ręku wyższych mocy, pozostanie wbrew intencyi poety, a mimo całą poprawność i waleczne nawet czyny, o których słyszymy, raczej parodyą epicznego bohatera. A już zgoła zawieść musiał Klopstockowski pomysł uczynienia z doskonałości etycznej, z postaci Chrystusa — bohatera epopei!

W sztuce przeważa i musi też przeważać imperatyw estetyczny nad życiowym. Właściwością jej bowiem jest: wywoływać przedewszystkiem wzruszenie estetyczne, które dopiero pośrednio, wtórnie oddziałuje — o ile wogóle oddziałuje — na praktyczny kierunek myśli naszej i woli. Wprost przeciwnie ma się rzecz w praktycznem życiu, dla którego miarodajnemi nie mogą być genetyczne wspomnienia, ale jedy-

[1]) Nie ulega wątpliwości, że potęga duchowa męczenników, wielkie akty zaparcia i poświęcenia, jednem słowem bohaterskie objawy chrześcijańskiego ducha, budzące oprócz etycznego estetyczne także zadowolenie, były dla chrześcijaństwa potężnem narzędziem propagandy. Należy istotnie żałować, że katechizmowy wykład etyki przepisujący uspołecznionemu człowiekowi przedewszystkiem, czego robić nie należy, tak rzadko do tych estetycznych, bohaterskich strun duszy się odnosi.

nie aktualne oryentacye, od trafności których utrzymanie i rozrost życia tego zależy. Takiemi są: wskazania praktycznego rozumu, t. j. rozsądku na bliższą metę, a wskazania etyki na daleką.

Niestety, rozgraniczenie to nie wyświetlone dość jasno, nie uświadomione dość powszechnie, bywa stale przekraczane w jednym kierunku i drugim. Widzimy codzień nieszczęśliwe próby podawania za pomocą sztuki, a bez talentu, praktycznych tendencyi, n. p. wskazań religijnych, etycznych, narodowych, niby ocukrzonej mikstury na łyżce. Z drugiej strony jesteśmy świadkami, jak w dziedzinę praktycznego życia — zwłaszcza zbiorowego — wdzierają się bezprawnie dawne, przedawnione oryentacye naginając, z bardzo fatalnymnieraz skutkiem, czyn nasz do estetycznego imperatywu. Zwłaszcza niebezpieczną bywa tu psychologia tłumu, jako oparta właśnie na rezonansie owych głębinnych, starożytnych strun duszy. O sprawach życia rozstrzyga wtedy przewaga literackiego talentu, piękność gestu starczy za argument, frazes przysłania oczywistość. Estetyczna czysto ocena zdarzeń i postaci dziejowych staje się dyrektywą polityki. Sądzę, iż nie przesadzam twierdząc, iż w tej właśnie estetycznej oryentacyi leży największe niebezpieczeństwo zbiorowych rządów ogółu.

Jednym z najbardziej charakterystycznych w tym kierunku przykładów był potężny politycznie prąd bonapartyzmu, oparty w wysokiej mierze o estetyczne czysto uczucie podziwu dla istotnie nadludzkiej postaci Napoleona. Kult ten, który przeżył, jak wiemy, o kilkadziesiąt lat wszelkie praktyczne nadzieje, wiążące się do geniuszu cesarza, staje się w pieśni Bérangera wielką siłą polityczną i wiedzie Francyę na pola Sedanu. Najciekawszy wszakże obrót bierze on u nas w Polsce, gdzie na wskróś ewangeliczna sekta Towiańczyków ulega doszczętnie estetycznemu urokowi tego mocarza intelektu i woli, tego najbardziej pogańskiego z nadludzi. Mistyczno-religijne majaki,

chrześcijańska aureola, którą otoczono wbrew oczywistości krwawy wieniec laurowy, dają się wytłómaczyć jedynie potężnem, choć bezwiednem, działaniem estetycznych oryentacyi, do których dorobiono — rozumie się z pełni przekonania — chrześcijańskie uzasadnienie.

Ten sam punkt widzenia wyjaśnia nam też genezę i losy Nietscheańskiej filozofii. Teorya „nadczłowieka“ i „moralności panów“ zrodziła się z krwi niemieckiej i greckiego dramatu, którego badaniu poświęcał się ongiś autor „Zarathustry“. Siła nowej nauki i wielka zrazu jej popularność oparły się głównie na e s t e t y c z n y m rezonansie, jaki wywoływała w głębokich strunach duszy naszej dawna bohaterska etyka. Ale zawieść musiała i zawiodła też — co prawda nie bez znacznych szkód — próba przeniesienia czysto estetycznej oryentacyi w dziedzinę żywej, obowiązującej życiowo etyki, która będąc wytworem wielowiekowej próby i niezliczonych doświadczeń i przystosowań nie cofnie się o tysiące lat wstecz — estetycznemu upodobaniu gwoli.

Niemal to samo da się powiedzieć o uroku poezyi Byrona i byronizmu wogóle. Ponure, odludne, często występne postacie budzą w nas istotnie silny oddźwięk estetyczny potęgą indywidualności swej, wielkością cierpienia, natężeniem namiętności. Niestety z estetycznego wzruszenia rodzi się wnet legion życiowych byronistów, a w dalszem następstwie smutny twór naszego dekadentyzmu. Z bohaterskiej etyki wzięto tu wszystko — oprócz wielkości, która wygnała ongiś bohaterów Byrona poza obręb gromady. Wszystko polega tu na bezprawnem odwróceniu wniosku. Są umysły, którym antispołeczne stanowisko wystarcza za rękojmię nadczłowieczeństwa, a obolenie wątroby jest już znamieniem prometeizmu...

JAN SNOWICZ.

Kultura a natura.

Człowiek nowoczesny pochlebia sobie, że odkrył, więcej nawet, że wynalazł przyrodę. Odkryciem bowiem jest odsłonięcie zakrytych dotąd tajemnic, jakiego dokonały nauki przyrodnicze, ale wynalazkiem zużytkowanie przyrody jako źródła nowych, przedtem nieznanych wzruszeń i radości, ułożenia nowego stosunku między przyrodą a człowiekiem. Wskazuje się nawet niekiedy datę tego wiekopomnego wynalazku, odnosząc go do Jana Jakuba Rousseau.

Oczywiście jest to złudzenie, — jedno z tych licznych złudzeń, w które popada człowiek nowoczesny, kiedy za wiele mówi o swej wielkości. Twierdzenie bowiem, że przeszłość odnosiła się obojętnie do przyrody, powołuje się głównie na świadectwo sztuki; sztuka przeszłości, o ile idzie o odczucie i przedstawienie przyrody, jest rzekomo jałową. — Ale przedewszystkiem sztuka nie jest ani twórcą, ani nawet koniecznym i jedynym wykładnikiem uczuć. Nie można powiedzieć aby miłość wynaleźli erotyczni poeci. Wypowiedzenie się przez sztukę jest tylko jedną z form wypowiedzenia się, zależną od zbiegu najrozmaitszych okoliczności; ale nawet jakiekolwiek wypowiedzenie się nie jest jeszcze niezbędnym towarzyszem uczucia. Są uczucia niewypowiedziane i niewypowiedzialne; może być, że niewypowiedzialne tylko do czasu; jest to w gruncie rzeczy kwestya techniki. Jeśliby ktoś z tego, że

miłość płciowa już w najdawniejszych zabytkach poezyi znalazła sobie wyraz, chciał wyprowadzić wniosek, że tak samo znalazłoby go było uczucie dla przyrody, gdyby się już było narodziło, to temu przeciwstawić można argument bardzo prosty: pieśń erotyczną zrodziła potrzeba, chciała jej słuchać kobieta, — przyroda zaś jest kochanką, która nie potrzebuje zalecanek. Pieśń miłosną tak samo jak człowiek, zna słowik i głuszec; ale i one nie śpiewają zawsze i wszędzie; do śpiewu musi zaprosić je wiosna, cień i cisza gaju, szczególnie ulubiona pora dnia lub nocy. Kto wie, czy ich pieśń nie jest w równej mierze pieśnią miłosną, co hymnem na cześć przyrody. I gdyby one mówiły ludzkim językiem i układały wiersze i strofy, to kto wie, czy nie spotkalibyśmy się w ich śpiewie z tem samem zjawiskiem, które charakteryzuje lirykę pierwotną: ze zjawiskiem paralelizmu, gdzie jedna fraza zwrotki jest zwyczajnie impresyą przyrody, druga zaś inwokacyą miłosną. Taki paralelizm odnachodzony w poezyi pierwotnej, a przechowany do dziś w pieśni ludowej, jest zarówno pierwotną formą nastroju, jak i jedną z form pierwotnych pierwiastku rytmicznej równowagi; możnaby więc powiedzieć, że Eros i Przyroda stoją u kolebki poezyi, stwarzając łącznie jej pierwszą treść i pierwszą rytmiczną kadencyę. Że ten paralelizm wydaje się nam często zupełnie niezrozumiałym, niepoetyckim, a nawet niedorzecznym, to rzecz nasza; kto wie, czy nasze współczesne nastroje liryczne nie będą niezrozumiałe już za jakie parę wieków. Oceniając też nawet bliższą nam i rozwiniętą już sztukę, musimy sobie zdać sprawę z tego, czy rzeczywiście należycie ją rozumiemy. Boć sztuka nigdy nie przestawała zajmować się przyrodą. Nie tylko zwierzę i roślina były zawsze jej przedmiotem, ale nawet i krajobraz — a ten mamy właściwie na myśli, kiedy mówimy o współczesnem ukochaniu przyrody — nie był jej obcy od bardzo dawna. Tylko że traktowała go inaczej, inne miała sposoby wyrazu, inne, nie tak doskonałe środki techniczne. Czy jednak

mniej miała możności, potrzeby, czy chęci zajmowania się przyrodą, to w każdym razie nie może służyć za dowód, że człowiek jej współczesny był dla przyrody obojętny. Raczej mniemać by należało, że związek jego z przyrodą był daleko ściślejszy niż dzisiaj; może mniej wynurzający się, mniej uświadomiony, ale tembardziej konieczny, naturalny, organiczny.

Mówiąc tedy o stosunku nowoczesnego człowieka do przyrody, można tylko tyle słusznie twierdzić, że jestto miłość bardziej wynurzająca się, więcej sentymentalna, więcej egzaltowana, choć niekoniecznie głębsza od tej, którą żywili ludzie czasów dawniejszych, — a dalej, że ma ona swoją właściwą barwę, swój odrębny styl i charakter. I w tem ograniczeniu można też mówić o Roussie, jako o inicyatorze tego nowoczesnego prądu. Wynalazcą jego on nie był, jak zresztą nie był wynalazcą żadnego ze swych wstrząsających światem pomysłów, ale był i tu szczególnie gorącym i szczególnie wpływowym apostołem. Wszystkie zaś te idee, zarówno pomysł o umowie społecznej, jak i stosunek sentymentalny do przyrody, wyrosły z jednego i tego samego gruntu: z zasadniczego zwątpienia o wartości kultury. Nauka o umowie społecznej była ucieczką przed kulturą w matecznik czasów zamierzchłych, gdzie żył człowiek pierwotny, wolny, szczęśliwy i dobry, nieskrzywiony na ciele i duszy; — sentyment do przyrody był taką samą ucieczką w ostępy samotne przyrody nieskalanej i dziewiczej. Takie są cechy nasienia, z którego wyniknął ów nowożytny prąd kulturalny, uczuciowy stosunek człowieka do przyrody; jest to wyjście kultury ponad siebie, przez zaprzeczenie siebie samej, a stąd i kierunek uczucia zwraca się przedewszystkiem ku przyrodzie, będącej przeciwstawieniem kultury, ku przyrodzie samotnej i dzikiej.

O ile chodzi o wypracowanie wyrazu dla tego nowego sentymentu, to podjęła to zadanie sztuka romantyczna. Podstawa uczuciowa stosunku do natury była u romantyków ta sama, co u Roussa. Jeśli nie do każdego z bohaterów

romantyzmu przystawałaby nazwa nadawana Roussowi — „un promeneur solitair“, to tylko dlatego, że nie każden z nich poprzestawał na samotnej przechadzce po oddalonych od zgiełku ludzkiego pustkowiach, że nie każdemu była natura tylko dobrą kojącą matką, ale że stawała się wspólniczką i towarzyszką w klątwach miotanych ze szczytu skał, lub wśród ryku burzy na Boga i ludzkość przez różnych Manfredów i Korsarzy. Była ona jednak zawsze ucieczką od świata z jego porządkiem, od ludzi z ich obłudnem prawem, od kultury filisterskiej i przewrotnej; była przeciwstawieniem się kulturze, przeciwstawieniem, które u romantyków wzniosło się do napięcia namiętnej egzaltacyi. A jednak nie ten rys mizantropii, niechęci i przesytu stanowił istotę rzeczy. Wraz z romantyzmem, a nawet już na szczycie rozwoju romantyzmu, blednie on i zanika, — stosunek uczuciowy do natury pozostaje przecież niezmieniony, owszem wzmacnia się jeszcze. Rousseau i romantycy nie zadecydowali treści współczesnego stosunku do natury; od nich pochodzi tylko jego ton uczuciowy. A co do romantyzmu, to jego nieśmiertelną zasługą jest stworzenie temu uczuciu nowego wyrazu. Jak każda rewolucya w sztuce, tak i romantyzm był w gruncie rzeczy rewolucyą stylu. Zdaje mi się, że istotę tej rewolucyi możnaby scharakteryzować w sposób następujący:

Dawna sztuka zajmowała się wyłącznie prawie człowiekiem. Natura odgrywała tylko podrzędną rolę tła. Tak samo w malarstwie jak w poezyi. Nie miała ona samoistności. Nie miała także własnego duchowego wyrazu. A gdzie bywała uduchowianą tam pożyczała sobie wyrazu u człowieka. Gdy dawno już zamarła naiwna wiara animistyczna, w sztuce żył jeszcze wciąż cały świat dryjad i najad. Linia rozwoju zmierza ku usamodzielnieniu i uduchowieniu natury. Usamodzielnienie mogło się odbyć w dziedzinie malarstwa łatwiej i prędzej niż w poezyi. Droga tu była krótsza; sztuka wzrokowa mogła ujawnić swobodnie swój interes dla wzrokowego po-

jawu natury z chwilą, gdy z wyżyn tematów hieratycznych i alegorycznych zstąpiła na poziom realistycznej anegdoty. Realizm w traktowaniu tematu głównego przeniósł się i na tło, a uprawnienie świeckości i codzienności utorowało drogę emancypacyi tego tła do godności tematu samoistnego. Inną znowu drogą wyzwala się z pęt konwencyonalnego tematu interes artystyczny dla krajobrazu w tak zwanym pejzażu heroicznym, a to przez odwrócenie roli tła i tematu. W poezyi rzecz nie jest tak prosta. Opis zjawiska statycznego, czem zwyczajnie jest opis przyrody, nie może konkurować z opisem zjawiska dynamicznego, to jest z przedstawieniem zdarzeń. To też rewolucya odbyła się tu nie w dziedzinie epiki ale liryki, w dziedzinie przedstawienia nie rzeczy i wypadków, ale uczuć i nastrojów. Rewolucya romantyczna w traktowaniu przyrody jest literacką; pośrednio dopiero odbiła się w sztuce plastycznej. Przestawanie z naturą dziką i samotną, poddawanie się jej nastrojom, ujawniło swój wpływ na poezyę w obyczaju wprowadzania obrazów przyrody jako tła współbarwnego, na którem liryka haftowała uczucia ludzkie. W tych obrazach człowiek był zawsze tem, czem morał w bajce. Przyroda współczuje niejako człowiekowi, jest akompaniamentem jego uczuć, przedewszystkiem jego smutków i tęsknot. Tęsknoty te zwrócone są ku jakimś lepszym, nieznanym światom, — smutki i gniewy przeciwko zhańbionej ludzkości i jej zwyrodniałym prawom; ale im głębiej gruntują w nieświadomem, w nieznanem, tembardziej zwracają klątwy swoje ku Nieznanemu, które nosi imię Przeznaczenia lub Boga. Ten rys smutku romantycznego, że nie zna on swoich przyczyn i określeń, staje się powodem zupełnego odwrócenia uczuciowego stosunku do natury. Nastroje bowiem poddawane przez naturę, zdają się nie mieć żadnego powodu, a co do treści swojej są nieokreślone; blizką więc jest myśl przypisywania naturze tych uczuć, które z niej do nas przychodzą, i tłómaczenia ich w sobie w ich nieokreśloności współczuciem z naturą. Tkwi w tem odwieczny, nie dający

się pono wyplenić błąd antropomorfizmu. Przybiera on tylko inną, rzekomo wyższą a właściwie tylko bardzo zamgloną i niewyraźną postać, tak jakby przeznaczeniem jego było zginąć kiedyś przez rozpłynięcie się w mgłę. Zamiast naiwnego animizmu ożywiającego każden twór natury indywidualnie, przyjmuje się jedność ducha powszechnego, z którym jednoczy się i duch ludzki. Ów duch powszechny jest Bogiem, a nie jest obojętnem, że koncepcya ta zaspakaja równocześnie ateistyczne atawizmy wieku oświecenia jak i wewnętrzną potrzebę religii tkwiącą w romantyzmie. Panteizm romantyzmu jest racyonalistycznem wytłómaczeniem nowego uczuciowego stosunku do natury. Wierzono tak mocno, że tylko panteizmem ten stosunek da się wytłómaczyć, że jeśli ktoś odnosił się do natury w ten sam sposób, a filozofii tej nie posiadał, albo zgoła wierzył w Boga osobowego, to nazywano to panteizmem uczuciowym. Tak jakby panteizm nie był wynalazkiem ludzkim, ale prawdą bezwzględną, która istnieje bez względu na to czy się w nią wierzy czy nie. Panteistami mianowali się sami w dobrej wierze ludzie, którzy z panteizmem nic wspólnego nie mieli; po prostu słowo „panteizm" przybrało całkiem odmienne znaczenie, a określano niem ów nowoczesny uczuciowy stosunek do natury. Prawdziwy panteizm filozoficzny miał w rzeczywistości bardzo małą poetycką wartość; sam w sobie był poetyczną ideą, ale ideą zbyt zamkniętą, zdolną tylko do powtarzania a nie do rozwoju, wykluczającą indywidualność i rozmaitość. Nawet zdatność jego do wytłómaczenia nastrojów płynących z natury, jest wielce wątpliwą; — zlanie się z naturą może on dać odczuć tylko przy jakiemś mistycznem wmyśleniu się w nieokreśloną całość wszechświata; ale to ma co najwyżej wartość jednego tonu dla poezyi. Wogóle operuje ona w sferze pojęć i obrazów konkretnych; dla konkretnego myślenia jest rzeczą trudną do pojęcia, dlaczego zlanie się z duchem powszechnym miałoby równocześnie zupełnie inny ton w Skawinie, gdzie właśnie

świeci słońce, niż w Myślenicach, gdzie w tej samej chwili deszcz pada. Toteż panteizm wywietrzał z poezyi tak po cichu, że nikt nawet nie spostrzegł kiedy się to stało. Na jego miejsce nie przyszła żadna doktryna metafizyczna, bo zrozumiano, że poezya żadnego racyonalistycznego tłómaczenia uczuciowego stosunku człowieka do natury wogóle nie potrzebuje, a nauce dać go nie może metafizyka, tylko psychologia. W arsenale poezyi zostały natomiast zabytki innych, daleko pierwotniejszych form antropomorficznego animizmu, tylko że one są już formami nie wierzeń, ale poetyckiej ekspresyi i nie roszczą pretensyi do innej godności, jak do godności metafor. W ten to sposób natura stała się dla poezyi środkiem wyrażania uczuć i nastrojów nieokreślonych, złożonych, nie z pełna uświadomionych, jakoby rzucających tylko swój odblask z poza progu świadomości. Powiększyła się przeto niesłychanie skala uczuć odtwarzanych przez lirykę i zbogaciła niezmiernie jej paleta. Człowiek współczesny odczuwa lirykę, która nie posługuje się barwami i wyrazami natury, lub nie używa zapożyczonych z niej assocyacyi i metafor, jako retoryczną. Pojęcie poetyczności zespolone zostało prawie nierozdzielnie z takiem właśnie traktowaniem lirycznych tematów; a to znaczy tem więcej, że tematy epickie wyparte zostały w poezyi współczesnej przez lirykę na plan bardzo daleki. — Romantyczna rewolucya stylu była rewolucyą na rzecz pierwiastka lirycznego, nastrojowego. Ten zaś pierwiastek liryczny ukształtowała ona w kierunku oddawania stanów duszy nieokreślonych, podświadomych. Odpowiadało to teoryi romantyków o „anima abdominalis", duszy podświadomej, przeczuwającej, która łączy człowieka z nieskończonością wszechświata, z przepastną głębią Nieświadomego, kryjącego, w sobie największe, ostateczne tajemnice Bytu. Byt bowiem dopiero w myśli ludzkiej się uświadamia, ale myśl ta jest tylką nikłą iskierką, która oświeca tylko mały krąg w koło siebie, a natomiast blaskiem swoim odbiera zdolność widzenia w mro-

kach Nieświadomego, w których nurza się Nieskończoność. Przebudzenie owej duszy „przeczuwającej“ jest zadaniem sztuki, a w szczególności muzyki i poezyi. Muzyka jest tą sztuką, która budzi wzruszenia poza dziedziną myśli, zatem w dziedzinie podświadomego, — poezya musi iść śladem muzyki w tym względzie. Ale środki jej są odmienne; musi ona znaleźć sobie wyraz dla stanów duszy, które nie dadzą się bezpośrednio słowem nazwać i określić. Te stany duszy odpowiadają pewnym nastrojom przyrody, — to zresztą naturalne, bo przyrodę napełnia dusza podświadoma; przez oddanie tych nastrojów przyrody poezya może oddawać odpowiednie stany duszy. „Le paysage c'est l'état d'ame“... — W ten sposób dawny stosunek został odwrócony: niegdyś przyroda dla wypowiedzenia się pożyczała sobie wyrazu u człowieka przez personifikacyę, — teraz człowiek dla oddania stanów swej duszy, środki wypowiedzenia się zapożycza u przyrody.

Ta liryczna rewolucya poezyi oddziałała także na malarstwo. Nastrój nie jest produktem samego wzrokowego obrazu ale wynikiem wrażeń skombinowanych wielu zmysłów, wrażeń wywołanych ruchem powietrza, wonią i dźwiękiem. Malarstwo kiedy chce na modłę liryki oddać nastrój, wchodzi niejako w dziedzinę metafizyczną własnej istoty. Jako sztuka wyłącznie wzrokowa, może ono pokusić się o oddanie wrażeń innych zmysłów tylko przy pomocy bardzo subtelnych assocyacyi. I w tym też kierunku rozwija się współczesne malarstwo krajobrazowe.

To szukanie sobie nowego wyrazu rozpoczęte przez sztukę romantyczną, prowadzi sztuka współczesna dalej; jest to spadek romantyzmu żywy i trwały. Natomiast inne cechy romantyzmu były przemijające, między innemi i owa cecha pesymistycznej, uciekającej w pustynie mizantropii. Ale chociaż ten rys pesymistyczny się zatarł, to przecież można powiedzieć, że i dzisiejszy stosunek uczuciowy do natury, nosi cechę przeciwstawienia się kulturze. Przeciwstawienie się to ma tylko

inny ton i inną pobudkę. Natura jest tą kąpielą ożywczą, która przywraca siły wyczerpane w świecie ludzkim, — jest zaciszną świątynią, w której dusza, zdala od zgiełku codziennych zabiegów, staje oko w oko przed sobą samą i przychodzi nad sobą do refleksyi, — jest miejscem oczyszczenia z tego wszystkiego, co przylgnęło do nas jako obce i narzucone, — jest miejscem miary i wagi, miejscem bezinteresownego sądu, miejscem spojrzenia z oddali pod kątem widzenia wieczności; — jest ona wreszcie miejscem wzlotu myśli wolnej, własnej, wypoczętej, nie skarlałej i skurczonej przez względy i okoliczności. Tego miejsca nie szuka już zgorżkniały samotnik dla zapomnienia i cichej śmierci, ani leniwy snob dla uchylenia się od obowiązków, ale rycerz w przededniu walki, pracownik w przededniu trudów, Anteusze którzy przed chwilą zapasów dotykają życiodajnego łona matki-ziemi: „Niemasz myśli — mówi Nietzsche — nad myśli wychodzone (ergangene Gedanken) wśród wolnej natury“, — a Helmholtz powiada, że największe wynalazki robi się patrząc z wyniosłego punktu na majaczącą przed nami przestrzeń. Ukochanie natury, którego nauczycielami byli dla nas sztukmistrze szukający bezcelowego piękna, ujawniło swoje wartości społeczne, jako źródło skrzepienia dusz i ciał.

Kultura współczesna mieści w sobie pierwiastki przyczyniające się do degeneracyi człowieka w stopniu daleko wyższym, niż to było w czasach dawniejszych. Pomiędzy innemi ważne znaczenie ma ciągłe zmniejszanie się procentu ludności poświęcającej się rolnictwu na rzecz zawodów przemysłowych i biurokratycznych. Równolegle z tem, zwiększa się liczba ludności miejskiej. Rola jaką w dzisiejszych demokratycznych społeczeństwach odgrywa burżuazya, wiedzie za sobą skutek, że cały niemal charakter współczesnej kultury, fizyognomia jaką epoka nasza nosić będzie kiedyś w historyi, zawisły przeważnie od ludności żyjącej w warunkach degenerujących życia miejskiego i zawodów sedentarnych i wogóle nie-

hygienicznych. Przeciwdziałanie tym wpływom degenerującym jest niewątpliwie najważniejszem zagadnieniem społecznem naszych czasów. To też rozwój hygieny a przedewszystkiem dwóch jej najnowszych gałęzi, hygieny społecznej i biologii rasy czyli eugeniki, nie jest bynajmniej tylko wynikiem badawczej ciekawości umysłu ludzkiego, ale wyrazem naglącej potrzeby i poczucia groźnego niebezpieczeństwa. Najsłabszym, najbardziej na niebezpieczeństwo narażonym punktem ciała społecznego, jest młodzież. Wychowanie epoki burżuazyjnej zatraciło dobre tradycye wychowania szlacheckiego, w którem potrzeby rycerskiego rzemiosła i tradycyjna ocena zewnętrznych przymiotów, kazały zwracać uwagę na rozwój fizyczny. Zarówno tendencye burżuazyjne jak i nierozwinięta technika zbiorowego wychowania szkolnego, uczyniły ze szkoły współczesnej, przedewszystkiem ze szkoły średniej, instytucyę wyłącznie intelektualnego kształcenia i to w znaczeniu nie rozwoju sił intelektualnych, ale wpajania pewnej sumy wiadomości, które „wykształcony człowiek" (a pojęcie to ma wyraźne, egalitarne zabarwienie) posiadać powinien. Ta szkoła, która z charakteru swego nie jest wychowawczą, pochłania cały czas, nie pozostawiając nic na wychowanie.

Kiedy zaczęła się szerzyć i zyskiwać wziętość nauka hygieny, „aby iść z duchem czasu", wprowadzono gimnastykę, a w zupełnem zapoznaniu warunków jej wartości, traktowano ją jako „przedmiot", na który przeznaczano jedną do dwóch godzin tygodniowo; szczytem niedorzeczności było klasyfikowanie z niej jak z innych przedmiotów naukowych. Dopiero w najnowszych czasach zaczęły się poprawiać zwolna hygieniczne warunki wychowania szkolnego. Jednorazowa nauka i ograniczenie nauki domowej, zostawiły przynajmniej czas na odetchnięcie świeżem powietrzem. Poczęto nawet myśleć o nastręczeniu młodzieży ku temu sposobności. Poczęto propagować gry i zabawy ruchowe, a wreszcie narodziła się idea skautu. Skaut jest tą formą wychowania fizycznego, która naj-

więcej zbliża do natury i z jej sił życiodajnych pozwala wyciągnąć korzyści tak dla celów zdrowia fizycznego jak moralnego. Ruch, świeże powietrze, kształcenie sprawności fizycznej, zaradności, karności, punktualności, zmysłu spostrzegawczego, to wszystko są rzeczy pierwszorzędnej wagi. Należałoby tylko życzyć, aby skaut nie zwyrodniał i nie wyjałowiał, n. p. przez jednostronne urządzanie bezcelowych komedyi wojennych, co zwłaszcza przy pewnej skłonności naszego temperamentu do pozowania i kabotynizmu jest bardzo niebezpieczne. Bez ujmy dla rzeczywiście dodatnich stron tego pierwiastka wojennego, możnaby doskonale wyzyskać skaut do pogłębienia nauki przyrodoznawstwa; odpowiednie pokierowanie nauki o terenie, która leży w zakresie skautu, mogłoby oddać nieocenione przysługi nauce geografii a nawet geologii. Możnaby z tem połączyć zbadanie i opisanie roślinności danej okolicy, a znaczenie obozowiska skautów nicby na tem nie straciło, gdyby miało cechę nie obozowiska wojennego, bo w tem jest zawsze coś z teatru, ale obozowiska ekspedycyi naukowej. Przytem jest rzeczą niezbędną wprowadzenie do programów szkolnych nauki poznania ziemi rodzinnej. Jeżeli Niemcy rzucili się z takim zapałem do nowej gałęzi nauczania „Heimatskunde", to my chyba mielibyśmy sto razy więcej powodów ku temu. Chodzi tu o poznanie i to poznanie w naturze, okolicy choćby najbliższej, ale poznanie wszechstronne jej przyrody, jej ludu, obyczajów, budownictwa, zabytków historycznych. Zmysł obserwacyjny zaostrzony poznaniem jednej okolicy odda usługi i w innej; i tu mógłby skaut współdziałać. Nauka taka nietylko powiększa zasób wiadomości i kształci zmysł obserwacyjny, ale, co podkreślają bardzo mocno nasi sąsiedzi, staje się jedną z najsilniejszych podstaw miłości ojczyzny. — Te nowe formy wychowania zarówno jak i uznanie upomnień hygieny przez ludność w miastach osiadłą i obyczaj wytwarzający się na tej podstawie, wszystko to prowadzi ku wolnej przyrodzie nakrytej czystem

niebieskiem sklepieniem niezadymionej kominami fabryk, oddalonej od zgiełku ekonomicznego życia. Jedną z cech kultury dzisiejszej jest coroczna „wędrówka ludów" z miasta na wieś, — powstawanie pierścienia na pół wiejskich siedzib wokoło miast, wreszcie rzucona jako najnowsze hasło, idea miasta-ogrodu. Człowiek różnemi drogami powraca tam, zkąd wyszedł, — pragnie odzyskać to, co utracił. A jeśli sam odbił się już od macierzy za daleko, przyprowadza jej przynajmniej napowrót swe dzieci.

Czasy nasze są epoką wielkich odkryć w dziedzinie nauk przyrodniczych. Oczywiście nie może to pozostać bez wpływu na stosunek człowieka do przyrody. Zachodzi jednak pytanie, czy zainteresowaniu intelektualnemu towarzyszy zawsze równym krokiem interes uczuciowy. Zdaje się, że stosunek nie jest tu całkiem prosty. Ale tutaj nie może nam chodzić o jednostki, nie o osoby badaczy, lecz o szeroki ogół tak zwanych ludzi kulturalnych. Kwestya przedstawia się zatem w ten sposób, najprzód w jakiej mierze zdobycze nauk przyrodniczych (zwłaszcza ziemioznawczych i biologicznych) do tego ogółu przeniknęły, a potem jaki mogły wpływ wywrzeć. Otóż znajomość nauk przyrodniczych jest u nas, u wykształconego ogółu niezmiernie małą, a w dodatku czysto książkową; przeto na razie i o wpływie tych nauk na stosunek uczuciowy do przyrody mówić nie można, trzeba więc zapytać raczej o wpływ potencyalny. Słyszy się często zdanie, że gdy zaczyna się myśleć, to przestaje się czuć. Prawdą jest tyle, że każde silne wrażenie ma skłonność do odosobniania się i wykluczania innych wrażeń równoczesnych. Uwaga wytężona w jednym kierunku czyni głuchym i ślepym na inne zewnętrzne pobudki. Ale wrażenia natury poznawczej mają swoją własną uczuciową barwę; uczuciowe zabarwienie nie jest bynajmniej przywilejem wyłącznym wrażeń estetycznych. Poznanie daje zadowolenie, które może wznieść się do uczucia żywej radości. Chodziłoby właściwie o to, który rodzaj zadowo-

lenia jest wyższym. Kiedy z wyniosłego punktu spoglądamy na rozległą przestrzeń, doznajemy nieokreślonego uczucia niemego zachwytu, który zbliżony jest najwięcej do ekstazy religijnej. Myśl drzemie, a dusza skupiona w oczach zdaje się bujać w przestrzeni i doznawać jakby fizycznej błogości tego lotu. Ale intenzywność tego uczucia tak jak każdego innego słabnie w miarę trwania. Myśl zaczyna powracać do samowiedzy, uwaga czepia się pewnych punktów przestrzeni. Już tu występują pewne tendencye poznawcze. A zwolna dusza nasza ściąga skrzydła jakby znużona lotem i rozgląda się tuż koło siebie, niby ptak co zleciał na ziemię i dzióbie ziarno po ścieżce. Zresztą są widoki natury pospolite i szare, które nie ciągną oczu za sobą na daleki horyzont, a wtedy dla obrony przed martwotą i nudą, szukamy jakby rozmowy z tem, co spotykamy przy drodze, z kamieniem, z kwiatem, wodą potoku, ptakiem i owadem. Aby się czuć dobrze, szukamy znajomych. Istotą znajomości jest odpoznanie i nadanie imienia. Powiedział pewien filozof, że nadając imię bierzemy w posiadanie. I rzeczywiście to tylko, co możemy nazwać, przestaje nam być obce, staje się nasze. Dziecko, któremu do okna przylatuje jakiś „nieznajomy“ ptaszek, dopóty nie będzie spokojne, póki się nie dowie co to za jeden. Jest to czyżyk. „Czyżyk!“ — woła z uniesieniem, jakby dawno wiedziało już o tem, a teraz tylko przywołało do pamięci. Z tą chwilą dopiero ptaszek staje się znajomym, wyodrębnia się z pomiędzy mnóstwa ptaszków, staje się kimś. Ale oto za towarzyszem zaczynają przylatywać do okna inne czyżyki. Pośród nich czyżyk zginął. I znowu dziecko nie uspokoi się, póki nie odróżni go po jakiejś odmiance i nie nazwie „Jasiem“. Reszta to są tylko inne „czyżyki“, chyba że któreś dostąpi znowu zaszczytu indywidualności, jako „Kubuś“ lub „Dziopka“... Każden z nas prawie zna pewne zjawisko, tak pospolite, że aż śmiać nam się chce kiedy sobie o niem przypomnimy. Oto jakiś „ceper ze światu“ wyszedłszy na

wierch, pyta natarczywie przewodnika jak się nazywają szczyty, które widać na okół, a pyta z takim zapałem, jakby mu niezmiernie wiele na tej wiadomości zależało. Czy to jest zapał do wiedzy geograficznej? Nie; to jest odruch uczuciowy zupełnie podobny jak u tego dziecka z czyżykiem; to jest akt zawarcia znajomości, przyswojenia sobie, wzięcia w posiadanie, — akt indywidualnego wyróżnienia z bezimiennej masy, który jest jednym z warunków odpoznania. Odpoznanie ma samo przez się wysoką wartość uczuciową. Ileż to razy kiedy po długiem niewidzeniu wracałem do moich gór, a już na widnokręgu zamajaczył ich łańcuch, witała je moja tęsknota, nazywając po imieniu. Oto rozsiadła piramida Lodowego... oto Baranie Rogi... Czarny... Kołowy... Jagnięcy...; — a tam z tyłu wyziera Łomnica, a obok Durny wyciąga swe ostre szczyty, stulone jak uszy kozicy, która zaczuła człowieka... a dalej inne, jeszcze inne, cały ich dziki kierdel! — mój kierdel! Czyż nie znam w nim każdej głowy?...

Określenie cech znamiennych gwoli odpoznania, to jest właściwie treść istotna nauk przyrodniczych opisowych. Przy ich pomocy zawieramy znajomość ze zwierzętami, z roślinnością, z kamieniami, a przytem uczymy się patrzeć i widzieć to, obok czego nieostrzeżona przeszłaby mimo nasza uwaga. Dlatego już ta najprymitywniejsza forma nauk przyrodniczych ma wielkie znaczenie dla nawiązania stosunku naszego z przyrodą. Potrzeba tylko, aby wiedza ta nie była książkową ale wchodziła w związek bezpośredni z życiem. I to się coraz częściej dzieje. Pedagogowie coraz jaśniej rozumieją, że dla wykształcenia ogólnego, całkiem drugorzędne znaczenie ma to, o czem się uczeń tylko „dowiaduje“, a z czem się w życiu spotykać nie będzie, — a więc n. p. w mineralogii krystalografia, którą nas niegdyś zamęczano, w botanice anatomia i fizyologia, którą laik przyjmuje tylko z książki na wiarę i t. d. Nie będąc specyalistami nie będziemy się w życiu parać mikroskopem, a natomiast poznanie dostrzegalnych

i charakterystycznych zewnętrznych cech tworów, spotykanych na każdej ścieżce, kształci zmysł spostrzegawczy, czyni nas swojakiem na ziemi i otwiera źródło czystego i niewyczerpanego zadowolenia. Dawniej, nawet kiedy uczono o cechach morfologicznych, czyniono to w sposób zupełnie dla życia niezdatny. Toteż kiedy słuchaliśmy o minerałach, zdawało się nam, że jest to jakaś arystokracya świata nieorganicznego, stworzona na to, aby się dostać do muzeów, zwyczajne zaś kamienie pod naszemi nogami jest to proletaryat, o którym się nie mówi; natura w ogóle kryje w sobie gdzieniegdzie ciekawości, na które natrafia niekiedy szczęśliwy znalazca, ale zresztą nie przedstawia zwyczajnie nic interesującego. U roślin kazano nam liczyć pręciki i słupki, czyniąc ze scientia amabilis najwstrętniejszą z nauk. Z zoologii można było dostać dwójkę jeśli się zapomniało ile łasica ma zębów, a porządny uczeń zobaczywszy zająca otwierał mu pysk, aby się przekonać, czy to przypadkiem nie łasica. Dzisiaj przecież uczy się tego wszystkiego całkiem inaczej, chociaż jeszcze nie uczy się całkiem dobrze. Warto zauważyć, że dzisiejszy sposób wskazywania cech morfologicznych w nauczaniu przyrodniczem zbliża się bardzo do tego sposobu, w jaki praktyczna estetyka uczy o kształcie; — i tu i tam chodzi o umiejętność widzenia tego, co się wzrokowi narzuca. Poza tem niezmierną ważność ma przerzucenie punktu ciężkości w nauce o organizmach żywych, na biologię. Biologia bowiem daje nam bliższą znajomość organizmu, wzbudza dla nich żywszy interes, a tak samo poddaje się naszej bezpośredniej, codziennej obserwacyi, jak morfologia. Analogią biologii w przyrodzie martwej jest geologia dynamiczna, gdzie również nowsza pedagogia uwzględnia przedewszystkiem zjawiska codzienne i swojskie. Tak traktowane nauki przyrodnicze zdolne są rzeczywiście ogółowi ludzi wykształconych otworzyć oczy na przyrodę, a tem samem wywrzeć głęboki i decydujący wpływ na jego do przyrody stosunek. Drogą okrężną, przez

naukę i w wyższej doskonalszej formie, powraca tu ten sam czynnik, który człowieka pierwotnego tak silnie z przyrodą zespalał, to jest podpatrywanie tajników jej życia. U człowieka pierwotnego działo się to przez ciągłe obcowanie z przyrodą, u nowoczesnego człowieka kulturalnego, w sposób niejako skrócony drogą obserwacyi zaostrzonej przez wiedzę. Dawny człowiek, mało wyodrębniony pośród przyrody, zżyty z nią i w nią wżyty, był jej częścią składową, jej prawdziwym obywatelem. Kultura oddaliła człowieka od przyrody, ale dziś, być może, wiedzie go ku niej napowrót inną drogą i z wygnańca — a niekiedy pasożyta — uczyni może znowu prawym obywatelem jej trójjedynego królestwa.

Pomiędzy czynnikami warunkującymi charakter uczuciowego stosunku człowieka do przyrody, jest jeden jeszcze wielkiej wagi. Jest nim przywiązanie do ziemi ojczystej. Uczucie to jest organiczne i odwieczne; ludzie najpierwotniejszych kultur chorują i mrą z nostalgii, i bodaj częściej nawet niż ludzie kultury rafinowanej. Uczucie to jest starsze od dzisiejszego pojęcia miłości ojczyzny, bo w pojęciu „Ojczyzny“ tkwią oprócz pierwiastków przyrodzonych, geograficznych i etnograficznych, jeszcze pierwiastki historyczne i prawnopaństwowe. Ale pojęcie ojczyzny i miłość ku niej urodziły się i wyrosły z tego skromnego ziarna. I dziś jeszcze chłop nasz, nawet kiedy szersze pojęcie ojczyzny nie jest mu obce, w gwarze swojej nazywa „ojczyzną“ swą ojcowiznę, a pojęcie to rozszerza do wsi rodzinnej i jej bliższej okolicy. Niemcy mają na to osobną nazwę: Heimat, której nam i wielu innym ludom brakuje. O ile chodzi o ziemię w dosłownem znaczeniu, to jest o terytoryum z jego przyrodzonemi właściwościami, to miłość ziemi ojczystej, wchodząca w skład szerokiego pojęcia miłości ojczyzny, jest właściwie zawsze tylko idealną projekcyą realnego, organicznego uczucia, które nas łączy z ową „Heimat“, z ziemią rodzinną w ściślejszem znaczeniu. Mickiewicz, kiedy mówi „Litwo, ojczyzno moja!“ nie jest

przecie wyznawcą separatyzmu litewskiego, ale piękność ojczyzny widzi tylko i widzieć nie może inaczej, jak przez pryzmat ziemi rodzinnej, którą mu jest Litwa. Czyż n. p. Podhalanin, choćby był najlepszym Polakiem nie będzie czuł nostalgii tak samo na Polesiu jak na drugiej półkuli? — Ale ta ekskluzywna nieco miłość ziemi rodzinnej, wchodząc w skład miłości ojczyzny, wnosi w nią niejako zapach ziemi, swoją siłę, swoją pierwotność. A sama nawzajem od tego wyższego pojęcia bierze chrzest, nowe światło i nową godność. W kochanym człowieku możemy kochać szczególnie rys jeden, ale dla tego rysu kochamy go przecież całego. Z rozważenia tego stosunku należałoby zaczerpnąć naukę, że wychowanie w duchu miłości ojczyzny powinnoby większą niż dotychczas zwracać uwagę, jako na jej potężny czynnik, na miłość ziemi rodzinnej, ziemi ojczystej w ściślejszem znaczeniu. Drogą ku temu jest przedewszystkiem jej poznanie. Zyskałaby też bardzo wiele pedagogia, gdyby to w program swój wzięła, bo odnalazłaby najprostszy środek złączenia nauki szkolnej z życiem, a przytem ożywiłaby tę naukę iskrą uczucia. — A wreszcie miłość ziemi rodzinnej w tem ściślejszem znaczeniu, w tym promieniu, jaki pracą swoją społeczną mocen jest zakreślić zwyczajny człowiek, może się stać silną dźwignią rzetelnej kultury. Miłość ta wiedzie za sobą szanowanie zabytków tej ziemi, usuwanie skaz, jakie pojawiają się na jej kochanem obliczu, staranie o jej piękność... Wiele niepotrzebnych rzeczy przywłaszczamy sobie od Niemców, — moglibyśmy pomyśleć o przeszczepieniu ich nowoczesnego ruchu streszczającego się w hasłach „Heimatskunde“ i „Heimatspflege“.

Od czasów naszego romantyzmu przyroda stając się nieodzownym składnikiem poezyi, stała się równocześnie składnikiem tego uczucia, które całą tę poezyę przelewa, uczucia miłości ojczyzny. Pan Tadeusz jest dla nas księgą świętą, nie jako epos naszych dziejów, ale jako epos naszej ziemi i nieba.

Zresztą czy poezya nauczyła nas tego, czy i ona i my mieliśmy wspólnego nauczyciela w tętnie tajemnem tej ziemi, dość, że tak jest: stepy i góry, pola i lasy, wody i trzęsawiska, zdają się mówić naszym własnym językiem, czuć ból i radość, któremi raduje się i smuci lud cały. Samo powietrze zdaje się być inne jak gdzieindziej i otaczać nas miłosnem ramieniem matczynem. Wierzymy że człowiek odbity od Polski, dość by zachwycił nozdrzami woń jej pól, aby się poczuł napowrót Polakiem. Ojcowie nasi idąc na wygnanie, nosili garść ziemi w woreczku na piersiach, aby w trumnie posypane nią oczy, widziały we śnie wiecznym ojczyznę. W ten sposób przyroda już nie przez zmyślenie chłodnej panpsychy, ale przez pojęcie związku organicznego współżycia, związku krwi, wzięła w siebie ducha i nabrała nowej godności.

*

Szlachetne zdrowie! — Nikt się nie dowie. — Jako smakujesz. — Aż się zepsujesz...

Jednym z powodów współczesnego rozniecenia uczucia dla przyrody, jest obudzenie się świadomości jak bardzo oddaliliśmy się od niej. Jest to ów rys, któryśmy widzieli u Roussa. Ale coraz natarczywiej zaczyna nasuwać się obawa innej jeszcze straty. Oto jakby nagle zbudzeni ze ślepoty i obojętności, spostrzegamy niespodzianie z przerażeniem, jak na onem matczynem obliczu zanika piękność, a pada na nie blady cień choroby i znękania. Trwoga niepowrotnej utraty bezcennego skarbu roznieca przygasłą iskrę miłości...

Człowiek odkąd pojawił się na ziemi, począł „ujarzmiać“ przyrodę. Aż nareszcie ujarzmił ją tak gruntownie, że poczynają mu włosy wstawać z przerażenia, aby w pustce przestrzeni nie został sam na sam — z trupem...

Zaczęło się to od zbierania owoców i łowienia zwierza. Człowiek, jako część przyrody brał należny sobie udział. Po-

tem przyszło karczowanie puszcz, osuszanie bagien, wprowadzenie dróg przez bezdroża. Użyteczne a poddające się człowiekowi rośliny i zwierzęta zostały udomowione, poszły w niewolę; nieprzyjacielskim wytoczono wojnę. Człowiek rozpoczął panowanie. Na królewskiej szacie ziemi pojawiły się łaty, różnobarwne prostokąty pól, jak na płaszczu dziadowskim. Na skraju osad ludzkich wiały strzępy puszcz wytrzebionych. Ale człowiek, będąc królewięciem z pierworodzeństwa, czuł się zawsze jeszcze dzieckiem przyrody. Łączyły go z nią węzły nieprzeliczone, — przejście od kultury do natury nie było gwałtownym rozłamem; kultura była tylko modyfikacyą przyrody, może nawet tylko jej urozmaiceniem.

Kiedy przyjrzymy się dzisiaj jeszcze przeciętnej wsi polskiej, zauważymy łatwo, jak ona organicznie z przyrody wyrosła; dzieła ludzkie jak gdyby wynikły z tej samej duszy, z tej samej myśli, która tkwi w przyrodzie. Oto droga polna którą idziemy, zlewa się tak harmonijnie z otoczeniem, jak gdyby wypełzła tutaj sama dobrowolnie; zaczynają nam majaczeć myśli o panpsyche... Wije się ta droga śladami stóp, które przeszły tędy tysiąckrotnie, półbezwiednie, kierowane samą pochyłością wzgórza, — śladami pługa, wleczonego po linii najłagodniejszego spadku; — opasuje wzgórze jak przepaska uwydatniając plastykę terenu. Między rolami rozpostarły się łąki po łęgach i dołach; i one podnoszą rzeźbę powierzchni; — wśród złotych zbóż, wygrzewających się w słońcu, swą żywą zielenią, znaczą oddech wilgotny zagłębień. Nad strumieniem wijącym się kręto zebrały się wierzby i olchy, jak gdyby przyszły pić wodę. Na pastwisku igrają dzieci przy pasącem się bydle. Głóg i tarnina obsiadły boki wgłębionych dróg. W lesie szumią różne rodzaje drzew; w gęstej podszewce kręci się i świegoce ptactwo różnorodne; — a o zachodzie rechocą żaby po błotach. Na wysokiem gnieździe klekoce poważny bocian. Same siedziby ludzkie wyglądają jakby z ziemi wyrosły; urobione z materyału urodzo-

nego na miejscu, nakryte tą samą słomą, która z roli zwieziona stoży się za sadem, — ogrodzone wiklą, która zda się pachnie jeszcze wilgotnym piaskiem i chłodem strumienia. A dla radości oczu wszędzie kwiaty, — kwiaty, przy drogach, po łąkach; w zbożu śmieją się bławaty i maki.

A oto teraz obraz „wyższej kultury“... Pola skomasowane, pocięte drogami w regularne kwadraty, jak szachownica. Drogi już nie mają linii „psychologicznej“ ale linię suchej, racyonalistycznej logiki. Dreny osuszyły wgłębienia i dozwoliły wyprostować się pod sznur liniom skiby, schodzących się w regularny kąt prosty. Uregulowany potok płynie „po ukazu“; obeschłe brzegi wygolił jak lokaj. Na łonie kłosy stają wyprostowane, wyrzuciwszy z pomiędzy siebie kolorowych przybłędów. Pastwisko poszło pod pług, — bydło nie włóczy się po polach, ale zamknięte w porządnych stajniach obrasta w tłuszcz i tuberkuły. W lesie drzewa stoją jedno w drugie, podobne do siebie na gołej ziemi, jak żołnierze na placu musztry. Wraz z gęstwą zarośli znikły i ptaki, bo ptaki są niepotrzebne. Żaby nie rechocą na osuszonych bagnach, — ale bocian nie musiał zdychać z głodu, bo ustrzelił go pierwej jako szkodnika postępowy myśliwy. A domy łyskają jak bielmem ślepych oczu nizkiemi blaszanemi dachami i rumienią się czerwoną cegłą ścian, wstydząc się za ludzi... A ludzie spanoszeni i kulturalni, nie barwią się już jak kwiaty na łąkach, ale odziani w czarną, ponurą tandetę, żyją teraz jak psy, nie mając na okół nic, do czego możnaby się uśmiechnąć.

Pominę miasto, bo jakkolwiek podobna się tu odbywa ewolucya, która też w niejednem podobne ma przyczyny, to jednak nie odbywa się na koszt przyrody; miasto jest sztucznym tworem ludzkim. Ale jedno przecież trzeba zaznaczyć: oto że miasto jest w wielkiej mierze twórcą tego ducha, który wypacza przyrodę wsi. Miasto jest ośrodkiem kultury, a demokratyczny duch zrównania i nowoczesne środki komuni-

kacyjne sprawiają, że staje się ono wzorem i modłą stosowaną ni w pięć, ni w dziewięć, w warunkach zgoła odmiennych i niepodatnych. Z miasta więc przenosi ślepe naśladownictwo na wieś strój i sposób budowania; strój zgoła nie przystosowany do pracy w roli, a co do budownictwa, to bezdenną jego głupotę oceni każdy, komu zdarzyło się widzieć stojącą w czystem polu kamienicę z gołymi fajermurami po bokach. Z miasta też zaczyna wysuwać się coraz częściej do małych miasteczek na pół rolniczych i na wieś przemysł fabryczny. Przynosi on z sobą dym, hałas, smród i wzory domów podobnych do odwachów lub więzień. Ten nowożytny moloch, przemysł, ogołocił już, lub ogołoci wkrótce przyrodę z wielu gatunków zwierząt, potrzebnych mu na futra i pióra; odpływy z jego fabryk wypleniły doszczętnie ryby w wielu rzekach, a nawet wytruły ptaki, chodzące po piaskach nadrzecznych; dymy kominów nietylko szkodzą płucom ludzi i zwierząt, ale niszczą w szerokim promieniu roślinność. Największą zaś krzywdą wyrządzoną przezeń przyrodzie, bywa kamieniołom i turbina. Wchodzą one podstępnie w samo sanktuaryum przyrody, w serce gór; — niszczą bezpowrotnie ich ciszę i majestat; posągi skał, dzieła stworzenia wspanialsze nieraz od dzieł dłuta fidiaszowego, zamieniają w gruz kamienny; najwdzięczniejszy gest przyrody martwej — wodospad, mierzą na siłę koni i czynią przedmiotem handlu. Sztuka przenoszenia siły po drucie chlubi się, że zastąpi kiedyś w przyszłości czarny węgiel dzisiejszych fabryk „białym węglem“ — wodą; to pewna, że sprowadzić ona może jeszcze jedno zniszczenie, ale złudzeniem jest mniemać, że oczyści przynajmniej atmosferę z węglowego dymu, który kazi nietylko ziemię ale i słońce, świecące nad błogosławionemi okolicami, gdzie kuje się bogactwo ludzkie, mroczną, ponurą czerwienią, jak krwawe słońce pobojowisk.

Wreszcie jeden jeszcze czynnik, który obwiniał John Ruskin, że jest głównem źródłem zła, niweczącego piękno przy-

rody i wdzięk życia: kolej żelazna. W tym względzie był wielki myśliciel tego samego zdania, co ci prostaczkowie, którzy przy pierwszem pojawieniu się lokomotywy sądzili, że jest to wóz ognisty, na którym wedle tradycyi, miał przyjechać na świat antychryst. Droga żelazna jest rodzajem drogi, który najmniej zestraja się z przyrodą. Linia jej, to nie miękka linia drogi polnej, poddanej naturze terenu; ona przekreśla krajobraz jak szrama przez twarz, jak rysa na pękniętem płótnie obrazu. Wnosi ona w przyrodę pierwiastek obcy, coś, co jakby wynikło ze zgoła odmiennej logiki. Najbardziej uwydatnia się to tam, gdzie przyroda najmniej jest jeszcze zmieniona przez pierwiastek ludzki. W takich też miejscach najbardziej razi ruch pociągów, — odczuwa się go jakby coś impertynenckiego, grubiańskiego, coś, co zakłóca brutalnie jakiś wewnętrzny rytm okolicy. Ale te widzialne cechy, choć bardzo niemiłe, mało jeszcze ważą w porównaniu z duchową istotą tego demona epoki.

Kolej żelazna jest narządem krążenia przemysłu; ona zbliża i poddaje jego wpływowi najdalsze okolice, a gdy przynosi mu z nich materyał, przynosi także i akt poddania się, a gdy roznosi jego towar, rozwozi także i jego ducha. Zbliżenie tego co dalekie, wiedzie za sobą oddalenie tego, co blizkie; siły cyrkulacyjne rozluźniają węzły człowieka z miejscem, na którem się ulągł. Odbija się to na przyrodzie wielorako. Duch przemysłowy uczy oceniać wszystko z punktu widzenia ekonomicznego interesu; bogata, zatem nadająca ton, burżuazya przemysłowa, zaszczepia ten swój punkt widzenia pod nazwą kultury. Cechy swoiste, indywidualizm okolicy i obyczaju zacierają się i niwelują, zatraca się powab rozmaitości. Świat wreszcie cały urabia się na modłę nowoczesnego miasta, gdzie mieszka się z dnia na dzień w mieszkaniach czynszowych, z których wygnane są indywidualność i piękno, bo miejscem konsumcyi piękna stają się muzea i lokale publiczne... Czyż nie tę rolę muzeów i lokalów publicznych speł-

niają dziś dla Europy n. p. Włochy i Szwajcarya, nie mówiąc o całym szeregu mniej głośnych okolic, które na wyścigi ogłaszają się jaskrawemi afiszami po stacyach kolejowych?

Ale może to tylko nowy, koniecznością zawarunkowany sposób używania piękna przyrody? Boć widzieliśmy, że kultura dni naszych tego piękna łaknie — i widzieliśmy, że ta sama kultura to piękno niweczy; jakże rozwiązuje się ten paradoks? Chyba więc ową ideą muzeów i rezerwatów, jakoby świątyń przyrody, gdzie oderwawszy się od szarej pustyni, którą wyjałowiła nieodbita konieczność, pielgrzymują ludzie spragnieni i tęskniący, aby podnieść ducha i odmłodzić ciało... Chodźmy tam i zobaczmy... Paradoks, o którym mówiliśmy jest niczem w porównaniu z tym, który nas tutaj uderzy. Oto nie jakaś twarda konieczność ekonomiczna, nie wzrost ludności i brak ziemi żywiącej, nie przemysł i komunikacye, nie para i elektryczność są najgroźniejszemi przeciwnikami przyrody; najgorszym jej wrogiem jest — jej „miłośnik".

Żywą siłę kultury stanowią ludzie, którzy przynoszą ludzkości nowe idee. Ale kiedy idea się przyjmie, rzuca się na nią tłum podludków, czyni z niej modne hasło, wykrzywia, banalizuje. Z idei uchodzi duch, zostaje tylko pusta i skalana forma. Ale dopiero po odbiciu się w tem małpiem zwierciedle, idea staje się w oczach tłumu podludków „kulturą". Wtedy dopiero, rozreklamowana, roztrąbiona, wyniesiona na targowisko i wykrzywiona należycie, dorasta do godności fetysza; — ludzkość od czasu dzieciństwa swego zdaje się żywić cześć szczególną dla potworków. Te same zwykłe koleje przeszła i piękna, pełna świeżości i siły idea ukochania przyrody. Wyniesiona na targowisko jako moda, została ona wprowadzoną w życie pod dwoma hasłami: upiększania i uprzystępniania przyrody. Same w sobie hasła te są niewinne, a mogłyby być nawet pożyteczne, ale w wykonaniu stały się nader niebezpiecznemi a często wprost zabój-

czemi dla idei. Wypaczeniu uległy one przedewszystkiem w krajach, które mają liczny stan zamożnej burżuazyi przemysłowej; jest to bowiem stan, który z reguły posiada najmniejszą w społeczeństwie kulturę. Pochodzący przeważnie z dorobku, zerwał on z tradycyą obyczajową sfery, z której wyrósł, z tradycyą, która posiadając swą dawność i styl, miała przez to prawdziwą kulturalną wartość; jemu przecież przypominała niemile „nizkie pochodzenie". Pozbywszy się jednej, obyczajowej kultury, innej, opartej na wysokiem ukształceniu umysłu i serca, stan ten nie nabył. Kulturę zastąpiła moda bez stylu, kosmopolityczna jak handel, — szablon ogólnego wykształcenia, które zamożnemu człowiekowi mieć wypada. W takich to burżuazyjnych społeczeństwach banalność rozsiadła się wszechwładnie; tu każda idea nowa zostaje wprawdzie chwytaną skwapliwie jak nowy wynalazek przemysłowy, ale tem niechybniej ściąganą na grunt popularnej płaskości, wyzutą z ducha, zbanalizowaną; a wszystko to dzieje się pod hasłem kultury. Pod tem hasłem tedy zaczęło się upiększanie i uprzystępnianie przyrody. Niewątpliwie, w przyrodzie znieprawionej i popsutej, niejedno byłoby do upiększenia, choćby drogą przywrócenia do dawnego stanu i zapewne niejedno też w tym duchu się stało. Ale tego było najczęściej burżuazyjnym „protzom" za mało; powstawały więc sztuczne skały i groty, poetyczne nazwy i poetyczne napisy, altany i wieże widokowe i t. p. A gdzie burżuj za swoje pieniądze mógł sobie pozwolić na szczególnie subtelne odczucie przyrody, tam umieszczał po lesie pośród paproci gnomki terakotowe, na skale stawiał blaszaną kozicę, lub budował świątynię dla boga Odyna, albo „Walpurgishallę". Podobnym losom uległo uprzystępnianie dzikiej przyrody. Ludzie przejęci jej pięknością chcieli się nią uczuciem swem z drugimi podzielić; poczęli ułatwiać do niej dostęp, robiąc drogi i ścieżki, budując schroniska. Pojętne podludki zrozumiały, że dzika natura musi być piękną, bo tak chce

duch czasu; stać ich też było za swoje pieniądze do zmierzenia się z nią oko w oko; do tego potrzeba wdziać buty z gwoździami, opasać się liną, nakryć głowę kapeluszem, strojnym w golarski pędzel i zakrzywione piórko, ku czemu przydać jeszcze można pikantny wdzięk gołych, rachitycznych kolan. Kultura za pośrednictwem krawców obmyśliła, wziąwszy w pomoc motywy ludowe taki styl zestrojenia się z dziką przyrodą. Ale figiel figlem, a sport sportem; na seryo człowiek współczesny potrzebuje komfortu. Schroniska więc zamieniły się w hotele, czemu przemysł gospodnio-szynkarski przyszedł z ochotną pomocą. Jestto przecie w interesie wyższej kultury, jeśli umiłowanie dzikiej przyrody staje się nowem źródłem bogactwa krajowego, którego reprezentantami są panowie hotelarze. Ścieżki opatrzono w poręcze i drogowskazy, drogi zamieniono w gościńce, — a wreszcie ku chlubie wieku pary i elektryczności, sztuka inżynierska dokonała cudu: dokonała dzieła herostratowego, zbeszczeszczając szczyty górskie przez wyprowadzenie na nie kolei żelaznej. A także niekiedy i „mały człowiek“ może ku zadowoleniu demokratycznego ducha czasu, reprezentować owocnie interes bogactwa krajowego: kelner hotelu na Rigi, obiegający za napiwek korytarze i oznajmiający głosem konduktora wywołującego stacye, wschód słońca, — stary wyranżerowany przewodnik, robiący nastrój przy tej okazyi na pasterskiej trombicie, — rolnik lub pasterz, który od swego prymitywnego zawodu przeszedł do kulturniejszej, bardziej uszlachetniającej roboty odbierania myta od turystów, którzy chcą wejść na szczyt będący jego własnością, lub otwierający drzwi od budy, którą obudowany jest wodospad, nawiasem mówiąc — odwrócony zwyczajnie na turbinę, a produkujący się stosownie do wysokości wynagrodzenia, za pociągnięciem linki jako wodospad mały lub duży, z oświetleniem lub bez oświetlenia. Oto idea du promeneur solitaire, idea odżycia duchowego na łonie przyrody, urzeczywistniana przez kulturę w karawan-

serajach alpejskich hoteli, — oto „ergangene Gedanken“ Nietzschego, wyszachrowywane od przyrody na wygodnych siedzeniach zębatych kolejek...

Pewien kacyk murzyński kazał podobno w pańskości swojej żuć swój pokarm niewolnikowi; tutaj kultura robi to samo. Oto co zrobiono z owych źródeł zdrowia i siły, z miejsc, w których miała hartować się wola, z samotni, w których duch miał powracać sam w siebie dla odnalezienia siebie samego... Przyroda tak jak prawda jest kobietą i lubi bojowników; chce być za każdym razem zdobywaną na nowo. Inaczej zamyka swoje skarby. Najpiękniejsze góry świata zneprawione przez filisterską kulturę, stają się bezwartościową kupą gruzów. Jedyną korzyść jaką dać mogą jest przyjemność powiedzenia, że się tam było. Toteż filistrzy podpisują się po wszystkich kamieniach i nie darują żadnemu zakątkowi, a prawdziwi miłośnicy przyrody, którzy ten prąd rozpętali, podobni owemu uczniowi czarodzieja, co niebacznie rozpętawszy moce szatańskie, sam ujść przed niemi nie może, daremnie uciekają coraz dalej, szukają nowych samotni; wszędzie jak zgraja ogarów ściga ich krzyk i zgiełk filistrów, wszędzie spotykają nienawistne ich ślady, aroganckie podpisy, głupie wierszydła, puszki ze sardynek, tablice pamiątkowe, zatłuszczone gazety i potłuczone butelki. Wypasiona ich myślą filisterska „kultura“ odnosi drwiący tryumf nad naiwnymi „romantykami“.

*

Paradoks, że propaganda miłośników przyrody stwarza największe dla przyrody niebezpieczeństwo, określa stan rzeczy, który jest takim absurdem, że żadnym argumentem, nie można go usprawiedliwić. Jeżeli bowiem dobro jakieś, w tym wypadku dzika przyroda górska, może służyć albo do zaspokojenia potrzeb wysoko wartościowych, albo zaspokojenia potrzeb małej wartości, a jeden sposób użycia wyklucza

drugi, wtedy dla zachowania pełnej wartości dobra, należy oczywiście wykluczyć użytek drugi. Nikt nie będzie przecież z płócien Matejki robił worków na mąkę. Tutaj rzecz dlatego tylko nie jest tak oczywistą, że wartości o których obronę idzie, nie dadzą się oszacować na pieniądze. Staje tedy przed miłośnikami przyrody zadanie, wartości, te ogółowi uświadomić. Jeżeli można było wmówić w ogół miłość dla przyrody i w ten sposób wytworzyć dla niej niebezpieczeństwo, to nie jest rzeczą beznadziejną, niebezpieczeństwo to usunąć, lub ograniczyć przez wpojenie w ogół przeświadczenia, że tylko pierwotna i wolna, a nie przez spekulacyjne uprzystępnianie znieprawiona przyroda, godną jest miłości. Przeciw tej propagandzie wystąpią oczywiście interesowani przemysłowcy, zasłaniając interes własnych kieszeni tak zwanym interesem „bogactwa narodowego"; tak samo jakby rzeźnicy w imię interesu bogactwa narodowego występowali przeciw odrzucaniu przez konsumentów zepsutego mięsa. Zresztą tragedya nawet z punktu widzenia gospodnio-szynkarskiego nie jest bardzo wielka; odpustowych kramarzy nie wpuszcza się do kościoła, mogą jednak kupczyć swobodnie przed jego drzwiami.

Poważniejsze są argumenta, któremi zastawiają się inne, piękności przyrody grożące niebezpieczeństwa. Ale i te nie są bynajmniej niewzruszone. Jakoby najmocniejszy z nich nosi miano „żelaznej konieczności praw ekonomicznego rozwoju". O takich „żelaznych koniecznościach" w sferze spraw ludzkich słyszeliśmy już nieraz, ale zawsze okazały się one tylko obręczami które stworzyła, i dobrowolnie nałożyła na siebie ludzka myśl i wola; są one „żelaznemi dopóty, dopóki taż myśl i wola nie wynajdą i nie narzucą sobie konieczności jeszcze mocniejszych. I tak postęp rolniczej kultury niszczy rzekomo z konieczności piękność naszych wsi; — konieczność ta istnieje dopóty, dopóki piękności tej nie nadamy w sercu naszem ceny dość wysokiej, — z tą chwilą konieczność od-

pada. I nie dlatego, ażeby przed obliczem tej nowej wartości cofnąć się miał postęp kultury rolniczej, ale dlatego, iż okaże się, że ten postęp nie musi iść po tej jednej, niewzruszonej linii, ale że jest dość giętki i plastyczny, aby módz przystosować się do pewnych, kategorycznie stawianych mu wymagań. Zapewne, wieś nasza i jej przyroda nie zostaną takiemi samemi jak były, ale od lat wielu tysięcy nie zostawały one nigdy takiemi samemi; w okolicach oddanych kulturze, nie chodzi o sam fakt zmiany, ale o jakość tej zmiany. Może być że takie modyfikacye linii ekonomicznego postępu będą coś kosztować, ale wszystko, co czyni człowiek coś kosztuje; byleby bilans był korzystny — a to zależy od wartościowania poszczególnych jego pozycyi. Sprawa, w czem człowiek szuka swego szczęścia, jest sprawą etyczną, chodzi o to, aby tym wartościom etycznym przydał on taką cenę, iżby przeważyły bilans na swoją stronę. A nie należy sądzić, że trzeba tu nadzwyczajnych przesunięć na skali wartościowania, owszem, okaże się nieraz że wiele piękna można mieć za darmo, za cenę tylko idealnej zapłaty w postaci miłości dla piękna. — Podobnie ma się rzecz z przemysłem. Ileż to „żeaznych konieczności“ wysuwano przeciw obciążeniu przemysłu kosztami urządzeń ochronnych, czy ubezpieczenia robotników, lub zakazem pracy dzieci. A przecież przemysł koszta te ponieść musiał, — ponieść je musiał z chwilą, kiedy w wartościowaniu ogółu i samego robotnika rzeczy te nabrały takiej ceny, że zrównoważyła ona koszta w bilansie strat i zysków. Poniósł te koszta i wytrzymał. Tak samo będzie musiał ponieść, i poczyna już po części ponosić koszta takich modyfikacyj, które ochronią zagrożone dziś przezeń piękno ziemi, zdrowie ludzi, byt wielu roślin i zwierząt. I tak samo te koszta wytrzyma. I znowu jest to tylko kwestya takiej przemiany w woli człowieka, którаby rzekomemu żelaznemu prawu przeciwstawiła prawo nowe, z twardszego jeszcze kruszcu. — Ponieważ tedy wszystko na takiej przemianie

woli zależy, potrzeba przedewszystkiem, aby prawdziwi miłośnicy przyrody, ludzie z rzędu tych, którzy stwarzają kulturę, podjęli apostolstwo idei ochrony przyrody.

Do niedawna, kiedy ktoś o tem mówił, nazywano go romantykiem. Szczególnie u nas. U nas też to wyzwisko ma specyalne znaczenie. Zawsze za wiele wzorowaliśmy życie na literaturze; z literackiego kierunku romantyzmu zrobiliśmy jakiś prąd życiowy i robiliśmy z życia maskaradę wedle literackiego żurnala. Kiedy nastała w literaturze inna moda, a w miejsce poety obwołany został królem stworzenia inżynier, zmieniły się maski a miejsce kabotynizmu romantycznego, zajął kabotynizm trzeźwości. Podzielił on się na dwie odmiany: na kabotynizm przebiegły i na kabotynizm naiwny. Jeżeli ktoś chciał poprostu upaść się, zamiast czynić to zdrów i w spokoju sumienia, uważał za potrzebne wdziewać konwencyonalną maskę i głosić, że spełnia to dla dobra społecznego, ponieważ społeczeństwo powinno składać się z ludzi upasionych. Naiwny zaś kolega tego dobrodzieja społecznego zamieszkiwał budę, która nawiasem mówiąc kosztowała go czasem więcej, niż kogo innego porządny dom, i wygłaszał zasadę, że każden grosz wydany dla piękna jest groszem zmarnowanym, że dość długo byliśmy romantykami a dlatego inne, trzeźwe narody wzięły nad nami górę... Dziś jednak dzięki Bogu przestajemy już być, niewiem czy romantykami, ale kabotynami i zaczynamy kłaść zasady, które nam przedkładają, na rzetelną wagę, a nie oceniać je podług zapachu. I nie damy się już brać tak łatwo na kabotynizm trzeźwości. Wiemy już, że tak zwana ekonomia społeczna literatury pięknej i idącej za nią frazeologii publicystycznej jest najczęściej tylko nieuctwem, wiemy że bogactwo społeczne nie mierzy się wyłącznie pieniędzmi, że rachunek jest tylko sposobem i metodą, a nie wskaźnikiem celu i że rachunkiem nie wynajduje się ideałów. Możemy tedy nie troszczyć się o zarzut romantyczności. A jeżeli ktoś powo-

łuje się na przykład innych, „trzeźwych“ narodów, to na szczęście możemy się i my na niego powołać: oto wszystkie „trzeźwe“ narody europejskiego Zachodu stwarzają u siebie w pospiesznem tempie w ostatnim lat dziesiątku instytucye i prawa mające na celu ochronę przyrody. „Ochrona przyrody“ jest ostatnim i najbardziej charakterystycznym wytworem tego wielkiego prądu kulturalnego, którym zajmujemy się tutaj rozpatrując stosunek nowoczesnego człowieka do przyrody.

Jeśliby chcieć odtworzyć genealogię idei ochrony przyrody, niewiadomo czy trzebaby szukać bardzo daleko, czy bardzo blizko. Ponieważ człowieka łączyły zawsze liczne i rozmaite węzły z tworami przyrody martwej czy żywej, przeto też chronił zawsze te twory, o ile mu na nich zależało i o ile były zagrożone. Ale zapuścilibyśmy się zbyt daleko, gdybyśmy tu szukali początków idei. Idea ochrony przyrody poczyna się tam dopiero, gdzie chroniący nie czyni tego ani dla celów materyalnych, ani dla związanej z tworem przyrody obcej mu jako takiemu, historycznej czy innej pamiątkowej wartości, ale dla przyrody samej, dla upodobania w niej, dla odnalezionych w niej wartości idealnych. Przykładów takiego stosunku możnaby szukać również bardzo daleko, ale mnożą się one i zaczynają przybierać postać zjawiska charakterystycznego z chwilą, gdy zadzierzga się silniej ów uczuciowy stosunek do przyrody, będący wytworem nowoczesnym, a równocześnie warunki ekonomiczne nowoczesnego życia stwarzają dla przyrody nieznane dawniej niebezpieczeństwa. Wtedy też zaczyna się i propaganda idei. Apostołowali jej niekiedy ludzie głośni i sławni, jak n. p. jeden z pierwszych John Ruskin. Częściej jeszcze rzucali ziarna jej siewcy mało znani, o zapomnianych już nieraz nazwiskach, a posiana na szczupłym zagonie rozrzucała potem nasiona rozradzające się obficie. Pierwsze plony przedstawiają się w postaci coraz to częstszych wypadków ochrony czy to pewnych przestrzeni (rezerwatów), czy

poszczególnych tworów przyrody, bądź przez osoby prywatne, będące właścicielami ziemi, bądź przez korporacye i rządy w tym samym charakterze właścicieli ziemskich, lub też w postaci rozmaitych luźnych zarządzeń władz administracyjnych. Dopiero na tak przygotowanym gruncie zaczyna się działalność systematyczna; idea poczyna się uspołeczniać, wytwarzając sobie organizacye, zrazu zwyczajnie w formie zrzeszeń dobrowolnych. Często towarzystwa dla innych celów istniejące, podejmują sprawę ochrony przyrody. I tak towarzystwa „upiększania“ zmieniając swój kierunek, wprost przekształcają się niekiedy w towarzystwa dla „zachowania piękności“ okolic, — jest to charakterystyczny rys ducha czasu; towarzystwa przyrodnicze i korporacye naukowe stają się głównymi inicyatorami, lub też i głównemi organami ochrony przyrody (tak u nas np. pierwszą inicyatywę daje Towarzystwo im. Kopernika); podejmują wreszcie i sprawę tego rodzaju zrzeszenia jak kluby alpejskie i turystyczne, towarzystwa leśnicze, łowieckie, rybackie, towarzystwa ochrony zwierząt, dotąd tylko humanitarnym celom służące, i t. p. Powstają teraz jednak zrzeszenia poświęcone wyłącznie ochronie przyrody, o różnym pod względem terytoryalnym i rzeczowym zakresie działania; obok więc tego rodzaju towarzystw jak francuzkie „Société pour la protection des paysages“, belgijskie „Société nationale pour la protection des sites“, angielskie „National Trust for Places of Historie Interest or Natural Beauty“, amerykańskie „American Scenic and Historic Preservation Society“, włoskie „Pro montibus et sylvis“, szwedzkie „Svenska natursyddsföreningen“, szwajcarskie „La ligue Suisse pour la protection des beautés naturelles“, holenderskie „Vereeniging tot behoud van Natuurmonumenten“ i t. p., które to stowarzyszenia obejmują terytoryum całego kraju, istnieją także liczne stowarzyszenia o lokalnym zakresie działania, jak n. p. u nas „Sekcya Ochrony Tatr Towarzystwa Tatrzańskiego“, niekiedy mające na celu ochronę jednego tylko miejsca jak n. p. „Przyjaciele góry

św. Michała“ we Francyi. Tak samo w poszczególnych działach ochrony przyrody, istnieją stowarzyszenia bądź lokalne, bądź krajowe; specyalizacya rzeczowa idzie niekiedy bardzo daleko.

Najczęstsze są stowarzyszenia ochrony roślin, zwłaszcza alpejskich, ochrony ptaków, przyjaciół drzew i t. p. Pomijając różnice wynikające z właściwego zakresu działania każdego ze stowarzyszeń, zadania ich są w ogóle następujące: propaganda słowem i pismem, wpływanie na właścicieli ziemskich, aby chronili należące do nich pomniki przyrody, — oddziaływanie na władze rządowe i autonomiczne ażeby w zakresie własnej administracyi przestrzegały zasad ochrony przyrody, — czuwanie i odwracanie rozmaitemi dostępnemi środkami niebezpieczeństw na punktach zagrożonych, — wykupywanie lub inicyowanie wykupna zagrożonych miejsc, celem stałego ich zabezpieczenia, — inicyowanie aktów ustawodawczych.

Z chwilą gdy ochrona przyrody staje się sprawą żywotną i aktualną, spotyka się z nią także administracya państwowa, czy autonomiczna w każdej niemal gałęzi swego działania. Przedewszystkiem więc i w całej pełni w zarządzie domen, a dalej przy budowie dróg, kolei i kanałów, przy zakładaniu sieci telegraficznych i telefonicznych, przy regulacyi rzek i potoków, przy osuszaniu bagien, przy przeprowadzaniu melioracyi i arondacyi gruntów, przy urządzaniu ćwiczeń wojskowych, a dalej przy udzielaniu rozmaitych koncesyi przemysłowych na budowę kolei, fabryk, młynów i t. p.; przy przestrzeganiu ustaw lasowych, łowieckich, rybackich, wodnych, sanitarnych, przemysłowych i t. d.; wreszcie także w dziedzinie administracyi oświaty. Kołata także coraz częściej sprawa ochrony przyrody do pomocy funduszów państwowych. Wreszcie nasuwają się nowe, nieznane przedtem kwestye i problemy w dziedzinie ustawodawstwa. Dlatego też rządy, które chcą i umieją iść z duchem czasu, wcześnie już muszą się liczyć z tym prądem kulturalnym i określić swój

do niego stosunek; to zaś prowadzi do pewnych konsekwencyi organicznych, bądźto w formie nawiązania stałych stosunków z czynnikami samorządnemi działającemi na tem polu, a przez to nadania im charakteru poniekąd publicznego, bądź też przez stworzenie własnych organów.

Typem organizacyi państwowej, opartej wyłącznie na czynnikach samorzutnej, obywatelskiej inicyatywy, na zrzeszeniach dobrowolnych, jest organizacya bawarska. Państwo występuje tu tylko z inicyatywą skoordynowania i uregulowania rozstrzelonych usiłowań, nadaje tym usiłowaniom powagę swego współudziału, wchodzi z niemi w stosunek bezpośredni i pozyskuje dla siebie organ doradczy. Organizacya ta polega na utworzeniu (r. 1905) „Krajowego Wydziału Opieki nad przyrodą“ (Landesausschuss für Naturpflege), złożonego z przedstawicieli dwunastu stowarzyszeń; należą tu oprócz stowarzyszeń specyalnie ochronie przyrody poświęconych, także stowarzyszenia przyrodniczo-naukowe, stowarzyszenia artystów i inżynierów. W ten sposób reprezentowane są rozmaite punkty widzenia i wszechstronna wiedza zawodowa. Rząd wysyła do tego wydziału swoich przedstawicieli. Na podobnych zasadach utworzone są też wydziały okręgowe.

W Prusiech miejsce centralnej, autonomicznej organizacyi, zajmuje organ rządowy; w ten sposób ochrona przyrody jest poniekąd upaństwowioną. Organem tym (Staattiche Stelle für Naturdenkmalpflege) jest komisarz państwowy, — kierunek całej akcyi oddany jest w ręce jednostki. Jestto pomysł śmiały i szczęśliwy. Prof. Conventz, który odznaczył się energiczną inicyatywą w tej dziedzinie, wyposażony został władzą i środkami działania, a energia jego i zapał dla sprawy, wyzyskane zostały dla dobra publicznego. Rząd zrozumiał, że energia jednostki jest bez porównania więcej warta od biurokratycznego urządzenia. Nawet siedziba Der „staatlichen Stelle“ zastosowaną została do miejsca zamieszkania prof. Conventza, który był dyrektorem muzeum w Gdańsku; do-

piero kilka lat później przeniesiono urząd do Berlina. Zadania tego urzędu określa rozporządzenie ministerstwa oświaty z d. 22. października 1906; należy doń wyszukiwanie, badanie utrzymywanie w stałej ewidencyi zasługujących na strzeżenie pomników natury, na obszarze królestwa pruskiego, tudzież obmyślanie środków skutecznej ich ochrony. Środkami pieniężnemi urząd nie rozporządza; koszta ochrony w poszczególnych wypadkach ponoszą sami właściciele, albo też gminy i stowarzyszenia; — komisarz daje inicyatywę, nakłania, doradza i poucza. Jest on dalej informatorem i doradcą władz, a w pierwszym rzędzie swej władzy przełożonej, ministerstwa oświaty.

Dla utrzymania czucia tego ministerstwa z innemi gałęziami administracyi państwowej, istnieje organ kolegialny, kuratoryum złożone z reprezentantów interesowanych ministerstw. Z inicyatywy tego organu, wszystkie prawie ministerya wydały do władz sobie podległych obszerne rozporządzenia w interesie ochrony przyrody. Rozporządzeniem z 30 maja 1907 ministerstwo oświaty zapoczątkowało tworzenie komitetów prowincyonalnych, powiatowych i miejscowych, wzywając naczelników władz, aby o ile możności sami objęli przewodnictwo. Skład tych komitetów nie jest przepisany, ale wchodzić do nich mają „na podstawie porozumienia“ oprócz urzędników, reprezentanci stowarzyszeń i szczególnie interesowane lub kompetentne osoby prywatne. Sekretarzem prowadzącym sprawy jest z reguły zawodowy przyrodnik. Komitety zostają w stałym stosunku z miejscem centralnem; co roku odbywa się zjazd sekretarzy, na którym komisarz państwowy składa sprawozdanie i wygłaszane bywają referaty, przeprowadzaną dyskusya. — Ta uwagi godna organizacya łączy w sobie w oryginalny sposób pierwiastek biurokratyczny z pierwiastkiem indywidualnej, swobodnej inicyatywy, czynnik rządowy z czynnikiem obywatelskim. Wpływ osobisty prof. Conventza a pośrednio wpływ tej organizacyi sięga daleko poza Prusy;

nietylko w innych państwach Rzeszy, ale i poza Niemcami komisarz rządowy pruski stawał się inicyatorem i doradcą w sprawach organizacyi ochrony przyrody. Jednakże typ pruskiej organizacyi nie był gdzieindziej naśladowany.

Organizacya bawarska i pruska pomimo wszelkich różnic są zasadniczo sobie podobne. Obie obejmują cały zakres ochrony przyrody, obie w szerokiej mierze opierają się na czynnikach obywatelskich i obie nie są uposażone w jakiekolwiek prerogatywy prawne i nie posiadają żadnej egzekutywy. Zupełnie odmienny typ organizacyi wytwarza się tam, gdzie ochrona przyrody opiera się o ustawodawstwo, ograniczające właściciela w swobodnem rozporządzaniu dobrami uznanemi urzędownie za chronione, przyczem zwyczajnie właściciel, o ile nie chce przyjąć dobrowolnie nałożonych na siebie ograniczeń, może zostać wywłaszczonym. Gdzie takie ustawodawstwo istnieje, tam organizacya przystosowaną bywa wyłącznie do służenia jego celowi; wynika stąd z jednej strony zaniedbanie wielu innych kierunków i środków działania, a z drugiej wobec uposażenia organizacyi w prerogatywy prawne ona przybiera, charakter więcej urzędowy, z czem zwykło się łączyć pewne ograniczenie swobodnego udziału żywiołu obywatelskiego. We Francyi na podstawie ustawy z dn. 21 kwietnia 1906 (Loi organisant la protection des sites et monuments naturels du caractère artistique) potworzone zostały komisye departamentalne, zostające pod przewodnictwem prefektów, a w których skład wchodzą urzędnicy, reprezentanci rady generalnej departamentu, tudzież wybrane przez tę radę osoby z kół naukowych, artystycznych i literackich. Organem centralnym jest ministerstwo wychowania publicznego i sztuk pięknych. W Oldenburgu ochrona pomników przyrody zorganizowana jest analogicznie do ochrony pomników sztuki; żywioł obywatelski reprezentują mianowani konserwatorzy (Denkmalpfleger), pełniący funkcyę opiekunów i rzeczoznawców tudzież doradców tak władz jak

osób interesowanych. Przy władzach centralnych każdej z trzech prowincyi utworzoną jest rada (Denkmalrat) złożona z osób mianowanych przez ministerstwo spraw wewnętrznych (ustawa z 18 maja 1911 r.). W Hesyi, podobnie jak w Oldenburgu ochrona pomników przyrody traktowaną jest ustawowo na równi z ochroną pomników sztuki (ustawa z 16 lipca 1902 r.); jednakowoż dla pomników przyrody instytucya konserwatorów nie istnieje; funkcye dotyczące powierzone są urzędom administracyi leśnej. Podobnie rzecz się ma w poszczególnych kantonach szwajcarskich.

W Belgii i Szwecyi istnieją organa centralne dla sprawy ochrony przyrody, ale brakuje zupełnie organów prowincyonalnych. W Belgii organ centralny złożony jest podobnie jak departamentalne komisye francuskie; w Szwecyi organem centralnym jest akademia umiejętności. Jest to organizacya nie pełna i mało skuteczna, o ile nie wesprze jej samorzutna inicyatywa zdecentralizowanych stowarzyszeń. Podobnie ma się rzecz w Norwegii, gdzie ustawa z dnia 15 lipca 1910 upoważnia króla do przedsięwzięcia w razie potrzeby ochrony zagrożonych pomników przyrody i zastosowania ku temu środków jakie uzna za odpowiednie; król może do wykonania tego uprawnienia delegować inną osobę fizyczną lub moralną. Jest to więc dopiero ustawa ramowa, którą władza administracyjna wypełni odpowiedniemi zarządzeniami.

Przytoczone przykłady wyczerpują istniejące typy organizacyi państwowej.

Powszechność zainteresowania sprawą ochrony przyrody zadokumentowały dwa zjazdy międzynarodowe, Congrès international pour la protection des paysages, pierwszy odbyty w Paryżu w r. 1909, drugi w Stuttgardzie w r. 1912. Sama już wymiana zdań, zwłaszcza w dziedzinie tak nowej, posiada znaczną wartość. Z czasem jednak kongresy takie mogłyby prowadzić do ujednostajnienia ustawodastwa w niektórych

dziedzinach, jak tego przykład dał odbyty 10 marca r. 1902 w Paryżu międzynarodowy kongres ornitologiczny.

Tak jak wielorakie są stosunki człowieka do przyrody, tak i motywa ochrony przyrody mogą być różne. Właściwie w każdym przypadku rozstrzyga inny motyw. Przewaga jednak pewnych motywów nadaje cechę charakterystyczną organizacyom i ustawodawstwu poszczególnych krajów. I tak w organizacyi pruskiej przeważa wybitnie motyw przyrodniczo-naukowy. W „Zasadach“ regulujących działalność urzędu państwowego dla ochrony pomników przyrody, czytamy następujące określenie pojęcia „pomnik przyrody“: „pod pomnikami przyrody w myśl niniejszych zasad rozumieć należy szczególnie charakterystyczne twory przyrody kraju rodzinnego, przedewszystkiem takie, które znajdują się na swem miejscu rodzimem, czy to części krajobrazu, czy utwory powierzchni ziemi, albo zabytki świata roślinnego lub zwierzęcego“. Tę, dość niedołężną definicyę komentuje Conventz w ten sposób, że chodzi przedewszystkiem o twory, będące zabytkami i świadkami przyrody pierwotnej, a zatem „pomnikami“ w znaczeniu właściwem, gdyż przechowują pamięć tego, co było. Bez świadectwa tych pomników późniejsze generacye nie wiedziałyby jak wyglądała ich ojczyzna. Pomimo, że zrobiono ustępstwo przyznając także znaczenie wartościom estetycznym i historycznym, to przecież wzgląd przyrodniczy stanowczo przeważa. Uzasadniany bywa nawet nieraz w sposób dość małostkowy, tak, jakby przyroda posiadała tylko wartość okazów muzealnych, służących do nauki dla młodzieży szkolnej. W komisyach prowincyonalnych i powiatowych biorą udział przedewszystkiem stowarzyszenia przyrodnicze. W Bawaryi natomiast, w Krajowym Wydziale opieki nad przyrodą zastąpione są aż trzy stowarzyszenia artystów i stowarzyszenie inżynierów. Ustawy Hesyi i Oldenburga określają pomniki przyrody jako szczególnie charakterystyczne twory przyrody, których zachowanie ze względów historycznych, przyrodniczych albo ze

względu na piękność lub osobliwe cechy krajobrazu leży w interesie publicznym. Ustawa francuska z r. 1906 poddaje ochronie „własność ziemską, której zachowanie może ze względu na malowniczość i wartość artystyczną leżeć w interesie ogólnym“. Tu więc wzgląd estetyczny jest wyłącznie decydującym. W skład komisyi departamentalnych wchodzą też osoby wybrane przez radę generalną „ze sfer artystycznych, naukowych i literackich“. Ochrona pomników przyrody, mających znaczenie wyłącznie przyrodniczo-naukowe, we Francyi dotąd nie istnieje. Trzecim wreszcie motywem ochrony, który w niektórych organizacyach występuje jako decydujący, jest motyw uczuciowo-patryotyczny, ściślej mówiąc wzgląd na zachowanie ukochanych, swoistych rysów ziemi rodzinnej. Tu nie chodzi o to, czy krajobraz lub jakiś poszczególny twór przyrody ma wartość estetyczną, lub czy roślina lub zwierzę jest zabytkiem, którego ginące resztki trzeba dla pamięci przechowywać, nie trzeba też, aby z pewnym tworem łączyło się szczególnie ważne wspomnienie historyczne: wystarcza, że chodzi o rys tradycyjny, charakterystyczny ziemi rodzinnej, rys, który wdrożył się w pamięć i serce. Oczywiście na rysy takie składają się nie tylko twory przyrody ale i dzieła ludzkie: dom, strój, obyczaj. Stowarzyszenia pod nazwą „Heimatschutz“ i centralny związek niemiecki „Bund für Heimatschutz“, podkreślają silnie w swych ustawach sprawę ochrony przyrody. Ponieważ motywa, kierujące akcyą tych towarzystw są najbardziej popularne i zrozumiałe, być może że zajmą one stanowisko szczególniej wybitne w sprawie ochrony przyrody i że wycisną na niej swe piętno. W braku ogólno-niemieckiego towarzystwa wyłącznie celom ochrony przyrody poświęconego, Bund für Heimatschutz spełnia jego zadanie; między innemi on to urządzał drugi międzynarodowy kongres dla ochrony krajobrazu, w Stuttgardzie. Już na poprzednim, paryskim kongresie Francuzi zaznajomili się z pojęciem „Heimatschutz“, a zabawnem jest, iż zastanawiając się

nad sposobem zaszczepienia tej rzeczy u siebie, w braku odpowiedniego wyrazu zamierzali przyjąć wprost termin niemiecki; sprawa, która polega przecież na sentymencie patryotycznym, miała dostać nazwę obcą, niezrozumiałą dla ogółu, i to przejętą z języka nieprzyjacielskiego narodu!... Innym podobnym, trochę śmiesznym, a trochę bolesnym wypadkiem, jest austryacki cyrkularz ministerstwa robót publicznych, nawołujący różne instytucye i stowarzyszenia do zastanowienia się nad tem, w jakiby sposób można utrzymać w danej okolicy sposób budowania i strój miejscowy dla zachowania jej swoistego charakteru — a to ze względu na... „Fremdenverkehr“! Tak więc pogardzona i zaniedbana przez nas sprawa zachowania ukochanych rysów ziemi rodzinnej zostaje podjętą przez obcych, zaiste nie w imię świętych uczuć, ale za to świętych interesów gospodnio-szynkarskich... Mamy zachować nasz strój i obyczaj dla pokazywania się opasłym filistrom na sposób dzikich ludzi w Magic City. Te same motywa mogą być również zastosowane do zachowania swoistego charakteru przyrody. W tem przecież pociecha, że motywa te może skuteczniej zdołają przemówić do tych „ludzi kulturnych“ u nas, którzy sprawę ochrony lica naszej ziemi uważają za „romantyzm“.

Zadania i środki ochrony przyrody są bardzo rozmaite. Gdzie chodzi o zachowanie czy to piękności krajobrazu, czy to w interesie naukowym pierwotnego charakteru okolicy lub miejsca, najskuteczniejszym środkiem jest usunięcie ich z pod wpływów człowieka, czyli tworzenie „r e z e r w a t ó w“. Zależnie od celu mogą być rezerwaty zupełne albo niezupełne. W rezerwatach zupełnych przyroda ma być pozostawioną w zupełności sama sobie; niewolno tam naruszać powierzchni ziemi, kosić i rąbać, zrywać kwiatów, łowić i strzelać zwierząt jakichkolwiek. Takim zupełnym rezerwatem jest n. p. rezerwat w dolinie Cluoza pod Piz Quatervals w kantonie Graubünden. Utworzony on został przez zadzierżawienie na lat 25,

przy pomocy wkładek członków zawiązanego w tym celu towarzystwa, dwadzieścia pięć i pół hektara obejmującej przestrzeni. Rozmaitość utworów geologicznych, skupionych na niewielkim stosunkowo obszarze, bogactwo roślin i zwierząt, czynią ten rezerwat niejako doskonałą próbką dzikiej przyrody alpejskiej. Albo znów w Niemczech dla zachowania dla studyów przyrodniczych w niezmienionym stanie przyrody bagnisk, utworzono w lasach państwowych Marchii w Plagefenn naokół jeziora Plagesee rezerwat obejmujący 167 hektarów. Podobnie holenderskie towarzystwo ochrony pomników przyrody ocaliło przed osuszeniem, kosztem około 300.000 koron, i zarezerwowało wraz z otoczeniem jezioro Naardermeer. Ale są też rezerwaty mające na celu wyłącznie zachowanie jakiegoś utworu geologicznego, n. p. skały, moreny, pola lodowcowego i t. p., albo jakiegoś zbiorowiska roślinnego jak n. p. Sequoia-park w Kaliforni dla zachowania drzew mamutowych, rezerwat prywatny ks. Szwarzenberga pod Kubany w Lesie Czeskim jako próbka środkowo-europejskiego pierwoboru, wrzosowisko Borris w Jutlandyi, pierwsze u nas małe rezerwaty prywatne p. Fedorowicza w Oknie (zabytki najstarszej u nas roślinności z doby pliocenu Schiwereckia podolica, owsik Bessera i in.) i hr. Stadnickiego w Nawojowej (pierwobór jodłowy) i t. p.; są wreszcie rezerwaty wyłącznie łowieckie, jakim była niegdyś cała Alaska, lub chronione jako miejsce rozmnażania się ptaków morskich t. zw. „wyspy ptasie“ na morzu Północnem i Bałtyckiem.

Wielkie rezerwaty będące własnością publiczną zwykły nosić miano „p a r k ó w n a r o d o w y c h“. Najdoskonalszym typem takiego parku jest największy na świecie 8671 kilom. kwadr. obejmujący rezerwat zupełny, Yellowstone-park w Ameryce północnej, utworzony przez Rząd Związkowy w r. 1872; prócz tego posiada Ameryka północna jeszcze pięć innych rezerwatów, częściowo niezupełnych, zwanych również parkami narodowemi. Podobne parki posiada też Argentyna,

Nowa Zeelandya, Australia, Afryka niemiecka. Na ogół tworzenie wielkich rezerwatów tego rodzaju, możliwem jest tylko w krajach posiadających wiele ziemi a małą ludność. W Europie najwięcej, bo dziesięć takich rezerwatów, posiada Szwecya; z tych pięć największych leży w Laponii; Sarjek mierzy 19 mil kwadr., Stora Sjöfallet 15 mil kwadr., inne są znacznie mniejsze. Ustawa z r. 1909 normuje stosunki prawne tych rezerwatów, chroniąc w nich rośliny i zwierzęta, zakazując stawiania budynków, wprowadzania psów itd. Lapończykom jednak zachowano dawne ich prawa; oni stanowią jakoby część samej dzikiej przyrody; nie wolno im tylko zabijać niedźwiedzi, które jako narażone na zagładę, używają absolutnej ochrony. — Pojęcie parku narodowego nie jest ściśle określone; wielkość sama nie daje dostatecznej podstawy do odróżniania go od innych rezerwatów, możnaby raczej znaleźć inny moment rozróżniający. A mianowicie w samej nazwie parku narodowego mieści się znamię jego charakteru ludowego, popularnego. Rezerwat natury czysto naukowo-przyrodniczej, jak n. p. niemiecki Plagefenn, a choćby duńskie wydmy wędrowne w Raabjaerg Mile chronione na obszarze 216 hektarów, nie zasłużą nigdy na miano parku narodowego. Między motywami tworzenia takich parków odgrywa tedy rolę motyw bardzo dla kultury współczesnej charakterystyczny, motyw uczuciowy.

Objawia się to znamiennie w agitacyi, jaką prowadzi w Niemczech założone w 1909 roku stowarzyszenie „Naturschutzpark“. Programem jego jest założenie trzech parków narodowych, odpowiadających trzem strefom Niemiec, krainie alpejskiej, krainie pogórza, i krainie niżu. Parki te pomyślane są nie jako rezerwaty naturalne, ale jako rezerwaty poniekąd sztuczne; mają one reprezentować faunę i florę swoich stref o ile możności najzupełniej, co bez pomocy sztuki osiągnąć się nie da. Dlatego odnoszą się nieprzychylnie do tej myśli członkowie organizacyi państwowej pruskiej, kro-

czący za prof. Conventzem wyłącznie torem ochrony „pomników przyrody“ t. j. torem zachowania zabytków natury pierwotnej na ich miejscu rodzimem. Hasło jednak stowarzyszenia Naturschutzpark rzucone jest jako hasło popularne i znajduje oddźwięk. U nas Towarzystwo przyrodnicze warszawskie rzuciło myśl zrobienia rezerwatu z Tatr. Gdyby myśl ta miała jakieś widoki urzeczywistnienia i miało się podjąć kroki dla wprowadzenia jej w życie, to oczywiście nie pod hasłem wyłącznie przyrodniczo-naukowego interesu. Pierwszorzędną rolę grałyby tu czynniki uczuciowe bardzo skombinowanej natury. Składałyby się na nie przywiązanie do tego zakątka ziemi ojczystej, któremu chciałoby się zachować pierwotną postać, składałoby się uczucie estetyczne, ale ponadto jeszcze ów szczególny sentyment do natury dzikiej i pierwotnej, sentyment którego pochodzenie jest świeże, a który stanowi rys bardzo charakterystyczny człowieka kultury współczesnej. Bez zdania sobie z tego sprawy nie można zrozumieć należycie stosunku współczesnej kultury do przyrody, a także i sprawy ochrony przyrody. Poza wszelkiemi bowiem argumentami rozumowemi, które ma za sobą ta sprawa, istnieje jeszcze możnaby powiedzieć jej strona metafizyczna, utajona a jednak decydująca, strona uczuciowa. Motorem każdego działania jest uczucie, — wszelkie racye mają znaczenie drugorzędne. W gronie członków Towarzystwa tatrzańskiego toczyła się raz następująca rozmowa: „Pan byś chciał aby w Tatry nikt nie chodził“ — mówił ktoś ze starszej generaracyi z epoki „uprzystępniania“ Tatr do jednego z młodszych taterników. „Chciałbym aby tam było po co chodzić“ — odpowiedział reprezentant nowej idei. Powtarza się chętnie słowa Witkiewicza: „Wartość pustyni polega na tem, że jest pustynią“. To wszystko jest nie tylko znamienne, ale ma też znaczenie praktyczne: zachowanie Tatrom ich charakteru pierwotnego jest kapitalizacyą ich wartości. Niema drugiego miejsca w Europie środkowej, któreby w tej mierze nadawało się

do zachowania cech przyrody pierwotnej, i któreby też na to więcej zasługiwało. Wartość takiego miejsca z dniem każdym wzrasta; w tym kierunku idzie rozwój. Tylko że ludzie zwykli rzeczy takie rozumieć za późno.

Tam gdzie wchodzą w grę pobudki tak różnorodne, a zwłaszcza pobudki uczuciowe, niepodobna przeprowadzić klasyfikacyi; powody tworzenia rezerwatów i ich rodzaje są najrozmaitsze. Jako przykład rezerwatu utworzonego z pobudek wyłącznie uczuciowych i estetycznych, przytoczę rezerwat części doliny Izary koło Monachium, utworzony drogą składek publicznych dla uchronienia tej okolicy od zabudowania zakładami przemysłowemi. Rezerwatem jeszcze innego rodzaju jest Rüttli, owo miejsce pamiętne w dziejach Szwajcaryi, a uwiecznione w dramacie Szyllera. Wykupiła je składkami młodzież szkolna szwajcarska, chroniąc przed „kulturą“ w postaci hotelu, który miał właśnie tam stanąć dla zwabiania obcych, i pokazywania im za napiwek miejsca sławnej przysięgi. Jeszcze inny charakter mają rezerwaty tworzone w okolicy wielkich miast. Głównym motywem ich tworzenia jest motyw hygieniczny. Wiedeń zakupił niedawno za kwotę około 50 milionów koron, lasy i łąki otaczające miasto. Londyn utworzył w większej lub mniejszej odległości sześć wielkich rezerwatów; podobnie wiele innych miast.

Ochrona przyrody przez tworzenie rezerwatów przedstawianą bywa niekiedy jako system przeciwstawiony systemowi ochrony „pomników przyrody“. W rzeczywistości są to dwa środki służące temu samemu celowi, których odmienność wynika tylko z przystosowania się do odmiennych okoliczności. Ale jednostronne akcentowanie pewnych momentów stwarza rzeczywiście niekiedy pozór dwóch odrębnych systemów. I tak organizacya pruska akcentuje często, że w stosunkach środkowo-europejskich racyonalniejszą jest decentralizacya ochrony przyrody, t. j. chronienie poszczególnych jej tworów na całym obszarze kraju, niż tworzenie rozległych a rzadkich rezerwa-

tów. Natomiast zwolennicy „parków narodowych zarzucają nie bez słuszności tej metodzie, że traktuje ona przyrodę na sposób muzealny, — że chronienie pewnych ciekawych objektów nie jest wcale ochroną przyrody. Przyroda, to pełnia i swoboda życia; ta zachować się da tylko w rezerwatach, które określają mianem „Freistätten der Natur“. „Pomniki przyrody“ tkwiące w pośród wyjałowionego przez kulturę krajobrazu, to nie przyroda, tylko jej cmentarzysko. Argument ten jest słuszny o ile zwraca się przeciwko jednostronnemu, szkolarskiemu traktowaniu sprawy ochrony przyrody, ale z drugiej strony wyłączność metody rezerwatów pozostawia cały kraj z wyjątkiem nielicznych wysp ochronnych, na pastwę barbarzyństwa kultury; przeto zarzut stanowiska muzealnego możnaby równie dobrze zwrócić przeciwko tej metodzie.

Ztąd wniosek, że żadna z tych metod sama przez się nie wystarcza; ale co więcej obie one nawet w połączeniu nie wystarczają pełni zadań ochrony przyrody. Tak n. p. gdzie chodzi o to, aby okolica pewna, która nie może lub nie potrzebuje być rezerwatem, nie została zeszpeconą przez kolej żelazną, tam żadna z tych metod nie daje się zastosować i trzeba innego rodzaju wdania się czynników powołanych. Dlatego właśnie ochrona przyrody nie może zamknąć się w granicach jednej gałęzi administracyi; nie jest ona odrębną dziedziną administracyjną, ale z a s a d ą, która musi wszystkie administracyjne, dziedziny przeniknąć. Do tego przystosowaną jest najlepiej organizacya pruska. Tutaj wszystkie ministerya wydały zarządzenia dotyczące ochrony przyrody. Ministerstwo wyznań i oświaty poleciło tę sprawę stawiać na porządku dziennym konferencyi nauczycieli, zaleciło ją również konsystorzom i zjazdom pastorów. W uniwersytetach urządza się w tej materyi publica i bierze ją w program powszechnych wykładów uniwersyteckich. W szkołach średnich uwzględnia się ją przy naukach przyrodniczych, w niższych, przez wstawienie odpowiednich ustępów do czytanek. Administracya domen obowiązaną jest

nie tylko chronić uznane już pomniki przyrody, ale powołaną została do współdziałania przy ich wyszukiwaniu i wyznaczaniu. Urzędy lasowe prowadzą spisy tych pomników i uwzględniają je na mapach. Przy urządzeniach rewirów zalecono wyłączać przestrzenie odznaczające się jakimś szczególnie uwagi godnym drzewostanem i zagospodarowywać je w sposób odrębny. Dla ochrony flory podszewki leśnej zaprowadzono na znaczniejszych obszarach gospodarstwo przerębowe. Dla ochrony zwierząt wydano specyalne zarządzenia; przy trzebieży zwraca się uwagę na pozostawienie zarośli a nawet starych pni spróchniałych, gdzie gnieżdżą się ptaki; i t. p. Organa administracyi robót publicznych, kolei, poczt i telegrafów wezwano do zwracania uwagi przy sposobności robót w polu, na wszelkie, godne zachowania twory przyrody, do oszczędzania ich i do zwracania się w wątpliwych wypadkach do Urzędu państwowego dla ochrony pomników przyrody. Nawet wojskowość zajęła się żywo tą sprawą i wydała dla swoich organów podobne zarządzenia; poleciła na kartach topograficznych oznaczać pomniki przyrody; istnieją na gruntach fortecznych i placach ćwiczeń małe, chronione rezerwaty. — Tego rodzaju działalność, w połączeniu z działalnością organizacyi prowincyonalnych i powiatowych, tudzież z propagandą szerzoną przez towarzystwa, przez szkołę i literaturę, może sama przez się odnieść wielkie skutki, a nadto przygotować należycie grunt pod zdrowe ustawodawstwo ochrony przyrody.

Gdzie takie ustawodawstwo zaszczepiono na nieprzygotowanem należycie podłożu i gdzie ono nie jest poparte intenzywną działalnością organów administracyi publicznej i prywatnej inicyatywy, tam skutki jego pozostaną wątpliwe. Dwa przeciwne sobie charakterystyczne typy przedstawiają w tym względzie Prusy i Francya. Prusy, pomijając niektóre pomniejsze dziedziny, nie posiadają dotąd żadnej ustawy o ochronie przyrody; Francya posiada ustawę bardzo daleko idącą, wkraczającą głęboko w sferę własności prywatnej.

W Prusiech idea ochrony przyrody wnika coraz to bardziej we wszystkie gałęzie administracyi, we Francyi pozostaje izolowaną sprawą jednego organu, który wkracza w pewien tylko, właściwy sobie sposób, od wypadku do wypadku. W Prusiech, pomimo pewnej jednostronności w pojmowaniu zadań ochrony przyrody, postawioną jest ona jako ogólna kierownicza zasada, we Francyi jako specyalna instytucya. Osobne ustawodawcze przepisy dotyczące ochrony przyrody, mogą być bardzo potrzebne i pożyteczne, jednakże najbardziej radykalne ustawodawstwo nie może wystarczyć; ono obejmuje zawsze tylko pewne działy, a główna część zadań spoczywa na barkach czujnej i świadomej celu administracyi. Powszechne przepisy ustawodawcze w przeważnej liczbie wypadków wystarczają, lub potrzebują tylko niewielkiej korektywy. I tak przedewszystkiem w zarządzie domen i przy wykonywaniu przez własne organa robót publicznych, państwo może w całej pełni uwzględniać ochronę przyrody, a dalej w szerokiej mierze także przy sposobności koncesyonowania i nadzorowania rozmaitego rodzaju przedsiębiorstw. Już dawniej, przed rozpoczęciem się właściwego ruchu zmierzającego ku ochronie przyrody, władze angielskie, pod wpływem agitacyi Ruskina, brały pod rozwagę przy wyznaczaniu trasy nowych kolei, potrzebę ochrony piękności krajobrazu i zasięgały w tym względzie zdania rzeczoznawców. Takie wypadki, które powinny być regułą, powtarzają się bądź co bądź coraz częściej; przedewszystkiem projekty kolei szczytowych, jako najczęściej niepotrzebnych, powinny ulegać ścisłej kontroli władz. Rząd saski kilkakrotnie odrzucał podania o koncesye, na kolej na Bastei, główny punkt saskiej Szwajcaryi; podobnie uczynił rząd bawarski z projektem kolei na Zugspitze; (niestety podobno w ostatnich czasach kolej ta jednak przyjść miała do skutku). Ze względu na krajobraz odrzucono niedawno projekt kolei przez dolinę Szwarcy w Turyngii i wybudowano dłuższą linię okrężną przez Rottenbach. Udarem-

niano dotąd również skutecznie zamachy barbarzyńskiej kultury na najpiękniejszą dolinę Harcu Bodetal, gdzie miała powstać cała kolekcya „kulturalnych“ urządzeń: lifty na strome ściany doliny, wiszące kolejki linowe z jednego jej boku na drugi, kolejka zębata i t. p. Władza musi w takich wypadkach znaleźć oparcie o opinię publiczną i dlatego urabianie tej opinii jest sprawą pierwszorzędną. W Szwajcaryi, gdzie orgia kolei szczytowych ukoronowaną została koleją na Jungfrau, w ostatnich czasach oświadczyła się jednak opinia publiczna 68 tysiącami podpisów przeciwko projektowi kolei na Matterhorn. U nas o rozbudzeniu opinii w tym kierunku świadczy uchwała Zjazdu Związku Towarzystw Upiększania Kraju, tudzież jednomyślna rezolucya tłumnego wiecu w Zakopanem (w r. 1912), protestujące przeciwko budowie kolejki górskiej pod Świnnicę, która zagrażając oszpeceniem jednej z najpiękniejszych okolic tatrzańskich, jest równocześnie niedorzeczną pod względem gospodarczym. — Zarząd poczt i telegrafów Rzeszy Niemieckiej, w niejednym już wypadku zmienił ze wzlędu na krajobraz linię drutów telegraficznych i telefonicznych; niekiedy uciekł się ze względów estetycznych do założenia kabli podziemnych. To są środki ochrony do zastosowania względnie łatwe; znacznie trudniejsze są wypadki, gdy kolej musi być przeprowadzoną, lub gdzie chodzi o regulacyę rzek i potoków. Tu nie wystarcza negatywna opinia znawców estetycznych, ale trzeba umiejętności pogodzenia względów estetycznych z koniecznościami technicznemi. Co w tym względzie jest możliwe, z góry przesądzać nie można, bo temi rzeczami dotąd zbyt mało się zajmowano. Trzeba stworzyć i wprowadzić do nauczania technicznego sztukę przystosowywania się do estetycznego charakteru krajobrazu. Co wczoraj jeszcze mogło się wydawać niemożliwem lub nawet śmiesznem, jutro stanie się poważnym postulatem. Podobny wypadek zaszedł w dziedzinie leśnictwa; któż do niedawna byłby myślal o tem, aby wprowadzić do szkół lasowych na-

ukę praktycznej estetyki lasu? A jednak nauka taka powstała, i to nie w głowach estetów, ale w głowach profesorów leśnictwa, a Niemieckie Towarzystwo Leśnicze uchwala przed kilku laty na swojem walnem zgromadzeniu w Gdańsku, wprowadzenie tego przedmiotu do szkół lasowych.

Środków, któremi sprężysta administracya może posługiwać się dla ochrony przyrody, jest zresztą wielka rozmaitość. Oto n. p. gdy przed laty jeszcze w Bawaryi zaczęto intenzywnie eksploatować skały nad Dunajem i w dolinie Altmühl, rząd niemogąc dla uchronienia piękności tej okolicy wykupić tych kamieniołomów, chwycił się środka bojkotowania ich przy wszystkich przedsiębiorstwach publicznych. — Starostwo w Baden w Austryi Niższej wydało było (18 marca 1907) rozporządzenie, że zrywanie pewnych roślin alpejskich będzie uważać za przekroczenie ustawy o ochronie własności polnej i leśnej, i karać grzywną do 100 koron lub aresztem, o ile zbierający nie wykaże się pisemnem zezwoleniem właściciela gruntu. Jest to oczywiście interpretacya ustawy bardzo dowolna. Do środków tego rodzaju uciekać się niekiedy trzeba, gdzie nie istnieje celom ochrony odpowiadające ustawodawstwo. Ustawodawstwo takie jest tedy potrzebne; wytwarza się też w miarę rozszerzania się idei ochrony przyrody.

Istotę tego ustawodawstwa stanowią pewne ograniczenia prawa własności. Pod względem prawnym nie przedstawiają się one jako coś nowego; należą do tego samego rzędu co ustanawiane już oddawna ze względu na interes publiczny, ograniczenia zawarte w ustawach budowlanych, sanitarnych, łowieckich, rybackich, wodnych, lasowych, i t. p. Pierwiastkiem nowym, który mieści w sobie to ustawodawstwo jest tylko nowy motyw. Nie rozchodzi się tu bowiem ani o bezpieczeństwo, ani o interesy społeczno-gospodarcze; nowy motyw jest natury czysto idealnej, i to nadaje mu rys zupełnie nowożytny i wysokie kulturalne znaczenie. Wielka Rada kan-

tonu Szafuzy przedkładając głosowaniu ludowemu kantonalną ustawę wprowadźczą do szwajcarskiej Księgi Ustaw cywilnych, która to ustawa zawiera właśnie ograniczenia własności wspomnianego rodzaju, wypowiada w orędziu swojem następujące słowa: „W naszej zmateryalizowanej epoce budzi się piękny rys idealizmu. Nie chcemy utracić tego, co jest właściwością naszej ojczyzny i wyróżnia ją z pośród innych okolic ziemi. Jednostka nie może bezwzględnie i bez ograniczenia rozporządzać tem, co jest wspólnem dobrem całego narodu, tem, co ten naród wytworzył przez sztukę, lub co pięknego i niezwykłego dała mu natura". — Interesujące momenta zawiera debata sejmu pruskiego nad projektem ustawy z dnia 15 lipca 1907, zmierzającej do ochrony krajobrazu przed zeszpeceniem niewłaściwemi budowlami (Bauliche Verunstaltung des Landschaftsbildes). Podnoszono mianowicie, że § 9 konstytucyi, gwarantujący nietykalność własności, pozwala na jej ograniczenie tylko ze względu na interes publiczny i za wynagrodzeniem właściciela; nietylko zaś że ustawa nie przewiduje żadnego wynagrodzenia, ale co więcej, wzgląd estetyczny niemoże być żadną miarą uważany za równoznaczny z interesem publicznym w rozumieniu konstytucyi. Polemizując z tą argumentacyą komisarz rządowy stwierdził, że prawo do wynagrodzenia uzasadnione jest tylko w wypadkach, gdzie ograniczenie własności zarządzone zostało specyalnym aktem administracyjnym wydanym ze względu na interes publiczny, nie zaś tam, gdzie takie ograniczenie wynika z powszechnie obowiązującej normy prawnej. Za interes publiczny uważać zaś należy niewątpliwie, aby właściciel nie używał własności swojej w sposób stojący w sprzeczności z uczuciem większości narodu. Większość narodu uważa za rzecz przystojną, aby właściciel nie zabudowywał swej ziemi w sposób rażący niemile i obrażający uczucia estetyczne szerokich kół. — Nad tą samą ustawą prowadzono w r. 1909 debatę na dorocznej konferencyi, zwołanej przez Urząd państwowy dla ochrony

przyrody. Uzasadniając interes publiczny w ograniczeniu własności przez ustawę, referent użył takich, nadzwyczaj charakterystycznych argumentów: powiadają, że ustawa pozbawia właściciela części korzyści z tej własności, którą zdobył może i utrzymuje swoją ciężką pracą, na rzecz estetycznego używania ludzi, względem których niema żadnych obowiązków. Ale wartości o które tu idzie, t. j. przyrodzonych piękności krajobrazu, nikt nie zarobił i nie wypracował, stworzyła je bowiem sama natura. Ustawa ma na celu zapobieżenie temu, aby jednostka wartości tych, które były zawsze dobrem ogólnem, bez nieodbitej konieczności nie niszczyła i nie wyzyskiwała w osobistym wyłącznie interesie. A w gruncie rzeczy nie rozchodzi się tu tylko o piękno i przyjemność używania estetycznego, ale o poważne wartości społeczno-gospodarcze, a nawet, z wyższego punktu widzenia, o ważniejsze jeszcze wartości etyczne i narodowe. Pomijając już to, że zeszpecenie okolicy, dokonane w widokach osobistej tylko korzyści gospodarczej, powstrzymać może napływ obcych i spowodować przez to szkodę dla interesów gospodarczych ogółu, to trzeba jeszcze wziąć pod uwagę, że każden z okolicznych mieszkańców, gdy mu odjętą zostanie sposobność wypoczynku po trudach dnia na łonie pięknej przyrody, i odetchnienia tą czystą i podniosłą uciechą, którą daje piękno, utraci, zwolna może i niewidocznie, ale niemniej niezawodnie, część swej radości życia a z nią część ochoty i siły do pracy; a to odbije się i na życiu gospodarczem. Ale nie dość na tem; utrata tych wartości odbije się na całem życiu duchowem jednostki, zachwianą zostanie równowaga moralna, wkradną się w serce ziarna niezadowolenia i goryczy. Odarta z wdzięków swoich przyroda nie znęci już oka i nie przywiąże myśli. Zbledną i zobojętnieją ukochane rysy ziemi rodzinnej a wraz z tem rozluźni się najsilniejsze ogniwo łączące człowieka z ojczyzną. Niezawodnie sama piękność krajobrazu nie stwarza jeszcze dobrych i przywiązanych

do kraju obywateli, składają się na to inne jeszcze czynniki, między innemi też możność przyzwoitego ekonomicznego bytu i t. p., — ale niemniej niewolno lekceważyć znaczenia owych imponderabiliów dlatego tylko, że nie da się ono wycenić w markach i fenigach. Jeżeli przeto ustawa przyczynia się do tego, aby ludziom zapewnić zdrowie duchowe i radość z życia, i aby umocnić w nich miłość ojczystej ziemi, to nie można twierdzić, że ma na oku jedynie interesy piękna i estetyczne użycie, ale raczej, że służąc najwyższym etycznym i narodowym dobrom, służy w pełnem tego słowa znaczeniu interesowi „dobra publicznego". — Oto są argumenta, które większości dziś jeszcze wydadzą się paradoksalnemi, a nigdy może nie będą wszystkim zrozumiałe. A jednak opiera się o nie poważne już ustawodawstwo i to jest niewątpliwie bardzo znamienny rys czasu.

Przytoczę teraz dla przykładu parę ważniejszych przepisów ustawodawczych z tej dziedziny. Na uwagę zasługują najpierw, ze względu na ich liczebność i tendencyę do upowszechniania się, przepisy zmierzające do ochrony krajobrazu przed zeszpeceniem przez natrętną reklamę. Jak ta plaga stała się dokuczliwą dowodzi choćby uchwała zgromadzenia hotelarzy doliny Rodanu (1907) zobowiązująca uczestników do bojkotowania firm, oszpecających swemi ogłoszeniami okolicę; uchwała ta spowodowaną była napewne nie estetycznemi względami, ale zastraszającym odpływem turystów, unikających okolic zbanalizowanych i sprofanowanych. Pladze tej zapobiega ustawodawstwo w rozmaity sposób: przez przepisy regulujące w ogóle reklamę, przez wysokie obciążenie podatkowe, przez wyłączenie niektórych miejsc zasługujących na szczególną ochronę, przez upoważnienie gmin lub władz policyjnych do wydawania w swoim zakresie działania, odpowiednich zakazów i regulaminów (n. p. ustawa pruska z r. 1902). Sprawa odszkodowania uregulowaną bywa rozmaicie; albo niema mowy o odszkodowaniu, lub tylko w wypadku szkody

poniesionej przy usuwaniu istniejących już szyldów i napisów reklamowych (Hessya) albo odszkodowanie jest przewidziane (Soloturn). — Ustawa bremeńska z 9. marca 1909 upoważnia organy policyi budowlanej do wydania zakazu usuwania pojedynczych drzew, o ile takie usunięcie szkodziłoby piękności krajobrazu i o ile zakaz nie naruszyłby innych, ważniejszych publicznych lub prywatnych interesów. Przy wydaniu takiego zakazu współdziałają powołani rzeczoznawcy. Podobnie ma się rzecz w Hamburgu (ust. z d. 3 kwietnia 1912) gdzie poruczono rzecz komisyi powołanej do strzeżenia pomników sztuki i przyrody. Ustawa kantonu fryburskiego (z r. 1911) chroni drzewa przydrożne. — W Belgii obowiązanym jest każden kto naruszył powierzchnię ziemi, n. p. przez eksploatacyę kamienia, gliny i t. p., jak najprędzej pozostałe nierówności zadarnić i zadrzewić. — Ustawa pruska z daty 15. lipca 1907, ustawa saska z daty 10 marca 1909 i ust. bremeńska z daty 9 marca 1909 zwracają się przeciw oszpeceniu krajobrazu przez niestosowne budowle. Paragraf 8 ustawy pruskiej stanowi: „Prezydent rządowy jest upoważniony, za zgodą wydziału powiatowego dla odznaczających się pięknością krajobrazową części powiatu wydać zarządzenie, że budowlano policyjne zezwolenie na budowę lub przebudowę domów poza miejscowościami zamieszkałemi (miastami, wsiami) może być odmówione, jeśliby przez to krajobraz miał uledz znacznemu zeszpeceniu, a jeśliby takiego zeszpecenia można było uniknąć przez wybór innego miejsca, innego sposobu budowania lub innego materyału".

Ograniczenie prawa własności wynikające z powszechnej normy prawnej, w wielu wypadkach nie może być zastosowane lub nie wystarcza do skutecznej ochrony przyrody. Wtedy musi być zastosowane ograniczenie ustanowione specyalnym aktem prawnym, który też określa treść tego ograniczenia. Aktem takim może być ustawa, zarządzenie administracyjne wydane z upoważnienia ustawy, lub zobowiązanie

właściciela. Ograniczenie takie o ile nie jest przyjęte dobrowolnie, uzasadnia prawo do wynagrodzenia szkody majątkowej którą powoduje; jest ono bowiem naruszeniem podmiotowego prawa własności gwarantowanego przez ustawę zasadniczą, a nie normą prawną określającą zakres przedmiotowy prawa własności jako takiego. Ponieważ przez tego rodzaju ograniczenie, prawo własności nabiera odmiennej treści, co nie da się wyszacować przy odszkodowaniu, słusznem jest, aby właściciel miał możność, zamiast odszkodowania za nałożone ograniczenie, żądać wykupna swojej własności. Dalszą wreszcie konsekwencyą powinna być jawność ograniczenia prawa własności przez wpis tego ograniczenia w księgi publiczne; zachodzi tu bowiem analogia do służebności prawa cywilnego i rzeczywiście jurysprudencya (w szczególności francuska) konstruuje dla tego stosunku prawnego pojęcie „służebności administracyjnej". — Ograniczenie prawa własności dla celów ochrony przyrody przez takie służebności administracyjne, jak niemniej związane z tem prawo wywłaszczenia, przyjęły już dość liczne ustawodawstwa, jakkolwiek nie zawsze wyprowadziły wszystkie związane z tem logicznie konsekwencye. Ustawa francuzka z d. 21 kwietnia 1906 zaprowadza t. zw. zaklasowanie (classement) nieruchomości (miejscowości i tworów przyrody) godnych ochrony. Propozycya wychodzi od komisyi departamentalnej, a zaklasowanie następuje jeśli właściciel zgodzi się na ograniczenia własności z zaklasowaniem połączone. Jeśli do tego porozumienia czyli do umowy (contrat administratif) nie przyjdzie, komisya zawiadamia o tem mera i prefekta, a ci mogą w imieniu gminy względnie departamentu, wnieść podanie o wywłaszczenie. Naruszenie przyjętych przez zaklasowanie zobowiązań, zagrożone jest karą. Ustawa ta posiada dwa ważne braki: po pierwsze że ograniczająca własność, „służebność administracyjna" nie bywa uwidoczniona w księgach publicznych, co może narazić nowonabywcę na straty, a także udaremnić cel służebności, po

drugie, że w rzadkich tylko wypadkach właściciel zgodzi się na przyjęcie ograniczeń, tam zwłaszcza gdzie nie obawia się wywłaszczenia, do którego ze względu na koszta, gmina i departament najczęściej nie będą pochopne. Pojawiają się tedy projekty, aby zaklasowanie umowne zamienić na przymusowe za wynagrodzeniem. W Hesyi (ust. z d. 16/7 1902) i w Oldenburgu (ust. z d. 18/5 1911) zakwalifikowanie do ochrony następuje z urzędu i wpisane jest do „listy pomników“ (Denkmalliste). Przeciw temu zarządzeniu może właściciel wnieść sprzeciw, który rozstrzygnięty zostaje w toku instancyi. Skutek zakwalifikowania jest ten, że niewolno czynić zmian na zakwalifikowanym przedmiocie bez urzędowego zezwolenia, względnie, że przy dokonywaniu tych zmian należy stosować się do warunków zezwolenia. W razie poniesionej przez to ograniczenie szkody, może być podniesiona pretensya o odszkodowanie lub jeśli co do wysokości odszkodowania nie nastąpiło porozumienie, żądać można wykupna, wedle przepisów o wywłaszczeniu. W kantonie berneńskim (ust. z dnia 29/3 1912) równocześnie z zakwalifikowaniem do ochrony, ustanowione zostają ograniczenia, jakim zakwalifikowane nieruchomości mają podlegać. Następuje to w porozumieniu z interesowanymi, a w szczególności z właścicielem, przy możliwem uwzględnieniu ich praw i życzeń. Jeśli porozumienie nie przyjdzie do skutku, rozstrzyga o treści ograniczeń Rada Rządowa. W razie materyalnej szkody wynikającej z ograniczenia, przyznane być może odszkodowanie. Rada Rządowa ma również uprawnienie do wywłaszczenia, lub do ustanowienia za odszkodowaniem służebności; to samo prawo przyznane być może przez nią gminom, stowarzyszeniom i zakładom użyteczności publicznej. Oprócz wpisu do „listy pomników“, ustanowione ograniczenia wpisane zostają do ksiąg gruntowych. Trzeba jeszcze nadmienić, że ustawa berneńska przewiduje także ograniczenia w rozporządzaniu prawnem przedmiotem podlegającym ochronie, który w tym wypadku nie

może być pozbyty, lub obciążony, bez osobnego zezwolenia. W Norwegii (ust. z d. 15/6 1910) istnieje prawo do odszkodowania; wysokość odszkodowania jeśli porozumienie nie przyjdzie do skutku, wyznaczoną jest w drodze oszacowania urzędowego. Zamiast tego żądać też może właściciel wywłaszczenia, w wypadku jeśli wartość chronionej nieruchomości skutkiem nałożonych ograniczeń znacznie się zmniejszyła; czy ten wypadek zachodzi, ocenionem zostaje przez komisyę szacunkową. Przytoczone ustawy dają dostateczne wyobrażenie o sposobach normowania ograniczeń własności i stosowania wywłaszczenia dla celów ochrony przyrody. Wywłaszczenie dla tego celu znają jeszcze i inne ustawodawstwa (Brunszwik, kilka kantonów szwajcarskich jak Fryburg, Szafuza i i.). Stosowanie tego środka, czyniącego najgłębszy wyłom w prawie własności, a usprawiedliwionego ustawowo tylko interesem publicznym, jest najwymowniejszym dowodem, że sprawa ochrony przyrody, bez względu czy wynika z motywów naukowo-przyrodniczych, historyczno-pamiątkowych, lub estetycznych, uważaną jest coraz powszechniej za interes publiczny.

Odrębnym działem ochrony przyrody jest ochrona roślin i zwierząt; odrębnym ze względu na motywa, bo niechodzi tu, jak tylko w małej mierze o zachowanie krajobrazu, odrębnym pod względem środków technicznych, bo rośliny i zwierzęta są tworami żywemi; tutaj mogą być stosowane nietylko środki negatywne ochrony, ale pozytywne, rozszerzania i rozmnażania. Tu występuje także wielce sporna kwestya aklimatyzacyi. Wspomniałem już, że z punktu widzenia przyrodniczo naukowego, aklimatyzacya usilnie jest zwalczaną; tak przedewszystkiem ze strony uczestników i zwolenników organizacyi pruskiej. Także ze stanowiska ochrony swojskości można przeciw niej podnieść zarzuty, ale nie są to jedynie uprawnione punkty widzenia. W poczuciu ogółu ochrona przyrody jest tylko częścią głębszego i szerszego prądu, który wynikając z miłości do przyrody, zmierza do przywrócenia jej

pełni i siły życia. Prąd tego rodzaju nie może zatrzymać się przed względami archeologiczno-muzealnemi. Być więc może że za jeden ze środków prowadzących do celu, uzna on kiedyś w większej niż dotąd mierze, aklimatyzacyę. Wtedy pozostaną jeszcze do rozważenia granice i względy, jakie przy stosowaniu tego środka zachować należy. Zarzut że przyroda stanie się w ten sposób czemś sztucznem, nie całkiem jest trafny; trzeba bowiem pamiętać jak wielka część naszych roślin i zwierząt nie jest tubylczą. Czy przybyły one wcześniej lub później i czy osiedliły się same czy przy współudziale człowieka, jest rzeczą drugorzędną. Nie mówiąc już o roślinach uprawnych takich jak ziemniak, koniczyna lub burak cukrowy, które od tak niedawna weszły na nasze pola a stanowią dziś rys charakterystyczny okolicy, są i między roślinami dzikiemi przybłędy z za morza, osiadłe i zadomowione od lat bardzo niewielu. Czyż mamy je dlatego uważać za coś obcego i niepożądanego? Albo czy są one „naturalniejsze“ dlatego że zawlokły się przypadkiem?

Ochrona roślin i zwierząt może być ochroną gatunku wogóle lub też w pewnych tylko miejscach, tam, gdzie są one rzadkie lub szczególnie charakterystyczne, n. p. na kresach ich zasięgu geograficznego. Rzadziej bywa to ochrona indywiduów, n. p. poszczególnych drzew i t. p.

Dla roślin główne niebezpieczeństwo stanowi rozprzestrzenianie się kultury rolnej. Przeciw temu niema żadnego środka; można tylko starać się o zachowanie resztek (n. p. flory stepowej i t. p.) jako dokumentów przeszłości, w rezerwatach. Inne środki ochronne stosowane bywają tylko do roślin, którym nie zagraża kultura rolna, a więc w pierwszym rzędzie do roślinności dzikich gór, wód i bagien, wydmisk nadmorskich i innych nieużytków, a także lasów; lasy bowiem, chociaż zostające w kulturze leśnej, przez swój długi okres gospodarczy dają schronienie i ostoję roślinności zielnej. Ochrona skierowana jest prawie wyłącznie przeciw chciwej

lub nieopatrznej ręce człowieka, a polega na zakazie wyrywania z korzeniem, masowego zbierania, lub sprzedaży. Co do ochrony ustawodawczej, to ogranicza się ona dotąd z małemi wyjątkami niemal wyłącznie do ochrony roślin alpejskich, tutaj bowiem schodzą się wszystkie warunki ochrony: rośliny alpejskie są szczególnie narażone ze względu na swoje stanowisko (n. p. na skałach, gdzie niszczenie roślin prowadzi za sobą spłukanie ziemi, na której rosły), tudzież ze względu na rozwielmożnioną turystykę, czyli najazd „miłośników przyrody“, — są one szczególnie godne ochrony, gdyż przyczyniają się do uroku i charakterystyki krajobrazu, — i wreszcie ochronie ich nie stają w poprzek żadne ważne względy ekonomicznej natury. Liczne kraje alpejskie mają ustawy o ochronie roślin, i tak Szwajcarya, Bawarya, a w Austryi, Austrya niższa (Ust. z dn. 29 stycznia 1905) i Karyntya (z 14 marca 1908). Pomiędzy chronionemi roślinami, które są różne zależnie od okolicy, wszędzie powtarza się szarotka (Gnaphalium leontopodium). Dla informacyi nieświadomych turystów wywiesza się po schroniskach i hotelach tekst ustawy i kolorowe podobizny chronionych roślin.

Niebezpieczeństwa dla zwierząt wynikają tak samo przedewszystkiem z postępu kultury. Zmniejsza się przestrzeń lasów, a te, które zostają, lasy kulturalne, nie mają w sobie już samotnych, zarosłych ostępów, gdzie może się zwierz bezpiecznie ukryć, ani gęstej podszewki krzewów, ani drzew dudławych, gdzieby gnieździły się i wywodziły swe młode, ptaki. Wycięto też zarośla na nieużytkach, przy drogach, po miedzach. Uregulowane wody oczyszczono z łach pobrzeżnych i starych korycisk, płytkich, zacisznych, zarosłych; brzegi rzek nie obrastają już sitowiem i trzciną; osuszono bagna i pojezierza. A drugiem niebezpieczeństwem jest człowiek, który się mnoży, bogaci, ulepsza swoje narzędzia zniszczenia, staje się coraz łakomszym na mięso, futra i pierze, coraz bardziej nienawistnym wobec zwierząt, o których sądzi, że

w polu czy w lesie wyrządzają mu szkodę, lub też coraz bardziej dziecinnym i lekkomyślnym w zabawie bezcelowej pukaniny. Ten „łowca“ nowego pokroju to znowu szczególnego rodzaju „przyjaciel przyrody“, który z miasta wychodzi na łowy, by odetchnąć na chwilę jej pięknem i swobodą. U nas wprawdzie nie doszedł on jeszcze do tej perfekcyi, ale we Francyi strzela skowronki, we Włoszech nawet jaskółki, a w lecie nad morzem tłucze łatwy łup, ociężałe foki, lub urządza rzeź ptactwa morskiego, którego gnijące ścierwa zanieczyszczają naokół powietrze. Kultura, jej konieczności i jej niedorzeczności wytępiły już całe gatunki zwierząt, od których niegdyś roiły się ziemie i wody, inne przetrzebiły tak bardzo, że niewiele jeszcze lat takiej gospodarki, a niebyłoby już czego chronić. Zasada ochrony w tej dziedzinie nie jest już nową, ale opierała się dawniej na względach gospodarczych; chroniono przed wytępieniem albo zwierzęta łowne, albo takie, które z jakiegokolwiek względu uważano za pożyteczne. Nowy kurs zaczyna się jednak dopiero z chwilą, gdy ochrona rozciąga się i na zwierzęta nie dające ekonomicznego pożytku. Metody ochrony są rozmaite. Tworzy się rezerwaty jako próbki dawnego bogactwa fauny dzikiej przyrody, lub jako miejsce zachowania ostatnich resztek ginącego gatunku. Latające, t. j. czasowe rezerwaty łowieckie, używane są w Szwajcaryi jako ostoje mnożenia się ściganych wszędzie kozic; podobnemu celowi służą „wyspy ptasie“ na morzach północnych i „gaje ptasie“ o tworzonych sztucznie bardzo gęstych zaroślach, sprzyjających zakładaniu gniazd (system Berlepscha). Wydaje się zakazy tępienia i łowienia pewnych zwierząt, lub zakazuje się tylko niektórych sposobów łowieckich n. p. chwytania ptaków na lep lub w sieci, zabijania ryb dynamitem i t. p. Ustanawia się czasy ochronne. Dla ptaków zakłada się napowrót krzaczaste remizy, n. p. także w formie żywopłotów, zawiesza sztuczne gniazda, mające im zastąpić drzewa dudławe, a wśród śnieżnych zim poddaje się

im karmę. Rozmaitość tych środków stosuje się do rozmaitości zwierząt. Wogóle największe postępy robi ochrona ptaków. Ptak wśród wolnej przyrody jest choćby dlatego człowiekowi z pośród innych zwierząt najmilszym, że podczas gdy inne zwierzęta kryją się ostrożnie i rzadko kiedy pozwalają się widzieć, ptak się człowieka nie boi, a lot jego i śpiew staje się istotną częścią wrażeń, któremi darzy nas przyroda. Gdy przywrócenie innym zwierzętom dawnych warunków bytu byłoby często usiłowaniem daremnem, względem ptaków jest to możliwem w dość znacznym stopniu. Co do ustawodawstwa w dziedzinie ochrony zwierząt, to polega ono na zakazach tępienia, ustanawianiu czasów ochronnych i t. p.; często nowe kierunki znajdują swój wyraz w reformie dawnych ustaw łowieckich lub ustaw o ochronie zwierząt pożytecznych. W tej dziedzinie ze względu głównie na wędrowność ptaków powstały próby ustawodawstwa międzynarodowego. Galicya może się pochlubić, że stworzyła jedna z pierwszych, jeśli nie pierwsza, ustawę o całkiem nowożytnym pokroju, a mianowicie ustawę o ochronie kozic i świstaków z daty 19 lipca 1869; niestety ostatnia ustawa łowiecka nie stoi w tym względzie na wysokości czasu.

Jeden jest przedewszystkiem rys znamienny, który charakteryzuje współczesną ochronę zwierząt: oto zupełna przemiana pojęć o t. zw. zwierzętach szkodliwych. Dawniej przenosząc niejako do tej dziedziny wyobrażenia ze świata ludzkiego, uważano jedne zwierzęta za złe z natury, a inne za dobre, — jedne za szkodliwe jakoby z przeznaczenia, inne za pożyteczne. Dzisiaj, kiedy owe „zbrodnicze zwierzęta“ z wyjątkiem niektórych, już tylko w resztkach się ostały, zaczęto też patrzeć na nie pobłażliwiej, zaczęto odczuwać urok i piękno ich drapieżnej postaci. Co do szkodliwości zrozumiano, że niema zwierząt bezwzględnie szkodliwych lub pożytecznych, że szkodliwość ich lub pożyteczność jest rzeczą zmienną, zależną od miejscowych warunków życia, od pory roku, od

stopnia rozpowszechnienia i t. p. Kret czyści łąkę z pędraków i uszkadza jej darń przez kretowiska, — ptaki, które niszczą niekiedy owoc w sadach, są ich najpewniejszem zabezpieczeniem od gąsienic, — wrona łapie myszy i wyjada posiane ziarno. Twierdzą niektórzy, że nawet lis, którego tak nienawidzi myśliwy, jest w pewnych granicach użytecznym, nietylko dlatego że łapie myszy, ale że wykonuje policyę zdrowia między łowną zwierzyną. Tak jak stara tradycya rybacka widziała chętnie drapieżcę szczupaka w stawie, tak tam, gdzie lis już prawie zanika, oszczędzać go zaczyna myśliwy, dopatrując się u niego pewnych stron dobrych, może z doświadczenia, a może... z żalu za jego piękną, charakterystyczną postacią. Dziś zdarza się często słyszeć argument, nie wiem o ile słuszny, ale bardzo znamienny, że krainy podzwrotnikowe roją się równocześnie od zwierząt drapieżnych i ich ofiar, że przyroda sama przestrzega równowagi w świecie zwierzęcym. A wraz ze zmianą pojęć o szkodliwości, zmieniają się też pojęcia o wadze i znaczeniu szkód przez pewne zwierzęta wyrządzanych. Tępiciel żmij i myszy, bocian, jest podobnie jak inne zwierzęta równocześnie pożyteczny i szkodliwy, gdyż zjada niekiedy przepiórki i zajączki; zależy to od tego, co ma przeważnie do jedzenia. Ale przypuśćmy, że w pewnych warunkach jest zdecydowanym szkodnikiem, to niemniej śmiesznem jest, a nawet oburzającem, jeśli wielki właściciel, siedzący na setkach lub tysiącach morgów ziemi, nie ofiaruje paru przepiórek dla utrzymania tego ptaka, będącego na swem wysokiem gnieździe nietylko ozdobą wsi, ale pomnikiem odwiecznym tradycyi, postacią charakterystyczną i drogą naszych okolic. Ten sam wielki właściciel wyrzuci może kilkanaście setek, wartość wyżywienia kilku rodzin bocianów przez sto lat, za bronzowego bociana japońskiego, który jest stokrotnie mniej wart pod względem piękna i poetyckiego nastroju od żywego bociana na gnieździe, będącego codzienną pociechą setek ludzkich oczu. Stanowisko takie jest stano-

wiskiem restauratora dzierżawiącego polowanie dla zarobku. Prąd kulturalny umiłowania przyrody i to odmieni na lepsze, o ile nie będzie już za późno. Podobnie ma się rzecz z innemi zwierzętami szkodliwemi i drapieżnemi. W lasach państwowych wielu państw zakazano strzelać orły, sokoły, czaple, kormorany, żbiki i t. p. o ile nie rozmnożą się gdzieś nadmiernie. Dla bobrów, które w niewielu egzemplarzach się ostały, każe się nawet zostawiać drzewa nad brzegiem wody i zakazuje strzelać wydr, aby przez pomyłkę nie zastrzelić bobra. Puhacz, zdecydowany szkodnik, który był wytępiony zupełnie w Czechach, zostaje tam teraz z ogólnym poklaskiem napowrót aklimatyzowany. Że w rezerwatach Ameryki północnej i Szwecyi niedzwiedź doznaje zupełnej ochrony, to zrozumiałe. Ale daleko bardziej znamiennym jest fakt, że Niemieckie Towarzystwo łowieckie znosi strzałowe od szkodników, aby nie ulegały zbytniemu tępieniu, a ustawa pruska z najnowszej daty (1908) wylicza cały szereg ptaków uznanych dotąd za szkodniki i drapieżce, w szeregu ptaków chronionych.

* *
*

Człowiek pierwotny żył w zespole z przyrodą, stanowił z nią jedność i nie zdawał sobie sprawy jak ona mu jest drogą. Potem oddalił się od niej, zatęsknił i poczuł ku niej miłość. Zapragnął powrotu... Ale ten powrót nie jest przywróceniem stosunku pierwotnego; wytworzył on stosunek zgoła nowy.

Człowiek pierwotny żył z przyrodą i z przyrody. Stawiał swój dom jak go stawia bóbr, zaopatrywał się w łup jak ryś lub wydra, karmił się owocem i ziarnem jak ptaki, gromadził zapasy jak chomik i przerabiał je jak pszczoła. Żył z przyrody, ale jej nie niszczył. Lecz gdy rozmnożył się zbytnio i spotężniał, stał się dla niej plagą jak myszy lub szarańcza. Wtedy ujrzawszy ją odartą z wesołej zieleni, oba-

czył się i zatrzymał. Postanowił chronić ją przed własnem łupieztwem i przywrócić jej piękność i zdrowie. Ale to co osiągnąć zamierzał osiągnąć się nie da, — stan dawny minął bezpowrotnie; ten co przyjdzie, będzie zgoła czemś nowem.

Kultura wyszła z przyrody i nosiła długo na sobie jej cechy; potem zwróciła się przeciw niej. A kiedy pod nowoczesnym hasłem „ochrony" zawiera z nią znowu przymierze, to pod wpływem tego prądu odnowiona przyroda nie będzie już tem, czem była dawniej: będzie ona nieodzownie nosić na sobie cechy tworu kultury. Tylko, miejmy nadzieję, nie tej kultury filisterskiej i barbarzyńskiej, która z miłości do przyrody zrobiła sobie modną suknię, lub pojęła ją jako źródło nowych kramarskich zysków, ale kultury prawdziwej, wewnętrznej kultury ducha i serca. Hasło powrotu do przyrody, to nie hasło abdykacyi kultury, — to hasło walki kultury prawdziwej z pseudo-kulturą, — to hasło walki o najwyższe kulturalne dobra.

JAN GW. PAWLIKOWSKI.

Nowe książki.

ŻYCIE POLSKIE W DAWNYCH WIEKACH PRZEZ WŁADYSŁAWA ŁOZIŃSKIEGO (we Lwowie 1912 nakładem H. Altenberga wydanie III. uzupełnione).

Zdając sprawę z dzieła Władysława Łozińskiego, bierze się pióro do ręki, jak słusznie ktoś powiedział, zawsze z podziwem i pewną onieśmielającą czcią. Niewidzialny poza swojem muzeum, głęboki i olśniewający Łoziński jak go ktoś inny znów nazwał, to jeden z najprzedniejszych w Polsce stylistów, a każda rzecz jego to prawdziwe arcydzieło odznaczające się niepowszednią znajomością historyi sztuki i zabytków przeszłości. Nikt może bardziej nie jest kompetentnym do oddania „życia polskiego“ nad szanownego autora, który posiadając przebogate muzeum własne, umie jak nikt inny wyczuć ze zczerniałych aktów i wyblakłych pergaminów tętno tego życia w przeszłości, w wiekach minionych; a zabytki przez szereg lat wśród trudnych i mozolnych zabiegów gromadzone, tworzą jego dziełu właściwe tło. Z suchych, bezbarwnych zapisków archiwalnych powstały poprzednio tak bardzo żywe a bajecznie kolorowe opisy patrycyatu i mieszczaństwa lwowskiego, potem studyum obyczajowe „Prawem i lewem.“ Do ich liczby przybywa obecnie znacznie pomnożone i ilustrowane trzecie wydanie „Życia polskiego“. Przez cztery rozdziały przykuwają uwagę czytelnika przesuwające się jak w cudnym kalejdoskopie obrazy pałaców i zamków magnackich, dworów i dworków szlacheckich, obrazy iście wschodniego przepychu jakim błyszczały ubiory i odznaczały się splendory — nie mniej obrazy życia rodzinnego, sejmikowego, zajazdów czy „kwereli.“

W części pierwszej podziwiamy między innemi zamki w Baranowie, Krasiczynie, Brzeżanach czy Gołuchowie, ich loggie i ganki pokryte niejednokrotnie miedzią w ogniu złoconą; przychodzi na pamięć ten zbytek w życiu ówczesnem, który tak bardzo obcym imponował a sprowadzał do Polski zagranicznych mistrzów idących z sobą w zawody w artystycznem dekorowaniu ścian, sal i pułapów nowo powstałych gmachów.



J. B. LE PRINCE — Monachium, Pinakoteka

LAMUS



STAROPOLSKI KOBIERZEC Monachium

LAMUS

Wewnętrzne urządzenie wielu z tych zamków i pałaców jak podaje autor, to istne skarbce zawierające prócz kosztownych sprzętów zagranicznych, bezmiar kutego srebra; w on czas nie mniej drogich i poszukiwanych „farfurów", lub kryształów weneckich. Idąc dalej za szanownym autorem żal ściska serce że skarby sztuki tej miary co płótna Rafaela, Tycyana, Ribery czy Bassana z zamków i pałaców np. Lubomirskich w Wiśniczu, zamku żółkiewskiego lub „Kunsztkamery" ks. Krzysztofa Radziwiłła nie zachowały się do dni naszych, na świadectwo wysokiego poczucia piękna Polski XVII w. a znawstwa poszczególnych zbieraczy tej epoki. Muzea sztuki Puław, Tulczyna, Podhorzec, Nieświeża lub Branickich w Białymstoku zebrane w ciągu wieku XVIII świadczą nie mniej chlubnie o zmyśle artystycznym ich właścicieli. W rozdziale drugim przy opisie dworów i dworków spotykamy także zdanie Ulryka Werdum, który w opisie swej podróży po Polsce (1670—2) zachwyca się niejednokrotnie ich okazałością. Dwory i dworki nie mając wybitnej cechy wspólnego stylu architektonicznego, z przybudówek zbite, na które wieki i generacye się składały, kryją przy skromnem na ogół urządzeniu wewnętrznem, nieprawdopodobną niejednokrotnie mnogość szpalerów, makat oraz cennych kobierców. Czytamy że po śmierci Piotra Ożgi (1623), który nie zaliczał się do magnatów pozostało 288 sztuk makat i kobierców. Między ostatnimi prym trzymały zawsze jedwabne, tkane na złotolitem tle, dziś ogólnie „staropolskimi" zwane. Nazwa ta istnieje od roku 1878 tj. od czasu wystawy paryskiej, na której ks. Władysław Czartoryski dwa egzemplarze takich dywanów wystawił i świat uczonych niemi zadziwił. W ornamentacyi chciano się wówczas doczytać litery M rzekomo marki fabrycznej Mażarskiego w Słucku, stąd ich ogólnie dziś przyjęte miano. Co się tyczy ich faktycznego pochodzenia, szanowny autor odnosi je niewątpliwie do warstatów perskich, Bode uważa za wyroby małej Azyi a uczony konserwator Louvru Gaston Migeon zaznaczając że spotyka się je głównie w Polsce, Turcyi, Rosyi i na Węgrzech, byłby skłonny uważać je również za wyroby małoazyatyckie lub Konstantynopola, gdzie w tej epoce tkaniny aksamitno jedwabne na złotolitem tle były bardzo wydoskonalone. Za Małą Azyą mógłby przemawiać znany skąd inąd fakt, że papież Urban VIII otrzymał od sułtana w darze kilka takich kobierców, które stanowiły niepoślednią ozdobę i chlubę pałacu nepotów papieskich. W „życiu polskiem" znajdujemy między licznemi a ciekawemi illustracyami i reprodukcyę charakterystycznego rysunkiem kobierca tego rodzaju. Wolałbym był jednak widzieć w tem pomnikowem dziele jako wzór „staropolskiego" kobierca, podobiznę jednego z dwu tego rodzaju dywanów przechowanych w królewskiej rezydencyi w Monachium, gdzie orzeł polski ze snopkiem Wazów na piersiach, stanowi ornament środkowy (tablica). Dalszą część tego rozdziału zajmuje nad wyraz ciekawy i barwny opis życia codziennego, stosunków ekonomicznych i społecznych. Następny rozdział, trzeci, poświęcony ubiorom i splendorom wprowadza nas w tajniki stroju a olśniewa bogactwem futer, złotogłowiów, klejnotów i pereł. Mała stosunkowo liczba zachowanych źródeł współczesnych tj. portretów i rycin kostiumowych, co szanowny

autor zaznacza, jest ogromnem utrudnieniem w badaniu szczegółów i odmian, czy to kontusza, delii, ferezyi, żupana, bramki, chomli lub toczenicy w stroju kobiecym. Prócz wspomnianych obrazów Rubensa, Velasqueza, Rembrandta, a reprodukowanych bardzo ciekawych płócien Ghislanda Vittore z galeryi w Bergamo, „sekretnej missyi“ M. Burmana ze zbiorów autora, byłyby może niejeden jeszcze szczegół zilustrowały „pułkownik polski“ Teniersa z katalogu aukcyjnego Mullera w Amsterdamie, kontuszowy obraz „miłość zakazana“ (tablica) J. B. Le Prince'a z monachijskiej pinakoteki, lub duży obraz D. Schulza przedstawiający polską rodzinę magnacką w otoczeniu służby reprodukowany zeszłego roku w „Tygodniku Ill.“, przechowany w Petersburgu. Płótno Le Prince'a z roku 1774 należy przypisać wspomnieniom z pobytu w Rosyi (1758—1763), dlatego nie wszystkie szczegóły np. karabela są wierne. Specyalnie zaś duże płótno gdańszczanina Schulza z roku 1654 zachowane w Carskiem Siole, o którem hr. Wrangell z przesadnym może zachwytem się wyraża, zawierające mnóstwo szczegółów do historyi kostyumu polskiego z XVII w., a będące równocześnie dziełem sztuki „di primo cartello“ Polaka-gdańszczanina zasługiwało na umieszczenie. Z rozdziału tego poznajemy także strój kobiet, mało znane forboty, bryzy o giełzach z nadołkami bogato haftowanemi iście cuda mrówczej pracy i cierpliwości matron polskich. Hafciarstwo stało na wysokim stopniu doskonałości a ościenne kraje np. Anglia brały wzory do swych haftowanych strojów także od nas, o czem wspomina znany poeta epoki Stuartów John Taylor nadmieniając, że wzory te zbierano:

„... with much praise and industrie
„from scorching Spaine and freezing Muscovie
„from fertil France and pleasant Italie
„from Poland...“

Do stroju należała, część jego integralną stanowiąc, broń użytkowa i ozdobna. Cenna, wyborowa, z przepychem oprawna lub artystycznie kuta broń i zbroja zapełniała zamki, pałace, dwory i dworki stanowiąc zawsze u magnata, karmazyna czy szaraczka najcenniejszy może „statek.“ Gromadząc je z wykwintnem znawstwem w swem bogatem muzeum poświęcił autor szerszy ustęp broni i zbroi. Długoletnie studya w tym kierunku, że wspomnę tylko pracę Wł. Ł. drukowaną w roku 1873 w przewodniku naukowo literackim o zbrojowni muzeum ks. Lubomirskich, sprawiają że chcąc znać broń i zbroję polską można się o nich uczyć jedynie z „Życia polskiego“.

Ostatni rozdział tej książki „dom i świat“ przedstawia obraz etycznej siły rodzinnej, dzielności i poświęcenia kobiety, a zarazem charakterystycznej buty szlacheckiej, nieokiełzanej fantazyi, przesadnej gościnności, nieraz wysokiego wykształcenia u poszczególnych jednostek, które wzbudzały w Europie uznanie, podziw, poklask i... zdumienie. Przeszłość nasza cała nie ma dla autora tajemnic, to zamierzchłe „wczoraj“ zdaje się „dziś“ ożyło w barwnych obrazach skreślo-

nych górnie, tak jak je mógł podać tylko i jedynie pisarz i uczony tej miary co Władysław Łoziński.

Dzieło wydano z niezwykłym na nasze stosunki przepychem, bogato ilustrowane reprodukując przeważnie niepublikowane dotąd, a niezwykłe zabytki i dzieła sztuki.

KAZIMIERZ PRZYBYSŁAWSKI.

NADESŁANE DO REDAKCYI.

Leon Piniński: Pod wrażeniem „Rozmyślań" Marka Aurelego. (Skład główny w księgarni H. Altenberga. Kraków 1911).

Czterdzieści Pieśni Rigwedy. Z indyjskiego przełożył: Stanisław Fr. Michalski. (Wyd. „Ultima Thule". Warszawa-Kraków 1912).

Jerzy Żuławski: Gród Słońca. (Baśń dramatyczna w trzech aktach. Towarzystwo Wydawnicze. Lwów 1911.

Bronisław Minkowicz Wysoczański: Wyklęci (tryptyk dramatyczny). (H. Altenberg. Lwów 1912).

Stanisław Miłaszewski: Gest wewnętrzny (poezye). (Skład główny Gebethner i Wolf 1911). *Bez wątpienia jeden z najzdolniejszych autorów ostatniej chwili. Wybija się z pomiędzy innych głębszą myślą, poprawną formą i kulturą artystyczną, ma jednak pewne zacięcie manieryczne i rys dekadentyzmu, w którym więcej refleksyi nad życiem, niż życia, zresztą to co nam się wydaje starem, może być tylko przejściową manierą młodości.*

Adam Pogonowski: Nastroje wierszem i prozą. (Lwów. Zienkowicz i Chęciński 1912).

Jan Szymański: Poezye (Gebethner i Sp. Kraków 1912). *Nieuczone w formie ale proste, szczere i miłe.*

Ferdynand Kuraś: Tatarzy w Sandomierzu. (Dwie legendy wierszem opowiedziane). (Kraków 1912).

Józef Jedlicz: Nieznanemu Bogu (poezye). Warszawa 1912. J. Mortkowicz.

Bronisław Dembiński: Krasiński a chwila dziejowa. (Poznań 1912). (Odbitka z Dziennika Poznańskiego).

T. W. Rhys Davids: Buddyzm (zarys życia i nauk Gotamy Buddhy). Z dwudziestego wyd. or. przeł. St. Fr. Michalski. (Wyd. „Ultima Thule" Warszawa 1912).

Eurypides: Medea — przełożył Bogusław Butrymowicz. (Feliks West Brody 1913).

Maryla Czerkawska: Z listów do niego. (Warszawa 1912).

Humor w literaturze europejskiej — ułożyła Wanda Bruner, ilustrowane. (H. Altenberg, Sp. z ogr. odp. Lwów, E. Wende i Sp. Warszawa).

Aleksander hr. Wodzicki: Osiemset kilometrów w Afryce środkowej — wyprawa myśliwska z ośmdziesięciu rycinami. (Nakł. H. Altenberga, Sp. z ogr. odp. Lwów). *Bardzo interesująca książka polska, mogąca doskonale zastąpić analogiczne dzieło Roosevelta i inne obce wydawnictwa.*

Tadeusz Ulanowski: Summa summarum.

Leon Piniński: Piękno miast i zabytki przeszłości. (Nakładem księgarni H. Altenberga, Sp. z ogr. odp. Lwów 1912). 55 ilustracyi. *Pierwsze poważne zdania wypowiedziane po polsku w kierunku, który za granicą obejmuje już ogromne rozmiary. Przypomnimy tu jeszcze książkę Ewy Łuskiny p. t. „W obronie piękności kraju". Daj Boże, aby poważne te początki przyczyniły się do wyrugowania barbarzyństwa i do powszechnego zrozumienia wartości charakteru polskiego pejzażu i polskiego miasta. Zwracamy też uwagę na artykuł dr. J. Gw. Pawlikowskiego w bieżącym tomie Lamusa p. t. „Kultura a natura".*

Ladislaus Podlacha: Abendländische Einflüsse in den Wandmalereien der griechisch-orientalischen Kirchen in der Bukowina. (Abdruck aus der „Zeitschrift für christliche Kunst. Düsseldorf 1911).

Atti del Congresso Artistico Internationale. (Roma 1911 Tipografia del Senato).

Paul Claudel: L'Otage, drame (Edit. de la Nouvelle Revue Française Paris).

Pierre Hamp: Le Rail, la peine des hommes (Edit. de la Nouvelle Revue Française. Paris).

Henri Ghéon: Le Pain tragédie populaire en 4 actes & 5 tableaux (Edit. de la Nouvelle Revue Française. Paris).

Jean Schlumberger: L'iquiete paternité (Edit. de la Nouvelle Revue Française. Paris).

Pierre Hamp: Vieille histoire, contes ecrits dans le Nord. (Edit. de la Nouvelle Revue Française. Paris).

Część druga. — Wczoraj.

Adam Mickiewicz do Juliusza Melegari.

Od hr. Juliusza Melegari, ambasadora włoskiego w Petersburgu, któremu na tem miejscu składamy za to najgorętsze podziękowanie, otrzymaliśmy tekst dwu znamiennych, nieznanych dotąd listów Mickiewicza, z następującą notatką: „Mon père Louis Amédée Melegari, compromis dans les mouvements insurrectionnels de Parme en 1831, s'était refugié d'abord en France et ensuite en Suisse ou il obtint une chaise de droit international à l'Académie de Lausanne. Il avait été obligé de changer de nom et avait pris celui de Thomas Emmery. C'est à Lausanne qu'il se lia avec Adam Mickiewicz. — Mon père rentra en Italie en 1848 et fut tour à tour Conseiller d'Etat, Ministre Plénipotentiaire, Ministre des Affaires Etrangères (1876—1878) et Ministre d'Etat. Il est mort en 1881. — G. Melegari Ospedaletti 25. Avril 1912".

I. (MONSIEUR THOMAS EMMERY A LAUSSANNE) (1840).

Je me suis débarrassé de mon discours, mio caro. J'ai eu ce qu'on appelle ici un succès d'estime, c'est à dire un succès médiocre. La leçon était bien preparée et bien bâtie, mais mon débit avait quelque chose de froid. Je n'ai pas

Zbyłem się mojej prelekcyi, mio caro. Zyskałem to co nazywają tu „succès d'estime", to znaczy powodzenie nieszczególne. Lekcya była dobrze przygotowana i dobrze zbudowana, ale mój wykład miał w sobie coś chłodnego.

ressenti aucune de ces terreurs qui m'agitaient à Lausanne, expliquez cela si vous pouvez. J'ai été ces jours, chagrin, maussade et orgueilleux. Je n'ai pas adressé un seul mot de remerciement ni de politesse quelconque au gouvernement ni à la France. On a trouvé cela très étrange et très adroit. Expliquez-moi ceci. Mes collègues du Collège ont été contents du discours et ma position se trouve améliorée vis à vis du ministère et du Collège.

Et vous mon ami pourquoi ne me dites-vous rien? Ecrivez moi un mot. Donnez moi des nouvelles des Oliviers. Zundel m'a promis de venir me voir avant de partir, je ne sais si il est encore à Paris J'ai une lettre pour M. Olivier et un petit paquet pour Corradino mais je ne vais plus attendre ce diable de Zundel.

D'après votre dernière lettre je vois que vous n'êtes pas bien avec l'académie. Ne vous laissez pas emporter par votre mauvaise humeur et tâchez d'être un peu moins orgueilleux, car tu as un peu

Nie odczuwałem żadnego z tych lęków, które mnie niepokoiły w Lozannie, wytłómacz mi Pan to, jeśli potrafisz. Byłem w tych dniach zgryźliwy, zły i zarozumiały. Nie zdobyłem się na jedno słowo podziękowania, czy uprzejmości wobec rządu lub Francyi. Uważają to za nader osobliwe i nader zręczne. Niechże mi Pan to wytłómaczy. Koledzy moi z kolegium zadowoleni byli z wykładu i stanowisko moje wobec ministeryum i kolegium polepszyło się.

A Pan, dlaczego mi nic nie powiesz, mój przyjacielu? Proszę mi słówko napisać. Proszę o wiadomość o Olivierach. Zundel przyrzekł odwiedzić mnie przed wyjazdem, niewiem czy jest jeszcze w Paryżu. Mam list dla P. Oliviera i mały pakiecik dla Corradina ale już nie będę czekać na tego przeklętego Zundla.

Z Pańskiego ostatniego listu widzę, że Pan nie jest w dobrych stosunkach z akademią. Niech się Pan nie daje unosić swemu złemu humorowi i stara się być trochę mniej pyszny, bo masz trochę

trop d'orgueil, mio caro, ce que je te pardonne en ta qualité d'ancien gouvernement, je voulais dire de ci-devant gouvernement. Donnez votre cours et ne vous inquiètez pas du reste. Le bon Dieu fera le reste. Quoique je ne sois pas très puissant ici je trouverai l'occasion de te servir. Tu n'as pas d'idée comme tu me manques. Ta conversation me ranimait souvent et déliait ma langue. J'ai eu ces jours-ci de grandes peines, ma femme ne se portait pas bien. Elle est déjà rétablie. Le petit Ladis est presque tout à fait bien. Avez-vous expédié le piano?

Votre

ADAM MICKIEWICZ

za wiele pychy, mio caro, co ci zresztą odpuszczam jako człowiekowi w stylu dawnego rządu, a raczej minionego rządu. Niech Pan wykłada dalej, a o resztę się nie troszczy. Pan Bóg zajmie się już resztą. Chociaż nie jestem tu bardzo wpływowy, jednak znajdę sposobność aby ci się przysłużyć. Niemasz wyobrażenia, jak mi ciebie brakuje. Rozmowa z tobą pokrzepiała mnie często i rozwiązywała mi język. Miałem w ostatnich dniach ciężkie troski, moja żona zaniemogła. Już jest jednak dobrze. Mały Władzio już jest prawie całkiem zdrów. Czyś Pan wysłał fortepian?

Twój

ADAM MICKIEWICZ

II. (MONSIEUR MELEGARI, PROFESSEUR A L'ACADEMIE DE LAUSANNE, REMETTRE A M. SCOVAZZI).

Mon cher Monsieur

Je n'irai pas cette année en Suisse. Je vous remercie pour l'offre que vous me faites de votre logement. Je ne l'aurais accepté qu'à condition d'y retrouver le même accueil que vous m'y avez fait tant

Kochany Panie!

Nie pojadę tego roku do Szwajcaryi. Dziękuję za ofiarowanie mi u siebie gościny. Nie mógłbym z niej korzystać, chyba pod warunkiem, że doznam takiego samego przyjęcia, jakie spotykało mnie

de fois lors de mon séjour à Lausanne. Votre billet m'a affligé. Vous ne me dites rien sur votre position, vos travaux, vos projets (j'ai entendu parler de votre mariage) rien de votre état moral, rien de ce qui pourrait intéresser un ami. Comme si nous n'avions d'autres rapports que ceux de politesse. J'ai eu une autre idée de ces rapports. Comme je n'attribue rien au hasard, j'ai cru et je persiste à croire que dans la liaison que nous avions formée à Lausanne il y avait quelque chose de providentiel pour nous deux. Nous étions tous les deux fils de nations malheureuses, proscrits, orphelins et forcés à ne chercher qu'en nous mêmes notre point d'appui. J'ai reconnu en vous une âme foncièrement bonne et un coeur sympathique, c'est le caractère des Italiens mais vous avez sur vos compatriotes l'avantage d'avoir vécu longtemps dans la solitude et dans des privations. Une telle vie nous concentre et nous oblige à creuser notre intérieur jusqu'à cette profondeur où l'on découvre Dieu. Ce tra-

tyle razy podczas pobytu mego w Lozannie. Bilet Pański mnie zmartwił. Nic mi Pan nie wspomina o swojem położeniu, nic o swoich pracach i zamiarach (mówiono mi o Pańskim ślubie), nic o swoim nastroju duchowym, nic z tego coby mogło obejść przyjaciela. Tak jakby nas nic wzajem nie łączyło ponad uprzejmość. Inne miałem wyobrażenie o naszym stosunku. Jako że niczego nie przypisuję przypadkowi, wierzyłem i przecież wierzę, że w związku, jakiśmy zawarli w Lozannie było coś opatrznościowego dla nas obu. Obydwaj synowie narodów nieszczęśliwych, wygnani, sierocy, musieliśmy szukać w sobie tylko jakiegoś punktu oparcia. Poznałem w Panu duszę głęboko zacną i dobre serce, jakie są Włochom właściwe, ale masz Pan nad swymi ziomkami tę przewagę, żeś żył długo w samotności i niedostatku. Życie takie uczy nas skupienia i zmusza do grzebania we własnem wnętrzu, aż do tych głębokości, gdzie się odkrywa Boga. Ta praca wewnętrzna jest tem, czego naj-

vail intérieur est ce qui manque le plus à l'Italie actuelle. Il a fallu dix ans de chaîne à Pellico pour lui faire sentir Dieu. Et cependant tôt ou tard l'Italie sera appelée à faire ce travail, à reconnaitre qu'il y a eu dedans de la théorie d'une religion enseignée, une religion révélée qui n'est que la communication réelle et immédiate avec l'esprit de Dieu. Je pense que ceux qui ont fait les premiers l'apprentissage du malheur doivent servir de guide à ceux qui entre dans l'expériance de la vie. J'ai toujours cru que vous etiez un de ces hommes que Dieu met à part pour les employer un jour au service des nations. Vous me paraissiez avoir les mêmes sentiments.

Quant à moi vous savez que toutes mes espérances spirituelles se sont trouvées accomplies par un fait miraculeux il est vrai mais qui n'a pour moi rien d'étonnant. De ce moment mon but sur la terre s'est trouvé fixé et mon chemin tracé d'avance.

J'ignore, mon cher collègue, quelles sont vos idées

bardziej brak dzisiejszej Italii. Pellico potrzebował dziesięciu lat kajdan do poczucia Boga. A przecież prędzej czy później Włochy będą powołane do tego zadania, do sprawdzenia, że w treści dogmatu pewnej religii nauczanej tai się religia objawiona, która jest niczem innem jak istotnem, bezpośredniem obcowaniem z duchem bożym. Mniemam, że ci, którym się pierwszym dało we znaki nieszczęście, powinni być przewodnikami tych, którzy wchodzą dopiero w doświadczenie życia. Zawsze wierzyłem, żeś Pan jest jednym z tych, których Bóg odkłada na bok, aby ich kiedyś użyć do sprawy narodów. Zdało mi się, że żywisz Pan podobne uczucia.

Co do mnie wiesz Pan, że wszystkie me duchowe nadzieje spełniły się przez rzecz nadprzyrodzoną wprawdzie, ale w której dla mnie niema nic dziwnego. Od tej chwili ustalił się cel mój na ziemi, a droga została wytknięta.

Niewiem nic, kochany kolego, jakie są teraz twoje prze-

sur les questions que nous avons si souvent débattues entre nous et que nous sommes appelés à résoudre. Je ne sais comment vous concevez votre position actuelle et ce que vous vous proposez pour l'avenir, de quelle manière enfin vous comprenez vos devoirs d'homme et d'Italien. Si vous regardez votre position actuelle morale et politique comme définitive il est naturel que vous ne pouviez plus avoir pour moi les mêmes sentiments que vous aviez autrefois car vous vous croyez dans un état de vie normal et moi je continue à être proscrit, orphelin et solitaire.

Soyez assuré de ma sincère sympathie pour vous

ADAM MICKIEWICZ

rue d'Amsterdam
12. Septembre.

konania w sprawach, któreśmy tak często roztrząsali i do których rozstrzygnięcia powołani jesteśmy. Nie wiem jak się Pan zapatrujesz na swe obecne położenie i co Pan zamierzasz na przyszłość, jak Pan wreszcie pojmuje swoje obowiązki człowieka i Włocha. Jeśli Pan uważa stan swój obecny moralny i polityczny za ostatni cel dążeń, rzecz jasna, że Pan niemoże żywić dla mnie tych samych uczuć co dawniej, bo uważasz stan swego życia za normalny, a ja w dalszym ciągu jestem wygnańcem i samotnym sierotą.

Proszę przyjąć zapewnienie mej szczerej sympatyi

ADAM MICKIEWICZ

rue d'Amsterdam
12. Września.



D. CHODOWIECKI DEL.

Własność Biblioteki im.
Gwalb. Pawlikowskiego

Historya Ortobana.

Elżbieta Drużbacka (około 1695 do 1765) słynęła w w. XVIII., przed okresem Konarskiego i odrodzeniem Stanisławowskiem. Miała ona znakomitą wyższość nad wszystkimi niemal pisarzami pierwszej połowy XVIII. w. (wyjąwszy może Stanisława Herakliusza Lubomirskiego), mianowicie pisała czystym niemakaronicznym językiem polskim, co zawdzięczała zresztą kobiecej nieznajomości łaciny.

Pisma jej za życia wydane stanowiły dość obszerny tom w zbiorowem wydawnictwie biskupa Józefa Jędrzeja Załuskiego p. t. Zebranie rytmów wierszopisów żyjących, lub naszego wieku zmarłych pisanych (1752). Wydanie to w całości (zmieniwszy nieco układ) przedrukował Bobrowicz w Lipsku w r. 1837, pod redakcyą Ant. Edw. Odyńca.

Po śmierci autorki, w r. 1769, wydaną została w Poznaniu: Historya chrześcijańska księżniczki Elefantyny Eufraty, dotychczas nie przedrukowana.

Również po śmierci E. Drużbackiej, wielki jej przyjaciel, Ignacy Krasicki w Zabawach przyjemnych i pożytecznych (1776) ogłosił szereg jej utworów pośmiertnych, między innemi powiastkę p. t. Cefal i Prokrys. — W r. 1848 wydano we Lwowie jej książeczkę: Do moich rodaków.

Po Elżbiecie Drużbackiej pozostało nadto, wiele rękopisów. Rękopisy często są jednorodne, na kilka rąk kopiowane, co świadczy o wielkiej popularności autorki. Tak n. p. biblioteka Ossolińskich we Lwowie posiada trzy jednobrzmiące odpisy jej powieści pt. Przykładne... z wiernej i statecznej przyjaźni... małżeństwo.

Wiele rękopisów znajduje się w Suchej, a w Warszawie biblioteka

Krasińskich posiada obszerny rękopis in folio, zawierający blizko 10.000 wierszy liryki, oraz powieść p. t. Historya Ortobana.

Piszący te słowa przed sześciu — siedmiu laty zajął się zbieraniem pism nieznanych tej zasłużonej poetki. — Weszły tu przedewszystkiem rękopisy z bibl. Krasińskich i bibl. Ossolińskich, a także kopia Historyi Eufraty, z druku przepisana. Nadto drobniejsze utwory, luźnie rozsypane.

Czysto kobiecy, przytem rodzimy temperament Drużbackiej nadaje tej autorce wybitne w swoim czasie stanowisko. Rozumie ona fatalne położenie kraju, jest zwolenniczką reform, wrogiem ciemnoty i przesądów, wysławia naukę oraz jej propagatora biskupa J. J. Załuskiego; zarazem jednak nie lubi nowinek zamorskich, farmazonów, deistów i t. d. Rousseau każe jej podnosić życie pierwotne, sielskie, niezepsute kulturą. Tam widzi ona panowanie czystości, fantazyi i uczucia i pod tym względem można ją nazwać poniekąd romantyczką.

Słowem E. Drużbacka jest osobistością nad wyraz interesującą. Pominiemy tu jej utwory opisowe, satyryczne, allegoryczne — i zaznaczymy tylko, że można ją uważać za pierwszą niemal powieściopisarkę polską. Powieści zresztą w owym czasie pisano głównie wierszem.

Za życia autorki wyszły krótsze i dłuższe jej powieści, jak Życie Świętego Dawida, Pokuta św. Maryi Egipcyanki, Pokuta św. Maryi Magdaleny i i., oraz najsłynniejsza Fabuła o księciu Adolfie, dziedzicu Roksolanii.

Po śmierci wyszły: Historya Eufraty, a nadto Cefal i Prokrys.

W rękopisie pozostały: Przykładne... małżeństwo oraz Historya Ortobana.

O tej Historyi w r. 1869 parę słów pisał w Kronice Rodzinnej Władysław Chomętowski; pozatem utwór całkowicie nieznany.

Dajemy więc czytelnikom naszym rzecz z pyłu niesłusznego zapomnienia odkopaną i wydobytą.

Jest to powieść wcale niepodobna do powieści dzisiejszych — i, jak sądzę, na tem właśnie urok jej polega. Styl barokowy XVII XVIII w. daje nam wrażenie szczególnej romantyki przedstanisławowskiej. Mało realny, a przecież na swój sposób prawdziwy świat Drużbackiej, niby świat] Astrei Honoryusza d' Urfé — budzi w nas obrazy jakiejś epoki dalekiej, a pełnej specyficznego czaru.

Styl nierówny — czasami energiczny czasami znów jakby bezwładny — świadczy o niejednolitości natchnienia poetki, która zresztą ma zawsze na widoku pewną naukę moralną, tryumf cnoty i pobożności nad

grzechem i złościwością. Pozatem, choć sprawa się odbywa w jakichś nieokreślonych krainach północnych i południowych — to jednak mamy tu liczne alluzye do stosunków warszawskich, pierwszej połowy XVIII w., n. p. do głośnego podówczas pojedynku Tarły z K. Poniatowskim (autorka zamiast gdyby co natarło pisze gdyby co na-Tarło). Nadto występuje tu tajemnicze miasto Szarwawa, anagram niezbyt trudny do rozwiązania.

Zanim ogłosimy wielki zbiór liryk oraz powieść Drużbackiej Przykładne... małżeństwo, których odpis posiadamy — dajemy tymczasem Historyę Ortobana tej zacnej i dowcipnej autorki.

A. L.

HISTORYA ORTOBANA.

Osoby wchodzące do tej historyi.

1. Ortoban, książę-wódz najwyższy krajów północnych, ojciec Teolidy.
2. Aurelian hrabia, kochający Teolidę.
3. Teolida, córka księcia Ortobana.
4. Litawer książę, ojciec Lucydona.
5. Lucydon, mąż Teolidy.
6. Akwilla, guwernantka i przyjaciółka Teolidy.
7. Edyssa, wierna sługa Teolidy.

ORTOBAN KSIĄŻĘ I WÓDZ NAJWYŻSZY, WOJSK MONARCHII PÓŁNOCNEJ, — CÓRKA JEGO IMIENIEM TEOLIDA, PRZYJACIÓŁKA JEJ AKWILLA. — AWANTUR JEJ KSIĘŻNICZKI OPISANIE.

Świat, wszelkich odmian fortun zwać się może kasą,
Na nim różnych gatunków troski ludzi pasą,
Kogo spytasz, czy w życiu zupełnie szczęśliwy
Czy jemu kto, on komu przyjaciel prawdziwy.

Odpowie mi tu każdy, o nic tak nie trudno,
Jako o szczerą przyjaźń, chociaż wszędzie ludno.
    Ja chcę być przyjacielem, otwieram myśl szczerze
    Przed bliźnim, a jam sekret wynurzył przecherze.
Mam żonę, albo żona męża, któżby trzymał
Żem zamiast przyjaciela, tatara poimał.
    Często się rwą spojone związkiem ślubów wstęgi
    Nie jedwabne, bo twarde znosić trzeba cięgi.
Mam dzieci, mam nadzieję, gdy z pieluch wywite
Pociechy swym rodzicom przyniosą obfite.
    Zawód na słodkim frukcie, gorzkie upominki
    Mając córki wykwintne, nie posłuszne synki.
Mam honor, mam fortunę, a jednak się troszczę
Kto ma więcej nademnie, w cichości zazdroszczę.
    Miałem, alem przeszumiał nie wczas się frasuję
    Gdy ze złych rządów moich, świat jawnie żartuje.
Mam zacność urodzenia, koligatów grono
Kiedym w dzień bywał jasny, jaśnie mi świecono.
    Skoro chmura burzliwej nastąpiła szargi,
    Ciż sami wchodzą ze mną w obrotów zatargi.
Na koniec mam urodę, kształtnym, nie kalika,
Bojaźń z chorób przypadków na wskróś mię przenika.
    Że twarz gładką, poorzą ospy, trądy, wrzody,
    Znaku nie masz piękności, która była wprzódy.
Toć taką rzeczą nie mam, po co się zawodzić.
Z pracą mej ciekawości, świat w koło obchodzić,
    Kiedy i tu ktokolwiek ze mną o tem gada,
    Z różnych miar, nie zupełne szczęście opowiada.

T e o l i d a gdy z królów aragońskich rodu,
Z książęcej krwi rodziców urodzona płodu,
    Ledwo co żyć zaczęła, już jest nieszczęśliwa,
    Nie zna co świat, kiedy jej matkę śmierć porywa.

Oddana za zamknięcie, nic nie będąc winną
Prócz że się niewinnością rządziła dziecinną.
    Kilkuletnią pokutą, bez grzechu karana,
    Szczupłą potraw porcyą, była traktowana.
Skromność, cierpliwość, wzorem innym w tym klasztorze.
Nabożeństwo poranne, przy wschodzącej zorze.
    Posłuszna swej mistrzyni, jak w nowicyacie
    Bez niej choć ją proszono nie zbliży ku kracie.
Rośnie w piękność i cnoty, białość płci: lilia,
Lub narcyz, kiedy się wśród połednia rozwija.
    Nad lata wzrost przewyższa rozum, starych wstydzi,
    Kto z nią mówi, chwałę da, a kocha kto widzi.
Jakoż hrabia Aureli, miał swoją pokrewną,
W tym klasztorze, oraz jej powiedzieć rzecz pewną.
    Gdy Teolidę w forcie zoczył z jej mistrzynią,
    Zapomniał, po co przyszedł, wzrok wlepił w boginią,
Mniemaną, jak ją sądził, czyli to na jawie,
Piękne widzę stworzenie, proszę niech się bawię.
    Siostro moja w tym, com tu w szczęścia wynalazku,
    Zyskał, gust oczu ulgnął, cudownym obrazku.
Powiedz kto jest ta dama, klasztor wasz zaszczytu
Wiele by miał, lecz kto ją wpędza do habitu,
    Tyran jest, do zakonów, garbate, kulawe,
    Ślepe, przy ziemi ledwo uznać ich postawę.
Z gniewem mniszka odpowie: kogoż hrabio łajesz,
Jeszcześ nie upiekł, a już obracając krajesz.
    Nie czekasz, ażebym ci na twoje pytanie
    Dostateczną wiadomość, o tej damy stanie
Uczyniła, tyranem zowiesz tego, kto tu
Tę piękną pannę oddał, nie miał z nią kłopotu
    W domu swoim, tylko z tej jedynej przyczyny:
    Straciwszy ojciec żonę, płaczącej dzieciny
Słuchać nie mógł i dla jej wchowaniu wygodnym
Uczcił nasz klasztor córką, uznawszy go godnym;

A my jak w oku strzeżem źrenic, tak tej damy
Zdrowia, oraz najmniejszej na honorze plamy.
Jest księżniczką, jest córką najwyższego wodza
Wojsk krain północnego, gdzie zima obrodza
Zwierzęta w drogie futra, gdzie śniegi i lody
Długo trwają, a późno zielenią ogrody.
Póty masz wiadomości hrabio, a od pory
Tej, nie obmawiaj więcej zakonnic klasztory.
Ślepa, chroma, jak mówisz, ułomna, garbata,
W większej cenie u Boga, niż piękna u świata.
W tem ojciec Teolidy opłonąwszy trochę
Z żalu po żonie, przybrał swej córze macochę,
Zacną, bogatą, młodą, która go kochała,
A piękną pasierbicę, kochać zapomniała.
Sprzykrzyła się księżniczce, tak dawna klauzura
Do mitry, nie do welum, ciągnie ją natura.
Prosi ojca, ażeby świat poznała, kiedy
Otrząsnęła z klasztornych prochów różne biedy.
Zna to książe, że córkę wydobyć z więzienia
Sam czas każe, wielekroć zaczyna proszenia
Żony swojej, żeby się pokazała matką
Tej co w zamknięciu siedzi, ogrodzona klatką.
Ale na proźby męża, młoda pani głucha,
Jedno ucho nadstawia, drugiem za żart słucha.
Przecież nie śmie powiedzieć, że mnie oczy bolą
Patrzeć na pasierbicę, która w nich jest solą.
Obiecuje, a z zwłoką obietnicę zbywa
Mówiąc: czegoż mój książę, panna się wyrywa
Z klasztornego ćwiczenia? Znak to jej uporu,
Pewnie chętka napada bywania u dworu
Królewskiego, na maskach, operach, reducie,
Zważ co się to tam dzieje, a dopiero tu cię
Sprawiedliwy wstręt przejmie, niech jeszcze panience
Na chwale Boga rosną, przed ołtarzem ręce.

Nic nie wskórawszy w prośbie, Ortoban u żony,
Przyszedł do Teolidy w twarzy zasmucony,
    Nic więcej nie mówiący, tylko: Bóg o tobie
    Niech ma pamięć, ja Matki twej poszukam w grobie.
Czuję się słabym w zdrowiu, na siłach upadam,
Więcej cierpię wewnętrznie, niż ból opowiadam.
    Podobno raz ostatni, widzę Teolidę
    Tak trzymam, że z tej forty na pewną śmierć idę.
To wymówiwszy wyszedł, księżniczka w rozpacze
Wpadłszy, bez utulenia, w dzień i w nocy płacze.
    Przeczuł w duchu jej ojciec, dając pożegnanie
    Córce, że się z nią wkrótce, na zawsze rozstanie.
Jakoż ledwo dochodzi, z pełna dwóch miesięcy
Teolida już ojca nie widziała więcej.
    Aurelin z Ortobana śmierci zysk założył
    Myśląc: ten umarł, a jam w mej nadziei ożył.
Bóg zawadę uprzątnął, szczęście mi otwiera.
Bramę do mych zamysłów, kiedy z świata zbiera
    Tego, com mu miłości mej, nie śmiał wyjawić
    Ani się przed oczyma książęcemi stawić.
Bojaźń krok tamowała, ustam miał zamknięte,
Słowa wpół przecinane namienie przynęte.
    Dopieroż o nią prosić, wielu się dowiedzą
    Że nic z tego, w krótkich mi słowach odpowiedzą.
Teraz spróbuję, czy mam fortunę przychylną.
Czy będzie na mój zamysł miała baczność pilną,
    Czy dopomoże skutkiem temu, co jej wzywa,
    Co się z łask jej nazwany szczęśliwym spodziwa.
Ponowię to com musiał, cierpliwie zaniechać;
Z wizytą do klasztoru, dzisiaj myślę jechać.
    Obaczę, jak mię przyjjmie piękna Teolida
    Jeśli miłe wejrzenie z jej oczu się wyda.
Mistrzynią podchlebstwami przekupię i złotem,
Żebym u kraty bywał, teraz i na potem.

Zrozumiawszy z księżniczki pozwolenie snadne,
Z więzienia ją nie prosząc macochy wykradne,
Nie udała się sztuka Aurelemu hrabi,
Bo kiedy bandę krewnych do klasztoru zwabi
Zrozumiały to prędko zakonne osoby:
Chcą nam porwać księżniczkę zdradnemi sposoby.
Odtąd nie pozwalano Teolidzie krokiem
Przestąpić próg do forty, patrząc pilnem okiem,
Ledwo że do kościoła. Dano znać macosze
Na jakie się zanoszą kradzieży rokosze.
Wzięto zaraz księżniczkę z pod owej klauzury
W twardszą zadaną, dwoma opasaną mury,
Z przykazem znać dawania gdyby co na-Tarło;
Ten co damy wykrada godzien tracić garło.
Na ten czas rozrzewniona księżniczka narzeka:
O! sieroctwa mojego, okrutna opieka,
Poznaję teraz stan mój, znam osierocenie,
Wiem jaka krzywda córkom, matek utracenie!
Ojcze któryś w grób żony twej a mojej matki
Poszedł szukać weź i mię, krwie twojej ostatki,
Zawołaj mię, wnet pójdę za ojca rozkazem,
Niech wraz z wami polęgę pod kamiennym głazem.
Rozrzucone nowiny, po mieście Szarwawy
Stolicy królów, każdy w użaleniu żwawy
Mści się krzywdy księżniczki, że nie jest tak płocha
Choć młoda, ale wiedzieć nie chce kto ją kocha.
Plotki sieją w klasztorach, za murem wzrost biorą,
Bies zysk ma z krescencyi, urodzaju porą
Cieszy się, że złem ziarnem, zasiawszy snop plenny
Pożytek mu przynosi, z pracy nie daremny.
Szemrzą skoligowani ze krwią Teolidy
Jak ją przez rygor ostry wyprowadzić z bidy, —
Jaki sposób wynaleźć, macochę przymusić
By dłużej pasierbicy w więzieniu nie dusić.

Nastały perswazye, naostatek zwady,
Wypuść córkę z opieki, my bez twojej rady
    Obmyślemy to, co z jej honorem wygodą
    Być powinno, stroić ją przystojności modą.
Zawiódł się na twym księżno Ortoban afekcie
Gdyś jedynaczkę jego w najpierwszym respekcie
    Mieć przyobiecywała, ciebie jej obierał
    Z prośbą bądź matką córce mej, kiedy umierał.
Nie miło tego słuchać żonie Ortobana
Cięży nad sztylet ta mi dokuczliwsza rana
    Wziąwszy córkę do domu, wystrzegać się muszę.
    Pasyą tłumiąc przed nią, w skrytości ususzę
Siebie i tego co mię i ja jego kocham;
Chcieć ją w dalszy kraj wysłać, rzekną że macocham,
    Obrócą wszyscy na mnie dotkliwe języki.
    Nie ujdę tak jak teraz w przymówkach krytyki,
Ale wiem co uczynię, księżna z sobą gada
Prawda, że pasierbica, każda nie jest rada
    Być w opiece macochy, dokuczać jej będę
    Niech się skarzy na moją przed kim zechce zrzędę.
Sprzykrzy sobie kiedy ją potrzymam w rygorze,
Nieraz rzecze: lepiej-ci było mi w klasztorze,
    A mnie też tego trzeba, żyć w wolnej swobodzie
    Rychlej z domu panienkę ten sposób wybodzie!
Bierze córkę w kilka dni, w marsowatej minie
Przywita z oziębłością, mówiąc: wiele czynię
    Nie dla ciebie księżniczko, tylko żem kochała
    Ojca twego, o tobie choćbym zapomniała,
I słusznie, kiedyś i mię i swych koligatów
Skrzywdzić chciała, ucieczką chwyciwszy się swatów,
    Wprawdzie godny kawaler, równy tobie, ale
    Fortuna zawiedziona, choć jej jest omale.
Wstydząc się Teolida, chciała dać ekskuzę
Z siebie, że nic nie winna, lecz jak złą meduzę

Widzi, gniewem nadętą, do nóg jej się skłania:
W czem zgrzeszyłam, odpuść mi — a ta twarz zasłania.
Cierpliwość zbroja pewna od wszelkich impetów
Niemem milczeniem zbywa, grubych niedyskretów;
Czas ich niewstrzemięźliwość osadzi na zyzie,
Pozna jad żądła jak go w sumieniu ugryzie.
Naznaczona stancya księżniczce dość podła,
Gdy do niej wprowadzona, z obu oczu źródła
Wyprysły Teolidzie, z płaczem uśmiechanie
Jej było kiedy rzecze: pierwsze przywitanie
Straszy mię, a wtem panny służące wprowadzą
Akwillę, do zabawy księżniczce przydadzą;
Oraz księżny imieniem czcić te panią każą
Że jej cnoty wiadome wielom, wiele ważą.
Godność Akwilli niegdyś na królowej dworze
Mieściła się poważna niezmienna w humorze,
Uproszona od księżnej nie żeby służyła,
Ale jak przyjaciółka z tobą się bawiła.
Dziękuje Teolida księżnie za Akwillę,
Skoczy ku niej, przyjmuje z uściskaniem mile,
Jednak w sercu strwożona, składając na fochy:
Przydana mi ta pani szpiegiem od macochy.
Kroki nodze wyznaczy, wzrok oczom wymierzy,
Wesołość letką nazwie, słowa nie powierzy
Wymówić do nikogo. Takać moja dola;
Za kratą, czy u dworu gnębi mię niewola!
Wyznawa to Akwilla: że cię za amantkę
Hrabi, ma twoja matka, mię za guwernantkę
Tobie księżniczko dała, ażebym cię strzegła
Byś płochości sposobem w stronę nie ubiegła.
Pamiętaj Teolido, na swoję i moję
Sławę, niech śpię w noc, a w dzień zdrady się nie boję
Która mię niespokojną w mej funkcyi czyni,
Świat nas historycznemi księgami obwini.

Z żałośną miną rzecze księżniczka Akwilli:
Kto tego zdania o mnie wstydząc się omyli,
Nie jestem tak uboga w fortunę i krewnych
Schodzić z gościńca, szukać dróg dla mnie niepewnych.
Aureli letkim ludziom swój zamysł powierzył.
Granic mojego zdania, wiem że nie wymierzył.
Ilekroć ze mną gadał, respekt mu zabraniał
Wydać myśli do których sekretnie się skłaniał;
A lubom często jego słyszała wzdychania,
Nie rozumiałam że to pochodzi z kochania,
Tylko że jako i ja na sieroctwo szlocham,
Często wzdycham, lub dotąd nikogo nie kocham.
Prawda, niemasz przyczyny, gardzić godnym hrabią:
Rozum, maniera, grzeczność kto go pozna wabią,
Lubiłam z nim rozmawiać, ale nie uciekać;
Ludzie bredzą a Bóg się mną będzie opiekać.
Skończmy ten dyskurs moja Akwillo kochana
Wiem, że sławnego jestem córką Ortobana.
Nie dopuści mi honor w małej ulgnąć nocie;
Dopieroż co szkodliwem byłoby mej cnocie.
Proszę bądź że mi matką, wszakżeś miała dzieci;
Zgań młodości mej, gdy się jaki defekt wznieci.
Świat zaczynam poznawać, popraw jeśli zbłądzę.
Ty mną, a nie ja sobą niech w niwczem nie rządzę.
Niechciejże odtąd słuchać, kłamliwych języków
Któż jest bez sprzyjających? Kto bez przeciwników?
Tak pięknym, jako szpetnym złość przyszywa łatkę
Pod płaszczykiem szczerości, lub przestrogi składkę. —
Waża słowa księżniczki Akwilla, jakoby
W zapomnieniu zostając, z ust młodej osoby
Starych zdania przechodzą. Myśli: mnie się uczyć
Od niej rozumu trzeba, nie słowy dokuczyć.
Te rozmowy gdy kończą wskroś serce przejęte
Akwilli: widzę w tobie skarby cnót zamknięte,

Otworzy je czas w krótce i pokaże złoto
Czystej próby, świat rzecze: szczęśliwaś sieroto!
Już księżniczka z Akwillą wspólnych serc sklejeniem
Jednym duchem tchną obie, żadnem podejrzeniem,
Nie zatrudnione, owszem miłość drogopłatna
Z obu stron, kiedy dowód da że delikatna.
Ale fortuna gdy swój kołowrot nawija
Jednym z grubych pasm motki na jedwabie zwija,
Drugim cienkie osnowy prostego przędziwa
Wąskiem ostrzem robotę ze złości przerywa.
Kocha swą Teolidę Akwilla, cóż gdy się
I na to jej macocha postawi w kirysie,
Mówiąc: pieścisz tę pannę, pobłażasz, pozwalasz,
Czyni co chce, czem respekt od matki oddalasz.
Sypia długo i rada łóżkiem się zabawia,
Wizytę kawalerów dzień po dniu przetrawia.
Fruktami tylko prawie, choć podłemi żyje,
Pięknie będzie gdy panna subtelna utyje!
Cierpliwa guwernantka wie o co to chodzi
Zrzędy, furye, z pasyi pochodzące słodzi
Lubo przykre, lecz miarkuje: wspomiane wizyty
U księżniczki, zazdrości wzniecają żar skryty:
Jakoby wdową jestem, jesienią nie latem
Teolida jest wiosną, wpół rozwitym kwiatem.
Ja więdnąć zacznę, a ta w kolor pięknej róży
Żywość wyda, laur świeży na swe skronie włoży.
Więc kiedykolwiek będę w kompanii, sama
W pałacu nad robotą niechaj siedzi dama.
Gdyż brać ją z sobą — każdy obaczy to jaśnie,
Że wdzięk mój, przy piękności pasierbicy zgaśnie. —
Jakoż to przeniknęła rozumem Akwilla,
Zgadła i nic ją w mądrem zdaniu nie omyla.
Skutek wewnętrzny czuje swojego proroctwa.
Jaki sposób zniżenia pańskiego sieroctwa?

Ale o tem nie wspomni księżniczce, co księżna
Z nią mówiła, bo dosyć robota pocięźna
    Martwiła absolutnym rządem sługę z panią;
    Obie znoszą ościeste kolce, co ich ranią.
Rok i drugi przemija, gdzie przykre momenta
Teolida rachuje, że w niewolę wzięta,
    Choćby w ogrodach chciała zażyć spacyerów —
    Kędy jest, tam się znajdzie kilku kawalerów.
A każdy z oświadczeniem przed Akwillą żalów
Że chce być pierwszym w łasce, a ma dość rywalów.
    Guwernantka roztropna subtelności siatką
    Zbywa ich: oświadczcie chęć przed księżniczki matką!
Zabroniono powozu i pieszej przechadzki,
Składając, że mogą być powtórne zasadzki
    Aurelego. Ty za to odpowiesz Akwillo
    Że jesteś przekupiona za tysięcy tylo.
Pełnią rozkazy księżny, jak każe, tak czynią
Więc ogród pałacowy wzięty za pustynią.
    Tam do fontan szumiących z księżniczki łez zdroju
    Słodki strumyk wypada po gorzkim napoju.
Bóg, który łzy, a zwłaszcza sierót w konchę zbiera,
Perłami je nazywa, sam oczy ociera
    Opatrzną ręką, a te nawłócząc na sznurki
    Za cierpliwość ustraja niemi dobre córki.
Z pośród burzliwych fali w oceanu głębi,
Gdy łódkę rybołowca na dno nie pognębi.
    Toć większej wagi statek bogactwem ładowny
    Dąży, nieba przewodnią, kędy ląd gruntowny,
W rozpaczy zostający żeglarz, że już ginie
Tam gdzie założył metę nigdy nie dopłynie.
    Bóg, co Go morze słucha, rozkaże w momencie
    Być gdzie chciał, byle w nim miał ufność nie w okręcie.
W tej kolei pływaczką córka Ortobana
Zapomina się czem jest, codzień zapłakana.

Czuje ból, gdy ją tęga sprężyna uskrzynie,
Przez natężenie słabi niemocne naczynie.
Pryska w niecierpliwości mówiąc: pókiż kostka
Przegraną padać będzie? Kto winien, że złostka
We mnie młodej mnoży się? da Bogu rachunek
Ten, co z pięknych porcelan trucizny da trunek!
Czynię co z siebie mogę: staraniem usilnem
Ucha proszę, niech będzie na rozkazy pilnem;
Oczom mówię, wy na te i na każde mgnienie
Matki mej dajcie baczność i jej usłużenie.
Na nic się to nie przyda, póki Bóg nie zeszle
Woli swej i pracować nie zechce w rzemieśle
Ręki opatrznej. Ale rzecze medal złoty
Z próby szacunek wyda na dobro sieroty.
I któż to rosy czekać będzie, kto deszcz zgadnie,
Kiedy na oschłą ziemię z obłoków wypadnie?
Mówią nim słońce wzniejdzie, rosa wyje oczy
Kwiat uschnie z rana, nim go ta wieczorem zmoczy.
Wsparta łokciem Akwilla siedząc przy stoliku
Rzecze: kiedyż zakończysz smutny tren słowiku!
Rozumiesz, żeś w gaiku i jak chcesz tak nucisz,
Słuchających ucieszysz, a mnie serce smucisz,
Które czuję uwiędłe prawie do połowy.
Słysząc jęczenia twoje wątpliwemi słowy,
Że Bóg już nic dla ciebie w skarbie swej szczodroty
Nie zostawił, tylko cię podał na obroty.
Wybacz mi Teolido, żeć prawdę wyłuszczę
Co przeciw ludziom mówisz, młodości przepuszczę,
Ale co przeciw Bogu ni mową ni myślą
Nie grzesz, bo twe cholery biczyk tęższy przyślą.
Bądź cierpliwa, nabożna, — sny prorockie miewam,
Nie wierz w nie, ale się dla ciebie spodziewam
Wkrótce, że Juno wije na twą głowę wieniec
W mitrze z Ruscyi jedzie z twym ojcem młodzieniec.

MARYAŻ KSIĘŻNICZKI TEOLIDY I AWANTUR JEJ DALSZYCH OPISANIE.

Jak niegdyś Samuela matka, gdy w krużganku
Modląc się od wieczora do jutra poranku,
    Duchem Bożym natchniona Anna prorokini
    Wiedziała co Bóg z synem jej za cud uczyni:
Tak pobożna Akwilla modlitwą codzienną
Wyprosiła nie jedną nocą a bezsenną,
    Dla Teolidy z nieba pomyślnego szczęścia,
    Gdy zakonu nie lubi, dobrego zamęścia.
W kilka dni napełniona Szarwawa gościami
Z Ruscyi, każdy wiedział, że cudzoziemcami,
    Ale bogato strojne widząc kalwakaty
    Sądzono, że do kogoś przyjechali w swaty.
Litawer książę przybył z synem Alcydonem,
Udzielny pan zkrewniony jest z królewskim tronem.
    Bogacz z siebie i z żony młodej jeszcze wdowiec.
    Ciekawość sług wysyła: bież dobrze się dowiedz,
Czy w charakterze posła wielkiego tu jedzie,
Czy z rana skąd wyjeżdża, czyli po obiedzie?
    Komu w czyim pałacu da pierwszą wizytę
    Niech przed nami nie będą sekreta ukryte!
Po dwochdniowym spoczynku ojciec z Alcydonem
Do żony Ortobana w jej pałac z ukłonem
    Zawitał, skąd pomiędzy ludźmi słychać spórkę,
    Litawer weźmie matkę, a Alcydon córkę.
Zwyczaj, wieści po mieście rozstrząsać, rozsiewać,
Co niepewna, tego się nakażą spodziewać.
    Prawdę na bok odrzucą, żeby nie mówiła,
    Której z tych dwóch bogini szczęścia laur uwiła.
Alećjak wszyscy ludzie, są nowin szpiegami
Tak już wiedzą, do kogo ci dziewosłębami.

Książę o Teolidę myśli prośby wnosić
Dla syna Alcydona, dworowi ogłosić,
Co gdy wszystkim wiadomo, wielu się dziwują
Szczęściu, którzy zazdrośni, — życzliwi winszują
Jedynaka, bogacza, Paryssa z urody.
Hippomen Attalantę wygrywa w zawody.
Matka zaś Teolidy zdumiewa się w sobie
Co Bóg dla sierót czyni w dwóch mitrach ozdobie.
Żal ją wewnętrzny bierze, że źle traktowała
Tę, którą Opatrzności ręka piastowała.
Księżniczka jeszcze nie wie co tam w gabinecie
Uradzono, Akwilli prosi, módl się przecie
Kochana przyjaciółko, Bóg Pan swojej woli
Niech kieruje, jako chce kółko mojej doli.
Ledwo tych słów domawia, alić książę z synem
Idą do niej z wybranym asystencyi gminem.
Wita ich w ułożonej skromności posturze
Twarz cnotę wyda, gdy ją pokaże w purpurze.
Nie długo zabawiwszy, już księżna przysyła,
Prosząc gości i córki, by z niemi przybyła.
A jak zawsze posłuszna rozkazom macochy
Porywa się z książęty, nie zna co są fochy.
W poważnej minie zacznie mówić wdowa, ona
Do Litawera oraz syna Alcydona:
Mówcież moi książęta w przytomności panny
Czy Alcydon miłością jej czuje się ranny.
Czy o jej cnotach słyszał, poznawszy ją teraz
Niech nie nagli, przejedzie się tu jeszcze nieraz.
Zabierze poufałość, ludzi dworskich spyta,
Czy powierzchowna dobroć w niej, złość nie ukryta.
Lepiej zwolna rzecz czynić, a dobrze uważyć
Jeśli co zaczniem, z dalszem dobrem można zażyć.
Skwapliwość drogę zmyla; o trakt kto się pyta,
Choć dalej, lecz tem prędzej, kędy chciał zawita.



D. CHODOWIECKI DEL.

Własność Biblioteki im.
Gwalb. Pawlikowskiego

Ja z pod serca rzetelnej szczerości dobywam,
Że się mej córki, z domu mego nie pozbywam.
    Owszem wyznaję, gdybym ojca jej wskrzesiła
    Powiedziałabym, jako krew mi jego miła.
Teolida na próbie u mnie przez trzy lata
Z klasztoru wzięta, mało co poznała świata,
    Anielska w niej niewinność, dobroć z posłuszeństwem;
    Godna z cnót, cnotliwem się połączyć małżeństwem.
Tu Litawer nachylił swą mitrę udzielną
Nizko się księżnie skłoni mówiąc: nierozdzielną
    Myśl mam pani, raz drugi i trzeci ogłosić,
    O com zaczął, do skutku, nie przestanę prosić.
Nie potrzeba wyliczać, cnót księżniczki, bo te
We mnie i synu moim wzbudziły ochotę.
    Mimo dam wiela, które bogactwami słyną
    Dwojga serc zdanie, gdy do Teolidy płyną:
Przedłużać czas nad wolę i boskie wyroki
Jest praktyką, że często żałujem odwłoki.
    Niejeden na dni zeszłe, bez zysku narzekał.
    Ja bym się z jedynaka rad wnuków doczekał.
Z ust twoich niechaj księżno, wolę twoją słyszę
Spytaj córki, czyli się wraz z tobą podpisze
    Na wspólnem zezwoleniu. Łask waszych wyglądam;
    Nie martwcie ojca z synem, dajcie czego żądam. —
Chciała księżna na dalszy czas jeszcze odłożyć
Danie słowa po myśli, nie trzeba się drożyć
    Z towarem, kiedy kupiec dobrze go zapłaci,
    Złotem pannę obsypie, klejnotmi zbogaci.
Więc rzecze do księżniczki: jesteś tu przytomna,
Słyszysz, o czem mówimy, byłaś w mowie skromna,
    Teraz rzetelnie powiedz, tych książąt upewnij
    O swem sercu, gdy na to pozwalają krewni.
Znasz, widzisz co z twem dobrem, słyszysz o dostatkach
Tych panów, o postronnych sukcesyi spadkach.

Niech tylko szczera miłość będzie między wami,
Zwać was będą zazdrośni ziemskiemi bogami.
Przed dniem pogodnym zorza z rumieńcem powstaje
W kolorze Teolida tym, przed matką staje.
Do nóg jej głowę chyląc łzami je polewa
Mówiąc: któraż się córka złej doli spodziewa
Od tej, która lubo mnie na świat nie wydała
Ale ojca mojego wiem jako kochała.
Poddaję wolę moją matce i fortunie
Szachem, czy matem, gdzie chce, niechaj mną posunie.
Nie potrzeba na pannach więcej słów wymagać,
Które zwykły pozwalać, a jak najmniej gadać;
Domyślają się starsi, snadno odpowiedzą,
Gdy zwyczaj dam, czego chcą od dawności wiedzą.
Dlatego już książęta nie inkomodują
Tak matkę, jako córkę, tylko podziękują
Za pewność otrzymaną, ale że jest zdala
Kres mety założonej, czy rychło pozwala
Księżna na ślubny związek, na czem rzecz się kończy —
Już zaręczoną parę, przed ołtarzem złączy.
Rozumne obie strony w uporze nie zatną
Akt ten ceremonią chcą odbyć prywatną.
Najwyższy kraju tego z duchowieństwa książę
Bliski krwią Teolidy, stułą ręce wiąże,
Błogosławi tej parze mówiąc: Alcydonie,
Kochaj, kiedyś z dalekich stron przyjechał po nie.
Wiedz: równą sobie bierzesz, bo jeśli pochodzi
Twa linia z krwi królów, i ta się z niej rodzi.
Ty z Sarmacyi gniazda w mitręś zaszczycony,
Ta z aragońskiej z przodków pochodzi korony.
Przyznaje to Litawer ślubodawcy i że
Korony z góry patrzą, na mitrowe krzyże.
Wspólna miłość koronę, mitrę złoży w wieniec
Gdy zacną damę bierze, równy jej młodzieniec.

Zysk rzeczy pożądanej czegoż więcej czeka,
Co wziął z faworu szczęścia, niechaj z tem ucieka
    Morzem czy lądem jak ja, z kochaną synową
    Z złotem runem uchodzę drogą jazonową.
Żegna Litawer księżnę, Teolida z mężem;
Łzy zobopólne widać: tu się już rozprzężem.
    Prośba od młodej księżnej, ażeby Akwillę
    Z sobą wzięła: bez niej stąd nie ruszę o milę
Rzecze, — gdyż ta w dziecinnym wieku mej prostoty
Klasztornego ćwiczenia, oko na obroty
    Moje w pilności miała, jak lutnię źle strojną
    Poprawiała w manierze, oraz bogobojną
Żebym była, a co zaś do zdrowia należy
Bylem stęknęła w nocy, z łóżka do mnie bieży,
    Czasem przez pustość moją spuszczoną zasłonę
    Podniósłszy dla zabawy zbudziłam matronę
Tak poważną, która się dla mnie podłą stała,
Historye mi prawiąc żebym zasypiała.
    Owo zgoła matką ją trzecią nazwę śmiele,
    Ta mi regułę życia w małżeństwie uściele.
Tu pień ostry na drodze podróżnym zawadził,
Nie masz ktoby od traktu tego im odradził.
    Teolida szczęśliwą chce policzyć chwilę
    Kiedy z kochaną swoją pojedzie Akwillą.
Ale Litawer nie wiem jaką myśl ułożył
U siebie. O Akwilli ktoś mu źle powróżył,
    Że młoda księżna będąc od niej rozpieszczona
    Nie będzie Alcydowi twemu dobra żona.
Musiało się to oprzeć o macochy uszy
Gdy synowa Litwera oczu nie osuszy,
    Tylko je łzami coraz odwilżając blednie
    Na cerze, jak zchorzała obaczyć ją we dnie.
Sprowadza ją do siebie księżna, mówiąc: czyś się
Teolido nie znała na tym chytrym lisie,

Który tylko sztuk swoich łudzi cię pozorem?
Nie wiesz w jakim szczerości mieni się kolorem.
Krótkoć powiem: książęta postronni zwyczaju
Nie odmienią, wywozić faworytek z kraju
Tego, skąd biorą żony, wszystkich zagranicą
Zostawią, jednych darem, drugich obietnicą
Zbędą, zaczem i ty córko moja, której
Czas każe się wybierać do podróży skorej,
Nie martw ojca i męża, znajdziesz u nich tyle
Życzliwych, co ci z myśli wyprzątną Akwillę.
Kto musi, wiele czyni, chociaż poniewoli
Przystaje, co chcą mocni; lubo to zaboli
Pacyenta, cierpliwość chorobę zwycięży,
Gdy przykrych lekarstw smakiem, odwagę natęży.
Teolida widząc sęk twardy do złamania,
Więc wolę swą do woli zwierzchności nakłania.
Jednak płacz w pożegnaniu powtórnym znak dawał,
Że jej cięższy Akwilli żal serce rozkrawał.
Wyjechała w tę podróż w spokojnym humorze;
Książęta są kontenci, że nie straszne morze
Dla pięknej księżny, która pierwszy raz widziała
Wielkość wody, gdy na bat obszerny wsiadała.
Aleć coraz w tę stronę, westchnąwszy pogląda
Gdzie Akwilla została, w skrytej myśli żąda
Być tam gdzie się rodziła, gdzie jest wychowana
Jeśli jej nie przeszkodzi fortuny odmiana.
Szczęśliwie młode państwo, wraz z ojcem stanęli
Tam, gdzie stolice swego pomieszkania mieli.
Insula bardzo miła, bogata, obszerna,
Włości niezrachowane, natura misterna
Upatrzyła, na którem miejscu zamek stawić
Żeby pięknym prospektem patrzących zabawić,
Wodą w koło oblała, opasała wałem,
Gdzie batem można pływać, głębokim kanałem.

Szuka Litawer wszelkich rozrywek dla swojej
Synowej którą kocha, sprasza płci obojej
    Sąsiad; bale z maskami bywają codzienne,
    Z kosztem są sprowadzone, coraz to odmienne
Lubi to księżna młoda, a jak młodość zwykła
Szacować czas wesoły, pająk muchę wikła,
    Przy muzyce jej trenu póki może brzęczy
    Nakoniec osłabiona, niegra, ale jęczy.
Poznaje pani mądra na czem się zasadza
Miłość Ojca, który jej za syna nadgradza
    Nie mającego względu że sam będąc młody
    Równą wziął w urodzeniu, piękniejszą z urody.
Ale nie zawsze trzeba gusta pańskie chwalić
Nie należy podchlebcom czcze ofiary palić
    Tym co piękną i miłą w domu mając żonę
    Szpetność lubią i w cudzą udają się stronę,
A co gorsza kiedy mąż w takim żyje wadzie
Że winę na cnotliwą żonę z myślą kładzie,
    W swem oku nie upatrzy, choć jest skaza gruba
    W żoninem makuł szuka, kiedy mu nieluba,
Żyje z nią jakby nie żył, osobność małżeństwa
Apartament rozłącza, niemasz podobieństwa
    Do pożądanych pociech, które stadła godzą,
    Gorżkości w ich pożyciu te frukta osłodzą.
Przebrana Teolidy cierpliwości miara,
Gdy miłość oziębiona, zrujnowana wiara,
    Stygnąć w niej wnet zaczęła afektu przychylność,
    Przymilenia powoli ustawała pilność,
Widzi, że jej karesy, mężowi nie miłe
Lubo na to łożyła całą serca siłę.
    Nic żony rozpuszczonym mężom nie pomogą,
    Kiedy nie prawą ale lewą chodzą drogą.
I tak w milczeniu rany dotkliwe odnawia,
Dni długie jej cierpienia czem może zabawia,

Miesiące nudne liczy, rok rozbiera w ćwierci,
Rozum jej każe związki dotrzymać do śmierci.
Hrabia Aureli, który Teolidy imię
Miał w pamięci i sercu, cnoty jej w estymie
Skoro z nowin wyczytał że za Alcydona
Jest wydana, nadzieja jego już stracona;
Wybiera się w kraj cudzy, z poufałą sługą,
Sekret trzyma, czy krótką podróżą czy długą.
Bawienia czas zakłada, po co i w jakowym
Interesie, publicznym, albo li domowym.
Z kupcem pewnym umowę czyni potajemną,
Ażeby skrytość myśli swych mieli wzajemną.
Kupiec wie dokąd płynie, gdzie towar zamówił
Bez zawodu, gdzie perły w konchach będzie łowił,
Ale Aureli żadnej nie mając przyczyny
Próbować Oceanu, okropnej machiny.
Rozpacz młodych prowadzi na wszelkie hazardy,
Oślep naciera, gdzie mu grozi szkopuł twardy,
Zuchwałość rada natrze tam, gdzie się nie oprze,
Ufa w siłę i w swoje szlufowane ostrze.
Często zawiedzion bywa, z strzelby kulą mierzy,
Nie kędy chciał, bo ona gdzie chciała uderzy,
Aurelina myśli desperackie wiodą:
Ginąć na lądzie albo być zalanym wodą!
Nieszczęśliwym się zowię, w niepomyślnym stanie
Niechże trosk mych dotkliwość topię w Oceanie!
Słyszy, że Pers z Turczynem żwawo się potyka
Życzy sobie w kompucie zostać ochotnika.
Zawija pod ląd z kupcem, wysiadają z barki,
O której tam stanęli patrzą na zegarki.
Spostrzegli to Persowie, co nad brzegiem stali
Za szpiegów ich wysłanych od Turków uznali,
Ile strój cudzoziemski w oczach im zawadził,
Jeden drugiemu że są kupcy, nie odradził,

Skoczą nadęci złością, z sukien odzierają
Obydwóch, i co mieli w statku zabierają,
Kieszenie rewidują, rozstrząsają skrzynie,
Czy fakcya w papierach, na wierzch nie wypłynie,
Na koniec biciem grożą, jeśli się nie przyzna
Z nich który, dokąd mierzą, kędy ich ojczyzna.
Kupiec, że często bywał kupując towary,
Umiał mówić po persku, więc dostąpił wiary,
Puszczon wolno, zaparłszy się kto jest Aureli,
Że o sobie z daleka będąc nie wiedzieli,
Że wsiadł w mój statek, dobrą obiecał zapłatę,
Smutny wzdychał, jakby tu szedł na pewną stratę.
Tembardziej upewniła Persów kupca mowa.
Aurelli nie rozumiał, co były za słowa,
Wymówić się nie umie, ni o wolność prosić
A w tem kazano ciężkie kajdany przynosić,
Okować w nie, prowadząc do swojej komendy
Za zdrajcę ogłoszony Aureliusz wszędy,
Osądzon bez odwłoki, żeby był w niewoli
Między innymi, póki nie wyzna powoli
Kto jest. Gdy mu się sprzykrzy z niewolniki praca,
Snadno niemiłosierny traktament wymaca
Myśli, uczynków jego, a potem bez braku
Jak każdy zdrajca być ma powieszon na haku.
Dopiero poznał błąd swój w kajdanach Aureli,
Kiedy się z przyjaciółmi, z ojczyzną rozdzieli.
Nie masz ktoby wykupił, lub za niego ręczył
Że nie szpieg, myślą ciało niszczył, ducha dręczył:
Jak przeciw woli Boga rebelią wszczynać,
Jak się gwałtownie tego com chciał dopominać,
Jak zuchwale być sprzecznym nieba przeznaczeniu?
Teraz dla Teolidy wysiadam w więzieniu,
Gdziem na morzu miał tonąć, na wojnie odwagi
Dać próbę, aż ja żyję w ubóstwie wpół nagi.

Nauczę nie jednego, jak hardy kark zniżyć,
W zupełnem posłuszeństwie do Boga przybliżyć!
Na równej szali waży szczęście Teolidę
Z Aurelim, ten w kajdanach, ta w pałacu bidę
Opłakuje w purpurze, przy książęcej mitrze,
Temu twarde żelazo ciało w nogach przytrze!
Raz kiedy mocny ucisk serce księżny znużył
Wyszła z zamku. Już Febus na sen oczy mrużył
Zamierzając na swoje dla spoczynku łoże;
Zorza drogę uściela, sypie z kosza róże.
Tam kędy pstrocinami kwiatów, kwitła łąka
Teolida, jak łani wypuszczona błąka
Z zamkniętego zwierzeńca; z jedną tylko panną.
Zapomniała, że była świeżym razem ranną.
W pośród łąki płynęła rzeka bystrym biegiem;
Księżna cieszy swój widok, chodząca nad brzegiem
Patrzy na wyskok wody, jak po głazach igra
I wdzięcznym tonem balet sama sobie wygra.
Łódź przypiętą obaczy na grubym powrozie,
Myśleć zacznie, na tamtą stronę, o przewozie,
Ale nie masz sposobu, nie widząc człowieka
Ktoby przewiózł. I przecie gbura się doczeka,
Wychodzącego z lasu, z drewkami ku łodzi.
Teolida mu w oczy z dukatem zachodzi
Mówiąc: weź nas w tę łódkę, a nie żałuj wiosła,
Póki po mnie z pałacu nie wyprawią posła.
Z początku ów się chłopek tej przeprawie zbraniał,
Prosił: daj temu pokój pani! głowę skłaniał —
Cóż, gdy mu złoto w rękę prawie gwałtem dały,
Na bezpieczne obiedwie w łódkę powsiadały.
Jeszcze przyznać potrzeba ostrożności gbura:
Widząc, że od Zachodu ciemna bieży chmura
Rzecze księżnie: ja żadnej nie pragnę zapłaty,
Ani waszej, ni mojej nie chcę życia straty.

Tęgo bieży ta woda, łódź krótka a wiosło
Przyłamane, żeby nas na prąd nie zaniosło;
 Albo jak wicher z chmury nadchodzącej wzburzy
 Fale na rzece, prędko na dno nas zanurzy.
Mniej od drwa stoję a sam widząc, że mam ginąć,
Pływać umiem, snadno mi gdzie pod ląd popłynąć;
 Ale wy co poczniecie, białogłowy słabe?
 Do ciał białych zwabicie ryby na powabę!
Teolida w cholerę wpadłszy, rzecze chłopu:
Tchórz z ciebie, z małej rzeki lękasz się potopu!
 Jam śmielsza, choć pierwszy raz w taką łódkę wsiadam.
 Zapłaconoć, niech więcej do ciebie nie gadam!
Prostaka niecierpliwość bywa zawsze gruba;
Porwie wiosła kawalec gbur: ot pani luba,
 Rzecze, znać ci nie miłe życie, że i siebie
 I tę pannę chcesz topić, a ja na pogrzebie
Waszym być ani myślę, każdy kocha życie;
Dukatem com wziął, duszy ciała nie wrócicie.
 To wymówiwszy ile mógł siły przyłożył,
 Łódkę puścił na sam wart, i zaraz się strwożył,
Kiedy wicher gwałtowny z błyskawicą grzmotem
Powstał — drzewa nadbrzeżne okropnym łoskotem
 Łamał, z gruntu wywracał korzeńmi do góry,
 Grad gęsty jął wypadać z owej czarnej chmury.
Dopiero Teolida z panną do modlitwy
Udała się, a widząc na łodziach rybitwy
 Uciekające wodą do chatek poblizkich,
 Łodzie puszczą, a pną się po lądach zbyt ślizkich.
Krzyczy na nich i prosi: moi ludzie święci!
Ratujcie nas, widzicie, jak łódkę wart kręci.
 Nie pozwólcie nam tonąć, gdy te słowa króci,
 Łódź się z niemi, bez wiosła będąca przewróci
Patrzą na to rybacy, litością wzruszeni
Skoczą w rzekę wpław, pływać z młodu przyuczeni;

Jeden księżnę tonącą pochwycił za rękę,
Ciągnąc ku brzegu, żona rybaka osękę
Z góry podała, której i rybak i pani
Trzymają się dobyci z śmiertelnej otchłani.
Drugi pannę ratując, do lądu nie kwapił,
Gdy się wraz nią po uszy mętnej wody napił.
Gbur jako sobie wróżył, tak w prądu odmęcie
Zatonął, nie mogąc się ratować w zakręcie
Bystrej wody, dziurawym przyciśniony batem.
Śmierć pozyskał za przewóz, zginąwszy z dukatem.
Panią z panną rybacy do chatki wprowadzą,
Mokre szaty zdejmują, białe chusty dadzą,
Nie cienkie, raczej grube, jakie dom ubogi
Mieć mógł, w takie ubrali księżnę zamiast togi,
A suknie ich obydwóch, w podwórzu rozwieszą
Dla wyschnienia, kolorem niespełzłym się cieszą.
Żon rybaczych nie mało sprowadziły oczy.
Za niemi kilku Persów w dom rybaka wkroczy.
Miarkują z szat, niepodłość osób, z ich urody, —
Ale im nie wiadomo skąd się do tej wody
Dostały, ten nie żyje, co wiedział, a one
Sekretu między sobą trzymały zasłonę.
Coraz więcej przybywa ludu na cud nowy,
Słysząc, że u rybaków są dwie białogłowy
Młode dziwnej piękności, twarze zasłaniają
Nic nie mówią, tylko się każdemu kłaniają.
A jako ludzie zwykli siać nowin rodzaje,
Tak jeden prawdę mówi, a drugi przydaje
Co słyszał a nie widział, trzeci z bajki szydzi;
Czwarty najrzetelniejszy, co kłamstw nienawidzi.
Jednak kędy się kolwiek wieść jakowa zjawi
Przecież choć na pół prawdy po sobie zostawi.
Jak mówią, jeśli nie wilk, to kądel wilczaty
W oczy ludziom zachodzi, bez sierści utraty.

Wnieśli Persowie tę rzecz w miasto Jspahanu,
Każdy się chciał przysłużyć królowi ich panu,
    Który jako ciekawy, rozkazał tych stawić
    Co śmieli taką bajkę po mieście rozsławić.
Stawa dwóch Persów przed nim, obaj godni wiary:
Wiesz królu co powiemy, godnibyśmy kary
    Roztrząść pod bokiem twoim fałszywe nowiny
    Gdzie się na dziw zbiegały z twego miasta gminy,
I myśmy za drugiemi poszli, gdzie rybaka
Domek mały nad rzeką jakoby żebraka.
    Widać ludzi chodzących do mizernej chaty;
    Weszliśmy, uchyliwszy rang naszych prywaty,
Dwie damy obaczywszy, których w naszym kraju
Nie znajdzie tej piękności, młodość ich do maju
    Rozwitego podobna, czy z nieba zstąpiły
    Boginie, co u Greków zdawna czczone były.
Kontent król wysłuchawszy prawdę bez przysady
Zażywa konfidentów swych do wspólnej rady
    Co ma czynić, czem posłać po te dwie Boginie,
    Karoc swój, czy odlane ze złota naczynie?
Wszystkich zdanie zgodliwe i umowa taka,
Sprowadzić te osoby oraz i rybaka.
    Na wypytanie skąd są, jako je ułowił,
    Usłyszymy jeżeli będzie śmiało mówił.
Wysłał król koniuszego i część swego dworu
Dla lubo nieznajomych, lecz godnych honoru.
    Z uczynionych relacyi sądził je być godne
    Uczczenia, i do pańskich kondycyi podobne.
Przyszła przed dom rybaka kareta paradna;
Nie opiera się króla rozkazowi żadna;
    Proszą rybaczki, żeby litość ją wzruszyła
    A szaty im oddała, które wysuszyła.
Stało się jako chciały, do karety wsiędą
Rybak w strachu, kiedy go ostrą chwycił wędą

Koniuszy. Rzecze: rozkaz króla mam surowy
Żebyś wyznał, skąd pereł dwóch miałeś połowy!
Zajeżdżają przed pałac pański, a ten prawie
Zchodził naprzeciw gości witać ich ciekawie;
Podaje rękę księżnie, która mu się zdała
Być Junoną z powagi, a Dyanną z ciała.
Tylko stąd umartwiony, że na każdym schodzie,
Chce z nią mówić, ta milczy przy cudnej urodzie;
Cokolwiek rzecze do niej król, ta chociaż umie
Język perski, znak daje że go nie rozumie,
W pokoje drogo strojne z ucztą zaprowadza
Teolidę na miejscu wyższem siebie sadza.
Oczy jako słonecznik za słońcem kieruje,
Tak się król w zapomnieniu w tę piękność wpatruje,
Ale nie mogąc słowa dopytać się na niej
Mówi: nieba Bogini, czyli ziemska pani
Przemów do mnie tym który język w kraju twoim,
A czy z dorozumienia pogodzi się z moim?
Ukłonem księżna zbyła, a potem sarmacką
Mową kilka słów rzekła. Król ją za dziwacką
Osądził, albo że go dama oszukuje,
Gdy nowy język w kraju perskim komponuje,
A nie mogąc dojść sprawy kazał przed się stawić
Rybaka, i nie długą rozmową z nim bawić.
Rzecze: przed królem stoisz, jakbyś stał przed Bogiem!
Czy za życia, czy śmierci chcesz zostawać progiem?
Wyznaj prawdę, niech bojaźń, nie zagradza tamy
Rzetelności, jak w twój dom dostały się damy?
Rybak głos króla słysząc, jak przed Bogiem klęknie;
Każdy mowę utraci, kiedy się zalęknie,
Ale łagodność pańska postawi na nogi
Tego co upadł z strachu, że nie jest tak srogi
Jako lew, więc i rybak poznał dobrze pana,
Pokrzepił słabość ducha, umocnił kolana,

Mówiąc, mój najłaskawszy królu wielowładny,
Z mego nieposłuszeństwa, miałbym dekret snadny
Straty życia, kiedybym co przed tobą skłamał,
Przysięgę którą czynię fałszywie połamał.
Rzecz taka: gdym z sąsiadem swym, na rzece łowił
Ryby, wicher się i szturm z ciemnej chmury wznowił,
Ledwośmy umknąć mogli przed gwałtowną burzą,
Z brzegu łódkę widzimy, że ją fale nurzą...
Na koniec przewróciły, a mogąc ratować
Tonących, godziło się pracy nie żałować,
Puścić się wpław na wodę, ja jedną a drugą
Mój kompan, ciągnęliśmy zbyt wezbraną strugą.
Ten zaś, który te panie, czy panny przewoził,
Znać mu Charon śmiertelnym przewoziem pogroził,
Bo go łódź przewrócona, w warcie zakręciła
I na dnie błotnej rzeki mułem zamuliła.
Więc królu nie mię pytaj, ale one same
Niech powiedzą, skąd spadły, w chaty mojej jamę.
Ja więcej nic nie powiem, choć mię na tortury
Brać każesz, lubo wiązać drutowemi sznury. —
Nadgrodzono rybakom hojnością pieniężną
Za ratunek dam, oraz za odwagę mężną.
Pewniejszy rybak w zysku niźli król w nadziei:
Ten wybrnął z wód, ten uwiązł w miłości kolei.
Sprowadzić rozkazano, tłómaczów co byli
W Jspahanie, co różnych języków uczyli,
Mieszkańców tego miasta, zaciągnionych z krajów
Cudzych, dla rozmnożenia mówienia rodzajów.
Żaden się z Teolidą rozmówić nie umiał —
Co rzekła, nad każdym się jej słowem zadumiał
Nie mając go w praktyce, ani też zdarzyło
Kogo słyszeć, jakowe w tym języku dziło.
Stroskany ów monarcha, kiedy w krótkim czasie
Poczuł serce w niewoli, myśl wplątał w tarasie.

Nie chce kochać, a musi, bo na cóż się przyda
Piękna nic nie mówiąca, ładna Teolida?
Wyznać miłość przed kształtnym z marmuru posągiem
Nic nie waży. Apollo złotym głowę krągiem
Opasaną chociaż ma, ogniem tylko pali
Nic nie mówiąc, że dogrzał zuchwale się chwali.
Przez cóż miłość wzajemną serc skrytość wybada?
Przez mówienie, subtelnym sposobem zakrada.
Rozum z mowy poznają, szacunek z dyskursu.
Nie gadając zabrania opinii kursu.
Passya górę bierze, kto się jej poddaje
Nieszczęśliwym przy szczęściu. Stan pański uznaje
(Narzeka, humor traci, pogardza dostatkiem)
Ubogi wolność gdy go miłość nagłym spadkiem
Z sił obarczy, z mądrego przerobi w nieuka!
U mniejszych niźli sam jest, protekcyi szuka.
Matka rodząca miłość, do tych robót chyża
Cieszy się z synem, że ich sztuka królów zniża. —
Część pałacu z wygodą, kazał król wyznaczyć
Dla tych dam, blisko siebie, żeby się obaczyć
Mógł często z niemi, a czy rozmową przez migi
Zrozumie Teolida umizgania krygi?
Ale Pani rozumna, miną ani okiem
Znaku nieda ażeby pan występnym krokiem
Oświadczył się przybliżyć, owszem pokazuje
Ostrym wzrokiem, że jego wizyt nie przyjmuje.
Czas półroczny monarcha trwa w niezbytnej bidzie;
Męczy się, całe serce oddał Teolidzie. —
Z niewdzięcznością przyjmuje ten dar niewolniczy,
Owszem za przykrość jego karety policzy;
Daremne są przysługi, choć wielkie klejnoty
Śle, złota sztuki lane, na przekupno cnoty
Księżny, pod nogi składa; ta lubo je bierze
Jako mądra od głupca, bez uszczerbku w wierze

Mężowi dotrzymanej, nie wiedząc jeżeli
On wzajemnym skrupułem z żoną się podzieli;
    Ile gdy za zginioną u siebie osądził,
    Wdowiec, nie czując jarzma, wolnem życiem rządził.
Teolida cnotliwa, biorąc perskie skarby
Nie z łakomstwa, lecz przyszłych swych desseniów farby
    Wcześnie przygotowane, chcąc portret malować,
    Której sztuce będzie się Persya dziwować.
Myśląc nad tem w kwaterze okna swego wsparta
Widzi że niewolników zaprowadza warta
    Do chędożenia ulic, w wspaniałym ogrodzie.
    Wyszła z panną na spacyer przy słonecznym wschodzie.
Jedni w ciężkich kajdanach, ledwo włóczą nogi,
Innych po kilku razem spoił łańcuch srogi.
    Niektórzy wolno chodzą, ale im przystawa
    Na wymiar, pod plagami, roboty zadawa.
Nad bladością ich twarzy, nad wyschłością ciała
Miłosierdziem wzruszona księżna zapłakała.
    Spyta warty, jeśli się dać jałmużnę godzi
    Tym więźniom, co jak w pługu niewola je wodzi?
Odpowiedzą żołnierze: gdyś tak dobra pani,
Któż twój dobry uczynek, nad bliźnim pogani?
    Wielce sobie zakupisz, szczodrość twojej ręki
    Dla ubogich, oddadząć dożywotnie dzięki.
Prosi księżna, niech staną, ci więźniowie w rzędzie,
Panna moja, rozdawać im pieniądze będzie;
    Czego braknie ja dodam z wypróżnienia worka.
    I was kocham żołnierze, bom hetmana córka. —
Wolę księżny wypełnił oficyer grzeczny,
W opatrzeniu potrzebnych bynajmniej nie sprzeczny;
    Szykuje głodne wojsko, w którem się odzywa
    Duch słaby, w kilku słowach; kilkakroć spoczywa
Linia długa, stanie pod ciemnym szpalerem.
Teolida wraz idąc z owym kawalerem

Uważa w wielu więźniach nie podłe postury,
Lubo w przyschłe do kości powleczone skóry.
Postrzegła między niemi twarz Aureliana
Zalękniona pomyśli: czym nie oszukana
Na podobieństwie? gdyż to często oszukuje
Oczy ludzkie, ile w co mocno się wpatruje;
Coby tu za przyczyna tego hrabię wniosła
W ten kraj z mojej ojczyzny pod tytułem posła,
Nigdy nie wymiarkuję, jednak się nie mylę
Że on jest! z doświadczenia dojdę prawdy tyle
Jeśli mi da odpowiedź na kilka słów mego
Języka, wtenczas uznam ziomka Aurelego.
W tem rzecze po sarmacku: Hrabio czyś prawdziwy
Aureli, czy mię zwodzi mój widok fałszywy?
Odpowie: jam jest istny, więźniem z twej przyczyny,
Żem cię kochał dwójletnie za to cierpię winy.
Teraz i czas i miejsce zabrania powiedzieć
Przypadku, mógłbym jeszcze z rok w turmie posiedzieć.
Żałosne słowa w sercu księżny tak osiadły,
Że jej rzęsiste z oczu łzy jawnie wypadły.
Nie mogąc dłużej mówić tylko to: jeżeli
Być może, bywaj u mnie pod oknem Aureli.
Już pieniądze rozdała niewolnikom panna,
Księżna przez ogród idąc na wskroś żalem ranna
Mizerny stan rozważa i niewolę hrabi.
Punkt ten, że cierpi dla niej, serce jej osłabi,
Ale ukrywa smutek, nie da poznać z miny,
Wiedząc, że z małej rzeczy urosną machiny;
Jakoż już się budują i w górę wychodzą
Przed króla, gdy go wprawdzie żołnierze nie zwodzą:
Że ta pani, którą masz w uporze zacięta
Mówić z tobą po persku nie chce tak zawzięta,
Na twoje umartwienie długo się taiła,
Z nami w ogrodzie będąc obszernie mówiła,



D. CHODOWIECKI DEL.

Własność Biblioteki im. Gwalb. Pawlikowskiego

LAMUS

Nieostrożność z nas samych przynosi szkód wiele.
Na nieostrożny obóz wpaść nieprzyjaciele
    Snadno mogą i zbroje zabrać co tam mieli
    Wojskowi, gdy z nich żaden na larm nie wystrzeli;
Nieostrożność w mówieniu często nas zabija,
Na sławie nieprzyjaźni, a słuchacz nawija
    Z pilnością z cienkich nici naprzędzone motki
    Z czasem w grube zawikła między węzły plotki.
Teolida w tęż łapkę wpadła nieostrożna,
Że w ogrodzie po persku z każdym gadać można,
    Zapomniawszy że cały dwór na to czatował
    Słowem od niej schwyconem panu przysługował.
Król wszystkiego wiadomy w wesołym humorze
Wszedł do pokoju księżnej, przy zwykłej pokorze
    Rzekąc: czy godziłoż się być tak nieużytą,
    Na tyle próśb mych chować uporczywość skrytą?
Szczęśliwsi moi słudzy, nademnie ich pana
Którym choć nie proszącym łaska twoja dana
    W obfitości rozmowy perskiego języka!
    Radbym w moim ogrodzie być za ogrodnika!
Księżna w kolorze twarzy wyda co król mówił,
Jak ją ktoś w zastawione sidełko ułowił.
    Już się trudno zapierać kędy kilka świadków
    Winowajcę przekona z niechcących przypadków.
Królu, odpowie pani, nie sądź grubiaństwem,
Milczenia mego dotąd, ani zow tyrańswem
    Dla twej godnej osoby, którą czcić jest prawem
    Każdemu, dopieroż mię co jestem zastawem
U ciebie, ale mając prywatną przyczynę
Utajenia się w mowie, jeżelim na winę
    Zasłużyła, skarać mię możesz jako swoję
    Niewolnicę, którąś wziął nieprzybraną w zbroję.
Owszem sama przyznaję żem ci wiele winna;
Dotąd mię łaska twoja karmi dobroczynna,

Którą ilekroć wspomnę wdzięczność zapisana
W mem sercu, póki żyję tak dobrego pana!
Król ucieszony, słysząc wdzięcznych ust wymowę,
Rzekł: pani, serce daję całe nie połowę,
A gdybym ich miał więcej, świadczę memi bogi
Za stopnie na tron perski, kładłbym pod twe nogi!
Odchodzę stąd bez serca, duch tylko mną chwieje
W zwątlałem ciele jakieś ożywia nadzieje,
Że litością wzruszona piękna cudzoziemka
Monarchę wojowniczą ręką nieponęka!
W tem ściśnieniu król wyszedł od sług wprowadzony
W swój apartament, prawie słabością zemdlony.
Nikt nie pojmie jakową w sercu cierpi bliznę.
Najpewniej, że ta dama zadała truciznę
Królowi tak subtelną, że beze krwi rana
Śmiertelna od medyków nie jest zrozumiana.
Mowa zamknięta, tylko wzdychanie znak dawa
Że się na części serce w tym panu rozkrawa.
Bezsenne nocy trawi, stęka, nudzi, zrzędzi,
Co raz słabszy, gdy na to, nic nie jedząc, wędzi;
Spadł z cery, każdy widzi, że nie żartem chory,
Lecz nikt nie wie jakowe suszą go amory.
Jednak wielu poznawa skąd stracona siła:
Do pięknej cudzoziemki zbyt często posyła
Dworzan, paziów, a zawsze z bogatym prezentem.
Dobry dzień powiadając pięknym komplementem.
Ona wzajem pyta się o królewskie zdrowie,
Z czem powracają oni, wysłani posłowie.
Cieszy to pana, gdy go znać w sercu żałuje,
Nadzieja mu w chorobie lekarstwa cukruje.
Tu księżna osądziła rzecz nie bagatelną,
Mówi swej pannie: wszak wiesz, żem nie jest rozdzielną
Z tobą sercem i póki duch mój nie ustąpi
Z ciała, póty twych zasług, skarb, łask nie uskąpi

Wszak miarkujesz na jaką burzę się zanosi:
Król mię kocha i żebym kochała go prosi —
Czego gdy nie uczynię, miłość rozgniewana
Przemieni delikatność w grubego tyrana.
Cóż pocznę, kto się ujmie krzywdy mej w tym kraju?
Bo jako zaprzedana jestem do seraju.
Wiele czyni, co musi, zwłaszcza niewolnica,
Której za łyko stanie miętka jedwabnica.
Odpowie panna księżnie: na kogoż narzekasz
Pani moja, od kogo wybawienia czekasz
Z niewoli w której dotąd jesteśmy zbłąkane?
Tego nie wiem, żebyśmy były zaprzedane.
Sama ucieczki porę tak długo odwłóczysz,
Króla coraz do głębszych amorów przyuczysz.
Nie wczas będziesz żałować, kiedyć gwałtem wydrze
Cnoty klejnot, ani się wzbronisz mocnej hydrze.
Kazałaś Aurelemu pod oknami bywać,
Bywał, ale nie wiedząc czego się spodziewać,
Przez kilka dni to czynił patrząc miłosiernem
Okiem w okna, odchodził z wzdychaniem niezmiernem.
Zwierz mu się Teolido intencyi sekretu,
Przygotuj rękę, pióro, papier do biletu
Jutro rano, a czy go w tem miejscu postrzegę
Gdzie bywa, z twem pisaniem ku niemu wybiegę.
Rzecze księżna: ah! moja przyjaciółko, czy mię
Próbujesz czy znać nie chcesz, Teolidy imię
Zdawna cię kochającej, w szczęściu i niewoli?
Wiem, co mię toż i ciebie wspólnie martwi, boli,
Na cóż mam kartki pisać, które często zdradzą
Nie jednych w podejrzenia, w labierynt wprowadzą.
Już mię raz nieostrożność, wszak wiesz, nauczyła
W ogrodzie, kiedym perskim językiem mówiła,
Ale tak uczyń proszę w wierności doznana
Panno, wynidź na spacyer, do ogrodu zrana;

Upatrz gdzie Aurelego, opowiedz mu co się
Z nami dzieje, w jak ciężkim zostajemy stosie.
Proś niechaj o nas radzi, oraz sam o sobie
Niech pomyśli, o prędkim ucieczki sposobie
Z tego zamku, bo skoro król wstanie z choroby,
Trudniej będzie ważyć się na zginienia proby.
Weź klejnoty, które są, zawiąż je w róg chustki.
Złoto wybierz z szufladek, niech w nich będą pustki,
W schowaniu potajemnem, najdroższe kamienie,
Najlepszym jubilerom niepodległe w cenie.
Oddaj to wszystko do rąk Aurelina skrycie,
Żeby co na cię przyszło nie ulgło na mycie.
Oglądaj się na wszelkie strony kiedy mówić
Z Aurelim będziesz, bo cię może kto ułowić
Oczyma, albo uchem zakradłszy się w kątku,
Przerwie całą osnowę do naszego wątku.
Proś, niech bywa pod okny, dla naradzania się
Jak prędko być to może i o którym czasie.
Uczyniła zadosyć rozkazowi panna
Pani swojej, bo skoro oschła rosa ranna,
Zabrawszy co droższego, szkatułę wyprząta
Zwyczajem tych co kradną, uwija się, krząta;
Wybiega do ogrodu. Za szczęścia powodem
Znalazła Aurelego pod cyprysu chłodem
W takowem zamyśleniu, że długo czekała,
Nim do niego mówiąca, odpowiedź słyszała:
A skądże Bóg prowadzi Edysso kochana?
Tak pannie imię było, znać pięknego rana
Chcesz zażyć, rzecze do niej Aurelian smutny, —
Czy mi łaskawy wyrok niesiesz, czy okrutny
Od twojej i od mojej pani? lub by trzeba
Zemsty szukać za moją niewolą u nieba?
Zapomniała o więźniu gdy sama w rozkoszy,
Ale Bóg jej zamysły wyniosłe rozproszy.

Zastała mię w ogrodzie, wszak z tobą wraz była,
Słyszałaś w krótkich słowach, co do mnie mówiła.
Doznałem fałszywego jej politowania:
Jam pod oknem, a ona, firanką zasłania. —
O Aureli w złym sobie wystawiasz abrysie
Teolidę, tegoż się dostaje Edyssie
Żeśmy obie zdrajczynie? odrzuć te chimery!
Ze złością panna powie, zdobywszy cholery,
Czy możesz to w swej głowie rozumnej pomieścić,
Żeby w wspólnej niewoli będąc mógł się pieścić
Kto z kim, bo czując, że jest w więzienia zagrodzie,
O karesach nie myśli, raczej o swobodzie.
Nie sądź źle mojej księżny, bo grzeszysz śmiertelnie,
Nie tu czas powiedzieć ci o wszystkiem rzetelnie.
Odbierz to, coć oddaję, schowaj kędy możesz;
Będziesz wiedział jak sobie i nam dopomożesz.
Gdy dziś pod okno przyjdziesz, rozmówi się sama
Księżna z tobą, gdzie ma być do wyjścia stąd brama
Opowie i da sposób. Odchodzę, zdrów bywaj
Aureli, Teolidy łaski się spodziewaj!
Pocieszony niewolnik każdy, co nim chwieje
Wiara że do wolności utracił nadzieje.
Miłość tylko została hrabi w pewnym zysku,
Ta za kordyał stanie w niewoli ucisku.
Czeka południa, czeka wieczornego zmierzchu,
Patrzy w strony, czy go kto nie potrzeże z wierzchu.
Niemiłe przy zachodzie słoneczne promienie
Temu co pragnął światła, teraz woli cienie.
Tak hrabia niecierpliwy, pilnując do zmroku
Z ufnością, że się księżny łaskawemu oku
Stawi jako kazała, w czem nie zawiedziony
W nadziei, widzi panią w oknie bez zasłony,
Która rzecze: nie można z sobą długo gadać,
Ja swych, ty wzajem twoich przypadków powiadać.

Krótko mówię, myśl hrabio jak się stąd wydobyć;
Wiem co teraz jest, ale nie wiem co może być
Za powstaniem z choroby króla w prędkiej chwili,
Któż wie czyli się miłość, w złość dziś nie przesili,
Co dotąd, delikatny traktament cukruje,
Jutro gorzkim likworem z kupka poczęstuje.
Wyprawionej odemnie do ciebie Edysy
Wymawiałeś że w mojej osobie kaprysy
Znajdują się, gdym okno nieznacznie firanką
Zasłaniała, król w ten czas ze mną jak z kochanką
Gadał o swem kochaniu; jam drżała jak ryba
Żeby cię nie wydała krzyształowa szyba.
Spytany był byś po co pod oknem wystawasz;
Znać że się z kim w rozmowy podejrzane wdawasz.
Zważ że hrabio skąd mogłam zaciągnąć otuchy,
Bym siebie nie zgubiła a ciebie w łańcuchy
Nie wplątać, naucz że się jak na zimne dmuchać,
Raz sparzony gorących pasyi nie chciej słuchać.
Idź z Bogiem, miej w sekrecie co odemnie słyszysz,
Ja nie dawno, ty dawniej w więzach króla dyszysz.
Masz złota podostatku pomyśl o swobodzie,
Lecz miarkuj czyli można płynąć przeciw wodzie.
Niebezpieczność Aurelli u mych okien bywać,
Ani fruktów, ani ziół, tak jak czynisz zrywać.
Przez Edyssę mów ze mną choć nie każdego dnia.
Bądź blisko, kiedy łuny zaświeci pochodnia. —
Ten dyskurs z hrabią w wieczór kończy Teolida.
Król przy życzeniu nocy dobrej słowa przyda
Paziowi: powiedz księżnie, że się jutro stawię
Sam z dobrym dniem, gdym zdrowszy, i z nią się zabawię.
Przyjęła ten komplement, lubo nie był miły,
Mówiąc: gdy słabość króla bogowie zmocniły,
Cieszę się i czekam go zdrowego powitać,
Byle nie tak zbyt rano kiedy zacznie świtać.

Rachuje król godziny, nie śpiąc od północy
Miłość serce posila, w nogach mało mocy.
    Gorączką osłabiony, jednak z łóżka wstaje,
    Nikomu swej choroby poznania nie daje.
Wstęp wolny do pokoju Teolidy gdy ma,
Za pomyślny rokuje i tak o niej trzyma,
    Że zmienioną twarz widząc, oczu żywość która
    Była przedtem, litość jej stanie za doktora.
Ale księżna przy zwykłej swojej modestyi
Wita króla, nie pyta choroby racyi.
    Zdrowia mu życzy, oraz żeby się warował
    Przyczyn szkodzących, odtąd więcej nie chorował. —
Przeraziły te słowa pana uszczypliwe;
Rzecze: czy fata dni mych tak są nieszczęśliwe,
    Czy planeta pod którą bogi rozkazali
    Rodzić mi się, w twych oczach monstrum pokazali.
Wiem, że monarchą jestem i Persyą rządzę,
Żem nie szpetny, że rozum mam, w skarbach pieniądze;
    Jednak ubogim jestem, gdy mną miłość gardzi,
    Serce tej którą kocham, nad kamień zatwardzi.
Wiem ktoś jest Teolido, głośna o tem fama,
Boś się w moim ogrodzie osławiła sama;
    Żeś córką najwyższego w wojsku generała,
    Żeś piękną, żeś rozumną, a w uporze trwała.
Tego nie wiem, czyś panną, wdową czy mężatką,
Czy Dyanna twą siostrą, a Junona matką?
    O gdybyś należała cząstką do Cyprydy,
    Prędzej by król dostąpił łaski Teolidy!
Tron mój, koronę, berło i samego siebie
Pod rządy twoje oddam! o wodzie, o chlebie
    Rok cały pościć będę, choć postu nie lubię!
    Pozwól niech za dni kilka z tobą się zaślubię.
Dajęć czas do rozmysłu, póki miłość panią
Mną rządząca i póki tego mi nie zganią

Że cierpię. Naostatek chociaż cię urażę,
Z tym umysłem odchodzę, że swego dokażę. —
Ach Edysso słyszałaś, z strachem księżna rzecze,
Słowa króla nad ostre przechodzące miecze?
Tu plac śmierci lub życia potrzeba obierać:
Czy życie kochać, czyli wraz z cnotą umierać!
O nieszczęście, któreś mię w dom królewski wniosło,
W pręciku zasadzone, drzewemeś wyrosło!
Jam to przy mej młodości sądziła rozrywką
Że się wszystko utai pod małą pokrywką;
Ale widzę: nie trzeba rzeczy większych czekać,
Z mniejszem lepiej, a wcześnie od złego uciekać.
Chciej się proszę Edysso w chyżości zakrzątnąć,
Żeby blizką zawadę na trakcie uprzątnąć.
Wybież, nie czekaj nocy, nie bój się przypadków,
Jakbyś dla mnie w ogrodzie chciała narwać kwiatków.
Zrywaj je, a upatruj Aurelego z boku,
Opowiedz o ostatniem głupstwie króla kroku. —
Odwagę z sobą panna ma za przewodnika,
Tylko co wyszła już się z Aurelim spotyka.
Schyla głowę, zioła rwie na jakie napada,
Co się dzieje nieznacznie hrabi opowiada.
On rzecze: mam wiadomość od moich przyjaciół
Na czem się król uparty w woli swojej zaciął;
Otwarcie o tem mówi, że kto polityką
Nie wskóra, prędzej weźmie grubijaństw praktyką.
Wyglądam tu od dwóch dni którą z was dwóch zoczę,
To pod okna przystąpię, to pod szpaler zboczę,
Chcąc uwiadomić, że mam ujścia sposób taki:
Kędy naszej ucieczki zasypane szlaki
Od piasków zaraz będą, — ten kraj niemi słynie,
Kto się wczas wiatru puści, jak na morzu zginie.
Same tylko wielbłądy swojemi kopyty
Lekkiem stąpaniem czynią ślad piaskiem zakryty;

Mam ich trzy zapłaconych. Dość wielkie ciężary
Na grzbiet biorą, byle im nad ładunek miary
Nie przebrać, bo nie wstanie, ale klęczy póki
Nie ulżą mu przez wagę umniejszone juki.
Więc Edysso opowiedz dzisiaj Teolidzie
I spytaj czy do skutku zamysł rychło przydzie;
Wszak wie co ją najdalej za cztery dni czeka.
Albo niech tu zostanie, albo niech ucieka.
Upatrzyłem w ogrodzie miejce na schowanie
Rzeczy, które poznosisz, drogie czyli tanie.
Co do wygody waszej sądzisz potrzebnego,
To wszystko popakuję wieczora jednego,
Na drugą noc wielbłądy cicho podprowadzę,
W lasku bliskim ogroda te zbiory osadzę,
A gdy wszelka gotowość będzie, ja w kąciku
Pod oknem waszym stojąc, zagram na fleciku.
Wychodźcież niemieszkanie przez tę galeryą
Prosto w ogród, gdzie schody nieznaczne się kryją;
Ty wiesz o nich Edysso, nikt was tam nie spotka;
Drzwi otwarte, choć przy nich wielka wisi kłodka.
Więcej nie mam co mówić z tobą, bo dość czasu
Opóźniłem w godzinie naszego kompasu.
Idź, powiedz, coś słyszała, Teolidy wola
Czy być wolną, czy znosić niezbytego mola. —
Zaledwo słów hrabiego panna dosłuchała,
Spiesznie biegnąc o wszystkiem księżnie powiedziała.
Zalęknione obiedwie, tylko w Boże cuda
Ufają, że się sztuka ich swobody uda.
Płacząca Teolida Edyssę przytuli
Do serca, mówiąc: gdybym o jednej koszuli
Została przy ubóstwie, na pół ją rozdzielę
Dla ciebie przyjaciółko, przysięgam ci śmiele,
Zdaję wszystko na ciebie, zażyjże roztropnie
Czasu sposobność, nim król płochy żądzy dopnie.

W twoich ręku mój honor, zbiór i życie własne.
Wynoś, co możesz zdołać, a ja trochę zasnę.
Spij moja księżno, rzecze Edyssa, nie dłużej
Nad dwie godzin, póki nam światło Luny służy.
Zasłania w łóżku panią, żeby nie słyszała
Gdy się panna jak Cyga wartka uwijała,
A słysząc że Aureli blisko muru wzdycha,
Otworzy okna, co być mogło przez nie spycha,
Ile bez czego trudno obejść się w podroży,
Rzeczmi kosztowniejszemi kieszenie nałoży.
Hrabia zbiera tłomoki, przez ulice wlecze,
Drży jeżeli kto z boku zbiegów nie dociecze.
Składa na dwa wielbłądy co cięższego sądził,
A na trzecim wygodne siedzenie sporządził.
Słowu zadość czyniący przez flet się odzywa,
Teolidy nie budząc; czułość sen przerywa.
Skoczy nie rozebrana z pościeli na nogi:
Edysso rzecze, czy czas już jest naszej drogi?
Czas moja księżno, dobrze żem cię nie budziła,
Kiedyś sama nad sobą czułym stróżem była.
Wychodźmy gdy przez ganki mamy trakt otwarty,
Bóg zaślepi, snem zmorzy rozstawione warty.
Wbiegły w ogród perskiego króla niewolnice,
Zasłoniwszy twarz, głowę, w gęste bawełnice.
Strach omylny przewodnik, kilka dróg wskazuje
Temu, co jak pierzchliwy zwierz, sieć blisko czuje.
Atoli hrabia czekał na lękliwą łanią,
Chwyta obiema ręki i pannę i panią.
Prowadzi w lasek, kędy do drzew uwiązane
Wielbłądy w pogotowiu są obładowane.
Wsiądzie każdy na swego i razem się ruszą;
Jakoby ciał pozbywszy uciekają z duszą.
Tak lekkie czują owych wielbłądów stąpania,
Rozumiejąc że je wiatr przyjemny pogania.

Błędną drogą piaseczne przebywają morze;
Nic nie mówią do siebie, aż jutrzenka w zbiorze
    Czystych swoich promieni, poprzedzi nadzieje
    Słońca wschodu, co ludzi podróżnych ogrzeje,
Oraz trakt niewiadomy w prawdziwym kompasie
Pokaże, w którym jak kto chce się rządzić czasie,
    Odpocząć czy pracować, potrzeba wyciąga:
    Czcij Boga, wlep źrenicę w cudnego okrąga.
Jakoż ta kompania widząc przyjście Feba,
Dopiero mówić zacznie, że własna potrzeba
    Ukrywa ich w ciemności, gdyby światłem słońce
    Ślad wydało za niemi przepłacone gońce.
Zalana łzami rzecze Teolida hrabi:
Dokąd że mię twój zamysł zaplątaną wabi,
    Ja i ty w kraj Persanów jesteśmy przychodni,
    Wśród dnia do prowadzenia trzeba nam pochodni;
W znajomość, a dopieroż w przyjaciół ubodzy
Ja i ty, szczęście samo trzyma nas na wodzy.
    Gościeniec ominąwszy, a ślepe manowce
    Tam wprowadzą, gdzie strzegą rozstawieni łowce!
Z respektem na to księżnie odpowie Aureli:
Któż się tonący, brzytwy chwycić nie ośmieli?
    Wspomniej kiedyś tonęła, chcąc ujść śmierci haka,
    Prostego za koszulę chwytałaś rybaka.
A czemuż teraz w Bogu ufności nie złożyć,
Który, gdy chce, umarłym ludziom każe ożyć.
    Kamienie by gadały, gdyby im pozwolił
    Twardość ich do swej chwały dobrocią zniewolił.
Nam dogodzić nie może, rozumnym zwierzętom,
Królom dając korony, a mitry książętom.
    Jakąż ma wdzięczność za to, za ojcowską pieczą?
    Lada przeciwność zmartwi, alić mu złorzeczą.
Z dwojga złego ja i ty księżno tej podroży
Obraliśmy ucieczkę, nim na nas nie włoży

Król perski ciężar gruby: mnie turma z łańcuchy
Tobie w grzechu z nim żyjąc, umierać bez skruchy.
Puśćmyż się na opatrzną, Boga wolą, radę,
W niej pani miej nadzieję, wątpliwości wadę
Odrzuć a uznasz że Ten, tam cię zaprowadzi
W blizkiem siebie mieszkaniu, z cnotami osadzi,
A teraz w tę otwartą jak w sklep wejdźmy skałę,
Przed nią wiszące frukta widzimy dojrzałe.
Posilemy żołądki, wielbłądy na paszą
Puszczę, niechaj cię pryskiem swym przykrym nie straszą.
Uspokojona księżna wewnętrznie powtarza
Słowa hrabi, że z niego ma misyonarza
Wiodącego do Boga, od próżności zraża,
Słuszną wdzięczność w swem sercu ku niemu pomnaża.
Gdy dla niej tyle cierpiał życia miłość wzgardza,
Jak król perski na zgubę jego grot zatwardza
Myślą mściwą, że zbiega ma pod swoją ręką,
Już go po ścięciu głowy w grób wlecze osęką.
Więc rzecze: mój Aureli, przyjacielu wierny,
W tej cenie jesteś u mnie co kamień probierny.
Tyś brząkał żelaznemi na ten czas okowy,
Kiedy mię król kochając stroił w złotogłowy.
Dajesz i teraz próbę, nie w fałszywem złocie;
Winnam póki duch we mnie przyznać twojej cnocie,
Żeś w szczęściu i nieszczęściu przyjaciel dowodny,
Świat w potomny wiek wpisze, gdyś uczczenia godny.
Już że mnie prowadź dokąd Bóg nam trakt pokaże,
Upewniam że cię myślą, mową, nie urażę.
Wzdychania pochodzące z bojaźni odrzucę,
W wesołość się przybiorę, niczem nie zasmucę.
Dopiero duch w hrabiego wstąpił, że swej zrzędy
Teolida zaniecha, choć sam nie wie kędy
Miejsce ich osiadłości, mocna ufność, wiara
W Bogu, Ten o bezpieczny kącik się wystara.

Tak tydzień cały jadąc, w dzień po skałach kryją,
W nocy w dalszej podróży, zdrową aurą żyją.
 Bo zazwyczaj w jaskiniach wilgoć, chłód, przebywa
 I wszędzie kędy promień słońca niedogrzywa.
Post, choć nienakazany zachowują ścisły;
Oni nie śpią, ale snem zmorzone ich zmysły
 Spokojne, bo w ciemności lasów gęstych ciszy
 Oko nic nie obaczy, ucho nie usłyszy;
Ręka choć się zchylonej dotyka gałęzi,
Z gniewem, nie z gustem rękaw od suknie uwięzi.
 Resztę zmysłów omijam, co ich nie rozumiem,
 Ani znam, czy są grzechem, rozsądzić nie umiem.
Ostatnią noc, gdy kończą, okropna pustynia
Kończy dzikość błądzącym, nadziei przyczynia
 Że już w kraj inszy wchodzą, skał piasków i borów
 Ciemnych nie masz, do dobrych biorą się humorów.
Znajdą miejsce rozkoszne, frukta delikatne,
Obfite w drzew wysokość, rodzaje wydatne;
 Równiny bez pagórków, kwiaty zapach czynią
 W pięknych łąkach tu którąś wieńczyły boginią!
Czy tu Apollo z siostrą Dyanną polował,
Czy Jowisz swej Junonie w tem miejscu ślubował,
 Czy muzy z parnassowej góry, gdy schodziły,
 Tu się chłodząc, bukiety, wieńce z kwiatów wiły.
Nie można opowiedzieć i opisać kraju
Nad to, że jest podobien do ziemskiego raju,
 Lub w nim nie masz Adama ni Ewy nie widać,
 Musieli się gdzie ukryć, za przestępstwo wstydać.
Dobrze tu moja księżno, rzecze jej Aureli,
Kiedy i ciebie i nas to miejsce weseli;
 Ale fruktami tylko żyć, posiłek mały.
 Żołądki nasze w dwóch dniach jużby osłabiały.
Trzeba nam za opatrzną Boga iść przewodnią,
Postępować za Jego światłości pochodnią.

Ruszmy się z miejsc rozkoszy, poszukajmy kędy
Ten stawi, co miarkuje drożysk naszych błędy.
Edyssa wygłodniała, z Aurrelim przestawa
W zdaniu, że nie jest miła dla słabych zabawa,
Drugi tydzień nie jedząc, chleba ani mięsa.
Jedźmy dalej, po postach nastąpi dyspensa.
Ta rzetelność Edyssy Teolidę cieszy,
Rozśmieje się i uzna prawdę, że nie grzeszy
Przeciw jej respektowi, bo głodny o chlebie
Gada, i panu służyć nie umie w potrzebie.
Wnet mowę obróciła księżna do hrabiego:
Ty jesteś opiekunem tułactwa mojego;
Staw mię, gdzieć instynkt każe, w którą stronę radzi,
Prośmy nieba niech nas tam jako chce osadzi.
Rączo pobiegł Aureli po wielbłądy, które
Na dobrej będąc paszy, do drogi nie skore,
Ale kiedy korbaczem leniwców przepłoszy,
Choć nie chcą, jednak muszą porzucić rozkoszy.
I tak jeden przed księżną z swym podwójnym garbem
Klęknął, wiedząc że z drogim pójdzie w podróż skarbem.
Edyssa na drugiego ledwie z pniaka wsiadła:
Mniej mię ten szłapak waży nad księżnę, i zgadła.
Aureli jako szybki na wielbłąda skoczył,
Wprzód rzeczy pozbierane, co prędzej potroczył,
Rad z miejsca ruszyć, ale klin ma w głowę wbity:
Gdzie sobie powierzone złoży depozyty?
Wyprzedza księżnę hrabia, jakby umówioną
Miał z kim pewność, którą się ma obrócić stroną.
Im dalej jedzie, tem mu ochoty przybywa
Spieszyć, lub go na nocleg prosząc nikt nie wzywa.
Alić samym wieczorem jadącym po chłodzie
Pokaże się domeczek przy słońca zachodzie
Wybielony jako śnieg, blask w oczy uderzy,
Właśnie gdy promień w samą źrzenicę wymierzy

Pomału postępuje nie śmiąc zbliska natrzeć, —
Zdaleka rzeczom takim trzeba się przypatrzeć.
    Któż wie, rzecze Aureli, jakich ludzi schadzka
    W tym domu, choć tak miłym, złośliwa zasadzka?
Stoją długo w gęstwinie, lecz z swych rosłych koni
Widzieć mogą, kto kogo łapie, kto się broni.
    Więc sądząc, że spokojność sobie tu mieszkanie
    Obrała w ślicznym gaju, bojaźń w nich ustanie.
Pieszo idąc obaczą parkan z pięknej róży
Wkoło domku, który im wszystko dobre wróży.
    Ogródek pełen kwiatów pnących się po dachu,
    Z których całe powietrze nabrało zapachu.
A kiedy już dzień mijał, noc kwapiła z mrokiem,
Chciwym się dotąd martwią ciekawości wzrokiem:
    Kto też z tego mieszkania pierwszy nas obaczy,
    I błądzących na nocleg ludzkością uraczy?
Ledwo co o tem mówić zaczęli, aż piękną
Panią w podeszłym wieku, widząc ją, zalękną,
    Czy nie bałwochwalnica wieszczka, tu swe szepty
    Z czartem czyniąc piekielne rozdaje recepty?
Omyleni w sądzeniu, czego już żałują,
Pełną bogomyślności osobę znajdują
    Wzdychającą do nieba, ręce, oczy w górę
    Wznoszącą, świętej pani wyraża posturę.
I czegoż się obawiać, rzecze księżna hrabi,
Wejdźmy w domek, który nas wzmocni, nie osłabi
    W wierze cośmy ją w perskim państwie naruszyli,
    Z pogany odszczepieńcy, jedno z niemi byli.
Ja pierwsza do zamkniętej furtki krok odważę,
Kołatać będę, póki nam się nie pokaże
    Ta, co ją choć nie twarzą do nas obróconą
    Widzimy, ale pełną cnot jawnych matroną.
Tak było, bo gdy księżna kilkakroć zapuka
W mocne drzwi, gospodynią strach wnętrzny zahuka

Że nie wie co ma czynić, lat kilka tu siedząc,
O żadnym tu przechodniu ni zabójcy wiedząc.
Uzbrojona ufnością w Bogu, że włos z głowy
Nie spadnie mężnym, a cóż białogłowy
Siła nad list jesienny nietrwalsza, cóż wskóra
Gdy z woli Jego puści najtęższa zapora.
Otworzy z strachem furtę, noc jej ciemna nieda
Rozeznać jaka w dom jej cichy weszła bieda.
Osób trzy nieznajomych wpuści na podwórze,
Woła na sługę: rozświeć, wszak już zgasły zorze.
Zaprasza w dalsze wejście gości lub nie chcąca
Mieć ich, ale gdy świeca na stole świecąca
Objaśni piękny pokój w czystym ochędóstwie,
Naucza jak porządnie można żyć w ubóstwie.
Coś dziwnego się stało, z ciał czworga struktury:
W niemych posągach stoją zmienione marmury,
Z miejsca żadne nie ruszy, jednak każdy czuje
Żywość w oczach, gdy jedno, w drugie się wpatruje.—
Jak strzała natężona wylot w górę sili,
Tak Teolida szybko, do swojej Akwilli
Leci skrzydły orlemi, szyję jej obciąży,
Z obu rąk jak więc dziecko wkoło matki krąży.
Zalękniona, że karę taką przyjąć musi
Od nieznanej, która ją nie z miłości dusi —
Ale kiedy imieniem Akwillę nazywa,
Całując członki twarzy, ust swych nie odrywa,
Wstąpił duch osłabiony w panią tego domu,
Bo jak z piorunowego ochłoda pogromu,
Gdy ją księżna z serdecznych uścisków uwalnia,
Spadła z oczu Akwilli przy świetle tuwalnia,
Pozna swą Teolidę z wzrostu, z pięknej twarzy,
Rzecze: czy się nie śpiącej mnie widzenie marzy?
Przebóg, niech wiem, wszak jesteś Alcydona żoną,
Co tu czynisz? pod jaką stan kryjesz zasłoną?



D. CHODOWIECKI DEL.

Własność Biblioteki im.
Gwalb. Pawlikowskiego

Patrzy na to Aureli, Edyssa wpół żywa,
Myśląc: coś się za scena nowa nam odkrywa!
    Ci oboje nie znawszy Akwilli, tylko to
    Słyszeli że ją księżna ważyła nad złoto,
A chcąc ułatwić owych myśli pracowite:
Wiedz Aureli, Edysso, że w sercu wyryte
    Mam imię mej Akwilli którą tu cudownem
    Zrządzeniem Boga doszłam, natchnieniem duchownem.
Matka to moja, co mię choć nie urodziła,
Ale mego sieroctwa opiekunką była,
    Cnot ucząc chrześcijańskich, jak mam żyć przy dworze
    Mej macochy, więcej wiem od niej niż w klasztorze.
Podziękujcie jej za mnie Edysso, Aureli,
Niech się wasze i moje serce uweseli
    Żeśmy tę świętą panią wynaleźli cudem,
    A rozstali z bolesnym Persyanów ludem.
Przerwie mowę Akwilla księżny, oraz prosi
O dobry humor, gdy jej na płacz się zanosi:
    Nie smuć mię Teolido, bo mój domek samą
    Wesołością napełnion, troskliwych za bramą
Zostawia, tu nie wpuści, więc i ty czasowi
Zostaw na potem, co się teraz nie wymówi.
    Kolacya gotowa, salka otworzona,
    Nie książęcym, ubogim meblem ozdobiona.
Znajdą stolik nakryty na cztery osoby,
Obrus, serwety, jak śnieg białe, ale ktoby
    Porządek w domu trzymał, nikt się nie pokaże,
    Póki pani przez okno dać jeść nie rozkaże.
Przychodzą dwie dzieweczki chędogo ubrane,
Dwie ciepłych potraw niosąc, dobrze zgotowane
    Być musiały, bo zapach z nich głodem zmożonych
    Posilił nad kordyał, w siłach osłabionych!
A dopieroż zasiadłszy, skoro skosztowali
Wybór smaków, prosić się by jedli nie dali.

Owszem patrzą, czy niosą co jeszcze z kuchenki,
Aż tylko na talerzach, migdały, rodzenki.
Przeprasza gospodyni, za szczupłą wieczerzą:
Wszak na noc doktorowie łutem jeść odmierzą
Żołądki przemożone, nie za apetytem
Iść mają, ale rozum niechaj będzie przytem.
Jutro jeśli nam Bóg da doczekać obiadu,
Posilę was z opatrznej ręki Jego składu.
Teraz bierzcie się na wczas, pokoik osobny
Dla każdego, choć mały, bo mój domek drobny. —
Weźmie księżnę za rękę i tam zaprowadzi
Gdzie cichość, gdzie jej komar, mucha nie zawadzi.
Śpij pani moja, ja ci dobrą noc powiadam,
A sama na pacierze zwyczajnie zasiadam.
Z rana o której każesz godzinie się stawić
Daj znać przez pannę, żebym umiała cię bawić
Powieścią, co mnie w ten kraj cudzy za przyczyną
Zciągnęła dla miłości jedynego syna,
O którymeś odemnie słyszała wielekroć.
Wzbudź pamięć, a na moją prawdę ucho obróć,
Żem syna miała, żem go jak matka kochała,
Czy żyje, czyli zginął, po świeciem szukała.
Ty mnie też moja księżno ciekawość zupełnie
Poskromisz, gdy mi twoje przypadki rzetelnie
Wyznasz, a tak ja i ty spokojnie zaśniemy,
Choć bez zysku, — korzyść z łez jutro odbierzemy,
Zamiast gdzie w miłym domu, trosk, niewczasów, praca
Być miała końcem, — księżna często się przewraca
Z boku na bok, to wzdycha, to mżąc z sobą gada,
Słowa niezrozumiane przed snem opowiada;
Budzi Edyssę która przez niedziel trzy miętko
Nie spiąc, prócz darnia, ocknąć nie może się prędko;
Rozespana, nie pozna pani swej, więc łaje:
Ej któż z dobrej pościeli, przed świtaniem wstaje!

Wstań kochana Edysso, wszak sobie nagrodzisz
Wczasem dalszym, ale mnie niespiący dogodzisz,
Gdy pójdziesz do Akwilli która na tem trawi
Dni i nocy, bo z Bogiem modląca się bawi.
Proś jej do mnie; — i tylko co tych słów domawia,
Akwilla bez proszenia nogi za próg stawia.
Dobry dzień moja księżno, ale noc podobno
Nie dobrą miałaś, młodą będąc spisz osobno.
Przybliż się matko moja, niech cię ucałuję,
W tobie jednej smak pociech, po gorżkościach czuję.
O nieba, jako żeście w rządzeniu cudowne!
Po smutkach obmyślacie, wesela nie równe
Naszym niecierpliwościom bliskim do rozpaczy,
Gdy giniemy, Bóg nami kieruje inaczej.
Gdy się pogrążonymi znajdujemy w toni,
Bóg nas jak ojciec dzieci piastuje na dłoni.
Zacznie księżna Akwilli powiadać porządkiem,
Że jej zamęście wszelkich kłopotów początkiem.
W zgryzotach żyjąc czyliż nie jest krwi zepsuciem,
Młodych lat upłynieniem, żywszych sił otruciem?
Pamiętasz, com na pierwszym wstępie ucierpiała,
Gdym w prośbie mojej skutku żadnego na miała,
Życząc mieć cię przy sobie, jako matkę prawie,
Dla poprawy młodości mej, a dobrej sławie
W pożyciu z mężem, bo nas ojciec w niedojrzałych
Latach spuścił na ludzi w poczciwość niedbałych,
Którzy pełni podchlebstwa pana, w zabrat wzięli
Mię, że młodością gardząc wnet znienawidzieli.
I tak dalszą wiadomość obrotów swych daje
Księżna Akwilli, co ją w cudze wniosło kraje,
Historyczne przypadki jako z karty czyta,
Wzajem swej przyjaciółki, co tu robi, pyta.
Ah! moja Teolido jeżeli pozwolisz
Zwać cię własnem imieniem, afekt mój zniewolisz,

Ku sobie miłość dawną w sercu mojem wzniecisz,
Kiedy nie w mitrze domek ubogi rozświecisz,
I posłuchasz, gdy każesz mówić mi, to co wiem,
Przybierz uszy w cierpliwość, choć krótko opowiem
Przyczynę w tej pustyni mojego mieszkania,
Które mię od kłopotów światowych zasłania.
Możesz pamiętać imię syna mego, co go
Łzami po śmierci mężą opłaciłam drogo;
Ten zastaw zostawiony po ojcowskiej zgubie
W rozum rósł, nie mniej w cnoty, jak skarbem się chlubię.
Wiesz odemnie że zginął będąc dzieckiem w szkole;
Sztylet wskroś macierzyńskie serce rani, kole;
Nie wiedząc gdzie się podział ja w nadziejach próżnych
Szukam go u przyjaciół, i po miejscach różnych.
Myśl łudziłam, że musiał z drugiemi chłopięty
W kompanii na ucztę wieczerzy pojęty.
Ale kiedy nazajutrz nie widać Espala,
Żal, miłość, serce matki, pochodnią rozpala;
Szukać syna po mieście, trąbić, obwoływać,
Każąc, czy z wiadomością ktoby się odzywać
Nie odważył, kędy jest, kto widział, kto słyszał,
Czy zabity, czy porwan, gdzieś w ukryciu dyszał.
Nikt ust swych nie otworzył, milcząc nikt nie trunie.
Mnie dopiero łez potok z obu oczu lunie,
Serce prasą ściśnione, żal kroplami sączy.
Krzyczę: niech goniec śmierci przybywa mi rączy!
Jużbym była w rozpaczy zginęła na duszy,
Gdy mię prośba macochy twej domu wyruszy!
Żebym przy tobie była. O! słodka pamięci
Życia mego wraz z tobą, co mię dotąd nęci.
Zapomniałam o synu moim jedynaku,
Po zginionym już żalu nie uczułam znaku,
Tak mię Bóg Teolido do ciebie przylepił,
Że miłość naturalną w niepamięć zasklepił.

Ale skoro gwałtowne fakcye natarły,
Z rąk mi cię moja księżno wraz z sercem wydarły,
Jako stara orlica pióra z skrzydeł ronię,
Syna nie mam i ciebie lotem nie dogonię!
Dopiero mię śmiertelna tęsknica napada,
Za niedbałość o synu w skrupułach dojada.
Że krew swą lekceważę, mąż mój woła z grobu:
Akwillo szukaj syna, a znajdziesz nas obu!
Sen to był czyli prawda, dosyć że mię strwożył
Głos męża że tak mocny rozkaz na mnie włożył.
Zabieram się w podróżą, nie wiem dokąd zmierzam,
I nawet przyjaciołom myśli nie powierzam.
Na szczególną opatrzność Boga jak na morze
Puszczam los mój, w zupełnej ku Niemu pokorze,
Niech dróg mych błędne szlaki dokąd chce kieruje,
Wszak niebo szukającym gościniec skazuje...
Już o mil kilkadziesiąt spotykam pielgrzyma,
Ten w jasnoświetnej ręce kartę jakąś trzyma;
Oddał mi ją, ja zacznę czytać charaktery, —
Wnet zniknął, więc cudowny musiał być Ksawery.
Zamiast pieczęci pierścień na karcie przyłożył,
Co mu go już po śmierci król na palec włożył,
Ten mi drogę wskazywał jak kompas magnetem.
Iść kazał za przewodem, tym drogim sygnetem.
Stanęłam na tem miejscu kędy mię znajdujesz.
Dopiero cud Ksawera w swym sercu uczujesz
Nademną, kiedy mi się powtórnie wyjawił
Kto jest, w tym samym stroju z pół kwadransa bawił
Mówiąc: Akwillo, syn twój już nie żyw, więc próżny
Umysł szukać go, lecz gdy do mnie był nabożny,
Jest w niebie, ty zaś w mojej będąca opiece
Wiesz, że cię Opatrzności najwyższe zalecę.
Znowu zniknął, jam znowu padła na trawniku krzyżem,
Słyszę że ktoś blizko mnie pędzi biegiem chyżem.

Wstanę z ziemi, a ów się nagle zastanowi.
Widzę pana, słowami temi do mnie mówi:
Wiem ktoś jest, wiem żeś wdową, sierotą ubogą,
Bóg opiekun wasz, krzyża prowadzi was drogą.
Zostań tu, bądź spokojna, ja o tobie myślę,
Do wygód, do mieszkania, sposobność ci przyślę.
Nocleg mój był pod dębem, nie widać wieczerzy;
Nie spię z głodu, aż rano namiot się rozszerzy
Biały jak śnieg, chleb, wino widzę na stoliku,
Żołądek wytrawiony czuwa na przesmyku.
Ludzie nie wiem skąd, drzewa obrobione zwożą,
W kilku dniach ten budynek od gruntu założą,
W kilku dniach cały stanął pilności zamachem,
Z drzwiami, oknami, już wierzch jest pokryty dachem.
Kaplicę ze wszystkiemi ozdobami znajdę,
Kiedy raz na pacierze rano w lasek zajdę;
Nie wiem kto ją wystawił, kto w aparat stroił?
Nakoniec Bóg ciekawość moję uspokoił.
Kapłan pełen mądrości spowiedzi mię słucha
Co tydzień, O! by do mnie ta przylgnęła skrucha
Do której dusze wiedzie świętobliwość księdza,
Zmazanaby przed Bogiem była grzechów nędza!
Już tu lat kilka mieszkam, Bóg Pawłowi kruka
Obmyślił, gdy go codzień z bułką chleba szuka.
Dla mnie trzy w namiot wnosi że mam dwie służebne,
Prócz chleba, legominy, żywności potrzebne.
Otóż masz Teolido powieść nie fałszywą
Jak wiesz jako cię kocham, jak mię widzisz żywą.
Cóż mówisz o cudownym dzisiaj Ksawierze,
Jak skuteczny kogo w swą protekcyą bierze.
Zostań tu ze mną księżno, niechciej lat utracać
W próżności, do męża się nie masz poco wracać.
Zapomniał już o tobie, lecz nikt nie wie za co,
Tyś zawsze dobrą była, on zawsze ladaco.

Już się też żal przez groble Teolidy sili,
Skoczy z łóżka, odnowi miłość do Akwili.
Przyciśnie ją do serca, całuje w jagody
O! z popiołów zrodzony, o! Fenixie młody,
Odmładzasz we mnie cnoty, które w młodym wieku
Starzały się jak w każdym, w rozkoszach człowieku.
Przecież zawsze myślałam, i często mówiłam
Z Salomonem, gdy próżność świata z nim zważyłam,
Że czas królów korony, książąt mitry zwija
W jeden kłębek z żebrakiem, spostrzegam się i ja
Iż cokolwiek pod słońcem miewa świat przestrony
Są to rzeczy znikome, i szczere mamony.
Strojów wytwornych mody, pełne garderoby
Szat bogatych, skąd dusza mało ma ozdoby.
Ciało w miękkie jedwabie, jak robaczka chować,
Tenże sam tę lepiankę będzie toczyć, psować.
Z chęcią z tobą zostanę kochana Akwilo.
Aurelina jak się zbyć, który dla mnie tylko
Łask uczynił, dla mojej miłości więzienie
Poniósł, wyrwał od Persa, gdzie pewne zginienie
Duszy mojej być miało. Życia odżałował
Odwożąc mię gdyby nas sam Bóg nie ratował.
Zważ cuda Ksawerego, że tu zaprowadził
Aurelego, wraz ze mną o twój dom zawadził.
Jakąż mu wdzięczność winnam, poradź matko moja.
Tegoż mu cudotwórcę oddam za konwoja!
Niech go szczęśliwie drogą prostą tam osadzi,
Gdzie ma chęć, gdzie mu wola najwyższa poradzi.
Dam złota ile zechce, mam też trzy wielbłądy,
Niech je weźmie, obróci w myśli swoich rządy.
Cóż ci się zdaje pani, popraw w czem się mylę,
Jak dziecko słuchać będę rozumnej Akwile.
A tobie też Edysso, powiedz coć się zdaje,
Płaczesz, żeś w nieznajome zabłądziła kraje.

Ale kiedy mię kochasz, czego jestem pewna,
Bądź trwałością z marmuru, nie bądź kruchą z drewna.
Z gniewem rzecze Edyssa: skąd ci księżno przyszło
Żeby łza z oczu, z serca utęschnienie wyszło,
Wmawiasz we mnie podobno, w słowach dajesz cięgi,
Chcesz wznowić w wiernej słudze niewinne przysięgi.
Pójdę do Aurelina, zbądź go jakoś rzekła
Racyi nie masz, na co byś mu drogę zwlekła.
Czegoż tu dłużej z nami ma kawaler bawić,
Z złotym go przewodnikiem racz w drogę wyprawić. —
Pobiegła i wprowadza hrabię do swej księżny.
Nim wszedł do niej, młot w serce uderzył potężny.
Co za rzecz nowa, sekret w bawełnę obwija,
Albo ożywi, albo do reszty dobija.
Te słowa skończąc, stanął przed księżną w tej cerze
Właśnie gdy śmierć gwałtownie kogo za kark bierze.
Oczy smutne, twarz blada, usta do ołowiu
Podobne, dusza z ciała wyjść jest w pogotowiu.
Ten widok Teolidę przez serce przestrzelił,
Pomniąc jak się w przypadkach złych z nią równie dzielił
Aureli, ale męstwo i święte zamysły
Tej pani, heroicznie w rządach żalu prysły,
Gdy mówi: słuchaj hrabio, nieśmiertelną we mnie
Znajdziesz wdzięczność, żeś kochał, cierpiał nadaremnie.
Znam to com ci powinna, ty znasz stan mej doli,
Ja wiem co ci dolega, ty wiesz co mnie boli;
Więc kiedy Bóg różnemi drogi ludzi wiedzie
Do zbawienia, toć i mnie na znikomym ledzie
Próżnych glansów nie stawia, które wiatr zepsuje,
Tego topi, co w lodach gruntu upatruje.
Osiadam tu z Akwillą, prawie z własną matką,
Zniknę światu, nie będę nieprzyjazną gadką.
Bóg, który od dziecinnych lat mych w umartwieniu
Trzyma mnie, ten o mojem pamiętny zbawieniu

Ty hrabio przyjacielu mój zdawna dowodny,
Wiem że jesteś do śmierci mej wdzięczności godny,
Ale zważ ułożoną życia mego kartę,
Sam wiesz jak dla mnie szczęście zawzięte uparte.
Jest złoto, są klejnoty, za Edyssy kluczem
Weź ile chcesz, z Akwillą pomierność przyuczem;
Do skromności w pożyciu niewiele nam trzeba,
Czego brakuje, opatrzny Bóg udzieli z nieba.
Passya Aurelina, usta zamknie kłódką.
Bądź zdrowa Teolido! pożegnanie krótką
Mową kończy, jeżeli mych zasług pamiętną
Chcesz być, bądź w łasce trwałą, a nie obojętną.
Wychodząc rękę księżny ucałował stokroć.
Ty Akwillo na mój żal, wzrok litosny obróć,
Staw portret mej miłości, pozna Teolida,
Że oddaleniem od niej hrabie na śmierć wyda.
Edyssy nie pożegnał, złota ni klejnotów
Nie wziął przez uciśnienie serdecznych obrotów.
Wielbłąda tylko, który rączym stąpał krokiem
Wywiódł cicho, wyjechał w drogę ciemnym mrokiem.
Na stoliku kamiennym, gdzie stał, wyrysował
Dwa wiersze, jak rozstania z miłością żałował:
Bądź świadkiem ty kamieniu w twardości probiernym
Że byłem, jestem i będę Teolidzie wiernym!
Nie wie księżna i nie wie gospodyni, gdzie się
Podział hrabia, bo echo rozległe po lesie
Oddaje głos wołania. W znikomej posturze
Sługa Akwilli wniosła prawdę na marmurze,
Co widząc księżna, westchnie, chustkę łzami moczy:
O jakaż zła fortuna ze mną wojnę toczy.
Tego co mi dał życie, poćciwość ocalił,
Jej impet na stracenie mizerne oddalił!
Ośmieli się Akwilla, tak do księżnej mówi:
Wybacz mi, że cię jeszcze świat na wędę łowi.

Zapomnij o Aurelim, o mężu, o krewnych,
Bo z tych masz do zbawienia przyjaciół niepewnych.
Boga kochaj, świętych chwal, w cnotach się pomnażaj,
Przyjm odemnie coć radzę, serca nie urażaj
Jak swego tak mojego, wszakże masz z praktyki:
Od męża, krewnych, od sług, znosiła krytyki.
Chcesz być w niebie, chcesz zostać ze mną przy pokucie,
Daj się Bogu wyczyścić, tak, jak kryształ w hucie.
Bądź w miłości ku niemu iskrzącym krzemieniem,
Gardź doczesnem twojego życia uciśnieniem.
Słyszałam często z twych ust co mnie budowało,
Że próżności światowe zdadzą się na mało;
Wszak króla śmierć zabrała z synem elektorem,
Arcyksiężnę, któż się chce mieniać z ich honorem?
Gdyż wszystko jak w cesarskich, tak królewskich grobach
W proch pójdzie, ani znaku nie będzie w osobach,
Które w koronach, które w mitrach pochowane,
Z wieśniakiem majestaty zabrat porównane.
Otóż masz Teolido prawdę nieomylną,
Za ten morał proszę być Akwilli przychylną.
Nie wprowadzam cię w smutek, winszuję wesela,
Gdy tobie Bóg skutecznych łask hojnie udziela.
Siedź w spokojnym kąciku, bądź z niego kontenta
Porzuć mężnie, do czego ciągnie cię ponęta,
Kochająca Akwilla swojej Teolidzie
Tak życzy, że jej rada, na dobre wynidzie.
Masz codzienny spacyer po małym ogrodzie,
Masz fontanny, masz kędy odpoczywać w chłodzie.
Masz z pięknych farb kwiat różny, masz miętkie trawniki,
Nad sobą latających ptasząt wdzięczne krzyki.
Masz drzewka dobrych fruktów, które lubisz jadać,
Masz Edyssę rozumną, co z nią możesz gadać.
Masz lasek blizki, gdzie ja chodzę na pacierze
Niech moją Teolidę w ten gaik chęć bierze.

Otwartość mego serca przyjm księżno kochana.
W okrągłości stolika choć będzie nagana,
    Miseczki nie głębokie, talerzyki małe,
    Niech się po zbytkach potraw martwi ciałko białe. —
W skromność przybrała minę, a z pilnością słucha,
Co szczerość do niej gada. Już nabiera ducha
    Być powolną tej swojej do nieba przewodni,
    Pragnie tego, gdzie święci chwalić Boga godni.
Prawdę mówisz Akwillo, lata moje młode
Wymówią mnie przed tobą. Szum biegącą wodę
    Raz piaskiem mąci, drugi kamyki podnosi.
    Wiosna, śnieg, deszcz, wiatr zimny i ciepły przynosi.
Taż młodość opiera się rzeczom wiecznie trwałym,
Za gustem swoim chodzi, aż w wieku dojrzałym
    Pozna, co ją łudziło, tem się samem brzydzi
    Gdy tysiączne zawody, w kim ufała widzi.
Ale odtąd przyrzekam kochanej Akwili,
Że ją w mem ułożeniu skutek nie omyli.
    Jak dziecię matce swojej być winno posłuszne,
    Tak ja tobie, gdzie idzie o zbawienie duszne!
Zbliżą się wraz do siebie, całują, ściskają,
Z obu stron niezawodne upewnienie mają.
    Tam zgoda, kędy cicha, mieszka gospodyni,
    Łagodnością dom rządzi, hałasów nie czyni.
— O jak kontentaś księżno z Akwilli namowy,
Jak czujesz, że spokojność jest kordyał zdrowy.
    Mieszkaj że, gdzie ci dobrze, żyj ileć lat życzę
    Przyjm od twej dawnej sługi prace hołdownicze. —

ELŻBIETA DRUŻBACKA.

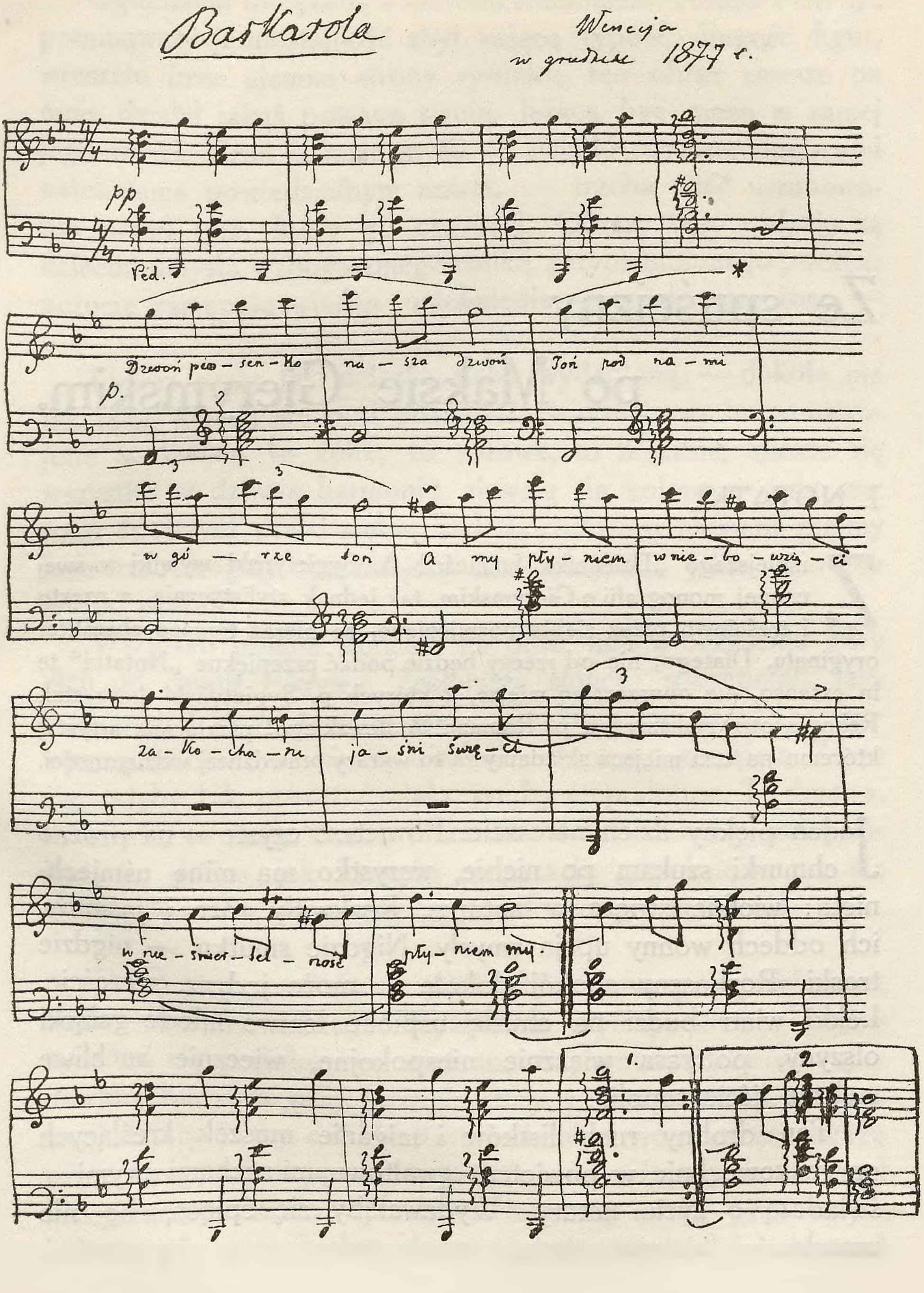
Barkarola.

Dzwoń piosenko nasza, dzwoń,
Toń pod nami, w górze toń.
A my płyniem wniebowzięci,
Zakochani, jaśni, święci,
W nieśmiertelność płyniem my!

Na lagunach nocny cień,
A nam w duszach blask i dzień —
Morze płynie, życie płynie,
Zniebieścili my pustynię
I na wieczny dążym ląd!

O miłości! tyś nie snem,
Brak twój w świecie całem złem!
Wierne nasze miłowanie
Nam za wszystkie cnoty stanie
I policzy nam je Bóg!

KORNEL UJEJSKI.


Barkarola
Wenecja w grudniu 1877 r.
Dzwoń pio - sen - ko na - sza dzwoń Toń pod na - mi
w gó - rze toń A my pły - niem w nie - bo - wzię - ci
za - ko - cha - ni ja - sni świę - ci
w nie - śmier - tel - ność pły - niem my.

Ze spuścizny po Maksie Gierymskim.

I. NOTATKI.

Z niniejszego „Dziennika“ umieścił A. Sygietyński wyjątki w swej cennej monografii o Gierymskim, tak jednak stylistycznie, a często i treściowo przez siebie pozmieniane, że nieraz tracące charakter oryginału. Dlatego, nie od rzeczy będzie podać przepiękne „Notatki“ te in extenso, nie opuszczając miejsc, z których p. Sygietyński korzystał. Rękopis otrzymaliśmy od p. Romana Padlewskiego, przyjaciela artysty, któremu na tem miejscu składamy za to wyrazy prawdziwej wdzięczności.

Jeden piękny dzień nareszcie. Powietrze czyste — na próżno chmurki szukam po niebie, wszystko ma minę uśmiechniętą; wielkie święto w naturze. Rozkwitły róże i jaśminy, ich oddech wonny upaja zmysły. Nigdzie smutku — nigdzie troski. Rozkoszny spokój dokoła — może jedyne szczęście. Lekki wiatr budzi na chwilę uśpione leniwo młode gałązki olszyny, potrząsa wiecznie niespokojne, wiecznie ruchliwe srebrne liście topoli.

Ten drobny ruch listków i miganie muszek kreślących gzygzakowe linie w powietrzu gwałtownymi ruchami swymi — świadczą o życiu natury. Wydawałaby się śpiąca, bo nie umarła. —

Oglądałem fotografię z kartonu Kaulbacha: Homer i Grecy; pominąwszy jednostajność zbyt rażącą typów, długość figur, wreszcie inne ujemne strony rysunku, ten obraz zawsze na mnie działał jakąś powagą swoją, leżącą być może w samej jego treści. Czuć jasność myśli — światło rozumu, miejscami natchnienie powiedziałbym nawet, — trzeba mieć uszanowanie przed tym, który go utworzył. Obrazy tego rodzaju są dziećmi umysłu wzbogaconego nauką, przyozdobionego poezyą; uczucie zastępuje wiedza, natchnienie — smak wyrobiony. —

. . . .

Idziesz przez łąki ścieżką słabo wydeptaną; — dokoła nic jak łąka, kiwają się pod powiewem wiatru trawy bujne ustrojone w kwiaty to żółte, to różowe, to błękitne, miesza się wszystko w dziwną harmonię, zlewają się kolory — gdy szeroko spojrzysz przed siebie, widzisz rozłożony na ziemi piękny kobierzec bogaty, piękniejszy nad wszystkie jakie człowiek zrobić potrafił.

Wszystko oblane słońcem na dole, tam w oddaleniu góry cień od chmur zakrywa. Zasłonięte słońce: sposępniały lasy i polanki, i skały tam w górze przykryły się ciemno-szafirowym płaszczem — niema uśmiechu — niema szczęścia. Zdaje się, gdyby tak pozostać miało, żyć by niepodobna. Te drzewa, te krzaki, te skały muszą drżeć na widok chmury, zakrywającej im słońce, jak lunatyki rozpaczają gdy księżyc im się skrywa. — Czy wy wiecie co to słońce, wy rozumni!

Dzień parny — słońce przez chmury na pół prześwieca, cisza — wiatru żadnego. Wyszedłem użyć spaceru; — Untermais mi się podoba; ta wieś ma fizyognomię starości. Już dawniej budynek przy kościele stary, z okratowanemi oknami, wyglądający jakby do klasztoru należał, zwrócił moją uwagę przez swoją tajemniczość; orzech włoski tuż przy ścianie nad brzegiem strumienia wyrosły, zielonością swoją przy sinym kolorze gór, przy białym domu pięknie zapełniał i kolorował

całość tego miejsca. Patrzałem nieraz na te kraty wypukłe w oknach, mówiące o dawnej egzystencyi domu. Ponurość wyrazu, jaki domowi takie ubezpieczenie okien nadawało, w dziwnej było sprzeczności z kwiatami, z pelargonią i goździkami w doniczce i kanarkiem w klatce. Kilka kroków od tego domu, ścieżką na prawo idąc, stoi Chrystus, umieszczony w rodzaju budki okratowanej. Z początku zdaje się, że to figura jak inne postawiona pobożną ręką, jakie się zwykle spostrzega przy drogach w południowych Niemczech, w Tyrolu tak bardzo katolickim; zbliżyłem się i wpatrywałem w wyraz tej postaci Chrystusowej: — w czerwonym płaszczu, z rękami związanemi, w jednej trzyma trzcinę wodną, głowa w wieniec z ciernia ubrana — wszystko tak niby, jak zwykle malują lub rzeźbią Jezusa w tej sytuacyi. Jednak, wiejski artysta włożył w ruch głowy zwisłej śród ramion i rysy samej twarzy, pomagając rzeźbie malarstwem, coś z prawdziwego znękania zupełnie po ludzku pojmowanego. Prócz płaszcza na grzbiecie, Jezus nic więcej na sobie nie ma, gołe ręce i nogi, w części piersi odkryte; i zdaje się, że mu zimno być musi, że drży stojąc tu tak dawno, gdzie wiatry dmuchają, deszcze padają nie rzadko. Jest zbity, zmordowany, korona kolczasta gniecie mu czoło, mało tego — drży z zimna. Patrząc na ten wymowny utwór imaginacyi ludu, opartej na wierze naiwnej i prostej, pomyślałem: Oto Bóg chrześcijan! gdy kto płacze, niech idzie i zobaczy jak jego pan cierpi, to mu to ulży; religia chrześcijańska służy jako chusta do obtarcia łez.

Wstąpiłem na cmentarz. Dziwne są te cmentarze niemieckie; jak zabawki dla dzieci poustawiane z żelaznych sztabek, powyginane floresy przyczepione do cienkich, na krzyż złożonych sztabek, to w ziemię utkwione, znaczą miejsca, gdzie kości nieboszczyków leżą. Dla czego nie kamień lub nie krzyżyk prosty? Wśród tych floresów umieszczona zazwyczaj blacha, na której namalowana cała rodzina, do której



D. CHODOWIECKI DEL.

Własność Biblioteki im.
Gwalb. Pawlikowskiego

ten grób i zarazem nagrobek należy. Po lewej stronie mężczyźni, po prawej kobiety klęczą ze złożonemi rękoma, wszyscy w jednakowej postawie, wszyscy do siebie podobni, choć widać że portretowani o tyle, że u tego widzisz wąsy, u tego faworyty i t. p.

Pomiędzy kobietami niema odróżnienia, chyba że ta ma fartuch niebieski z białemi centkami, tamta zielony bez centków; czyżby to ich ulubione kolory uwiecznione tak były? Cmentarz niemiecki nie wzbudza smutku, mnie on wydaje się jakby ogródek urządzony przez ogrodnika warjata, który w miejsce prawdziwych żelazne pozasadzał kwiaty. Mogiłki to zagony; na nich czasem, ale rzadko zobaczysz rosnące nieśmiertelniki.

Najpiękniejszym spacerem pod tym względem jest Marling — to wieś za Adygą tak się nazywa. Idzie się ścieżką pomiędzy dwoma wązkimi strumieniami, przez drogę słyszysz ciągły szmer i plusk delikatny zaledwie dosłyszany, woda płynie w tę stronę, w którą ty idziesz, tylko że ona płynie prędzej, zdaje się jakby jej pilno było. Gdy patrzę na ten ruch ciągły, na wicie się drobnych tych fali co snują się wężykiem — smutno mi. Czy zimno co stąd wieje, czy obojętność tej wody dla brzegów tak pięknych, gdzie rosną kwiaty żółte, niebieskie, białe, mijająca wszystkie z tym swym głuchym szmerem, co mi zdaje się mówić: wszystko mi jedno, gdy patrzę na tę przezroczystą niebieskawą smugę, smutno mi.

Po drodze gdzie spojrzysz pięknie — gdy przejdziesz Adygę, cudownie! Co o tem pisać, trzeba widzieć, i aby widzieć piękno, trzeba mieć trochę piękna w duszy.

Słońce co oświeca białe chmury, co migoce po listkach topoli, co złoci łąki, co robi góry szmaragdowemi, musi przeświecać przez duszę. Są ludzie, co są w cieniu nawet gdy im słońce w łeb pali. —

Nieraz stawałem w miejscu i po kwadransie w jeden

punkt się wpatrywałem. Com widział, miało dla mnie wyraz uśmiechniętej melancholii. Pejzaż — Ofelia.

Nie dawno przeczytałem metafizykę i innych kilka dzieł Voltaira. Oto co w jednem miejscu mówi, chcąc przekonać tych, co utrzymują, że dusza ludzka cząstką jest Boga, a jako cząstka boża nie podzielna, więc nie mniejsza od samego Boga, że dusza jest w człowieku nie lepsza co w innych zwierzętach, że dusza ta spływa wolą Boga z ojca na syna, że embryon ludzki jest duszą już obdarzony. Voltaire zaprzeczając temu tak co do rzeczy, a jeżeli nie dosłownie to w bardzo zbliżony sposób się wyraża: „Ci co utrzymują, iż dusza dostaje się embryonowi, wyobrażają sobie, iż pan Bóg czatuje ciągle........ Piękne zajęcie i piękne umieszczenie dla Boga pomiędzy kiszką odchodową a pęcherzem. A jeżeli matka nieżywe w 8 m. n. p. porodzi, gdzież się ten bóg podzieje?“ Takich miejsc jest w Voltairze więcej, nie czytałem książki tak grubym językiem pisanej.

30/V 73 r. Mały ciasny pokoik, ciasny tak, że w szerz dwa kroki, a wzdłuż może 5 albo 6 wszystkiego, proste łóżko jako tako posłane, tuż obok, bo wszystko w tej ciasnocie musi być w kupie, mały stolik, nawet szafy niema, a okno to drzwi na balkon oszklone, to moje mieszkanie w Reichenhal. Deszcz wybija w szyby jednostajnem tempem... Smutno mi tu jakoś wszystko wygląda... gdyby tak zostać miało, gdyby tak było, jak sobie przedstawiam, to umrzeć tu trzeba z nudów.

Hotel Burhut.

W nocy źle spałem, wcale zasnąć nie mogłem, głowa nabita tem, że mogłem się przeziębić, przy zimnach, jakie tu trwają nie ustawała na chwilę pracować imaginacyą. — Chciałem w nocy po doktora posłać, bo mnie lewy bok zabolał, podobnie jak to raz w Meranie było; perswadowałem sobie że

to reumatyzm, ale zdawało mi się, że słyszę burkotanie wody w boku, cóż to z reumatyzmem może mieć za związek, myślałem sobie. Próbowałem leżeć na lewym boku, burkocze przy silnem oddychaniu i kłuje, próbowałem na prawym, kłuje więcej, co tu robić? Myślałem na drugi dzień na wszelki przypadek zrobić rozporządzenie przedśmiertne, napisać do Olesia aby przyjechał pożegnać się ze mną. Wyznam że miałem trochę strachu na myśl blizkiej śmierci, uspokoiłem się na myśl co ona mi weźmie, skąd mnie wyrwie...

Trzy tygodnie blizko jak ostatni raz otworzyłem tę książkę, do zapisania w niej coś z moich marzeń. Odtąd wyzdrowiałem znacznie, wyleczyłem się nadewszystko z obaw jakie miałem ciągle mogącej przyjść recydywy. Czas jaki odtąd upłynął, nie był bardzo wesoły. C. chciał mi rozpędzać nudy i smutne myśli, a sprowadził rozstrojenie nerwów jakiego doświadczam, ile razy muszę być w towarzystwie tego człowieka, któremu miałbym do powiedzenia i do zarzucenia coś, co względy jakieś, względy nie czysto towarzyskiego życia, lecz sercowe powiedzieć nie pozwalają.

On nie wie, że mnie to kosztowało, on nie wie ile go żałuję i mam do niego sympatyi czysto naturalnej, wrodzonej, tem przykrzej mi widzieć postępowanie jego, sposób życia i myślenia, które nikt w świecie usprawiedliwić nie może, nawet sam Pan Bóg, od którego on przyszłego życia się spodziewa. Unikając powiedzenia mu jasno i kategorycznie moich przekonań, powiedziałem mu tyle jednak ile potrzeba aby zranić serce, a przynajmniej ambicyę każdego człowieka.

. . . .

Jego myśli tłómaczyłem sobie rozumem, były one jednak zawsze zagadką dla mnie; teraz znam je, nie obwiniam go o brak ambicyi ale o niesłychane lenistwo w rzeczach myśli i czynów. Jego doktryny oparte na mglistych wyobrażeniach katolicyzmu nie szczerego, tłómaczą niby życie, które u niego

podobne jest do lilii białych, które Ojciec niebieski odziewa, choć się o to nie kłopoczą. Jeżeli nasza się przyjaźń rozerwie, to niema na świecie związków ścisłych, albo też potrzeba, aby jedna strona dłużną wiecznie była drugiej. Czy podobna aby przyjaźń kupować trzeba było! Kazimierz mi ją daje za darmo — jestem mu wdzięczny. Czemu jednak tak dalecy jesteśmy od siebie, że ta przyjaźń za wszelką inną starczyć mi nie może!

Czy mogę powiedzieć że nic moralnie nie winien jestem C., czy nie wpłynął on na moje wykształcenie się jako człowieka, jako artysty? Czy bez niego byłbym tem zupełnie czem jestem, czy wydobycie pewnych zamkniętych stron umysłu i serca nie zawdzięczam jemu? Być może byłbym się sam i w innem towarzystwie rozwinął na właściwej sobie drodze, ale czy mogę zaręczyć? Czy on nie ma prawa mówić i myśleć, że mi przynosi szczęście, a że ja mu na odwrót przygotowuję zgubę. Jeśliby on się zastrzelił czy ja nie miałbym na sumieniu śmierci przyjaciela? Smutna myśl, — przerażająca!

Cóż więc, mamże iść do niego i przepraszać go, za co? czy nie najboleśniejszem dla niego było to, że mi moje myśli usłyszał, których mu nigdy z uszów nie wypędzę. Jeżeli stracił do mnie serce, stracił je bezpowrotnie.

Nieszczęściem jest gdy komu przyjdzie ochota łączyć w jedno teoryę z praktyką; życie naginać do potrzeb poetycznych, więcej żądać niż natura dała człowiekowi, niż mu dać więc mogła.

W muzyce większość nie szuka nic więcej jak rozrywki podczas wypoczynku; zabawia się nią jak fajerwerkiem i bengalskiemi ogniami, zapalonemi w ładną noc letnią. Kiedy fajerwerk się spala, nikt nie czuje żalu, że nie trwa dłużej; pękanie świetnych iskier i gaśnięcie ich sprawia przyjemność, ale dusza nie zajęta nigdy tem.

Dziwnie jest widzieć jak podobna do owych bengalskich ogni i fajerwerków, muzyka działa na ludzi. — Grobowa arya skończona — można posłuchać walca. Po Impromptu lub po Nocturnie Chopina obstalowywa się porcya befsztyku, a nim go zrobią w kuchni, nad marszem się żałobnym rozczulamy.

Verdi lubiony, bo popisuje się i jasno swoje określa uczucia, deklamuje na cały głos, ból serca im większy u niego, tem przeraźliwszy krzyk wyrzuca; w rzeczywistości jest inaczej, zastanówmy się nad tem. W chwilach wielkiego bolu serca, skarga nawet przez usta nie przejdzie, rozpacz jest posępną i milczącą.

Nikt w uniesieniu deklamatorskiem nie przyłożył sobie pistoletu do czoła. Ja myślę, że Verdi nigdy prawdziwie nie czuł, jeżeli kochał to chwilową namiętnością, jeżeli cierpiał kiedy, to mu smutek jego pewna potrzebna suma pieniędzy zawsze rozpędzić mogła.

Donizetti, Bellini to kompozytorowie aryjek, bardzo zdolni, ale nikt nie znajdzie związku między muzyką a myślą, jaką ona w ich operach wyraża. To co brzmi jak tryumfalny pochód, może być i bywa miłosnem oświadczeniem. Zdaje się, że Donizetti mógł chcieć napisać tragiczną operę, ale znalazł się tekst komiczny, to go użyć — wszystko jedno. I jest wszystko jedno dla tych co z takiem zajęciem słuchają tych aryi i cavatin popijając czekoladę lub kawę.

Meyerber kocha się w fajerwerkach, a szatańskie arye, złowrogie śpiewy, są poruszające dla ludzi, co nigdy jęku prawdziwego nie słyszeli, nigdy rzeczywistej grozy nie czuli, którym się zdaje, że szatani szatanów pożerać muszą, wydawać się okropnymi przez błyskanie białemi zębami. Na te okropności patrzy się z loży, poruszając jednostajnie wachlarzem i rozmazując na podniebieniu smaczne cukierki, pachnące kwiatami, ananasem, truskawkami. Co do mnie, muzyka Meyerbera większego zajęcia nie warta. Że jako sztuka więcej jest opracowaną w detalach niż włoskie opery, że więcej tam

harmonijnych kombinacyi, więcej technicznie ciekawych ustępów, to prawda, ale mnie się zdaje, słuchać dobrze obrobionych figur muzycznych, zawsze można z cygarem w ustach oderwawszy zaledwie oczy od gazety, traktującej o giełdzie i polityce Bismarka.

Muzyka Meyerbera przejmuje czasem dreszczem, ale nie inaczej jak po wypiciu butelki szampana.

Włosi, prócz wyrazu namiętnej miłości nic innego w muzyce nie dali. Nie mówię tego o Rossinim — ten objął życie szerzej i potrafił różny akcent położyć na różne też jego objawy. Włoch z natury pełen temperamentu, z natury namiętny, zmysłowy, nie widzi nic w świecie wyższego ani równego namiętnej miłości zmysłowej. Ponieważ jeszcze z natury ma wiele daru plastycznego pojmowania, ponieważ dobrym i najlepszym może jest aktorem, więc to co silnie czuje, tę właśnie szaloną miłość, potrafi silnie, choć może przesadnie przedstawić. Leniwy zresztą, nie umiejący myśleć, zastanawiać się, nie czuje potrzeby łączenia logicznego sytuacyi figurami odpowiedniemi muzycznemi, gotów zawsze i zdaje się najmniej przygotowany i najmniej przygotowanym słuchaczom, z całego serca wyśpiewać, wykrzyknąć patetyczną aryę, namiętną kawatinę, co kto chce. Meyerbera porównałbym do Dumasa ojca, Mendelsohna do Lamartina.

17. lipca. Wczoraj wieczorem kaszel i smak krwi w ustach i te czerwone żyłki w ślinie, wszystko to nie bardzo dobrze mi mówiło. Rano też kaszel choć nie duży i flegma gęsta. Zaziębiłem się widać czem. Czy ja nie jestem źle tu leczony? Co znaczy ten ból koło wątroby? Być może, to wszystko przejdzie, wszakże coś podobnego już miałem dawniej...

No, pojadę stąd... daj Boże najprędzej. Dowiedziałem się że długo jeszcze poczekam zanim zdrowie się wróci. Czy się wróci? Ach, jak mnie w Meranie dobrze było, pocom stamtąd spieszył się wyjeżdżać. Gdzie przeszło to błogie usposo-

bienie, to ciągłe czucie łez w oczach, te zajmowanie się czułe naturą, to rwanie się do poezyi?... Przychodziłem prędko do zdrowia, tak jak teraz ono znów odemnie prędko uchodzi! Ot wszystko. Uczucie jakiego doznawałem w pierwszym dniu w Reichenhallu, było zdaje się przepowiednią tego, jak na mnie to miejsce w przyszłości podziała. Dwa miesiące już blizko od tego czasu, a czuję się gorzej jak w pierwszym dniu. Myśl, że mam stąd wyjechać pociesza mnie, — z jakąż radością pozbędę się widoku tych miejsc, tych gór przeklętych, co zdają się być tak samolubnie niewzruszone, jak Niemcy ich wielbiciele, jak te okazy, które widzę codzień przy stole!...

Najpewniejszą rzeczą w życiu, to zawody, które nas mają spotkać. Chyba nie było człowieka, któremu by się wszystko według woli, życzeń, zamiarów ziściło.

To, że tak jest wszystkim, pocieszać mnie powinno, jeżeli wszystkich zawody spotykają, czemuż by mnie spotkać nie miały.

Jednak ja straciłem wiele, mnie ciężko przyszło zapłacić dług losowi przeciwnemu. Z serca naprzód wywietrzała miłość, której zapachem krótko i z daleka się upajałem. Obrazy domowego szczęścia i domowych familijnych kłopotów, zaledwie pomyślane niby z lekka węglem naszkicowane, przyszła zła choroba i starła; został ślad, żal że było coś — że niema.

19. lipca. Blizko 4 miesiące stracone na nic, moje zdrowie tak stoi dzisiaj jak pierwszych dni mojej choroby.

20. lipca. Chinina bardzo dobrze działa jako środek wzmacniający. Co noc miałem okropne poty wycieńczające; tej nocy nie było ich prawie wcale; czuję się też świeższym, jakby nie tak osłabionym. Może przyjdę jeszcze do siebie. Znikąd listu, co to być może? Doktor mnie znów pocieszył i sam sprawdziłem że nie jest mi tak źle gdy mogłem zajść do Kurhausu. I apetyt się jakoś znalazł, wszystko znów wróci

do dawnego, to jest do dobrego. — Tylko moje marzenia nie wrócą. Zdrowie może wrócić, pojadę do Włoch, zacznę znów żyć jakiemś życiem, jakiem — sam nie wiem. Tylko nie będzie okna z doniczkami kwiatów, niedużego ogródka z krzakami róż i jaśminów, nie będzie Jej...

Dziwnym człowiekiem jestem: nie żyję światem, który ręką dotykam, ale przypomnieniem, imitacyą tego świata w mojej wyobraźni. Jest to poniekąd śmieszne co powiedziałem kiedyś: cóż, codzień na koncert? nie chodząc wcale, ale po kilkakrotnem wybieraniu się. — Cóż, co rok się żenić? mógłbym powiedzieć. Jużem się kochał i nawet dość silnie; znam kłopoty zaręczyn, wesel, znam rozkosze poślubne, wiem przecie mniej więcej jak wyglądał przedział 1-szej klasy w wagonie do Wiednia, jak wyglądał pokój, gdzie spędziłem pierwszą noc małżeńską. Jak ten dzień cały co ją dzielił od nocy weselnej, był dla mnie i przykry i przyjemy, więcej jednak nie miły, mówiąc szczerze.

Wiem co śmierć, znam strachy przedśmiertne; trzy czy cztery razy miałem przedostatnią noc swoją, kiedy przyjdzie rzeczywista, to będę już wprawiony. Tak ze wszystkiem; moje przyjemności przynajmniej zawsze są skądinąd nie z rzeczywistości dotykalnej, moje zmartwienia też poniekąd. Moja imaginacya mnie tyranizuje, dręczy mnie czasem niemiłosiernie, ale jej też winienem wszystko co najmilszego zaznałem w życiu. „Cóż, codzień na koncert" jest tylko śmieszne w połowie, bo doprawdy, ja coś z tych koncertów za każdym razem używałem, odczuwałem. Nie słyszałem coprawda muzyki, ale czytałem programy, oglądałem ceny, myślałem nawet o której godzinie pójść miejsce sobie kupić, rozmawiałem o koncercie, o sztukach, które znałem i które mieli wykonać i t. p.

Zaznawszy więcej niemiłych albo obojętnych wrażeń z każdym ogłoszonym koncertem, niż przyjemności, bom nigdy nań nie poszedł, znudziłem się nieużywając jeszcze. Martwię

się pierwej o wiele, nim powód rzeczywisty zmartwienia przyjdzie; przywidywanie jest wystarczające, kiedy zło się zbliży, przyjdzie, jestem nieczuły, przygotowany; mam zresztą i to, że powiem sobie: bije, więc ma prawo.

21/II. Szkoda, Zagórski wyjeżdża, zabraknie człowieka, z którym przecie można było pomówić, pogawędzić o tem i owem. Żona jego — szczęśliwy on człowiek — gdyby można przewidzieć, gdyby można mieć szczęście spotkać podobną... gdyby podobną do niej... zresztą czy ja wiem, prawdopodobnie nie byłoby mi dobrze.

Familia wiąże do rzeczywistości — w niej każe czerpać zadowolenie i szczęście, uczuciem, imaginacyą żony nie rozradujesz zawsze, krzyk dzieci przyjść może w chwili takiej, kiedy imaginacya buduje sobie szczęście ze spokoju i ciszy.

Taki krzyk pomiesza, zepsuje wszystko.

Człowiek, co tylko dotykalnie, w rzeczywistym świecie, w świecie zmysłów znajduje używanie, nie może być poetą i artystą. Upodobanie do przedmiotów widzianych w wyobraźni, upodobanie wyższe i silniejsze nad wszystkie przyjemności zmysłowe, pcha człowieka do ustalenia jakimkolwiek sposobem tych upodobanych sobie przez niego obrazów, widziadeł duszy; zmysły służą człowiekowi do brania wrażeń ze świata natury; pamięć zatrzymuje niektóre, te stają się wybitniejszemi, w nich człowiek od młodości już podoba sobie, i z małą zmianą do końca życia podobać będzie. Przypomnienie odnawia wrażenia odebrane w całej świeżości niekiedy i w niektórych mniej wyraźnych formach, niekiedy bez formy wcale, n. p. nieokreślony smutek, albo radość podobna do radości lub smutku odczutego kiedyś. U innych wrażenia odebrane kiedyś, i naówczas słabo uczute, w pomięszaniu pewnem, w przypomnieniu jaśnieją, nabierają wyrazu i mocy. Wrażenia nie tylko odbiera się bezpośrednio, ze świata rzeczy-

wistości, są ludzie nieczuli na piękności natury, a czuli na malowane pejzaże albo na naturę widzianą w strofach poety. Gdy człowiek doznane wrażenie ma władzę zatrzymać w pamięci, gdy w chwili zamyślenia się, nasunie mu się ono naprzód i widoczniej od innych wrażeń, wtedy każdy, artysta czy nie artysta chciałby przypomnieniu temu dać ustaloną formę, choćby nie trwałą, ale ustaloną jeżeli można chwilowo, i o ile to może być, podobną do pierwszej. Przypomni się arya pewna, korci coś aby zanucić lub zagwizdać sobie, podobała się kobieta widziana wczoraj na spacerze, bierzemy ołówek i nuż kreślić profile, może się który uda.

To tak jest ze wszystkimi ludźmi, z tymi co mało czują, jak z tymi co najsilniej czują, z komisantami handlowymi, jak z poetami i artystami. Siła, z jaką wrażenia odebrane działają na ustrój nerwowy człowieka, na jego moralną organizacyę, stanowi już coś, co można nazwać uzdolnieniem większem lub mniejszem do artyzmu, ale jest to dopiero połowa z tego, co stanowi artystę. To jest zdolność bierna czysto; — jest inna, która będzie zależała od siły z jaką wrażenia natłoczone i uorganizowane w umyśle, starają się wydobyć na zewnątrz, od jasności, z jaką to dobyte z pamięci widziadło oczom się innych przedstawi. Tę zdolność produkowania nazwać można talentem, geniuszem, zdolnością produkcyi, tworzenia. To stanowi już w całości artystę, szczególnie odnośnie do sztuk imitacyjnych jak malarstwo, poezya, rzeźba. Od mniejszego lub większego stopnia tego daru produkcyi, nie od biernej siły przyjmowania wrażeń, zależy siła i stopień talentu, choć nie wiem czy właśnie nie idą te dwie władze w parze ze sobą.

Moje posiedzenie pierwsze w pneumatycznym aparacie; myśli zebrać nie mogę — patrzałem na książkę, przeglądałem stronnice, ale sensu zrozumieć nie mogłem. Osłabienie umysłowe czuję w sobie od kilku miesięcy — z początkiem cho-

roby była niby większa czułość nerwowa, jakby nadmiar poetycznego usposobienia, chęć do pracy pomimo bólu jaki przy chorobie miałem. Czytałem z takiem zajęciem książki, rozumowałem z taką łatwością i upodobaniem, że teraz zdaje mi się jakby myśl mnie opuściła, jakby choroba zabrała z siłami fizycznemi i tę troszkę daru bożego, jaki się może w moim mózgu mieścił. — Ja dziś nic nie chcę, chcę tylko wyzdrowieć, nic mnie nie zajmuje ani cieszy, tylko stan mój zdrowia polepszony choć trochę. Nic mnie nie smuci tylko ból w boku większy albo zbyteczne znużenie.

I myśleć mnie dziś o ożenieniu!

Okoliczności składają się aby przeszkodzić temu, gdybym pragnął najszczerzej, najsilniej, zawsze byłoby na próżno.

Drugie posiedzenie przyjemnie dość odbyło się, jeżeli tak dalej będzie, to widać, że mi służy kuracya.

3. sierpnia. Dziś siódme posiedzenie. Jestem prawie zdrów zupełnie — humor, siły, sen, trawienie, wszystko, jak najlepsze, ach jakież szczęście! niedługo będę chodził jak inni, będę mógł pracować. Wstyd mi, gdy przeglądam kartki poprzednie, gdzie nic prócz największego zwątpienia. Winienem to polepszenie przedewszystkiem towarzystwu, a przytem aparatowi. Są tak widoczne skutki, że przez cały ciąg choroby, podobnej ulgi nie doznawałem jak teraz. Chodzę po górach bez znużenia, owszem, robi mi to przyjemność iść pod górę — czuję jakby potrzebę tego.

Oleś pojechał wczoraj do domu — ach, jakżebym się chętnie z nim puścił w drogę. — Cóż robić.

8. sierpnia. Te znajomości, te znajomości! Co mam teraz z tego, że muszę znosić grube głupstwa tego djabła — jeszcze mnie na jaką nieprzyjemność narazi.

Oto nieszczęście, jesteś sam, nuda cię opanowywa, tracisz chęć do życia i żal ci, że ono uchodzi i że mogło być

weselsze i milsze, i niechęć znów do niego, bo nie doznawszy nic w życiu do blizko 30 lat, nie wiele od niego spodziewać się już można. Próbujesz towarzystwa, masz go, używaj. Zaledwie się zbliżyłeś, jak spotkało cię dziesięć niespodzianek niemiłych. To co w ich towarzystwie dowiedzieć się można, to najwyżej będą anekdoty, mniej lub więcej zabawne, których wtedy tylko słuchać możesz, kiedy nic innego myśli twojej nie zajmuje, kiedy praca jakakolwiek umysłu stanie się zbyt trudną, niemożebną.

Wszystkich opowiadań ilekolwiek ich słyszałem nie wiem nawet treści najczęściej, a podczas opowiadania boję się ust otworzyć, aby niewłaściwie wtrąconą uwagą lub zdaniem nie sprawić zdziwienia w słuchaczach i nie obrazić opowiadającego. Jak ja unikam dotknąć kogokolwiek, a tem więcej obrazić! nie uniknę jednak tym sposobem, abym nie był co chwila jakiemś dziwnem odezwaniem się czyjem do żywego dotknięty.

Co ja mam robić, jaką względem tych różnych ludzi przybierać pozycyę? Każda zła, bo żadna mnie właściwie wobec nich nie stawia. Jeżeli się znajdzie ktoś, co mi więcej odpowie, to na to się do niego zbliżę, abym się wkrótce pożegnał, — takim był Zagórski. On mi powiedział że życie jest samo w sobie przyjemnością, bo jest, bo po za niem nic niema. Do życia więc zniechęcać się, to niszczyć własną myśl, własną wolę, zapierać się ich, zaprzeczać imaginacyi, pozbywać się w końcu dobrowolnie tego co jest ideałem, co jest tym szczęśliwym obrazem, w przeczuciu którego, ciepłe, miłe i rozkoszne dla duszy łzy czasem do oczu się cisną. Umrzeć, to nic nie czuć, trzeba pożegnać się z najmilszemi osobami i z najmilszemi myślami jednocześnie.

Za grobem nie będzie westchnień, żale pozostałych nie będą zapłacone wdzięcznością, która jest taką rozkoszą dla ludzi w nią bogatych, dla tych, co na nią nie wiele długów zaciągnęli. Przysypią ziemią ciało i z niem wszystko co tu ci

drogie było. Używać życia, używać ile można! W tem sztuka, aby sobie życie mądrze urządzić, aby z niego nie stracić dni i tak krótkich i tak nielicznych na próżną walkę z otoczeniem, na zbyt wielką troskę z powodu chwilowego pobicia. Trzeba sobie dogadzać moralnie, tak, jak się dogadza troskliwie potrzebom ciała.

Boże mój, Boże! co się ze mną zrobiło! Zestarzałem się, zaczynając żyć i o swoich zaczynając zaledwie chodzić siłach. Jestem nieśmiały jak dziecko, i zniechęcony jak starzec, oglądam się za przeszłością jak ludzie starzy, którym już nic prócz bólów słabości przyszłość dać nie może. Przebudzenia, energii na gwałt! bo zasnę nieznacznie zupełnie i na zawsze...

Wrony kraczą ponuro, czyżby to jesień? Na drodze jakoś dużo żółtych, umarłych liści. Po liściach wiatr przegrywa smutną melodyę, podobną do westchnień z smutnej piersi dobytych. Ze łzami w oczach patrzałem na niedawno budzącą się naturę, wyczekiwałem zazielenienia się krzewów, poczciwa wierzba płacząca koło mego domu pierwsza się ubrała w płaszcz zielony.

Róże moje, róże! okwitłyście dawno zapewne, gdzież zapach akacyi rozkoszny? Czemu serce z żalu nie pęknie, czemu z westchnieniem dusza wylecieć nie może ku temu co kocha i zginąć razem z tem co kocha...

Głupi człowieku, natura umrze i odrodzi się, miliony ludzi ujrzy ją znowu i cieszyć się będą słońcem i ciepłem wiosny, ty znów wyrzekać i płakać będziesz! Wszystko żyje, nie troszcząc się o ciebie, śmieje się i cieszy, używa, ty przechadzasz się śród tego z zasępionem czołem; wezmą cię za idyotę, albo waryata, — może nie zbłądzą...

Jak lubię usiąść gdzie za miastem niedaleko i przysłuchiwać się temu szmerowi różnorodnemu co dochodzi. Nie słychać wyrazów, a słyszę gwar ludzi mówiących, to mnie wła-

śnie rozradowywa. W takiej odległości mowa wydaje mi się czemś pięknem. Zbliżyć się, to na to, aby usłyszeć głupstwo głośne, udzielające się. Tak ze wszystkiem, to też nie znajduję większego zadowolenia, większego szczęścia, jak nie porzucając z oczu ludzi, ich zajęć, ich zabaw, być od nich daleko i tak, aby to ich własne, bo przez nich zepsute, co krzywe i brudne, co złe i podłe było nie widziane dla oczów, a tylko co boskie, co w prawach natury pozostało, nigdy i żadnej nie uległo zmianie, aby to w całej swej sile w oczy i uszy moje uderzać mogło. Ryk bydła, wracającego z pastwiska, szczekanie psów, skrzypienie obładowanych wozów pustym gościńcem ciągnących, głos dzwonów w kościółku, dalej migotanie słońca po listkach drzew i krzewów, błękitna atmosfera oddalonych gór i lasów, różnorodność cieni i świateł, kolor delikatny skóry ładnej kobiety, jej wdzięk, gdy ruch głową zrobi zlekka oglądając się za siebie, poruszenie ręki zdolne często samo do zachwytu mnie pobudzić, rozłożenie światła zmieniające się w każdem poruszeniu, tak ładne, a tak jeszcze ładniejsze, dla tych wrażeń warto już żyć przecie.

Dzieła myśli ludzkiej, powstałe z takiego oderwanego poglądu są dziełami pięknemi, stanowią one świat, który człowiek sobie i innym wytworzyć może, świat sztuki, zależny widocznie od wpływów, często nie zależny już zupełnie, a będący przypomnieniem tego świata widzianego z dali.

Mówię: z dali, nie myśląc koniecznie o geometrycznej odległości, ale jakby z jakiegoś wzniesienia, z jakiegoś duchowego punktu widzenia. — Teorye wszelkie o sztuce zawierają wiele słuszności i wiele prawdy, błądzą tem zawsze jednak, że traktują o sztuce jako o nauce abstrakcyjnej jakiejś, mówią o celach i ideach i ideałach istniejących, a ku którym wszystko, co jest sztuką, zdążać niby powinno, w końcu o jakimś najwyższym ideale, o czemś, co wieloma skreśla się słowami, nie określając wcale ani dotykając środka. S z t u k a j e s t z a w s z e

wyrazem wieku, jest zawsze odbiciem upodobań, jeżeli nie całego społeczeństwa, to przynajmniej tej warstwy, do której artysta lub poeta przekonaniem i sympatyami należał. Taka sztuka jest prawdziwą, taka tylko ma znaczenie w postępie całego świata, dla takiej miejsce też ma być zachowane w historyi.

Tylko imię artysty, który czuł jak człowiek swego czasu, a wolno mu tylko czuć silniej, zapisane będzie na karcie, — potępią epokę może, potępią i jego, — mądrzy usprawiedliwią i ją i jego.

Niech nikt nie myśli, że oryginalne, a więcej nawet dziwaczne (grotesque) obrazy niektórych malarzy naszego czasu nie były w związku ze społeczeństwem, w jakiem my żyjemy. Żywiołu do tego jest wystarczająco, tkwi on we wszystkich warstwach, rozrzucony więcej niż kiedykolwiek. Malarstwo religijne nie może egzystować w naszym czasie z powodu, że filozofia materyalistów i pozytywistów przeniknęła do wszystkich warstw społecznych — rodzą się dziś dzieci już w cuda nie wierzące, a prostak nawet rzadko, aby sobie wyobrażał Boga, siedzącego na chmurach i Jezusa, któryby się urodził z panny. Jakkolwiek wykształcony człowiek, a takim przynajmniej musi być artysta, nie może szczerze pogodzić w sobie tych dwóch przekonań, jakie mu doświadczenie i dogmat podają, godzi je często, i przyznając słuszność nauce, wierzy w Boga, w Jego wolę, w Jego sprawiedliwość, schyla w pokorze głowę przed kawałkiem czarnego drzewa, na którem umarł za wszystkich, wyzuty i odarty ze wszystkiego, co ziemskie, ukoronowany kolczatą koroną Chrystus, ale myśl w tej chwili i myśl o wieczności i pragnienie zbliżenia się do Boga i widzenia jego oblicza zbyt jest małą, zanadto potrzeby materyalne są dla nas ważne, a walka o byt zbyt ciężka, aby mógł zatopić się głęboko w myślach o tem najwyższem szczęściu, aby w nie uwierzył z tą siłą, jakiej potrzeba, aby z niej ideał swej myśli i uczucia wydobyć.

Słowem i religijny ideał średnich wieków nie jest ideałem naszym. Może źle dla nas, żeśmy nie w stanie sobie nowy stworzyć, ale przynajmniej kiedy tak jest, nie posiłkujmy się figurami, które u nas dawno nie mają znaczenia, jakie kiedyś miały. Chorały i kantyczki religijne, obrazy i rzeźby zajmować nas nie przestaną, jako słowa ludzi, gotowych za swoją wiarę największe znieść prześladowanie, — my schylajmy przed tem czoło i szanujmy tych, co umieli żyć w oderwaniu od niskiego, zwykłego życia, którzy umieli płakać, spoglądając na rany Tego, który się za nich poświęcił. My nie czując tak jak oni, nie udawajmy.

Tylko co płynie samo z przepełnionej duszy, jest godnem dziełem sztuki, — wszystko, co jest wysiłkiem zgrymaszonej imaginacyi, gwałconej często dla tego, aby z niej wyciągnąć korzyść materyalną, naśladowanie największe uznanie mających oryginalnych dzieł jest bez znaczenia, bez wartości innej, jak chyba, że masa naśladownictw, masa satelitów, pojawiających się około głównej gwiazdy, bliskością swoich świateł pomaga do uwydatnienia się tego głównego światła, które choć szczere, własne za bladoby może świeciło. Ci, co mają szczęście być temi gwiazdami głównemi, przyjacielskiem tylko spoglądać winni okiem na tych, co pożyczając od nich światła, tem światłem blask ich podnoszą. Jest to znaczące wtedy, gdy pierwszy będąc pierwowzorem, jest jednak tak skromnym, tak prostym, że każdy się za równego, za spokrewnionego uważa. Słusznie czy nie, to rzecz inna.

Czem są dzisiejsze stolice, wielkie miasta? Dlaczego nazywa się Paryż, Wiedeń, Berlin, pięknem, wesołem, wielkiem miastem. Co to znaczy wszystko? Zapewne, w takim Wiedniu sztuka się rozsiadła i zapanowała, zapewne zbytek w połączeniu ze smakiem dobrym nad wszystkiem tam panuje, zapewne ludzie rzucili troski życia, pogardzili pracą, a w wykwintnych zabawach, w uciechach, w igrzyskach się rozpły-



D. CHODOWIECKI DEL.

Własność Biblioteki im.
Gwalb. Pawlikowskiego

wają, zapewne żyją tam ludzie, co w tem oderwaniu od pracy sami przyjemność znajdując i innych w to życie wciągają. Tam się pewno kochają bardzo, szaleją, tam bale muszą być przepełnione rozpromienionymi szczęściem ludźmi. Tam krew musi silniej pulsować, tam musi być życia więcej, jak gdzieindziej, życia pełnego i otwartego?

Nie, tam bawią się gwałtem, aby pokryć i przytłumić w sobie ten szum pustek ducha. Skaczą, hałasują, turkoczą dorożkami, aby prędzej, aby głośniej zatrzeć tę godzinę nędzy moralnej, jaką jest chwila teraźniejsza. Prędzej tylko, jak można najprędzej, niech żyje Offenbach! Parodya stała się rzeczywistą sztuką.

Opery słucha tylko człowiek znękany i smutny — nikt zresztą nie potrzebuje tych rzeczy; wszakże od tak rozsądnej kobiety słyszałem, że nigdy nie chodziła na operę, ani słuchała kiedy muzyki jakiejkolwiek, jak dla rozrywki, dla zabawy, dla zabicia przyjemnego, zbytecznego od zajęć czasu. Jeżeli kochasz się w pięknościach natury, jeżeli badasz serce ludzkie ze strony jego pięknej, jeżeli w harmonię tonów duszę włożyłeś, jeżeli z wzrastaniem dźwięków rośnie ci w piersiach serce, jeżeli jesteś artystą prawdziwym, chwilami to robisz wszystko, co robisz dla siebie tylko, nikt do twoich piersi nie przyłoży ucha, aby zasłyszeć z jakiej głębi to „co" dobyłeś; klaszczą ci ręce, jeżeliś muzyk, a kupią obraz, jeśliś malarz — to wszystko, potem dzieło twoje może zginąć, mogło zginąć przedtem nawet i niktby straty nie uczuł.

Ci, co kupują obrazy, nie potrzebują ich, potrzebują tylko modnego ubrania salonu, lub potrzebują galeryi dlatego, iż galerye inni urządzają. Posiadaczem twego obrazu nie kto inny będzie, jak żyd zbogacony, nie zobaczysz więcej twego dzieła, ani go nikt nie zobaczy z tych, którymby oglądanie go pociechę do duszy przyniosło.

Kobiety, czem są kobiety, natura dała im powaby i wdzięki na co? wyraz ich twarzy co mówi? zapewne kochać umieją?

żyją życiem innych, ich piękność jest szczęściem tych wybranych, którym one oddać się jako skarb raczyły. Gdyby tak było, gdyby można uwierzyć, że tak było kiedykolwiek. Spotykałem uznane piękności, brzydsze w moich oczach o wiele od tych nieuposażonych we wdzięki przez naturę, na którą z dumą te piękne spoglądały. Widziałem tłumy wielbicieli bliskich i dalekich, ciągnące się długim ogonem za taką dziwną kometą.

Wszyscy uwielbiają piękność, ale wątpię, czy kto sobie zdał sprawę z tego uwielbienia i z tej piękności, gdyby nad nią jedną się zastanowił chwilę, możeby to bóstwo uwielbione z pogardliwym odstąpił uśmiechem.

Rozumiem jedną piękność, to jest w harmonii ducha z rysami ciała zamkniętą; prócz takiej, nie wiem czy jest inna, chyba lalki w wystawie sklepowej. Żywość temperamentu, gorąco krwi bijące z oczu i ruchu każdego, zamknięte dopiero w pięknie utoczonych kształtach, to, co może się nazywać pięknością zmysłową. Łagodny uśmiech ku dołowi przechylonych końców ust, powłóczyste spojrzenie lekko łzą zaszłych oczu, ruch postaci całej, giętki, ale powolny i wahający, stanowić może drugą piękność zupełnie różną od pierwszej; mówi tam wszystko o przewadze duszy, pragnącej i potrzebującej więcej, niż potrzebuje ciało. To są dwa rysy, dwa portrety dwóch kobiet zupełnie do siebie niepodobnych; pomiędzy niemi jest przedział, w którym masa powszednich typów umieścić się może.

Rzym w marcu.

Ileż to miesięcy przeszło od czasu, jak ostatni raz ołówkiem po stronnicach tych wodziłem. Otworzyłem teraz tę książkę zapomnianą już przezemnie, przejrzałem zapisane kartki, i dziwnie sympatyczne mi one się wydały. Początkowe stronnice przypominają mi to moje szczególne usposobienie — jedyny raz w mojem życiu tak odrębne od mego całego dotąd ist-

nienia. Słaby na piersi, i przerażony myślą dostania suchot, które łatwo się mogły rozwinąć, czułem się zawieszony między życiem a śmiercią; czułem bliskość śmierci mojej, patrząc na wychudłe i wynędzniałe twarze chorych, których spotykałem, których musiałem widzieć ciągle na spacerach i przy obiedzie, wszędzie.

Patrzałem na rozwijające się listki, na pączki kwiatów, z rozrzewnieniem, jak gdybym je raz ostatni miał oglądać. Zdawało mi się, że to ostatnia albo przedostatnia wiosna, jaką mi oglądać wolno. Miałem się z tem pożegnać na zawsze i kiedy mnie na ziemi nie będzie, ów strumień szemrzący migać nie przestanie swoją szafirową smugą przez pola zielone. Wysmukłe, podcinane topole zdobić będą zawsze ten piękny Marlingu pejzaż, migotać będą przy lada wietrze listkami błyszczącemi jak polerowane srebro. Mnie tam nie będzie. Dla wszystkich rozkwitną znów te piękne żółte róże, dla wszystkich jaśminy roznosić będą swe zapachy — dla mnie nic z tego wszystkiego. Tylko mi ludzi nie żal było, owszem, ileby mi jeszcze życia miało pozostać, a środki pozwoliły, chciałem odwrócić oczy na zawsze od tych niesympatycznych fizyognomii, i na uboczu gdzie, w górach poezyą sobie życie zapełnić. Chciałem się uczyć botaniki i ogrodnictwa. Chciałem się otoczyć książkami i żyć z niemi i zapraszać ich, jak zapraszał Alfons Karr. Nie zawsze takie towarzystwo wystarcza, niedawno, gdy słaby więcej byłem, choć dosyć zdrów aby módz się przecież czemkolwiek zajmować, nie mogłem znaleźć sposobu przeczytania najciekawszej książki. Umysł nie przyjmował żadnego pokarmu, podobnie jak żołądek. Ile w Meran przywiązywałem się do życia, które miało odemnie ulecieć, tyle po przyjeździe do Reichenhall już w rzeczy samej zdrowszy, ale też może właśnie z tego powodu więcej trwożliwy, lękający się powrotu choroby i straty szczęśliwej kuracyi, straty tem samem szczęśliwszych nadziei, że mi może jeszcze wolno będzie światło dnia oglądać, stałem

się smutny i zniechęcony. Było to, jakbym się znudził stać na straży swego zdrowia, a przecież stanowiska opuścić nie śmiałem. Narzekałem na życie, które mi było ciężarem i pilnować go musiałem, bojąc się z własnej go stracić woli. To też kartki w tym czasie zapisane mówią mi dziś, jak gorzko tam dni mi schodziły. Kiedy przypominam sobie dziś jeszcze chwile, przebyte w Meran, to wydają mi się one jak chwile lat młodzieńczych. Oddychałem samą poezyą, nigdy jej więcej w sobie nie czułem. Potem oziębłem i stwardniałem na wszystko; ani mnie natura zachwycała, ani książki pociągały, ani w myśleniu przyjemność znajdowałem. Niema też jednej chwili, którąbym wspomniał w czasie mego pobytu w Reichenhall. Jakiś wstręt do ludzi mną wtedy opanował i przez nienawiść do nich zobojętniałem i zniechęciłem się do rzeczy, które dla mnie i dla nich były wspólne. Dołączałem do każdego miłego wrażenia gorycz, że ci, którymi pogardzam, mają pretensyę używania z tego samego źródła przyjemności. Słuchając muzyki, więcej myślałem o tem, że ta niezrozumianą jest przez słuchaczów tu obecnych, niżbym sam się w nią wsłuchiwał. Nie zatrzymałem nigdy wzroku na pejzażu jak z tem, abym się nie odwrócił od niego z żalem, że to dla wszystkich oczów stworzone, a przez tak mało zrozumiane i pojęte. Żal mi było tych obrazów, które przedtem malowałem, bo je mieli oglądać ludzie, dla których sądziłem, wszystko co w nich dobrego obcem, niewidocznem być musi. Zresztą w tym względzie dziś myślę tak samo. Pociechą największą dla mnie widzieć, że mój obraz ma swoich wielbicieli, że są tacy, którym on przyjemność duchową, pociechę pewną sprowadza, w nich samych rozbudza myśli podobne do tych, jakie mnie zajmowały. Maluję obrazy dla moich przyjaciół; jest ich liczba może nie wielka, ale są — są, co tak czuć umieją i mogą jak ja czuję, moje myśli i uczucia nie są sieroce. To pociecha wielka. I innym kupują obrazy i obrazy te się podobają, jest to naturalne i słuszne, ale że moje cenią niektórzy, to uwa-

żam jak... z nieba zesłane. Zresztą, jak mało jest tych moich adoratorów w Reichenhall; z tych wszystkich, których widziałem nie było ani jednego zapewne człowieka, któremu by przypaść mogły do smaku, jak ja nie mogłem u nikogo wzbudzić sympatyi.

Cały czas spędzony w Reichenhall jest jakby luką niezapełnioną w mojem życiu. Nic mi z niego nie pozostało, niczem go dla siebie ani dla kogo nie zaznaczyłem. Czas najkompletniej stracony, czułem to wtenczas i czuję dziś lepiej jeszcze.

MAKSYMILIAN GIERYMSKI.

II. LISTY DO ROMANA PADLEWSKIEGO.

Reichenhall.

Kochany mój Romku!

Wczoraj wróciwszy z Wiednia znalazłem Twoją kartę na stole, — dziękuje Ci z całego serca za pamięć o mnie. Żałuję że Cię uściskać nie mogłem i pogawędzić z Tobą, — my zawsze mamy sobie tyle do powiedzenia.

Nie wiem czy byłeś w Wiedniu; ja pojechałem aby zobaczyć Napoleona w 1807, aby doznać wrażenia w cyrku Geroma. Przyjemność warta trudów i kosztów. Zajrzałem do buduarów damskich Stevensa, — przepyszne! Ochota przyszła rozejrzeć się lepiej — zostałem całe dni cztery.

W tym czasie mógłbym był widzieć wszystko co w Kunsthali umieszczono — widziałem może połowę. Wina młodej towarzyszki, znajomej z Reichenhall, dla której aimable być musiałem. Musiałem, nie: — chciałem. Zwiedzaliśmy wystawę siedząc w fotelu, próbowałem pierwszego dnia chodzić, ale sił brakło.

Skutków złych nie sprowadziła mi ani ta podróż, ani fatyga tam na miejscu, jestem trochę zmęczony, to i wszystko;

czasem coś w piersiach ukłuje, no, ale na to nie zwraca się uwagi.

Jadę w krótkim czasie do Meran, wstąpię prawdopodobnie do Monachium. Brat przywiezie mi siostrę na jaki miesiąc, potem do Rzymu.

Napisz mi mój drogi jak tam teraz w Monachium z powietrzem. Jeżeli czas ładny, przyjechałbym na kilka dni, a może nawet siostry bym tam oczekiwał. W Reichenhall niepogoda, znajomi moi powyjeżdżali, będzie nudno.

Bądź zdrów kochany Romku, powitaj i uściskaj odemnie Chmielowskich, Soldenhoffa, rad będę gdy Was zobaczę.

MAX GIER.

Meran 16/X. 1873.

Kochany Romku!

Jestem zmuszony obarczyć Cię prośbą, będziesz zły na mnie, bo nudne to, o co Cię prosić chcę, a przytem zajmie Ci czas, który byś lepiej użyć potrafił. Potrzebuję kilku fotografii z obrazów, mają to być rzeczy, co ogółowi w oczy wpadają, mają być ładne, ot tak, jak ładne są Bejschlagi, Lizenmajery etc. Nie idzie zatem aby były koniecznie głupie, mogą być Stevensy, Willemsy, co kto chce — może być Max Gabriel — ale chyba Licht jego. Może być Vibert. Idzie o to, aby były dość łatwe do rysowania na drzewie, wyraźne, i nie większe jak format illustracyi (Tygodnika lub Kłosów) objąć może.

Ty znasz się na tem, wiesz co może być najlepsze, najstosowniejsze, bo sam na drzewie rysujesz. Spełniając moją prośbę, wyświadczysz mi dużą usługę, i dla tego myślę, że mi jej nie odmówisz. Najlepiej byłoby aby Mauz wybrane przez Ciebie fotografie przesłał mi Post-Anweisung, gegen Nachnahme, ponieważ ja bawarskich pieniędzy w tej chwili

nie mam, a przytem nie wiem ile wynosić to będzie. Proszę Cię tylko abyś na niego nalegał o natychmiastowe przesłanie mi tych rzeczy ponieważ tylko do 26-go w Bozen bawić będę, powiedz mu zatem, że najpóźniej 23 lub 24 muszę je mieć lub wcale nie potrzebuję. Potrzebuję sztuk 3 lub 4.

Cały ten czas od wyjazdu mego z Monachium przeszedł mi jako tako; z początku kilka dni w Bozen, z małą wycieczką do Tryentu, potem w Meran, gdzie do jutra rana przybędziemy.

Wybieramy się jutro do Wenecyi na kilka dni, nasz punkt jednak dokąd listy i przesyłki mają przychodzić jest zawsze Bozen, a mianowicie: Gasthof Badl in Gries bei Bozen.

Dziwna rzecz jak innym się na tych miejscach czuję niż przed kilku miesiącami, chodząc po tych samych promenadach w Meranie, gdzie cieszyłem się z każdej świeżo rozkwitłej róży, gdzie do łez mnie prawie rozczulał szmer wody, gdzie całemi godzinami przesiadywałem na ławce patrząc na niebo błękitne, gdzie smutniałem na widok chmur osiadających na górach. Po tych samych miejscach chodzę szurgając nogami po zwiędłych, opadłych liściach, — nie spojrzę na nie. Jeżeli patrzę na co, to widzę kolor lub formę, — duszy ile mniej niż wtenczas, nic prawie, — myślę czasem, że mnie samemu duszy ubyło.

Gdyby można być chorym, a módz coś robić, gdyby można być chorym, a pomimo tego żyć długo jak żyją inni — chciałbym chorować, ale tak jak ja chorowałem.

Teraz prócz braku sił nic mi prawie nie jest, czuły jestem tylko na zimno i wilgoć; próbowałem już konno jeździć, dwa razy zrobiliśmy taki spacer.

Jakże bym rad już zasiąść w atelier za stalugami, jak mi się takie życie znudziło! Kiedy myślę o atelier, przypominam sobie i wyobrażam moje dawne na Landwehrstrasse, cobym dał, żeby cały ten rok snem złym był tylko, żeby wrócić jak przed rokiem lub dwoma z kraju i znaleźć na stalugach za-

częte w ramach obrazy, ciepły piec, fortepian, znajome na ścianach fotografie, wieczorem posiedzieć, pogawędzić z Wami, ale w lepszem nastrojeniu niż jest tam teraz. Jak ja nie lubię nowości! Być może w Rzymie dobrze mi będzie, będę sobie podobał, nie wątpię, będzie to jednak dla mnie jak przeniesienie się na inną planetę, jak rozpoczęcie na nowo życia, z pamięcią, że się już raz żyło. Bądź zdrów, radbym kiedy w tem nowem życiu spotkać się z Tobą.

MAX.

Listy do nieznajomej.

Listy te pisał Lenartowicz z Florencyi w latach 1882—91 do panny Z. R., osobiście nigdy mu nieznanej, której imię jednak znali i jako jednem z dobrych wspomnień ze ziemi, dzielić się niem dziś jeszcze muszą: Asnyk, Szujski, Pol, Romanowski i Ujejski, który jej zostawił ów piękny testament:

Ty wij się dalej błękitem
Ponad nasze smętne wody,
Ponad biednych ludzi żytem —
Zwiastunko długiej pogody!
. . . .

Florencya 27/III. 1882,
Montebello 24.

Najłaskawsza Pani!

Dziękuję ci z całego serca za słowo życzliwe; rzadki to gość na mojem tułaczem poddaszu, pisz do mnie droga Pani kiedy będziesz miała serce łez pełne, a ja zrozumiem każdy twój smutek, każde utęsknienie i odpowiem jak ten, któremu przeznaczenie nie poskąpiło ciężkich doświadczeń, — o jedno tylko proszę droga Pani, żebyś mnie uważać chciała za ojca, za brata, a nie za autora, bo co to tam znaczą te wszystkie autorstwa, fumy i szumy, — dziś przyznają ci talent, jutro sponiewierają; i tak to pokazuje się, że miał słuszność

Dante mówiąc: Non è il mondan rumor altro che un vento Che or va quindi or va quinci, e muta nome quando muta lato, a co po polsku brzmi: „Krzyk świata nie jest czem innem, jak wiatrem, który raz z tej, raz z owej wieje strony, i zmienia imię gdy kierunek zmienia". Sława to chorągiewka na dachu, i kiedy jesteś pewny, że jest obrócona ku wschodowi, aż oto na północ się wykręca. Lepiej się ma z przyjaźnią; tej chorągiew w jednej mierze się trzyma, bądźmy przyjaciółmi, a strzeżmy się uwielbień, które nie nam biednym, słabym istotom należą, — uwielbienie to bałwochwalstwo i tak się dzieje z uwielbianymi jak z bałwanami — dzień jeden i oto bogowie porozbijani młotami, w poziomem walają się błocie. Nie mam ja powodu zastrzegać się przeciwko temu, nigdy bowiem nie doświadczałem entuzyazmu ze strony współziomków, nie miałem zresztą prawa do tego, co bądź żeby usunąć wszelką różnicę pomiędzy jednym a drugim nie odwołuję tego, com napisał.

Więcej znaczy przed Bogiem jeden dzień prawdziwie świętego człowieka, niż całe życie pisarza, który w tem co robi żadnej niema zasługi, pisze, pracuje, bo mu to przeznaczono, bo praca szczęściem człowieka, bo niema większej rozkoszy nad pracę, za cóż więc ma być dwa razy nagradzanym? dość kiedy mu dano to wielkie szczęście wypowiedzenia siebie.

Gdyby nie dolegliwe cierpienia fizyczne jakim podlegam, na list twój droga Pani szczerzej bym odpowiedział.

Staraj się przeczytać droga Pani moje we Lwowie wyszłe „Rytmy Narodowe" w Księgarni Ludowej czy drukarni. Są to moje ostatnie dzieci, poznaj się z nimi i przyjaźnij, bo coś tam z nimi po macoszemu się obchodzą. Polka nie mająca entuzyazmu dla narodowej poezyi to to samo, co nie Polka, jeśli pomyślimy że w słowach naszych poetów złożył Bóg wiarę w ojczyznę i jego nad nią miłosierdzie. Niech Ci Bóg pomaga droga Pani za twoje polskie uczucia.

Poezye przyjaciółki Pani [1]) odczytałem z prawdziwą przyjemnością. — Niech pisze, niech pracuje, ma talent prawdziwy, jedną jej tylko daję radę: niech tak pisze poezye jak kobiety listy pisać potrafią, słów mało, szczegółów wiele, niech mówi obrazami, niech nie ma obawy; wyobraźnia to bardzo swobodna pani; niech utrzymuje święty ogień w sobie, mało z ludźmi przestaje, czyta bardzo wiele i niech nigdy nie traci z duszy wiary w Boga, niech się nie da obłąkać ideom przeciwnym tej wierze, ale niech zna wszystko, a życie blizko spostrzega, każdy ruch moralny i każdy kształt cieniów. — A teraz żegnaj mi dobra Pani — dłoń twoją ściskam serdecznie.

Brat i sługa

T. Lenartowicz.

Flor. 29/IV. 1882.

Dobra, serdeczna Pani!

Podziwiam jej prześliczne pismo i powtarzam sobie: gdybym ja to tak pisał, drukarze nie dopuszczaliby się tylu ohydnych błędów, ale trudno, pismo człowieka z wyjątkiem angielskiej kaligrafii, która zawiera wszelką indywidualność, jest rysunkiem duszy człowieka, sam on się rysuje nie wiedząc o tem, w literach, które tak się poruszają jak się piszący porusza, drżące są, bojaźliwe, jeśli bojaźliwy, śmiałe, zamaszyste jeśli zuchwały, pismo Katarzyny moskiewskiej podobne do pisma Bismarka, istne bagnety w marszu, dusze niegodne, nikczemne stawiają podobne sobie litery, pękate, rozrzucone, niedokończone, krzywe, we wszystkie strony powykręcane, twoje więc pismo dobra Pani takie jest, jaką jesteś, powolną a marzącą, litery idą równo pięknie jak Bóg przykazał, tylko ich zakończenia wybiegają nad poziom w zakrętach, jak niewinne fantazye nad zakres zwyczajnego życia, — obawiając się wyjść z form przyjętych, a silniejsza nad wszystko chęć

[1]) Wiersze p. Waleryi z Soleckich Błotnickiej.

wyższego lotu porywa cię i unosi; ręka co takie litery stawia pewną jest, stawia je bowiem wolno bardzo i z rozmysłem — charakter to wyrobiony, niezmienny, a tak stanowczy i tak jasno się malujący, że niemal mógłbym odgadnąć powierzchowność Pani, jej gesta i wiek z tego pisma i nie znając osobiście, mieć o niej najdokładniejsze pojęcie.

Dzięki ci droga Pani za każde słówko, oby tak wszyscy życzliwymi byli staremu włóczędze, jak ten ktoś, który imię moje z uczuciem bratniem wymówił, ale tak nie jest, Boże mój, ileż to potwarzy, ile obelg, ile bezczelnych kłamstw dochodzi mnie od moich współziomków, lepiej nie mówić i nie żalić się na to. Obojętność dla moich pisemek nie zniechęca mnie do pracy, a szalona niechęć i złośliwość sprawia, że coraz więcej koncentruję się w sobie i żyję w państwie własnej myśli, nie śniąc już więcej, jak niegdyś bywało; w bliższych z ludźmi stosunkach, staram się utrzymać z dawnymi kilku przyjaciółmi, a jak ci odejdą to i ja odejdę — pokolenia po pokoleniach, jak pokłady ziemi wchodzą pod ziemię, — a Polski nie ma i nie ma.

Ze zdrowiem, ponieważ się Pani pytasz o to, jestem ot tak, dzień lepiej, dzień gorzej, stare skrzypiące drzewo — obecnie dzięki Bogu jakoś się przyciszyło.

Daleko mi bardzo do tego, żebym mógł dobrym się nazwać — wszyscyśmy dziećmi Adama i wszyscy mamy swoje błędy, trochę pyszki, trochę ambicyi, trochę lekkości, trochę zbytku, trochę złośliwości, szczęściem że wszystkiego po trosze i że nad wszystkiem panuje wola poprawiania się z upadków, prostowania, wracania do równej linii — miłość ojczyzny choćby nie wiem jaka była, w rzeczach pieniężnych bezinteresowność, chęć do pracy i wiara że się to może przyda na co.

A teraz cóż ci więcej droga Pani napiszę, oto niech ci Bóg błogosławi za twoją dla chorej matki miłość, posługi

jakie jej oddajesz, w innym świecie dzwonią piękniej niż wszystkie najgenialniejsze poemata po tej stronie grobu.

Biedni my ludzie jesteśmy i gdyby nie wiara w przyszłe życie...

Adieu droga moja Pani, poco nam powtarzać znane rzeczy, ot lepiej popatrzeć na niebo niebieskie, na akacye białym kwiatem obsypane, na ziemię pełną kwiatów (ogród księcia Taleyrand mam przed oknami), popatrzeć, pomarzyć o niczem i zabrać się do skrobania papieru, a jak się u nas wyrażają do orania gęsią (na przekór całemu światu gęsiem piórem piszę i krzeszę ognia na stalce do fajki, która to operacya bawi mnie i myśliwych polskich przypomina).

Twój dobra Pani przyjaciel

T. Lenartowicz.

W Wieńcu, piśmie ludowem we Lwowie wychodzącem, panna Zofia umieściła wiersz bardzo piękny o moich piosnkach — nie wiem jak się zowie, jak jej podziękować — jeśli ją Pani zna, racz mnie objaśnić. Jeżeli to słowa Pani, przyjmij najczulsze podziękowanie poczciwa polska dziecino!

Najzacniejsza Pani!

Chód regularny, wzrost więcej niż mierny, lat trzydzieści parę, w rozmowie stanowczość i szczerość, czystość i porządek w odzieży, każda rzecz u Pani systematycznie ułożona, mówię w drobiazgach domowych, marzenia bez extrawagancyi, ku Bogu wzdychasz jak sierotka, więcej ze smutkiem jak z nadzieją, jesteś Pani szczupła, wzrok dobry choć czasem powieki przymykasz, jeśli nie tak jest, to niepoznałem się na literach.

Z ogrodu mojego posyłam Pani parę listków; włoskie kwiaty na polską ziemię niech lecą i niech wam zaniosą za-

pach przyjazny, bo zresztą jeszcze aby we Włoszech mamy tu jakieś sympatye.

Dużo miałem przykrości w tych czasach, ale o tem lepiej zamilczeć. Mojego Sokratesa nie wiem kiedy wykończę, tak jestem cały zdenerwowany, że nawet korespondencyę tak miłą jak z Panią do kilku słów ścieśnić muszę — kiedyindziej napiszę Pani obszerniej.

O moich wierszach różne odbieram zdania i tak jedna Polka pisze mi: „Pan jesteś śpiewakiem grobów, kwiatami je stroisz, a nam do nowych prądów dla ludzi nowej epoki, która wyobraźni nie poddaje się, czego innego potrzeba. Groby to nicość“.

Widzisz więc Pani że już sławy nie widzą w starych grobach i zbrojach „co zardzałe leżą, — I w kościach, co nie wiedzieć do kogo należą“. Adieu droga Pani. Na parę miesięcy wyjeżdżam z Florencyi, a co dalej!... co Bóg da.

Przyjmij Pani wyrazy prawdziwego poważania

T. Lenart.

Flor. 25/V. 1882, adres zawsze
Florencya poste-restante.

Flor. 3/VIII. 1882
via Montebello 24.

Najłaskawsza Pani!

Najuprzejmiej dziękuję za słówko życzliwe, co zaś do niepewnego adresu, wszakci ja nie mam racyi kryć się i takowy na czele moje listu zawsze kładę. Do Bolonii jeżeli się wybiorę to chyba w przyszłym roku, jeżeli?... bo jeszcze ani nominacyi żadnej nie mam, ani się stanowczo nie zdecydowałem; a nie zdecydowałem przeto, że płaca jest tak mała,

żeby mi na najuboższe utrzymanie siebie samego, już nie mówiąc o jakiejkolwiek posłudze wystarczyła i powtóre że wiem, że mają prawo wymagać odemnie więcej niż dać im mogę i po trzecie, że przyjmując ściągam na siebie złość wszystkich literatów, już i tak niechętnych — i po prostu, że jestem już za stary, że w 60 roku starzec na pół ślepy i wciąż niedomagający na gardło i piersi, nie zdołam gadać godzinami i pracować po całych dniach, przysposabiając się do kursów i tłumacząc pisma słowiańskie. Żądają odemnie tego mnie życzliwi Polacy i Włochy — jeśli więc podejmę się, to będzie krzyż pański najcięższy.

Z tych powodów jeszcze nic stanowczego powiedzieć nie mogę, gdzie się znajdę w przyszłym roku, we Florencyi, w Bolonii, czy w jakim zakładzie leczniczym (niedomagam też ciężko na kamień). Pan Bóg wie... może pojadę do kraju.

Los moich wierszy niech cię nie dziwi dobra Pani, gdybyż się niegodziwość na nich tylko zatrzymywała, powiedziałbym: róbcie co chcecie.

Ktoś napisał, że kobieta i wierszopis za jedno się obrażają, kiedy kto powie: że nie piękna, albo o wierszach, że nie piękne, otóż ja widać nie jestem poetą, bo się o to bynajmniej nie obrażam, ale mam inne drażliwe strony, o których lepiej zamilczeć, a które Polki, moje prawie nieznajome, targają nieustający, demony, plotkarki, ordynarne fanfaronki, tragiczki jakieś, pozujące przed samemi sobą, i to takich listów pełno odbieram — bogdaj je Bóg miał w swojej opiece — ja ledwie, że żyję... no.

W roku przyszłym w czerwcu będę we Lwowie na kilka dni, będę więc miał sposobność odwiedzić i pensyonat Pani i podziękować panienkom za piękne recytowanie moich wierszyków.

Nie zdziwiłem się, nie odbierając odpowiedzi Pani, nie podobna bowiem wciąż pisać listy i wydatki na takowe ponosić. — Ubogim nie dozwolone są tego rodzaju przyjem-

ności, którzy się z każdym centymem liczyć muszą, trzeba się więc ograniczać i dość raz na kwartał, na pół roku, dowiedzieć się, co się z którym z przyjaciół dzieje, bacząc i na zatrudnienia i na wydatki, nie należy się zniechęcać, albo źle uprzedzać, a mieć wyrozumienie na wszystko.

Częstsza korespondencya wywiązuje stosunek bliższy, a ten wtedy tylko jest dobrym, kiedy jest praktycznym; — biedni my ludzie, śniący wciąż wysokie rzeczy, ale z koniecznością ściągania ich do codziennego użytku, i co najdziwniejsze, że wtedy tylko jesteśmy prawdziwie idealnymi, kiedy jesteśmy w stanie być najrzeczywistszymi, najrealniejszymi. A teraz coś ci więcej powiem dobra Pani: wpajaj dobre zasady w swoje uczennice, nie zniechęcaj się do życia, choćbyś miała, jak wielu, same tylko zastrzały nosić w sercu. Rób świat nie ze świata ale ze siebie, a będzie dobry i tylko to będzie dobre, co ty sama stworzysz, wyrobisz, wypracujesz, o resztę nie pytaj się ani oglądaj, bo to ciebie nie obowiązuje.

Związek z prawdą i pracą niech cię uczyni obojętną na wszystko prócz drogi twojej, po której idziesz i na której końcu znikniesz. Związki rodzinne udają się jeden na 2000, związki z prawdą jeszcze rzadsze, a pomiędzy udanemi a nieudanemi, ciemne, szkaradne morze snów i udręczeń bez końca i miary. Piszę jak kura bo mam jakiś ból w palcu i zgłupienie ręki, która odmawia posłuszeństwa trzymania pióra (mądrzejsza może niż głowa), a no trudno, jeszcze i tego potrzeba, ostatni przyjaciel, prawa ręka, i ta zdradza.

Przyjmij Pani zapewnienie prawdziwego szacunku i przyjaźni jak bądź od nieznajomego sobie, nikomu to nie zaszkodzi, a jak dawniej to o błogosławieństwo starców starano się i owszem, znać że starzy owych czasów jeszcze nie byli zatracili charakteru owych pustynnych namiotów.

T. Lenart.



D. CHODOWIECKI DEL.

Własność Biblioteki im.
Gwalb. Pawlikowskiego

Dobrze że [?] droga Pani! ach bo gdybyś wiedziała ile to przykrości każdy dzień przynosi.

Dzięki ci dobra Pani za życzenia na rok nowy, imię twoje znalazłem na powinszowaniu przesłanem przez pana Mieczysława i powitałem je jakby twoją dawną przyjaźń, nie zobaczymy się pewno nigdy, nie poznamy osobiście, mimo to jeśli czasami zechcesz myślą mnie odwiedzić, wdzięczny ci będę nieskończenie.

Stan zdrowia nigdy mnie nie zniechęca do życia, ale współziomków niechęci, złość, zawiść, potwarze, — w dniu, w którym pisałem list byłem tak zbolały.

Przychodzą, ściskają za ręce, a potem po dziennikach szkalują — i znów przychodzą jakby nigdy nic — mam tu taką żmiję obok siebie.

Pytasz się Pani co robię — bazgrzę i babrzę się w glinie, byle o sobie nie myśleć — gdyby nie to usposobienie jakieś tam do klecenia, przyszłoby zwaryować czasem.

Do druku nic nie podaję, a na co? jakże powitano we Lwowie moje ostatnie?... nikt nie wie nawet że to wyszło — leży bibuła na składzie.

Rzeźb (jakie tam rzeźby, ale jakie są) nikt nie kupuje.

Do Bolonii pojadę w marcu, nie wiem czy na stałe, czy na kilka tygodni — z gardłem źle jestem, więc jeśli nie będę mógł prowadzić kursu podam się do dymisyi, a nota bene że jeszcze nominacyi urzędowej nie mam (ma przyjść w tych dniach).

Adieu moja droga Pani, nie zniechęcaj się i nie bierz goryczy do siebie, — zdrój myśli nie może być jasny, kiedy się sączy przez taką ilość mogił i przez takie bagno życia zapowietrzone.

Ściskam dłoń twoją przyjazną droga Pani

T. Lenart.

Flor. 29/XII. 82.

Florencya 20/IX. 1883.

Tak mnie Pani chwali w swoim liście, że gotów jestem uwierzyć, że jestem dobrym do czego, ach jakże wiele mi brakuje, oj! nie dobry, nie dobry. — Żądasz droga Pani wiadomości, co się ze mną dzieje, wciąż w wojnie — chociaż nikogo nie wyzywam — ze zgrają polskich nihilistów, jestem napastowany, spotwarzany i obrzucany błotem dlatego tylko, że wierzę w Pana Boga. Nazywają mnie klerykałem, zapisują w poczet braci Zmartwychwstańców i t. d. i t. d. Widzisz więc łaskawa Pani, że mam się czem bawić. Piersi mnie bolą i bronhita rozdrażniona dokucza, aleć i to przejdzie i wszystko przejdzie i śmierć sama przejdzie.

Dopokąd się bronhita nie uspokoi, nie mogę gadać do młodzieży — cierpliwości — ach! żeby już jaknajprędzej lato przyszło, bo dotąd mamy tu zimna, śniegi leżą na wzgórkach za Florencyą, co się dzieje!...

Rewolucyjka w Europie pogrzmiewa i u nas ona znalazłaby adherentów, ale czy to nam Polskę postawi na nogi, ta zapowiadana rzeź wszystkich, którzy tużurki noszą, mnie się nie zdaje; czyż podobna żeby złe było ojcem dobrego, ale co być może to, że jak się przewali ta burza, sumienie powszechne odezwie się i Polska powstanie; gdyby więc tak być miało, o to niechże rozpasuje się horda rozbójników, pierwszy im głowę starą rzucam na ofiarę...

Pytasz się droga Pani co ja czytam, czem się krzepię na duchu, więc odpowiadam jak Hamlet słowa, słowa i słowa. Czytam wieki średnie i oto jestem na karcie charakteryzującej epokę. „Kiedy moralność publiczna wytępiona, a sumienie obowiązku milczy w sercu ludów, złe wychodzi z brzegów nieprzeszkodzone, a tracąc wobec siebie brzydotę naturalną, która je obrzydliwem czyni, rozciąga się w działanie nieuczciwe — wtedy prawdziwe imiona tracą znaczenie i złe nazywa się dobrem, a dobre złem, podły tryumfuje i gałgany wydają

wojnę resztkom cnotliwych, których prześladują albo otwarcie albo szyderstwem". A cóż, czy to nie dzisiejsza epoka, a więc staczamy się w cienie wieków tak zwanych średnich. Adieu droga Pani, czytaj Szekspira — Renan wydał doskonałe tłómaczenie Eklesyasty. — Nędzny jako autor, jako tłómacz nieporównany — jakaż to wysoka poezya — Byron przy Eklesyaście z całą swoją ironią to baranek niewinny. — Adieu — adieu.

Teofil.

Najłaskawsza Pani!

Dzięki za pamięć i łaskawe słówko — zapytuje się Pani o zdrowie, starość nie radość, nałaziły się kości po świecie to i bolą, zresztą cisza, nie zawsze deszcze, bywają czasem i dni pogodne jak to w życiu — zawiść, złość, zużywają się także — siedzę, pracuję jak dawniej, a nieprzyjaciołom przebaczam — nie ich tam Pan Bóg sądzi.

Gorąca wściekłe już się rozpoczęły, trzeba gdzieś pomknąć w góry, a niewielka to podróż, we dwie godziny już się jest w Apeninach na wysokości półtora tysiąca stóp nad poziom morza.

Herezye o Szekspirze wybaczam, czytaj Pani Schlegla co o nim popisał, a zachęcisz się więcej może jak mojemi słowami.

Z Bolonii wywiozłem najprzyjemniejsze wspomnienia — oto młodzież poczciwa.

Życzę Pani zdrowia i weselszej myśli — Mamie także — niech wam Pan Bóg wszystko dobre daje.

Prawdziwy sługa

T. Lenart.

Flor. 5/VI. 83.

Fotografia bardzo piękna, dziękuje za nią najuprzejmiej, dobrze to wiedzieć jak wyglądają nasi przyjaciele — na przesłanej mi bardzo świetnie, oby tak jak najdłużej — zdrowia, oj zdrowia życzę.

Najuprzejmiej dziękuję najłaskawszej Pani za jej życzenia, w których szczerość wierzę i nawzajem życzę, a naprzód Mamie cierpiącej zdrowia, zdrowia, zdrowia, a Pani czego sama pragniesz.

Na jej zapytanie o dzieciach Mickiewicza cóż ja mogę odpowiedzieć? P. Władysław drukuje swoje artykuły, możesz więc sama sądzić o ich wartości; innych dzieci prawie nie znam i stosunków z niemi żadnych nie mam — dzieci wielkiego człowieka, a ja czemże jestem?... niczem.

Matejko, jakto? Matejko by miał dowiadywać się o mnie we Florencyi, tak wielki człowiek, a czyż Pani niewiadomo co to za pycha.

Zamiast S. Franciszka Salezego czytaj Pani lepiej Życie Franciszka z Assyżu i Franciszka z Paolo, ubogich chłopskich świętych, a więcej cię pocieszą. Biedni my wszyscy na świecie, toż i lepiej garnąć się do swoich.

Radbym bardzo poznać pisma ludowe i powieści pani Rudnickiej wyszłe we Lwowie, czy Pani ich nie posiada? — jest to dusza niezmiernie artystyczna i polska, a mało o niej mówią.

Na powinszowaniu ze Lwowa znalazłem i podpis pań — jacy Wy dobrzy wszyscy, żeście sobie przypomnieli o włóczędze liniku zatułanym po świecie. Dzięki Wam i Bóg zapłać.

Raz jeszcze przyjmij Pani dla ciebie i kochanej Mamy życzenia najszczersze i najgorętsze.

Prawdziwy sługa Pani

T. Lenartowicz.

Flor. 28/XII. 1883.

Najłaskawsza Pani!

Na zapytanie jej co myślę o księżach Zmartwychwstańcach, cóż jej mam odpowiedzieć, najwłaściwiej nic — wszelkie bowiem sądy mogłyby być źle tłómaczone, oto najlepiej nie sądźmy, żebyśmy sądzeni nie byli — działania zresztą księży wszystkie są znane i każdy może mieć o nich pojęcie bo go to interesuje. Czytasz Pani kazania ks. Kajsiewicza, masz więc obraz jego uczuć kapłańskich i polskich, bywasz na kazaniach ks. Kalinki, słyszysz zatem co mówi i pocóż się pytać o zdanie cudze? Dobra Pani, wszystkie tego rodzaju kwestye do niczego nie doprowadzają. Jeżeli nieprzyjaciele niepodległości Polski pochwalają ich prace, bądź pewna że są szkodliwe, jeśli powstają na nich, że są patryotyczne; sądy nieprzyjaciół objaśnią cię lepiej niżby to najbezstronniejszy współziomek mógł uczynić. Ojczyzna nasza nieszczęśliwa gdyby mniej miała doktorów może byłaby zdrowszą, na nieszczęście wszyscy chcemy ją leczyć, nawet bez egzaminów maturitatis. Ot, dajmy sobie pokój. Księża polscy kochają ojczyznę, a unikają dyplomacyi, dyplomaci popadają w błędy porówno z innymi dyplomatami, tyle tylko mogę Pani odpowiedzieć.

Na jej drugie zapytanie co robię odpowiadam: pracuję car l'existence n'est tolérable, que si on oublie sa misérable personne — pracuję i staram się zapomnieć o swojej nędznej indywidualności, a nad czem długie by trzeba pisać listy, żeby plany prac literackich opowiadać, co jest niepodobnem.

Przykro mi słyszeć, że szanowna Mama Pani, której proszę za łaskawą pamięć podziękować, wciąż nie domaga, a no cóż robić, każdy z nas ma swój kamień do dźwigania, cierpliwości, jak najmniej lekarstw, jak najwięcej spokoju duszy i wiary w Boga, a reszty sama dobra natura dokona, powietrze świeże i pokarmy zdrowe, oto jedyne lekarstwo.

A teraz cóż więcej powiem najłaskawszej Pani, że we Włoszech mamy już upały i zboże prawie kłosieje, że wiosna najpiękniejsza, że miasto, w którem mieszkam piękne, to wszystko zaiste nie zasługuje na uwagę jako rzecz wiadoma — że święta przepędziłem w gronie małego kółka polskiego co o tem pisać szkoda czasu i papieru.

Pracujmy, bo życie ucieka, a trzeba nam coś zrobić żeby z próżnemi rękami nie stanąć tam, gdzie zapytają nas nie o to, co drudzy robili, ale o to, co myśmy dokonali — dalej więc ręce do roboty a wesoło, a zgodnie, a poczciwie.

Życzę dobrej Pani zdrowia i dobrej myśli, czyli tego, co samemu sobie.

Najniższy sługa

T. Lenart.

Flor. 19/IV. 84

Flor. 3/I. 85
Montebello 24.

Bóg ci zapłać droga, serdeczna Pani za życzliwość dla nieznajomego, życzę ci zdrowia i świętej cierpliwości, spokoju duszy i chęci nieustającej do pracy, reszta wszystko furda. Kochaną zacną Matkę pozdrów i rączki jej ucałuj, pozdrów też zacną utalentowaną Marynię Bartus; kilka mamy dziś poetek w Polsce, które nad poetami górują — widać że co czynniejsze to ściąga ku sobie promienie natchnień — Bartus, Konopnicka, Wodzicka — Z...?... nie mówiąc o Deotymie, prawdziwy chór wybranych stworzeń.

Pytasz się mnie Pani o zdrowie — liche, starość nie radość — pracuję, ta pracuję, bo inaczej przyszłoby zwaryować — lepię figurki, piszę po polsku i po włosku, ale wszystko to razem wziąwszy ani to sztuki, ani autora pewno nie zbogaci — zresztą nie lubię mówić o tych drobiazgach.

W kraju bieda i tu bieda i wszędzie bieda i na lądzie i na morzu — przez cały ciąg trwania cholery miałem nudno-

ści i brak apetytu zupełny — teraz znowu bezsenność męczy. Na wiosnę być może, jeśli siły pozwolą że pociągnę do Karlsbadu a i o was zawadzę czego bardzo sobie życzę, ale homo proponit Deus disponit, prócz tego żadnych nie robię projektów.

Dobrze robisz droga Pani, że czytasz książki poważne — listy Krasińskiego znam, wiele wzniosłych myśli, ale wiele też odkrywają słabych stron autora, który bogacz milioner do żadnej poczciwej praktycznej rzeczy w kraju ręki nie przyłożył — a o czynie wciąż gada — i drugich łaje. Strach też szubienicy (nie wiedzieć za co?) ściga go i zasnąć nie pozwala. Szubienica i demokracya dwa okrutne koszmary.

Nie są to listy, ale raczej drobne poemata, które rzucał na lewo i na prawo, a szkoda bo w innej formie byłyby arcydziełem jego muzy — rozrzutny pan ale tylko w słowie.

Przyjmij droga Pani wyrazy wdzięczności i cześci, z jaką pozostaję.

Prawdziwy sługa

T. Lenartowicz.

Sokrates przepadł w Dyrekcyi warszawskich teatrów, taka moja dola.

Najłaskawsza Pani!

Jak prędko taką małą rzeczą jak zapisany świstek papieru można kogoś zadowolnić, czemuż nie, i owszem, piszę, ale cóż tu postawię na tym białym polu papieru, gdybyżem mógł wybudować jej mały, cichy domek, gdziebyś z kochaną matką swoją niepodległe szczęśliwe przepędzała godziny, gdyby jaki znak tajemniczy nakreślić, zaklęcie duchów jak to w starych poematach, gotowych za narysowaniem takowego ręką czarnoksiężnika, zadowalniać wszelkie żądania wyzywającego, ale parole, parole i parole i cóż za korzyść z listu i na co się

przydało? wyzywasz droga Pani na rozmowę człowieka, któremu jak starym ptakom już się dziób zacina i które milczą i zdychają z głodu gdzieś na odległych skałach — dawniej kiedyś przed laty 40 — bah... jakżebym się rozpisywał, dziś coraz więcej dziczeję, odosobniam się i staję milczącym.— Młodzi autorowie zapraszają mnie do towarzystwa — po co, na co? É vo gridando pace! pace! pace! Zostawcie, niech już zdechnie ten stary ptak na cudzych gruzach. — Niech mu już morałów nie prawią i nie poniewierają, bo to ubliża w końcu — dzięki uprzejme. Przyjaźnie, miłoście, chwała, addio, addio, nie łudźmy się, już dość — obowiązek i wstyd trzymają jeszcze przy ziemi, pracuj do końca, wytrwaj do końca, ale już niczego, niczego, niczego się nie spodziewaj. —

Stan taki odkryty mógłby zniechęcać drugich, gdyby nie do końca uszanowanie słów i obowiązku. — Pracuj Pani i staraj się nie myśleć o sobie; pracuj, zarabiaj na życie i znów pracuj, ażeby tchórzostwa nie pokazać, żyj. — Duchy w Manfredzie jako najcięższe przekleństwo nad uśpionym rzucają słowo:

Przeklinamy cię, żyj!...

Gdyby ludzie duchowni byli duchownymi. — Cywilni cywilizowanymi, bracia braćmi, wtedy powróciłbym pomiędzy swoich powtarzając:

Szczęsny kto po latach wielu
Znajdzie szczęście w własnej chacie,
Siostrę w siostrze, brata w bracie,
Przyjaciela w przyjacielu!

ale kiedy tak nie jest, dajmyż sobie pokój i doumierajmy po cichu.

Pyta mi się Pani o zdanie moje o poemacie panny Bartus. Pisałem do niej na ręce p. K..., przez którą exemplarz odebrałem. — Zacne szlachetne serce, słowo coraz piękniejsze, wyraźny dowód wzrostu duszy, uczucie polskie, rodzinne, głębokie,

miłość ludu i bardzo ładna myśl, tylko nieco za rozciągłe, — mniej słów radziłbym jej i mniej opisów. — Szekspir powiada o Ryszardzie:

Kędy słów mało, tam nie giną słowa,
Mało ten mówi komu męką mowa;

więcej dyalogów, mniej życzę opisów — jest to moja wada straszna (to obrazkowanie), wada dla której jakżebym pragnął trzy czwarte z moich pism wycofać z obiegu i w ogień wrzucić. — Pomysł polskiego Orfeusza bardzo ładny, ale jako przypowieść albo jako allegoria za rozciągle traktowany, bo co się z życia bierze, czy codziennego, czy z wielkich wypadków, interesuje więcej i więcej ma życia, allegoria żeby nie zmożyła, musi być bardzo zwięźle opowiadaną. — Przy końcu poemat się ożywia, odkąd zaczyna mówić o biednej Marysi.

Z prawdziwem współczuciem odczytałem ten utwór, — ach mój Boże możeż to być żeby kiedykolwiek ideał taki ucieleśnił się na ziemi, ja myślę że nie. Pieśnią już chyba i anielską nic by nie zrobił.

Oto jaka myśl przyszła mi o tym talencie, którą formułuję w tym frazesie.

O! święta poezyo zstąp w serca ludzi, rozgrzej te dusze pomarzłe. — Marya biedaczka nic nie ma prócz tego ubóstwienia piękności i wiesza się i kołysze na wątłej nici świętych złudzeń, — o! nie budźmy jej, niech śpi, niech śpi jeszcze.

Adieu droga Pani, proszę moich listów nikomu nie pokazywać.

Prawdziwy sługa

Teofil.

Florencya 9/X. 85.

Łaskawa Pani!

Tak więc i tego roku nie pojechałem do kraju i pewno już nigdy nie pojadę, a chociaż tego nigdy wymawiać nie

należy, bo kto wie, jaki komu los przeznaczony, ale prawdopodobnie można powiedzieć posiadając wydzwonionych lat 63. Starość i zdrowie zrujnowane, kaszel i kaszel, bieda i bieda, jedna, druga i dziesiąta, więc co tu o podróżach myśleć, o podróży nieskończonej tak...

Nie lubię polemiki. — Jeżeli Pani sądzi że się mylę co do tego albo owego, zostań przy swojem zdaniu; w moim wieku trudno mi odmieniać sądy, więc niech już one tak zostaną. — Narcyza miała ogromną wartość jako Polka i patryotka, szczerze ojczyznę kochająca, jako nauczycielka (byle nie filozofii), jako poetka, autorka kilku pięknych wierszy, jako powieściopisarka jednej powiasteczki p. t. Burza. — Zresztą najzacniejsza ta istota miała dla mnie, który ją osobiście znałem, coś tak zimnego jak żaba, zdawało mi się, że ona patrzy szklanemi oczyma i że się rusza jak automat, — tak to powierzchowność wiele wpływa na nasze sądy o ludziach. Co do pychy, że jej miała porządną dozę, to miała; której żadnemu geniuszowi miećbym nie radził, wygląda bowiem jak dureń kiedy się nadmie; im bliżej prawdy, tem człowiek powinien być miłościwszy a bynajmniej pyszny; może to być w naturze głupiego człowieka, geniusza czy nie geniusza, ale na to godzić się i aprobować, nigdy.

Ale dość o tem, jeżeli tylko podoba się Pani, kochaj ją, i owszem bardzo dobrze zrobisz. — Pani ją kochasz z jej pychą, ja bez takowej, a które z nas lepiej, to ona sama dziś wie we wiecznym świecie, w którym wielkości nasze narówno są ważone jak i prace mrówek, jaskółek i innych ptaków i owadów.

O moja droga Pani, wierzaj mnie, że lepiej żeby żadnego geniusza na ziemi nie było, niżby mieli być tacy, którzy pychą dyabelską psują wszystko cobądź dobrego zrobią. —

Oto szkoda wielka Maryni Bartus, nie miała ona talentu Gabryeli, ani jej nauki, ale w lirykach Maryni sto razy więcej było serca — wiele razy słysząc że jest cierpiącą, myślałem

czyby nie można do Włoch jej sprowadzić, ale cóż, gdyby własne fundusze pozwoliły, toby się zaraz zrobiło, inaczej zaś kiedy się ma do czynienia z egoistami, pysznymi i głupimi. Ach biedna, biedna sierotka, ot i ta poszła. Dwoje życzliwych istot pożegnało ziemię, Żuliński, Marynia i mój Antoni Zaleski tu we Florencyi. Pustoszeje świat, serca szlachetne opuszczają tę dolinę smutku, im lepiej, nam smutniej i sierocej. — Jutro (w tej chwili odbieram telegram z Paryża) Bohdanowi Zaleskiemu zdejmować mają kataraktę z oczu, starzec 83-letni, oby się szczęśliwie powiodło. Gałęzowski doktor zaręcza...

Moja najłaskawsza panno Zofio czuwaj nad twoją Mamą kochaną, czytaj wielkich tylko pisarzy, bo na małych szkoda czasu, życia nie starczy. W zawodzie swoim czytaj Pestalozziego, Melchiora, Gioję i Degerando [?], czytaj Biblię, Homera, Danta, Szekspira i Adama, czytaj Szyllera i Goethego, historyę powszechną Roteka i staraj się przebywać myślą w sferach spokojnych — grywaj pieśni gminne i żyj z mamą i... z mamą i jeszcze raz z nią, a z drugimi bądź tylko uprzejmą. —

Ja znowu cierpię zaduszenia i kaszel okropny — ani spać, ani jeść, ani chodzić, — powietrze szkaradne, zgniłe — ot i bieda, — a no cóż robić!

Józefa Kraszewskiego radbym odwiedzić, ale podróż daleka i kosztowna, przynajmniej jakie 200 fr. przyszłoby wydać, a tu skąd je wziąć? —

Adieu droga Pani. — Nie gniewam się jeśli nie piszesz. — Korespondencyę mam bardzo liczną, więc na częstsze listy tobym i czasu nie miał odpowiedzieć.

Przyjmij wyrazy najszczerszej życzliwości i wdzięczności za dobre słowo — Bóg z wami.

Prawdziwy sługa

T. Lenart.

Kartkę załączoną upraszam odesłać do Redakcyi „Ogniska“ i to natychmiast, idzie bowiem o poprawienie pomyłek drukarskich w wierszu moim w tem piśmie wydrukowanym — które sens psują.

Bolonia (Bologne) poste restante
23/V. 86.

Najłaskawsza Pani!

Bóg zapłać za dobre słowo, ale czemu to marzyć o śmierci, kiedy niepiękna ta mara i tak sama przyjdzie, a prawdziwie że nie piękna, osobliwiej zaś, kiedy zwolna zbliża się do patrzącego w jej oczy po nocach bezsennych zgorączkowanego suchotnika; tyle razy przyglądałem się tym nieszczęśliwym z wypalonemi ogniem policzkami i teraz tu oto miałem takiego wyczekującego ostatniej chwili Janusza Darowskiego, nogi puchną, z łóżka wstać nie może, ciało za dotknięciem parzy. — Pożegnałem go wczoraj odjeżdżając do Bolonii ze ściśniętem sercem...

Nie myśl też o cierpieniach moralnych czy fizycznych, staraj się droga Pani myślą całą utonąć w przedmiocie, który cię zajmuje. Nauka, matka, dobre uczynki, wykonywanie swojego powołania, a jak tylko uwolnisz się od myśli o sobie, w tej samej chwili znajdziesz duszę swoją cichą, spokojną i bezpieczną. Upominasz się Pani o panią Ilnicką, nic prawie jej pism nie czytałem. — Deotyma jako improwizatorka nie miała, nie ma i kto wie czy mieć będzie podobny sobie talent. — Wszyscy improwizatorowie i improwizatorki ilu ich było w historyi literatury uniwersalnej, nie warci są rozwiązać tasiemki jej trzewika, ale jak się weźmie do pisania dwudziestu epopei, powieści prozą etc., etc., to niech mi daruje moją otwartość, żadnej to nie ma wartości. — Limanowskiego historyi nie znam i nie mam tu od kogo pożyczyć, a bardzobym pragnął to przeczytać. — Listy Gabryeli (Narcyzy Z.)

przysłano mi, znałem ją osobiście, męzka, dusza w poglądach trzeźwa, w doświadczeniach wytrwała, w stosunkach wierna, w poświęceniu niewyprzedzona, pobożna i razem racyonalna, pracowita i niewymagająca, a przy tem wszystkiem dziwnie zimna i ironiczna, poetyzująca jak Zorza północna na chłodno — jedną tylko znam jej powiastkę Burza na morzu i jeden wiersz o kobiecie, w których jest ogień poetyczny, w innych kolory tylko poetyczne — w listach wiele prawdy i bardzo wiele paradoxów, przytem też i pychy sporo.

Nie pytaj mnie się Pani nigdy o mnie samego, bo indywidualność ta nic a nic mnie nie obchodzi; — ani nad czem pracuję, bo ja nic nie robię coby godne było uwagi.

Na wiosnę miałem zamiar jechać do kraju, ale zważając na ogromne koszta więcej jak tysiąca franków i na konieczność powrotu do Włoch i na obojętność moich współziomków i na niezmiernie szczupłą liczbę znajomych, i na brak wyraźnego celu i na utrudzenie przy moich cierpieniach (na kamień) straszliwe i na ostateczne rozczarowanie jakieby mnie tam spotkało w tej pozytywnej krainie, powiedziałem sobie: satis, mam dość już i jestem syty... pracujmy parę lat jeszcze i umierajmy cichutko...

Wspomniała mi Pani jednego młodego człowieka, który tu bardzo się niepięknie pokazał, pokrzywdził, pozarywał biednych ludzi, a o naprawie tego pewno nie pomyśli, a przy tem złe to, zepsute serce, ale ponieważ młody jest, do końca wątpić nie należy.

Przez miesiąc maj jeśli z gardłem gorzej nie będzie, czytać będę w tutejszym Uniwersytecie, ośmielony dobrocią ministra i życzliwością młodzieży, o poezyi polskiej, ale drukować tego po polsku nie myślę, a to na co? wyśmianoby mnie, wygwizdano i obrzucono błotem, — tu nikt mnie nie skrzywdzi. —

Adieu droga, zacna Pani. — Zobaczymy się za grobem

w sferach jaśniejszych jeśli Bóg da. — W 63 roku bardzo jest naturalnem tego rodzaju dowidzenia.

Racz Pani drogiej mamie swojej życzyć zdrowia, módlcie się, ja nie umię inaczej jak tylko pracą, życzyć ach całem sercem wszystkiego co daje... ciszę.

Prawdziwy sługa Pani

T. Lenartowicz.

Biedny Janusz Darowski umarł. List ten napisany przed miesiącem do tego czasu nie wyprawiłem z powodu braku adresu Pani, którego na liście zapomniała położyć. — Dziś wysyłam na ręce przyjaciela p. Czerszyka — od daty napisania nic nowego nie zaszło, prócz kilku moich odczytów, o których może tam Pani co usłyszy — jeżeli kto napisze, bo mnie przecież o moich sukcesach moralnych pomiędzy młodzieżą włoską pisać nie wypada nawet do najbliższych.

Florencya 22/IV. 87.

Droga Pani!

O! Matko święta a toż tydzień nie przeminie żebym kartki pogrzebowej nie odebrał czyż już wszyscy w tym okrutnym roku stać się mamy żniwem śmierci?

Pojmuję i podzielam twoją boleść droga Pani, — dość powiedziane: matka umarła, żeby sobie wyobrazić i odczuć całe najsmutniejsze położenie kochającego dziecka, dusza ta biedna w grób się z matką kładzie, ale tobie droga Pani żyć i pamiętać, że masz drugą, wielką od morza do morza, której śmierci nie masz powodu się obawiać, a która twoich posług wymaga.

„Excelsior“ droga Pani i patrz w górę śmiało, ostro. Jak sierota spojrzeć może. Smutek jest także chorobą, a Bóg tylko może powiedzieć: nie bolej, łzy się przyciszą — nie

człowiek. To też nie będę cię pocieszał w twojem sieroctwie, owszem płacz, a na łzy słońce wzejdzie.

Twój nieznajomy przyjaciel droga Pani

T. Lenart.

Droga zacna Pani! Bóg ci zapłać za pamięć, długo dziś pisać nie mogę mając mnóstwo listów do pisania, daruj, przy wolnym czasie nie zaniedbam się rozpisać.

Życzenia za życzenia — sieroty jesteśmy, a jak gdzieś już powiedziałem, ojcem naszym nieszczęście a matką niedola. Wielkich nadziei nie mam w dzisiejszym stanie polityki, ale kto wie co się może wyrobić — najgorszy spokój zgniłej wody stojącej, w której węże się wylęgają i trucizna zapowietrzająca, — oby tylko do wojny nie przyszło, bo jeszcze może nic z tego nie będzie.

Na listy regularnie odpisuję — a więc dłużny nie jestem, zaginęło.

Ze zdrowiem jak, — et lepiej o tem nie mówić, — wieczny niepokój, wieczne irytowanie się przy cierpieniach chronicznych, — noce bezsenne a sny gorsze od bezsenności.

Co czytam nie pytaj się Pani bo musiałbym katalogi wypisywać, czytam ile mogę.

Staraj się droga Pani o zdrowie i spokój myśli, reszta przy pracy się znajdzie — Pan Bóg nad sierotami.

Przyjmij wyrazy wdzięczności z jaką pozostaję.

Prawdziwy sługa

T. Lenart.

Flor. 26/XII. 1887.

Śnieg pada jak u nas; w stancyi zimno; z Polaków nie ma tu prawie nikogo.

Najłaskawsza Pani!

Daruj że nie pospiesznie na twój uprzejmy list odpisuję, tyle miałem rozmaitych zajęć, że się zebrać nie mogłem na kilka słów odpowiedzi.

Jak wiesz droga Pani dwie sroki za ogon łapię: scripturę i sculpturę, a że mi się jak w jednej imprezie, tak w drugiej nie bardzo wiedzie, sam rozdział sił tłómaczy, a no cóż robić kiedy taka natura. — Znużony książkami odpoczywam lepiąc figurki, a ta igraszka palców uspokaja mi za nadto rozkołysane serce, które czasem za nadto waryuje, bije, tłucze się po piersiach tak, że aż oddechu braknie.

Co piszę i co lepię, wartoż o tem donosić? — mizerya, — sam się chwalić nie mam odwagi i czując nikczemność swoją a że ludzie nie donoszą to i słusznie. Wielu nas więcej dba o ilość jak o jakość, a mnie się dziś widzi (niestety za późno) że to co ma pozostać, nie rozciągłością mierzyć się powinno, a głębokością.

Gdybym był miał tak zdrowe pojęcia w młodości mojej, z czterech tomików nie ujrzałoby świata więcej nad jeden — a no trudno za ten pośpiech ukarany będę zapomnieniem i po latach nikt się za lirnikiem mazowieckim nie obejrzy, — tak losy chciały.

Cieszę się że zdrowie Pani poprawiło się nieco i że możesz pracować z korzyścią dla młodych Polek.

W świecie chwilowy spokój, to spokój zupełny calme plât na morzu zapowiadający wielką burzę, w oczekiwaniu której prądy obawy przebiegają całe ciało społeczne, co to będzie? — Co do nas Polaków, my jesteśmy tak obdarci jak greckie i rzymskie bogi i chyba że więcej na spodziewanych zmianach nie stracim...

Czy ujrzymy naszą niepodległość w tych czasach, kto może co powiedzieć?

Nic nie mając możemy się spodziewać wszystkiego,

a w każdym razie rodzaju nie zatracą żadne siły ludzkie, i po burzy w rozbiciu powszechnem odnajdziem się jeszcze.

W tych czasach widziałem tu wielu Polaków, i... i cóż ci powiem dobra Pani, oto że miałem prawdziwą radość spostrzegać bezstronnie że jakieniebądź przeciwne wyznają opinie wszyscy się Polakami czują i że jeden promień słońca wskrzesi, porwie ich i zjednoczy w pracy około pospolitego dobra. — Bogu dziękuję za tę chwilę.

A teraz do interesu. — Cóż się dzieje z pomnikiem dla Maryni Bartus? czyście o tem zapomnieli, czyście ją utracili z serca? Proszę cię droga Pani dowiedz mi się i donieś, jak ta sprawa stoi, bo mi smutno pomyśleć o tej duszyczce czystej, stojącej u zarosłego dołu z rączkami założonemi na piersiach nie nagrodzonej od współziomków, hodie mihi, cras tibi, i mnie — podobny los czeka.

Gdybym się znalazł pomiędzy wami rzecz ta byłaby już od roku załatwiona.

Przyjmij Pani wyrazy prawdziwego szacunku z jakim pozostaję.

Brat i sługa

T. Lenart.

Flor. 16/V. 88.

Najłaskawsza Pani!

Licząc na jej dobroć proszę aby raczyła wyjednać mi u Pani Machczyńskiej korektę na kamieniu grobowym dla ś. p. Maryi wiersza mojego, w którym zamiast wyrazu Straceńców, fatalnie brzmiącego w uchu, powinno być jak ja napisałem: Strateńców; — proszę o to, błagam i zaklinam jak o prawdziwą łaskę. Koniecznie zdaje się moim korektorom że lepiej znają język polski odemnie; być może, ale ja przy moich błędach obstaję, za które przed publicznością odpowiadam — dixi.

W kamieniu c na t łatwo przekuć, niechże mi to natychmiast zrobią — do kilku osób gotów jestem udać się z prośbą o tę poprawkę.

Za życzenia nawzajem życzę najłaskawszej Pani wszystkiego dobrego, daj Boże, a najwięcej zdrowia i cierpliwości.

Ja tego roku ciężko biedowałem na katar płucowy a obecnie na żołądek; — a no starość nie radość a śmierć nie wesele — nażyłem się dość. — Straciłem wszystkich którzy mi dobrze życzyli, — ot, trzeba się wynosić. —

Cierpiąc na oczy niewiele czytam, a to co mam przed sobą w obcych językach, wątpię czy Panią doszło, drukowane w Rzymie czy Madrycie, więc cóż o tem gadać. — Roboty moje niewiele warte i jak Pan Tretiak zapewnia — czytelników nie znajdują, a skulptura nabywców; — pazienza.

Bądź cierpliwą dobra Pani i staraj się choćby cię kłuli szpilkami na wszystkie strony utrzymać niezachmurzoną pogodę, bo ludzie nie lubią smutnej twarzy — im trzeba tragedyi albo śmiechu, melancholia — cichy smutek ich nudzi — udawaj wesołość albo się im nie pokazuj, a przynajmniej jeśli nie wesołość, to obojętność na wszystko.

W tym roku jeżeli wojny nie będzie a zdrowie pozwoli, mam zamiar pojechać na lato do Galicyi, odetchnąć trochę polskiem powietrzem — daj Boże!... gdyby... w takim razie radbym i o Lwów zawadzić. —

Raz jeszcze życzenia moje powtarzając, kończę wyrazem prawdziwego poważania w jakiem pozostaję.

Prawdziwy sługa Pani

T. Lenart.

Flor. 26/XII. 88.

Pannie Machczyńskiej życzenia i ukłony proszę oświadczyć.

Droga, serdeczna Pani!

Dzięki Bogu że się jakoś nad nią wypogodziło zachmurzone niebo, że powróciło zdrowie a z niem i myśl swobodniej-

sza — oby ci Bóg wszystko dobre dać raczył, a od przykrości zachował.

Do kraju nie mogłem się wybrać z powodu kuracyi u wód włoskich i burzliwej atmosfery; w 90 prędzej — obyśmy się zobaczyli we Lwowie. — Jedna godzina pogadanki zastępuje setki listów.

Ze zdrowiem jestem ot tak, dzień lepiej dzień gorzej, jak to u starych bywa.

Racz być przekonaną dobra zacna Pani że sobie wysoko cenię życzliwość twoją i tem więcej że im dalej w las, tem ciemniej, tem mniej ludzi a coraz więcej drapieżnych zwierząt.

Wielkie miałem przykrości, niepokoje, smutki a no trudno, — cóż więcej świat dać może nad złudzenia szczęścia i rzeczywistości bolów.

Przyjmij droga Pani życzenia serdeczne na ten rok i na wszystkie lata.

Prawdziwy sługa

T. Lenart.

Florencya 24/XII. 89.

Florencya 26/XII. 90.

Starość najłaskawsza Pani, starość nie radość sprawia, że o ile jesteśmy gadatliwi, o tyle nie pisemni, — zgnębione, trochę ślepe, trochę krzywe indywiduum do pióra czuje wstręt, tem większy jeśli mu takowe więcej przykrości, niż przyjemności sprowadzało. — Piszesz co ci serce i sumienie dyktuje, aż ci oto wysuwa się jakiś szperacz literacki, ścigacz za dokumentami i kpi sobie z ciebie i do ostatnich spycha, a publiczność do której przemawiałeś cóż? publiczność śmieje się rada iż kogoś pan krytyk piętą przewrócił.

Nic nie piszę, a czytam mało, bo ślepnę, oczy bolą, kłóją, palą i rób tu co chcesz, siedzę po całych wieczorach, samotny na dumaniach niewesołych. Z naszych współziomków

nie ma tu prawie nikogo, rozmowa więc moja ogranicza się do rozporządzeń wydawanych starej babinie, która mi posługuje, żeby kawę zrobiła, albo izbę zamiotła.

Literatura włoska blada, poezyi żadnej i o czem że tu pisać, chyba o tem, około kogo myśl się obraca, czyli o kraju, o którym niestety smutne bardzo dochodzą mnie wieści, a które wszystkim państwu lepiej tam są wiadome.

Bieda, droga Pani, a twarda jak kość, i siekierą jej nie utnie.

Życzę drogiej Pani wszystkiego dobrego a najwięcej zdrowia — sobie zaś nic, ileże kiedy się żadne z życzeń dotąd odbieranych czy we własnej głowie snujących nie ziściło to i pewno nie ziści, a za niewiele i nie potrzeba mi już będzie niczego, 69 lat, cóż się tu spodziewać, chyba tego Anioła, co pieczęć kładzie na oczy i usta i powiada Consumatum est.

Przyjmij Czcigodna Pani wyrazy wdzięczności mojej za życzliwość doprawdy że niezasłużoną i racz mi i nadal takową zachować.

T. Lenart.

Proszę mnie nie posądzać o jakieś zniechęcenie bo jej odpowiem słowami Szekspira:

Kędy słów mało, tam nie giną słowa,
Mało ten mówi komu męką mowa.

Florencya 4/IV. 91.

Najłaskawsza Pani!

Dzięki ci za życzliwe słowa. — Bądź przekonaną o mojej wdzięczności za okazywane mi współczucie. — Smutno mi że się widzę niepotrzebnym, pracuję i wszystko to leży w mojej tece podróżnej.

Do kraju radbym się wybrać żeby coś wydrukować, czemś się przypomnieć narodowi, a zdrowie niezmiernie nędzne nie

pozwala mi dalszych robić podróży. Dusza we mnie młoda a siły wyczerpane — nie dziw się więc jeśli ci wesołych rzeczy nie piszę. — Czytam mało, bo ślepnę, siedzę po całych dniach samotny, ale choćby i w towarzystwie, byłżebym weselszy?

W kraju upadek ducha, za krajem obojętność obcych. — Piszący nie żyją ze sobą, nie komunikują się; — każdy u nas królem — bez królestwa.

Czujesz to dobrze sama, — a no trudno alboć już nie tak daleko do końca tej nużącej wędrówki.

Jeśli możesz podzielić się ze mną jaką dobrą wieścią, będę ci niezmiernie obowiązany.

Jedna szlachetna dusza utrzymuje ze mną korespondencyę; nieznajoma także Konopnicka — jest to dziś podobno jedyna poetka polska.

Ale dość, jak będę lepiej na zdrowiu, napiszę ci droga Pani, dziś ograniczam się na kilku słowach — żyj spokojna, pracuj i wierz choćbyś straciła ufność w skutek pracy swojej.

Prawdziwy przyjaciel

T. Lenart.

Najzacniejsza Pani!

Nie mam dość wyrazów na podziękowanie za Jej życzenia jak bądź trudno mi spodziewać się aby się urzeczywistniły. Sobie ja zresztą życzę jednej szczęśliwej śmierci bez długich bólów i konania, — żyłem dość długo, przypatrzyłem się wielu rzeczom i mogę odejść nie zostawiając żalu po sobie, ile że prawie wszyscy, z którymi bliższemi stosunkami byłem połączony, pomarli.

Ojczyźnie, matce miłosiernej, która mi dała życie i utrzymywała przy życiu życzę niech Jej lepsza dola przypadnie nad tę dodzisiejszą nędzę męczarni i żałoby — oby jej słońce wolności zaświeciło.

Droga, serdeczna Pani, a Jej cóż? — czego sama pragniesz. Bardzo byłbym szczęśliwy, gdybym mógł najzacniejszą Panią w Ojczyźnie powitać — w Ojczyźnie czy za Ojczyzną i uścisnąć tę rękę, którą mi przyjaźnie podaje — ale... otóż to ale...

Podróż niezmiernie fatygująca — 70 lat — koszta znaczne, zdrowie najlichsze, dzień lepiej, dzień gorzej, a nigdy dobrze.

Pytasz się droga Pani co robię? a no zawsze tam coś robię, a najlepszy dowód, że małej to być musi wagi, kiedy nawet darmo drukować nie chcą, — dla myszy więc śpiewam:

myszy, myszy, która słyszy,
która głucha, niech nie słucha.

Jest tego pożółkłego papieru na jakie 4 tomy, o los którego nie troszczę się bynajmniej, dość że sam pisząc miałem złudzenia że jestem pomiędzy wami — że mnie woń ojczystych lasów zalata.

Bądź przekonaną droga Pani o mojej wdzięczności i cześci.

T. Lenart.

22/XII. 91.

TEOFIL LENARTOWICZ.

Przypisy redakcyi.

DO BAŚNI O TRYGŁAWIE: *Jafer,* — zarośla borówek, cz. czarnych jagód.

Maliniak, — zarośla kolczastych krzewów, malin i ożyn.

Kipszyna, — wierzbówka, Epilobium angustifolium, ziele o wysokiej łodydze i kłosie kwiatów różowych, pospolite na rąbaniskach.

Wyzkanie, — śpiew pasterki u Podhalan.

Ziele błękitnej goryczki, — gentiana asclepiadea, zwane też u górali dzwonkiem lub dzwonką; liście jego zwyczajnie zwichrzone układają się w jednostronnym cieniu w jedną płaszczyznę, przybierając postać liścia złożonego, który przegina się w stronę światła. Kwiaty dzwonkowate błękitne, osadzone po parze wzdłuż łodygi.

Skorusza, — jarzębina.

Nie zacupkał cap wartujący, — cap wartujący ostrzega swój kierdel (stado) cupkając, t. j. uderzając w ziemię przedniemi nogami, przyczem wydaje krótki, chrapliwy gwizd.

Mierędzać, — przeżuwać.

Zbyrkadło, — (od „zbyrczeć", dzwonić, grzechotać) narzędzie używane przez pasterzy wołów po węgierskiej stronie Tatr, zwane po węgiersku oblak. Jest ono zrobione z rosochy gałęzi i ma kształt dwuzębnych wideł o krótkiej rękojeści; na grubych drutach umocowanych poprzecznie między zębami nawleczone są kawałki rozmaitego żelaziwa. Potrząsając zberkadłem pasterze kierują wołami.

Spodki jej legły na fundamentach globu, — spodki, spodnie belki ścian domu.

Chłopię sietniawe, — sietniak = matołek.

Ocapy skał, — ocap, belka wierzchnia nakrywająca otwory okien i drzwi.

Haj! — znaczy właściwie „tak"; dawniej Podhalanie powtarzali „haj" często w toku opowiadania; dziś obyczaj ten pod wpływem szkoły prawie zaginął.

Hyr, — wieść, sława.

Pohutnywać sobie, — pokrzykiwać, dodając sobie ochoty.

Znak niespodziany boga trygławego, — dziś górale wycinają „krzyżyk niespodziany“ w formie swastyki na miejscach ukrytych, n. p. na węgle, pod blatem stołu i t. p. dla odstraszenia „złego“.

W „HISTORYI ORTOBANA“ trzymaliśmy się zasady modernizowania pisowni, w granicach nie zmieniających brzmienia wyrazów. Interpunkcyę ustalaliśmy sami, gdyż w rękopisie zaniedbana jest zupełnie.

RYSUNKI DANIELA CHODOWIECKIEGO są reprodukcyami oryginałów znajdujących się w Biliotece im. Gwalberta Pawlikowskiego w liczbie około trzystu. Są one rysowane sangwiną, niektóre cieniowane błękitną kredką, w formatach dużego folio, na papierze szarawym. Część nieco uszkodzona przez starcie.